PISMA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

Biblioteka Państw. Liceum Pedagog. im. St. Konarskiego w Siedlcach
Nr

Zygmunt Krasiński.

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

WYDANIE JUBILEUSZOWE

TOM I

UTWORY MŁODZIEŃCZE
(1825—1832)

Z PORTRETEM AUTORA

KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA
WARSZAWA, GEBETHNER I WOLFF
1912.

543/I

WSZELKIE PRAWA WYDAWCY ZASTRZEŻONE.

Czcionkami drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

Ostatni potomek po mieczu Zygmunta Krasińskiego, ś. p. Adam, nosił się z myślą zupełnego wydania wszystkich pism swego wielkiego dziada — tak ogłoszonych już drukiem, jak i pozostających dotąd dla różnych względów w rękopisie; wydanie miało się pojawić w setną rocznicę urodzin poety i być godną a trwałą pamiątką jubileuszowego obchodu. — Niestety, przedwczesna śmierć nie pozwoliła ś. p. Ordynatowi zamierzonego dzieła dokonać. Pięknej tej myśli jednak upaść nie dała wdowa po ś. p. Adamie, hr. Wanda Krasińska, i już z początkiem 1910 r. rozpoczęła starania, mające na celu przygotowanie wydania, obejmującego — o ile możności — wszystkie utwory Zygmunta Krasińskiego, wydania, któreby z jednej strony odpowiadało wszelkim słusznym wymaganiom naukowej krytyki, z drugiej zaś przez właściwy sposób opracowania i jak najniższą cenę było przystępne najszerszym warstwom narodu. Uproszone grono członków Akademii Umiejętności (pp. Prezes Tarnowski, Chrzanowski, Morawski i podpisany) ustaliło następujące ogólne zasady wydawnictwa: 1) Cała spuścizna ma być uporządkowana i podzielona na pewne działy. 2) Układ w zakresie każdego działu ma być ściśle chronologiczny. 3) Wydanie ma być zupełne,

tj. ma obejmować wszystkie pisma Zygmunta Krasińskiego, tak polskie, jak i francuskie, bez względu na ich wewnętrzną wartość, byleby tylko posiadały artystyczno-literacką formę. 4) Wydanie ma być krytyczne i naukowe, a zarazem do pewnego stopnia popularne, tj. zaopatrzone w potrzebne objaśnienia. W wydawnictwie ma być zachowana pisownia Akademii.

Wydawca poczytuje sobie za obowiązek szczegółowo wyjaśnić, w jaki sposób powyższe zasady zostały w czyn wprowadzone.

Cała spuścizna literacka Zygmunta Krasińskiego dała się całkiem naturalnie podzielić naprzód na pisma polskie i francuskie, i zgodnie z tym podziałem wypadło polskie utwory drukować osobno, a osobno francuskie. Tu jednak nasunęła się w wykonaniu pewna trudność. Utwory polityczne są pisane częścią w języku polskim, częścią w francuskim. Wydawca miał więc do wyboru: albo trzymając się ściśle zasady, pomieścić wszystkie bez wyjątku utwory francuskie osobno razem, a polskie ich przekłady pomiędzy oryginałami polskimi, lub też zrobiwszy wyjątek, francuskie oryginały umieścić między polskimi, a tłomaczenia polskie podać w dodatku. Wydawca uważał ten drugi sposób za naturalniejszy. Pisma polskie dały się bez trudu uporządkować i ująć w dwa działy: utwory poetyckie (wierszem i prozą) i pisma filozoficzno-polityczne. Ale i w układzie pism poetyckich wypadło zrobić wyłom w zasadzie i krótkie utwory liryczne podać wypróbowanym wzorem wszystkich wydawców w osobnym tomie. W ten sposób otrzy-

maliśmy następujący układ pism Zygmunta Krasińskiego: Pisma poetyckie t. I—V, utwory liryczne t. VI, pisma filozoficzne i polityczne t. VII, wreszcie utwory francuskie z epoki genewskiej t. VIII (część I oryginały, część II tłomaczenia). W zakresie każdego działu przeprowadzono już ściśle jedynie właściwy i odpowiadający naturze rzeczy układ chronologiczny, co zaznaczono podaniem wszędzie roku, w którym pewien utwór powstał, lub był drukowany. Dodajemy, że data bez żadnego dodatku pochodzi od autora, ujęta w klamry [ ] jest uzupełnieniem wydawcy. Przy większej liczbie utworów krótszych (t. VI i VIII) zachodzi niekiedy ta okoliczność, iż pewna ilość utworów opatrzona jest dokładną datą roczną i dzienną, pewna zaś posiada jedynie datę roczną; w tym wypadku podano naprzód wszystkie utwory z dokładnie oznaczoną datą, a po nich dopiero utwory z datą niezupełną, t. j. roczną. Niestety, i w chronologii względom praktycznym musiała ustąpić zasada, co prawda, w jednym tylko wypadku. »Władysław Herman«, ofiarowany przez autora ojcu 1-go stycznia 1829, a więc napisany w r. 1828, powinienby właściwie następować po »Grobie rodziny Reichstalów«; ale w takim razie rozkład na tomy byłby połączony z pewnemi trudnościami i w dodatku wypadłaby jeszcze ta niewłaściwość, że powieść trzechtomowa (w wyd. I) wcisnęłaby się pomiędzy utwory krótszych rozmiarów, gdy tymczasem »Władysław Herman«, połączony z »Agaj-Hanem« (t. II), znalazł się w właściwszem i stosowniejszem towarzystwie.

Czy obecne wydanie jest już zupełne? — Mówię »już«, gdyż i ostatnie wydanie krytyczne z r. 1904 nazywało się »zupełnem« — a jakże mu w porównaniu do niniejszego daleko do zupełności! To można twierdzić na pewno i stanowczo, że hr. Krasińska nie tylko powierzyła wydawcy całą, jaką rozporządzała, spuściznę rękopiśmienną Zygmunta Krasińskiego, tak autografy, jako też liczne odpisy, ale co większa, starała się, nie żałując trudu ani kosztu, jak najusilniej zgromadzić autografy, a gdzie się to nie udało, przynajmniej dokładne odpisy utworów Bezimiennego poety. Większą jeszcze nierównie przysługę oddała wydawnictwu hr. Krasińska przez żmudne i mozolne przeglądanie wszystkich — a jest ich liczba niemała — listów Krasińskiego do Delfiny Potockiej. Wiadomo, jak ścisłe stosunki łączyły przez długie lata autora »Przedświtu« z panią Delfiną; poeta, można śmiało powiedzieć, żył w niej, przez nią i dla niej, z każdej swej myśli skwapliwie się jej spowiadał i każdy utwór, drobny czy duży, zaraz po napisaniu posyłał, nie mówiąc już o tem, że najwięcej swych lirycznych wierszy, i to właśnie najpiękniejsze dla tej swojej Beatryczy napisał. Owóż należało się niemal na pewno spodziewać, że w tej olbrzymiej ilości listów może się znaleźć jeszcze niejeden wiersz nieznany, a przynajmniej niejeden szczegół, dla wydawcy arcypożądany i ważny. Rzeczywistość nie zawiodła oczekiwania. Poszukiwania hr. Krasińskiej, obok mnóstwa notatek, objaśniających czas i powstawanie pewnych utworów, wydobyły na jaw znaczną ilość wierszy, już to w całości lub częściowo nieznanych, już też znanych w re-

dakcyi wcześniejszej, które teraz możemy ogłosić w późniejszej, obszerniejszej, jedynie nas obowiązującej redakcyi. Zdobycz z tego jednego źródła dla wydawnictwa wynosi całkiem nieznanych utworów 17, a przerobionych później i ostatecznie wykończonych przez autora 2. Całe zaś wydanie jest od lwowskiego z r. 1904 zupełniejsze o 89 dłuższych lub krótszych utworów. W szczególności zawiera t. I dziewięć dotąd nieznanych utworów z epoki młodzieńczej: 1) Rozmowa 1824-go z 1825-tym rokiem. 2) Rozmowa Napoleona z Aleksandrem I. 3) Syn Botzarisa. 4) Polska. 5) Wiliam Wallas. 6) Zniszczenie Ipsary. 7) Joanna d'Arc. 8) Parysyna. 9) Panie Kochanku; w t. IV nieznane: 1) Herburt. 2) Ułamek z poematu — w obszerniejszej redakcyi: 1) Fantazya życia i 2) Z sycylijskiej podróży; w t. V: Rok 1846; w t. VI nieobjętych lwowskiem wydaniem 1904 r. utworów lirycznych ogółem 39, ogłoszonych obecnie w obszerniejszej redakcyi 5; t. VII zawiera oprócz znanej już rozprawy o Słowackim, naprzód obszerniejszy tekst traktatu »O stanowisku Polski« (znanego dotąd pod mylnym tytułem »Traktat o Trójcy«) i 15 dotąd nieznanych utworów treści przeważnie politycznej; wkońcu t. VIII wykazuje przybytek 24 utworów francuskich z epoki genewskiej.

Wreszcie »wydanie ma być krytyczne«. Tu nasuwały się pewne wątpliwości, oczywiście nie co do nowych utworów, które miało się wydać z autografów lub odpisów, ani też co do tych, do których znalazły się autografy, nieznane wydawcy lwowskiemu z r. 1904; ale narzucało się pytanie, czy wydawać na

nowo krytycznie te utwory — a takich jest część znacznie większa — które już z wielkim nakładem pracy zostały wydane krytycznie, i to na podstawie tych samych rękopisów, które już wyzyskał wydawca lwowski, prof. T. Pini? Czy więc warto podejmować po raz wtóry pracę mozolną, żmudną i, dodajmy, obciążającą znacznie wydawnictwo, czy, słowem, znosić jeszcze przysłowiowe drwa do lasu, czy też poprzestać na zaznaczeniu, gdzie tych drew w razie potrzeby szukać należy? Za krytycznem znowuż wydaniem przemawiał już z góry wzgląd na wygodę czytelnika-badacza, który radby mieć cały aparat krytyczny pod jednym dachem, a nie część posiadać pod ręką, a po resztę sięgać do innego wydania. Tak się rzecz przedstawiała w teoryi. Rzeczywistość rozwiała wszystkie wątpliwości, przechylając szalę stanowczo w stronę ponownego krytycznego wydania wszystkich utworów. Rozstrzygają tu nie okoliczności podrzędne, jak np. odmienne tu i owdzie odczytanie rękopisu, jak Heiffrock zam. Steiffrock, (II, 125, w. 23), Sterdza zam. Herdza, (IV, 31, w. 31) smęt zam. snach (VI, 110, w. 4), lodowi zam. ludowi (VI, 216, w. 8), lecz zasadnicze stanowisko lwowskiego wydawcy, który wyliczywszy w »Odmianach tekstu« wszystkie wydania i rękopisy pewnego utworu, kończy krótkiem oświadczeniem: »tekst wedle wydania N.« lub: »tekst wedle rękopisu N.«. Stanowisko takie jest do pewnego stopnia krytyczne, boć wydawca poprzednio musiał krytycznie ocenić, który rps lub wydanie jest najlepsze, ale naukowem nazwać go żadną miarą nie można. Takiej wygodnej, bo poniekąd mechanicznej zasady krytycznej nauka

przyjąć nie może. Naukowa krytyka korzysta ze wszystkich dostępnych źródeł nie tylko ogółowo w ich całości, ale i we wszystkich szczegółach, tj. nie poprzestaje na ocenieniu, które źródło jako całość jest lepsze i zasługuje na pierwszeństwo, lecz buduje tekst szczegółowo, zwrot po zwrocie, zdanie po zdaniu, nawet wyraz po wyrazie z uwzględnieniem wszystkich ocenionych już jako całość wydań i rękopisów. Że przy takiem postępowaniu, idąc śladem rpsu, wypadnie nieraz poprawić tekst nawet najlepszego wydania, boć i najlepsze wydanie może zawierać pomyłki drukarskie, nie dostrzeżone i nie poprawione przez autora, który, jak Krasiński, albo wydaniem się nie zajmował osobiście, lub też pomyłkę przez przeoczenie i nieuwagę przepuścił — to rzecz naturalna i łatwo zrozumiała; ale żeby trzeba poetę brać w obronę przeciw niemu samemu, to już trudniej pojąć, a jednak i to się zdarza. Przytaczam dwa charakterystyczne przykłady. W »Nie-Boskiej Komedyi« (III, 36, w. 14 niniejszego wydania) odzywa się *Mąż* w rpsie i we wszystkich wydaniach, nie wyjmując krytycznego lwowskiego z r. 1904: »Mów, Panie, co czujesz«. Jest to błąd oczywisty. Pominąwszy już bowiem wadliwość tego zwrotu pod względem językowym (powinnoby być: »Mów Pan, co czujesz«), musielibyśmy posądzić autora o — nie wiem, jak to nazwać — chyba prosty nonsens, żeby się pytać lekarza (bo tylko do niego to pytanie w tej formie może być zwrócone), co on w tej chwili c z u j e, gdy przecie chodzi właśnie o to, żeby lekarz nie c z u ł, tylko jasno spostrzegał i logicznie wnioskował. Niepojętą też

jest rzeczą, że na pytanie ojca, zwrócone do lekarza, ten milczy, a odpowiada słaby wprawdzie i przeczulony, ale bądźcobądź »dobrze wychowany« Orcio. Otóż w tym wypadku wbrew wszystkim wydaniom, a nawet rękopisowi trzeba »Panie« poprawić na »panu«, do czego zresztą rps daje podstawę (por. »Dodatek krytyczny«), a wypadnie tekst bez zarzutu: Ojciec przemawia do syna, ten też opowiada, co czuje, ojcu, dopuszczając się małego nieposłuszeństwa, które u chłopca 14-letniego tłomaczy się całkiem naturalnie zwykłą w tym wieku nieśmiałością wobec obcego człowieka. Drugi, może jeszcze ciekawszy przykład zaszedł w Irydionie, gdzie mylny podpis pod cytatem z Horacego zdołał się utrzymać nawet w ostatniem krytycznem wydaniu lwowskiem. (Por. »Dodatek krytyczny« t. III str. 385).

Jak niebezpieczną dla wydawcy rzeczą jest opieranie się na jednem, choćby uznanem poprzednio za najlepsze, źródle, wykaże kilka przykładów, wziętych z Nie-Boskiej Komedyi, która się do tego najlepiej nadaje, gdyż, jak wszystko za tem przemawia, z tego odpisu drukowano wydanie pierwsze. I tak, str. 70, w. 24 czytamy we wszystkich wydaniach: »bez grosza, oręża, bez żołnierza«; rps daje lepszą lekcyę: »bez grosza, bez oręża, bez żołnierza«. Str. 71, w. 25 we wszystkich wydaniach: »Szabla twoja, Bóg twój — mara«. Ależ to krzyczący nonsens: szabla (zestawiona z Bogiem!) nie jest wcale marą i dała się jeszcze jako namacalna rzeczywistość dobrze demokratom we znaki. I tu daje rps jedynie dobry tekst: »Szabla twoja — szkło, Bóg twój — mara«.

Str. 86, w. 25 we wszystkich wydaniach: »Teraz już nie marnym głosem, mdłem natchnieniem będę walczył z wami«; w rpsie: »Teraz już nie marnym głosem, nie mdłem natchnieniem« itd., co oczywiście jest silniejszem i godniejszym poety zwrotem. Są to wszystko widocznie pomyłki drukarskie, które należało w krytycznem wydaniu według rpsu poprawić; stało się jednak inaczej — gwoli raz przyjętej zasadzie: »Tekst według wydania C.« (tj. paryskiego z r. 1858). Prawda, że to ostatnie wydanie za życia autora, prawda również, że Krasiński bardzo dbał o zewnętrzną formę swych utworów i nieraz w druku jeszcze polecał wydawcom zmiany drobiazgowe, prawda wreszcie, że według świadectwa Gaszyńskiego zajmował się poprawkami i zmianami do nowo wydanych edycyi »Nie-Boskiej Komedyi« i »Ostatniego«— to wszystko prawda — ale nie łudźmy się: poeci są zawsze najgorszymi korektorami i wydawcami i trudno im nawet ten brak ścisłości i uwagi brać za złe. Mistrz, szybując górnym lotem na skrzydłach swej wielkiej myśli, także i przy odczytywaniu zajęty jest cały swojemi ideami plastycznemi tak dalece, że mając je żywe i przytomne w wyobraźni, nie dostrzeże częstokroć braku w mechanicznem, drukarskiem ich wyrażeniu; jeżeli gdzie, to tu można powtórzyć: *Praetor non curat minora.*

Jak mało można polegać na wydaniach, zwłaszcza tych, których poeta sam dopilnować nie mógł, przekonać się można najlepiej na tych drukach, do których odnalazły się obecnie autografy w kształcie odpisów na czysto; mamy na myśli »Ułomek rękopismu

słowiańskiego« i »Gastołda« w t. I. Oto ciekawsze kwiatki z »Ułomka«: str. 359, w. 17 ‚dłonie' A — ‚dłonia' W¹; ‚atomy' A — ‚ułomy' W¹; str. 364, w. 4 ‚wiosna' A — ‚massa' W¹; str. 365, w. 2 ‚wśród ciemności' A — ‚wśród jasności' W¹; str. 365, w. 18 ‚rozeznania' A — ‚rozerwania' W¹. Z »Gastołda«: str. 373, w. 18 ‚krzaki' A — ‚krzami' W¹; str. 374, w 18 ‚prosić na jutro' A — ‚prosić jutro' W¹. Str. 379, w. 17 ‚próby' A — ‚prośby' W¹; co wreszcie krzyczy o pomstę do nieba, str. 377, w. 17 cały ustęp, zamiast, jak w A zaznaczono, włączyć do tekstu, umieszczono jako przypisek pod tekstem.

Są to więc wszystko pomyłki składacza, które przez niedozór wydawcy znalazły się w wydaniu pierwszem, a przez nieuwagę, a raczej niekrytyczność przeszły spadkiem do wydań następnych. Jak zaś żywotnym bywa niekiedy ten chwast drukarski, ten iście kukułczy płód jakiegoś złośliwego chochlika, pouczającym na to przykładem może być piękny wiersz »O ziemio włoska...« (VI, 93). Układ tego wiersza jest całkiem jasny i przejrzysty: poecie nie żal pięknej Italii (w. 1—29), lecz żal kochanki, którą tam zostawił itd.; mimo to wiersz 13 brzmi nawet w krytycznem wydaniu lwowskiem:

O ziemio włoska, dziś mi żal jest ciebie

zamiast:

Ni, ziemio włoska, dziś mi żal jest ciebie

i ten błąd oczywisty, druzgocący w niwecz piękną budowę całego wiersza, puszczony w świat przez niedbałą korektę naprzód w r. 1878 w »Moja Beatrycze«, przeszedł niedostrzeżony w spadku do wszystkich wy-

dań następnych. Rzecz jasna, że już pierwszy wydawca miał przed sobą »Ni, ziemio włoska...«, ale widocznie wykroczył przeciw pierwszemu, zbyt może u nas lekceważonemu przykazaniu wydawniczemu: »Nie będziesz inaczej robił pierwszej korekty, jak tylko we dwie pary oczu i uszu«.

Jest jeden zwłaszcza rodzaj błędów drukarskich, na które chciałbym zwrócić uwagę wydawców, a które także w wydaniach pism Krasińskiego szkodliwie grasują. Dla t. z. profanów wyda się to może rzeczą mało do prawdy podobną, a jednak jest to pewnik, sprawdzony doświadczeniem, że przepisywacz lub drukarczyk (jak dawniej zamiast z e c e r mawiano), mając przed sobą w rękopisie dwa te same wyrazy w niewielkiem od siebie oddaleniu, po napisaniu lub złożeniu pierwszego, prześlizguje się jakimś dziwnym sposobem do jego sobowtóra i najspokojniej pisze lub składa dalej, opuściwszy wszystko, co się zawierało, jakby w klamrach, między owymi dwoma jednakowymi wyrazami, a nawet zwrotami. Pozostawiając objaśnienie tego zjawiska psycho- czy fizyologom, przytoczę kilka przykładów, które najlepiej rzecz objaśnią. Szukać ich nie trzeba daleko; znajdą się w niepożądanej ilości w zupełnem i krytycznem wydaniu lwowskiem. T. II str. 249, w. 25 (niniejszego wydania): n i e c h c e s z płakać przez wszystkie dni pozostałego życia, jeśli n i e c h c e s z w zmartwieniu itd.; str. 284, w. 7: w s z a k t o złudzenie, w s z a k t o nieprawda itd.; str. 287, w. 13: Wszakżeś mi n i c n i e odkrywał, Mestwinie, nieprawdaż, n i c n i e mówiłeś itd.; str. 535, w. 9: T u j e s z c z e walczył z sobą samym, ale

nie zdołał wystroić liców w pogodniejszą barwę. Tu jeszcze drżące załamywał dłonie itd.; t. IV str. 101, w. 5: wszystkie szyby okien i wszystkie serca itd. We wszystkich przytoczonych ustępach wszystko, co się mieści pomiędzy rozstrzelonymi wyrazami, zostało opuszczone i nie znajduje się w tekście, chociaż znajduje się w wydaniu, przeznaczonem do przedruku. Jeżeli więc błędy tego rodzaju wkradają się do wydania, sporządzonego w w. XX, któremu staranności odmówić nie można, to czyż śmiały będzie wniosek, iż zdarzały się i dawniej, w pierwszej połowie XIX w., kiedy nawet jeszcze krytycznych wydań u nas nie znano? A jeżeli tak, a zaprzeczyć temu niepodobna, to czyż nie jest nieodzownym obowiązkiem wydawcy ustawicznie, krok w krok, porównywać tekst nawet uznanego za najlepsze wydania z rękopisem, jeżeli istnieje, i starannie odważać na krytycznej szali każdą, choćby najmniejszą różnicę, a cóż dopiero taką, gdzie chodzi o opuszczenie całego ustępu lub zwrotu? – Zasada, że nie należy się trzymać ślepo wydań, choćby najlepszych, lecz uwzględniać także, lubo krytycznie i ostrożnie, lekcye rękopisu, musiała doprowadzić na wielu miejscach do zmiany dotychczasowego tekstu, jak sądzimy, nie na gorsze. Żeby nie być rozwlekłym, ograniczę się w tych uwagach jedynie do Nie-Boskiej i do Irydiona, tj. do t. III. Str. 72, w. 27 zwrot rękopisu: ‚bo chcesz się oszukać, bo chcesz wierzyć' jest pełniejszy i silniejszy, niż to, co podają wszystkie wydania: ‚bo chcesz wierzyć'. Z Irydiona: str. 135, w. 19 ‚Jaką była Afrodyte' itd. we wszystkich wydaniach drugi ustęp: ‚Jaką była Helena...'

opuszczony; w pierwszem wydaniu, jak sądzę, dlatego, że oba ustępy kończyły się jednakowym zwrotem: ‚niesiemy ci róże, kadzidło i perły'. A jednak ustęp drugi nie jest wcale ani zbyteczny, ani też nie osłabia wrażenia: pierwszy opiewa piękność Elsinoy, drugi żądzę miłośną, więc widoczne tu stopniowanie wrażenia. Str. 139, w. 7 i wśród nich knuję spiski — i wśród nich czołgam się; str. 240, w. 18 on jeden spojrzeniem koił rozpacz moją — on jeden się domyślał; str. 302, w. 8: ‚i za każdym ich dźwiękiem jedną myślą i za każdym ich ustankiem jedną siłą zmartwychw stajesz więcej'. We wszystkich wypadkach daje rps lekcyę lepszą, bo pełniejszą i plastyczniej oddającą myśl autora.

Z kolei słówko o objaśnieniach. Są one z natury rzeczy dwojakie: krytyczne i rzeczowe (rzadziej językowe). Pierwsze jako przeznaczone przeważnie dla literatów z zawodu i historyków literatury, mogły snadnie znaleźć miejsce w osobnym dodatku. Co do drugich jednak postanowiliśmy po dojrzałej rozwadze zerwać z dotychczasowym zwyczajem przeważnej większości wydawców i zamiast przy końcu tomu umieściliśmy je pod tekstem, wiedząc z własnego doświadczenia, jak niewygodną, a niekiedy wprost przykrą jest rzeczą szukać dopiero mozolnie objaśnień, zamiast je mieć wygodnie w formie przypisku pod ręką; niecierpliwy czytelnik gotów niekiedy raczej wyrzec się wyjaśnienia, aniżeli przewracać kartki i przerywać sobie czytanie. I tu jednak okazała się potrzeba wyjątku: niektóre objaśnienia poety do Irydiona są tak obszerne, niemal małe rozprawki, że ich format ni-

niejszego wydania u dołu znieść nie mógł; jeden więc dłuższy dopisek umieszczono jakby rodzaj wstępu na czele, inne z konieczności po tekście utworu. Ponieważ przypiski autora mieszają się z objaśnieniami wydawcy, przeto autorstwo poety oznaczono wszędzie dodatkiem *P. a.* (przypisek autora); gdzie tego wyraźnie nie zaznaczono, objaśnienia pochodzą od wydawcy. Nieliczne uzupełnienia w tekście, tudzież daty pod utworami, dodane przez wydawcę, objęte są klamrami [ ]. W układzie objaśnień krytycznych, umieszczonych w osobnym dodatku przy końcu każdego tomu, przestrzegano zasady, żeby naprzód podać wraz z krótkim opisem wszystkie źródła, uwzględnione do ustalenia tekstu; następnie starano się, gdzie tego zachodziła potrzeba, uzasadnić datę powstania, położoną pod tekstem utworu, wreszcie wymieniono odmianki tekstu, oznaczone pojedynczym cudzysłowem , ' w ten sposób, że na pierwszem miejscu umieszczona jest zawsze lekcya, przyjęta do tekstu wydania, a dalej, po średniku, następują różnice od przyjętego tekstu, znajdujące się w rękopisach lub wydaniach. Przy odmiankach podano zawsze sposobem skróconym (por. objaśnienia przed każdym dodatkiem krytycznym) rękopis lub wydanie, z którego pochodzą; brak wszelkiego dodatku objaśniającego oznacza nieliczne poprawki, pochodzące od wydawcy. Jeżeli przy lekcyi rękopisu podano w nawiasie ( ) wyraz lub zwrot, przemazany przez autora, bez wszelkiego dodatku, to znak, że rękopis nie różni się w tem miejscu ani od drugiego rękopisu (jeżeli istnieje), ani od wydań drukowanych.

Wkońcu, spełniając miły obowiązek, składam szczere podziękowanie tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób, słowem lub czynem, przysłużyli się wydawnictwu, a mianowicie pp. dr. L. Bernackiemu we Lwowie, prof. I. Chrzanowskiemu w Krakowie, dr. B. Erzepkiemu w Poznaniu, prof. dr. T. Grabowskiemu w Krakowie, prof. dr. W. Hahnowi i prof. dr. E. Porębowiczowi we Lwowie.

W Krakowie 29 listopada 1911 r.

Jan Czubek.

ROZMOWA 1824^{go} Z 1825^{tym} ROKIEM

Sobiem pisał, nie komu, swe, nie cudze, rzeczy.
By je kto czytał, nie mając na pieczy;
A choć to małe brydnie, przecież własne moje[1].

Zimorowicz.

STARY ROK.

Jużem przyszedł do tego momentu nieszczęsnego, w którym mam zstąpić do grobu i zdać tobie panowanie; ale to mnie pociesza, żem był różnych rzeczy świadom na świecie.

NOWY ROK.

Witaj, starcze; wkrótce zdasz mi berło swoje i ustąpisz z tronu. Zdajesz się być smutnym...

STARY ROK.

Szanuj, młodzieńcze, zsiwiałe włosy i starość. I jam się podobnie chełpił, gdy temu 365 dni odbierałem berło od poprzednika; różne mi prawił pożyteczne nauki, ja zatykałem uszy, jak ty teraz ze mną czynisz.

---

[1] Młodziutki autor albo cytował z pamięci, która go zawiodła, albo też z umysłu zmienił nieco tekst wierszy Zimorowicza:

Sobiem śpiewał, nie komu, swe, nie cudze rzeczy,
Aby kto tego słuchał, nie mając na pieczy.
. . . . . .
Chociaż to małe brednie, przecie własne moje.

NOWY ROK.

Starcze, powiedzże mi, coś na świecie widział ciekawego?

STARY ROK.

Widziałem, co i ty zapewnie zobaczysz; widziałem wielkie zbrodnie, znakomite cnoty, nadużycia, kary, czasem sprawiedliwe, a najczęściej niezasłużone, sędziów poczciwych i przekupnych, majątki, tracone marnotrawstwem, a nabywane niecnotą, zbrodniów, uwodzących młodzież; widziałem skąpców zbierających pieniądze; ludzi niepożytecznych społeczeństwu; skarby im tylko na myśli stoją, a nie dobro bliźniego, ziomków i współbraci; trapią się o lada grosz, chciwość, jakby robak, pożera im serce, nigdzie nie znajdują spokojności; u nich wszyscy w podejrzeniu, wszędzie czarna troska ich ściga; tymczasem kryje się cnota w chatce ubogiego, rzadko ją ujrzysz pod stropami złoconymi; widziałem wielu niepoczciwych, a mało cnotliwych...

NOWY ROK.

Prawdę mówią, że starcy lubią długo rozprawiać. Mówisz mi tylko o prywatnych rzeczach, na które dość się napatrzę: ja chcę wiedzieć o dzielnych mężach, krwawych bitwach; powiedz mi, kto się męstwem, walecznością wsławił, kto był pierwszym i w radzie i w wojnie? Czyjego skinienia słuchały ludy, czyja sława świat szeroki napełniła? — A co, milczysz?...

STARY ROK.

Cóż mam ci opowiadać w tym rodzaju? Jeden tylko

naród w czasie mych rządów walczył za swą wolność!! jeden...[1]

NOWY ROK.

Więc go inne wspierać musiały?

STARY ROK.

Bynajmniej; każdy o swojej, a nie o powszechnej myślał korzyści.

NOWY ROK.

Jak to być mogło?

STARY ROK.

Nie znasz, młodzieńcze, ludzi. Nie każda pora obfita w bohaterów; czasem jaki zabłyśnie, a kiedy ten zgaśnie, wiele wieków się sili, aby wydać drugiego. Inne wypadki zewnętrzne nic świetnego w sobie nie mają. Me rządy płodniejsze były w narzekania na ubóstwo; zboże nie płaciło i okropnie rozlały się wody, ubożsi do nędzy przyprowadzeni, a możni do przykrego stanu.

NOWY ROK.

Ale powiedz mi, czy żaden się nie zjawił wynalazca kunsztów?

STARY ROK.

Dużo ich było; wynalazek parowych machin do wielu rzeczy przystosowany. — Ale smutny jeszcze wypadek wspomnę i na zawsze sławny, uświetni on me rządy: umarł za moich czasów poeta[2], walcząc za najpiękniejszą sprawę; cóż mówię! — nie zginął, naj-

[1] T. j. grecki, który od r. 1821 walczył o swą niepodległość.

[2] Jerzy Gordon Noël Byron (ur. 22 stycznia 1788, um. 19 kwietnia 1824 w Missolungi w Grecyi).

przedniejsza jego część w dziełach została; czytając je, potomność uwielbi górny geniusz i uczci pamięć wielkiego człowieka...

NOWY ROK.

Szkoda, że nie będziesz świadkiem sławy mych rządów, a gdy dojdzie twych uszu, zadziwisz się.

STARY ROK.

Może uwodzisz się zbyt chełpliwą nadzieją. Ja kiedym był młody i rzeźki, to samo mówiłem. Ale życzę ci szczęścia, życzę, aby ludzie powrócili do dawnych cnót, aby wiek złoty zajaśniał, aby w późnych wiekach twe imię ze czcią było wspomniane. Co do mnie, zstępuję do grobu z nadzieją, że polepszy się stan ludzkości. Oddaję ci berło, zasiądź na tronie, uroń łzę na mym grobie, a gdy będziesz rządy zdawał innemu, wspomnij me mowy.

NOWY ROK.

Jeszcze do tego daleko.

STARY ROK.

Ten czas przemija tak prędko, jak szybko leci strzała, jak szybko biegną wody, pędzone od wiatrów; wkrótce śnieżna broda spłynie ci na piersi, a siwe włosy podobnym cię do mnie uczynią. Już bije ostatnia godzina: żegnam cię, wkrótce się zobaczym tam, gdzie poznasz, że wszystko światowe jest próżnością próżności...

NOWY ROK.

Mamże być świadkiem zbrodni, któreś mi opisał? Smutek mię jakiś przejmuje; ale nie, zbrodnia nie wzięła jeszcze przewagi nad cnotą. Starcze, zbyt

czarną barwą powlekasz twe obrazy; ród ludzki nie jest tak poniżony i podły. Obym mógł widzieć pod moimi rządy cnotę kwitnącą, a zbrodnię wzgardzoną!...

To mówiąc, zasiadł na tronie, wziął berło w ręce; otoczyły go Pory roku, Dnie i Godziny; zaczął panować, a Starzec wrócił do wieczności, skąd wyszedł.

Zygmunt Krasiński

ROZMOWA NAPOLEONA Z ALEKSANDREM I NA POLACH ELIZEJSKICH

Devenere locos laetos et amoena vireta
Fortunatorum nemorum sedesque beatas.
Largior hic campos aether et lumine vestit
Purpureo solemque suum, sua sidera norunt.

[Verg. Aen. VI, 638].

Bywają dni, w których, puściwszy wodze młodej imaginacyi, lubię bujać po odległych od nas światach.

Noc pogodna cieniła ziemię, a srebrny księżyc powoli płynął po niebie. Gdzież są — rzekłem do siebie — ci bohaterowie, którzy nieśmiertelną po sobie zostawili chwałę? — Czy, na lekkich ulatując chmurach, poglądają tylko na ziemię, której ozdobą byli? — czy gdzie w przestrzeni na innych światach w pokoju i szczęśliwości zapominają trudów, sławy i niedoli, na ziemi doznanych? — czy też obchodzą ich jeszcze śmiertelnych losy? — Tak dumającemu mrok jakiś zmysły moje zaćmił; uczułem się lżejszym i siłą niepojętą w górę niesionym, gdy oto nagle rozlała się wokoło mnie jasność, stanąłem w przestrzeni. Ziemi już nie widziałem; nademną niezliczone krążyły światy, każdy z nich w świetności równał się naszemu słońcu. Ale nie mógł więcej znieść blasku mój śmiertelny wzrok; spuściłem oczy i niezmierną podemną ujrzałem równinę. Widziałem na niej mnóstwo ludzi, jedni

do siebie mówili, drudzy się witali, inni chodzili. Daleki od wszystkich, stał jeden mąż postawy niewielkiej, ale twarz bohaterska dała mi poznać... Napoleona. — Zadumany stał na ustroniu i zdawał się myślić o swoich przygodach; wtem z drugiego końca równiny ukazał się mąż wysoki, piękny i zbliżał się ku niemu. Spojrzał nań Napoleon i tę między nimi słyszałem rozmowę.

NAPOLEON.

Ktoś znowu do nas przybywa. Chód i postać wspaniała. Może jaki z ziemskich mocarzów — ale, o Boże! poznaję — to Aleksander!...

ALEKSANDER.

Witam cię, dzielny mężu!

NAPOLEON.

Witam cię, władco wielkiego państwa, witam z zadziwieniem i żalem; czemuż tak wcześnie tu się dostałeś?

ALEKSANDER.

Pytaj się o to Króla królów — on mnie tu powołał.

NAPOLEON.

Niezbadane Boga wyroki, a my narzędzia jego woli. Jam ci był pozazdrościł twojej młodości, a tyś tak krótko mnie przeżył na ziemi. — Zapewne nie spodziewałeś się, będąc w Paryżu po moim ostatnim upadku, że się w tem miejscu tak prędko zobaczymy.

ALEKSANDER.

Nie — szczerze to wyznaję — wtenczas były to dni dla mnie najświetniejsze. — Ale i ty po zwycięstwie au-

sterlitzkiem, po przymierzu w Tylży, po tych bitwach i tryumfach, które coraz odświeżały twą sławę i wielkość, kiedy cały świat uginał się pod ciężarem twej potęgi, nie myślałeś o św. Helenie. —

NAPOLEON.

A gdybym nawet był pomyślał o moim upadku, nigdyby mi na myśl nie przyszła nieludzkość Anglików i sprzymierzonych. —

ALEKSANDER.

Napoleonie, nie narzekaj na sprzymierzonych! — Dlaczegóż nie oddałeś [się] w moje ręce? — Bo choć świetna korona opuściła twe skronie, mogłeś jeszcze żyć szczęśliwie.

NAPOLEON.

Na ciebie nie narzekałem, ale na tych, którzy mnie zdradzili, na tego, który, przymierzami i świętymi krwi związkami złączony ze mną, potargał te przymierza, złamał wiarę, zerwał krwi związki[1]; lecz zostawmy go przeznaczeniu, które się jeszcze dla niego nie spełniło. — Aleksandrze, znałem twoją wspaniałomyślność; nie wspominajmy nieszczęść, raczej powiedz mi, gdzie i jak rozstałeś się z ziemią?...

ALEKSANDER.

Niezgłębione boskie wyroki przyśpieszyły mi koniec; otoczony chwałą, najpotężniejszy po twoim upadku, w kwiecie i sile wieku musiałem umrzeć — daleko od pysznej mojej stolicy, w nieznanem prawie ustroniu[2]

[1] Mowa o Franciszku I, cesarzu austryackim, teściu Napoleona.

[2] Aleksander I umarł 1 grudnia 1825 r., mając lat 48, w Taganrogu, na północnym brzegu morza Azowskiego.

mego państwa, przy małej liczbie dworzan, na rękach żony wyzionąłem ducha...

NAPOLEON.

Przynajmniej na ręku żony — a ja na wysokiej i niepłodnej skale, spiekłej promieniami słońca, które rzadko kiedy burza rozpędzała, musiałem pędzić dni moich ostatki, zatrute wspomnie[nie]m przeszłej wielkości; tam umarłem, oderwany od ojczyzny, pozbawiony widoku syna, żony i najdroższych mi osób. —

ALEKSANDER.

Twoja śmierć była zbawieniem dla ciebie, końcem długo cierpianych nieszczęść, kiedy ja, wielkimi zaprzątniony zamysły, niewczesną porwany byłem śmiercią. — O Grecyo! Grecyo![1]

NAPOLEON.

Prawda — życie moje od czasu, w którym się dostałem w ręce Anglików, długiem tylko było konaniem...

ALEKSANDER.

Ale twój grób jest najpiękniejszym; na wzniosłej skale zdaje się panować i rozkazywać nieskończonemu morzu. Żeglarz, srogą miotany burzą, zmordowany, odpierając daremnie niebezpieczeństwo, rzuca już wiosło w rozpaczy; wtem piorun, czarne przedzierając chmury, twój grób oświeca; na ten widok zapomina trudów i grożącej zguby, twa pamięć nowego dodaje mu męstwa. »Tu leży — powie — wielki Napoleon«. —

[1] Aleksander wyraża żal, że śmierć przedwczesna nie dozwoliła mu pomódz Grekom w walce o niepodległość.

NAPOLEON.

Jakże, o losie, naigrawasz się z nędznych ludzi! Ten, który mnie przemógł, ten, co powinien był umrzeć, syt lat i szczęścia, ten, mówię, podobnym mnie sposobem ziemię opuścił, w dalekich od stolicy krajach, sam prawie. — Ale i ty zasłużoną po sobie zostawiłeś chwałę; dzieje głosić będą twe czyny, a późne pokolenia powtarzać twe imię z wdzięcznością. Polacy (bo i o tem jeszcze słyszałem na mojej skale) zawdzięczać ci będą wróconych swobód, ojczyzny. I ja w dniach mojej wielkości opiekowałem się i kochałem ten waleczny naród; pierwszą u niego cnotą jest kochać ojczyznę; cóż teraz z nim się stanie?...

ALEKSANDER.

Powinnością mych następców jest szanować me dzieło i nie niszczyć tego, co mi chwałę przynosiło. Krótko przed moją śmiercią odwiedzałem Polski stolicę: zgromadzeni wybrani przez naród posłowie prawa stanowili; cieszyłem się z ich wdzięczności, cieszyłem się. —

NAPOLEON.

Pożałują ciebie; ich łzy twą pamięć obleją, tem bardziej, że niepewni przyszłości...

ALEKSANDER.

Życzę im szczęścia, wolności, którąbym był wolał ustalić. I ty, dzielny mężu, czczony jesteś w tym narodzie; pamiętni dobrodziejstw Polacy nie zapominają Napoleona. Ale teraz, kiedy śmierć nas połączyła, ty, coś walił ze mną na ziemi krwawe boje, ty, którego geniusz zwyciężył i upokorzył tylu mocarzów, zapewne

Nr

poznałeś, że przymuszony byłem stały tobie odpór czynić i że inaczej działać nie mogłem; oddaj mi teraz swoję przyjaźń, kiedy nie dozwolono mi było za życia, wielbiąc twe czyny, żyć z tobą w zgodzie i pokoju. —

NAPOLEON.

Nigdy osobistej ku tobie nie czułem nienawiści, znałem twą wspaniałomyślność i męstwo; widziałem tylko konieczność walki, któraby zawsze była zaszła. Świata z tobą dzielić nie mogłem, wyroki tobie wyższość dały, przemogłeś...

ALEKSANDER.

Kiedy czarnej podobny burzy, niosłeś bój i pożogi w me kraje, kiedyś opanował mą stolicę, kiedy twe chorągwie powiewały w Kremlinie, pewny już byłeś zwycięstwa, ustąpić jednak musiałeś; mimo tego czułem w głębi mego serca, że nie byłem tobie równy. Rzućmy raczej te wspomnienia i nie pamiętajmy uraz, zostając odtąd w przyjaźni. Powiedz mi, jak dawno tu zostajesz, czyś zaraz tu przybył po zgonie?

NAPOLEON.

Jakem tylko zawarł oczy, prędzej nad myśl człowieka, przypominającego sobie miejsca, gdzie bywał, przeniesiony tu byłem. Znalazłem prawie wszystkich w tem miejscu dawnych moich towarzyszów broni; mówimy o dawnych zwycięstwach i przebywamy na tej równinie, dopóki Bóg nami inaczej nie rozrządzi. Oprowadzę cię po tych miejscach...

Tak mówił Napoleon; chciałem ścigać memi ich kroki oczyma. Pokazywały się zdala hufce wojowników sławnych, którzy witać Aleksandra przychodziły;

uważałem proporce polskie, i orzeł biały odbijał świetne promienie słońc, krążących w przestrzeni; na czele wszystkich tych bohaterów szedł mąż pięknej postawy, znać było na nim rany, za ojczyznę poniesione, lśnił się u jego boku pałasz, który tyle razy bronił Polskę... był to Poniatowski.

Wtem gwałtowne uczułem wzruszenie: ocknąłem się i znalazłem się na tem miejscu, gdzie i pierwej byłem; uleciały marzenia, równie jak i czyny tych bohaterów, a po nich tylko samo zostało wspomnienie.

1 stycznia 1826 r. w Warszawie.

Zygmunt Krasiński.

SYN BOTZARISA

....his iuventus orta parentibus
Infecit aequor sanguine Punico
Pyrrhumque et ingentem cecidit
Antiochum Hannibalemque dirum.

Hor. Lib. III Od. VI.

Wschodzące słońce oświecało skaliste brzegi wyspy Scyros[1], całe morze płonęło w ogniu promieni, kołysanych lekką falą. — Zielona murawa okrywała wzgórki, obfite w latorośle winne, i pola; ale napół spalone domy, zwaliska murów i gruzy świątyń i walające się trupy w kurzawie świadczyły, że tam niedawno krwawa zaszła walka. Głuche milczenie panowało na miejscu spustoszenia i rzezi. — Nad brzegiem w zarośli kryła się jaskinia. — Wejście do niej niedojrzane i tak szczupłe, że ledwo człowiek przecisnąć się zdoła; czasami słyszeć się w niej dawały ruch i szemranie, aż wreszcie donośniejszy głos się odezwał: »Zobaczę, czy już odpłynęli« — i w tejże chwili człowiek jakiś wystawił głowę przez otwór: oczami całe pole przebiegł, a nie widząc nikogo, powoli i ostrożnie wychodził z jaskini.— Był to młod[z]ieniec od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, odziany był w zielony kaftan, a za szerokim czerwonym pasem założony miał sztylet i dwa

[1] Scyros (Skyros), wyspa na wschód od Eubei.

pistolety. — »Już o[d]płynęło psie plemię — zawołał — wychodźcie, bracia!« — Wnet z jaskini kilku młodych Greków wyszło. — Wszyscy zbrojni w pałasze i strzelby.

— Już odpłynęli przeklęci Turcy — rzekł jeden — bodaj ich morze pochłonęło!

— Ale mogą wrócić — rzekł pierwszy, który zdawał się mieć jakąś między nimi powagę — a wtenczas biada nam!

— Słuchaj, Leonie — zawołał drugi — trzeba się nam jak najprędzej do lądu dostać; tam u twego ojca bezpieczniejsi będziemy.

— Oto — odpowiedział Leon — widzicie tę barkę; siadajmy do niej i płyńmy, Bóg nas i dobrą sprawę weźmie pod swoją opiekę, śmierć Turkom!

— Dobrze — zawołali wszyscy — płyńmy, śmiałym os pomaga.

Natychmiast wskoczyli do barki, służącej niegdyś rozbójnikom morskim i przywiązanej do brzegu. Każdy ujął wiosło, maszt z żaglem podnieśli i, dobrym pędzeni wiatrem, szybko oddalali się od wyspy Scyros. Wtem zdaleka ukazały się dwa okręty.

— Z naszej floty — rzekł jeden — płyną dwie fregaty.

— Dałby to Bóg — rzekł Leon — czy to tylko nie Turki?

— Uciekajmy — odezwał się trzeci — to przeklęte Turki.

— I ja teraz ich poznaję.

— Nie, brońmy się!

— Nie obronimy się — rzekł Leon — już blizko nieprzyjaciele; zginmy więc walecznie: śmierć Turkom, wolność Grecyi!

I razem strzelili wszyscy, padło kilku Turków. — Nie mieli czasu waleczne Greki nabić powtórnie swej broni, bo Turcy wpadli na ich statek i wszystkich na okręt dowódcy zaprowadzili: »Tyż to, psie niegodny? — rzekł dowódca, postrzegłszy Leona — Poznaję cię; tyś nam walecznych braci pod Missolongą[1] pozabijał, tam z twoim ojcem dokazywałeś; ale już to się skończyło — teraz na palu będziesz próbował twego męstwa. — Hassanie! zabierz wszystkich na swój okręt, płyń do Stambułu, tam wtrąć ich do więzienia, w dolny loch przy łaźni, w moim pałacu. Skoro sam wkrótce powrócę, pokażę sułtanowi tę zdobycz, a potem, na moję brodę, będziecie po palach skakać«. — Posłuszny rozkazom wodza Hassan przewiózł ich na drugi okręt.— Był to człowiek już podeszłego wieku; gęsta, ruda broda twarz mu okrywała, blade lice, nos długi i wpadłe oczy niemiłą mu nadawały postać. Zawój z krymką, w środku czerwoną, łysą zakrywał głowę; krzywy bułat[2] spadał mu przy długiej i fałdzistej szacie; rękę miał zawsze opartą na kosztownej rękojeści kindżału[3], a w drugiej trzymał długą lulkę. — »Dziś jeszcze — rzekł do majtków — dziś jeszcze będziemy w Stambule; wiatr nam sprzyja, dalej do roboty, rozpuszczajcie żagle! — Tych niewiernych związać, niech stoją na pokładzie, wnet na palach lepiej im będzie«. — Ledwie dokończył okrutny Hassan, wiatr nadął żagle, czeladź jęła się żywo do dzieła; pogodne niebo i jasne słońce

[1] Mowa o pierwszem oblężeniu Missolungi (od 7 listopada 1822 do 12 stycznia 1823 r.); duszą obrony był Marko Botzaris.

[2] Bułat (z persk. pulad) — szeroka szabla turecka.

[3] Kindżał (z arab.-tur. chandżar) — rodzaj puginału.

uprzyjemniało Turkom żeglugę. — Smutni w więzach stali jeńcy.

— Zginęliśmy — rzekł Leon do towarzyszów — wkrótce męka nasza będzie urągowiskiem dzikim Turkom; nie polegniemy w boju za ojczyznę, piękny raz w piersi odebrawszy, ale psy i ptaki pożrą nasze ciała. — Nie traćmy jednak nadziei, może Bóg nas ocali.

Już odkrywała się wyspa Tenedos[1], już piękne swe brzegi i winogradem zarosłe pogórza z łona wód podnosiła Stalimene[2] (Lemnos), zdala ciemniał ląd Azyi, a na nim ginąca w obłoku góra Ida.

— Otóż — rzekł Leon do towarzyszów — otóż ziemia, na której niegdyś cała Grecya pomściła się znieważonej gościnności[3]. Oby jaki nowy Dyomed albo Ulisses powstał zemścić się naszego pohańbienia, a nowy Milcyades i Temistokles, by świętą wolność wrócić ujarzmionej Grecyi! —

— Milczcie! — krzyknął groźnym Hassan głosem — Układają się, jakby uciec; ale gdyby i wszystkie głowy Greków wam radziły, to mi się nie wymkniecie, milczcie!

— Spojrzał na Turka Leon z pogardą.

— Nakazuj milczenie swym służalcom — twoje groźby nam niestraszne. Pełń, co ci kazano. —

— Dopełnię — ozwał się Turczyn z szyderczym uśmiechem — dopełnię bez twoich upomnień.

Tymczasem okręt wpłynął do ciaśniny Dardanel-

[1] Tenedos — mała wysepka u brzegów Małej Azyi, naprzeciw starożytnej Troi.

[2] Stalimene (starożytne Lemnos) — wyspa na zachód od Tenedos.

[3] Parys, bawiąc w gościnie u króla Menelausa w Sparcie, porwał mu żonę Helenę; stąd wojna trojańska.

skiej. — Im bardziej zbliżał się do Stambułu, tem bardziej trwoga serce Greków napełniała. Groźne zamki, stojące z obu stron ciaśniny, najeżone działami, zdobytemi jeszcze od sułtana Bajazeta, bojaźń ich pomnażały; zdawało im się, że już są w więzieniu, że te zamki na wieki ich rozłączyły z ojczyzną i wolnością, że za ciaśniną już niema dla nich ocalenia. Już słońce, ostatnie rzucając promienie, spuszczało się za czarną chmurę, wiatr silniejszy zadął, okręt leciał po wodzie i jeszcze nie było późno, kiedy wpłynął do portu stambulskiego. — Wysiedli na ląd, i Hassan, korzystając z ciemnej nocy, wziąwszy z sobą oddział żołnierzy, prowadził jeńców po ciasnych ulicach; nakoniec przybyli do bramy obszernego pałacu.

— Otwórz — cichym rzekł Hassan głosem. Roztwarły się bramy, weszli na szeroki dziedziniec; poznał Leon mieszkanie kapudana-baszy[1], bo nie pierwszy raz był w Stambule. Dwa skrzydła z ciosowego kamienia stały po obu stronach okrągłego korpusu, płaskie dachy, a na nich galerye do przechadzki. Marmurowe kolumny dźwigały ogromne sklepienia, piękne wodotryski na dziedzińcu świeżości dodawały zamkniętemu zewsząd miejscu. — Weszli do pałacu. — »Nowych, Selimie, tobie gości przywodzę — odezwał się Hassan do młodego człowieka, stojącego w przysionku — ale nie potrzebujesz się o ich pokoje ani stoły i rozrywki troszczyć; loch podziemny będzie ich mieszkaniem, a za kilka dni pal rozrywką. — Prowadź ich

[1] Kapudan-basza (z włosk. capitano) — minister marynarki i admirał turecki.

do więzienia; takie są rozkazy twego pana. Niech straż czuwa nad nimi, życiem odpowiesz za ich ucieczkę«. — Rzekł, a Selim kazał im iść za sobą przez długie korytarze, potem przez ogród obszerny ponad brzegiem morza. — Przybyli wreszcie do wysokiej wieży. — »Tu wasze, pożądani goście, mieszkanie — rzekł Selim — nie mogę was zaprowadzić do podziemnego lochu, bo on już przez innych zajęty; więc przestańcie na tej wieży; piękny z niej widok na morze«. — Tak urągając się, otworzył żelazne drzwi wieży. — »W pierwszej izbie — dodał — niech stoją żołnierze, a druga dla Greków«. — Odszedł Selim, zostawując nieszczęśliwych chrześcijan i dzikich Turków. —

W utrapieniu i ciężkim smutku noc przepędzili chrześcijanie w więzieniu. — Była to izba sklepiona, bardzo wysoka, z małem u góry, kratą obwarowanem okienkiem. — Jak tylko zorza noc rozpędziła, Turcy ruszać się w drugiej izbie zaczęli.

— A dobrze spaliście, kochani goście — zawołał jeden z nich, wchodząc do Greków, a pojrzawszy na smutnego Leona: — Jeśliś się nie wyspał — mówił, przykładając mu nabity pistolet do piersi — to cię zaraz uśpię.

— Stój — krzyknął drugi — lepiej go będziemy widzieli na palu.

— Hej, bracia — trzeci zawołał — może co dostaniemy za to, że ich strzegliśmy?

— Jeśli wam o to chodzi — rzekł Leon — weźcie — i rzucił między nich trzos, pełny złota.

— Przez brodę proroka, sekiny[1] — krzyknął żołnierz, usuwając swój pistolet.

— Uwolnijcie nas — ozwał się Leon — oddajcie nam wolność; okupimy się wam za to.

— Żebyśmy za was na pal wbici byli? — odpowiedzieli — i bez tego dostaniemy, co macie; oddajcie wszystko, albo śmierć!

Dziką radością z nadziei zdobyczy zabłysły ich oczy; dobyli mieczów i wpadli na bezbronnych jeńców, którzy im musieli wszystkie pieniądze, co mieli, oddać dla przedłużenia życia, które nierównie okrutniejsza śmierć zakończyć miała. — Wrócili Turcy do pierwszej izby, tam się dzielić sekinami zaczęli; często się kłócili, sztyletów dobywali.

— Słuchajcie! — rzekł starszy między nimi — słuchajcie, towarzysze; kończmy te kłótnie i spory, na zgodę poszlijmy kogo z nas po opium, zapalmy fajki i, strzegąc tych niewiernych, wesoło oczekujmy kapudana. —

Powstał okrzyk radośny, zaraz wyprawili samego poradźcę, który wkrótce, towarem obciążony, wrócił; zasiedli, rozmawiali, opium pili, a trunek, zagrzewając im z początku głowę, coraz ją bardziej potem osłabiał. Leon, widząc, co się działo, lepszej nabrał nadziei.

— Jeśli się nie mylę — rzekł towarzyszom — może ujdziem strasznej śmierci; o! pomagaj nam, wielki Boże, zeszlij do tego więzienia promień twej mocy i zmiłowania!

Coraz mniej głosów słyszano w drugiej izbie, coraz

[1] Sekiny, właściwie cekiny — dukaty weneckie

się spokojność powiększała, aż nadchodząca noc, jeszcze bardziej do snu skłaniając, zamknęła wszystkim Turkom powieki. — Wszedł wtenczas Leon cicho do ich izby; jedni leżeli na ławach, głowę ku ziemi spuściwszy, drudzy ruszali się jeszcze, otwierali niekiedy oczy, ale powieki obciążone zaraz zapadały; czary stały na stole i broń porozr|z|ucona wszędzie. — Wziął Leon ostry nóż i, wróciwszy do towarzyszy, przerznął im i sobie u nóg więzy. »Dzielne potomki — rzekł — bohaterów helleńskich, dzielne syny starożytnych Achiwów, teraz nam męstwa i ostrożności trzeba; śmiałym postępujmy krokiem, śmierci unikniemy haniebnej i będziemy jeszcze mogli życie ojczyźnie poświęcić«. Rzekł, i przeszli do drugiej izby; zaraz Leon kazał towarzyszom wziąć miecze tureckie i sam najpierwszy ciął leżącego Turka — ten zajęknął i życie opuścił. Podobnie się stało i z innymi Turkami. Zginęli wszyscy z rąk Leona i jego towarzyszów. Działo się to wszystko w największej cichości. — Zrzucił z siebie Leon odzienie greckie, wdział szatę turecką, zawojem głowę okrył, miecz przypasał do boku, a na ramieniu ciężką zawiesił jańczarkę. — Podobnie się i inni Grecy przebrawszy, wyszli z wieży. Noc ciemna i wiatr gwałtowny pomyślny był ucieczce. — Niebo czarnemi zaszło chmury, żadna gwiazda się nie migała, a bałwany morza mocno brzeg tłukły, rozbijając się o opoki i skały. Szli przez różne ulice do portu, nikt ich nie zaczepił; dopadli w porcie małego statku, który, próżny, był przywiązany do brzegu. Już nań wsiadali i rozpuszczali żagle, kiedy usłyszeli donośny głos: »Skąd wam śmiałość mój statek ruszać? Stójcie, kto-

kolwiek jesteście!« Odciął prędko Leon linę, która przytrzymywała statek i odpłynął wpośród ruchu i zgiełku, panującego zawsze w stambulskim porcie. »Boże wszechmocny, obrono nieszczęśliwych! uratowałeś nas i wyprowadziłeś z więzienia: nie opuszczaj nas i w dalszej podróży!« — Prędko pędzona silnym wiatrem nawa coraz się oddalała od Stambułu, znikały światła i już ucha nie dochodziły krzyki i hałasy wielkiego miasta. Stał Leon na przodzie statku; wtem zobaczył zdala migające się światło na morzu, które coraz się zbliżało, i już nawet maszty i białe żagle okrętu rozpoznawał.

— Dzielne Helleny — ozwał się Leon — nowe nam grozi niebezpieczeństwo: okręt się jakiś do nas zbliża, widzę już maszty i działa, słyszę głosy mówiących; to Turcy, to jest okręt, poznaję po chorągiewce, kapudana baszy. — Ale niech trwoga nie nachodzi serc waszych; umiem po turecku, będąc wychowany w Stambule, ubiory nasze tureckie, z pomocą Boga unikniem nieszczęścia.

— Kto płynie? skąd? jakiego narodu? — krzyknęli z okrętu kapudana.

— Ze Stambułu — śmiało odpowiedział Leon.

— Po co w tak ciemnej nocy? — sam zapytał się kapudan, stojąc na pokładzie — czy kto was posłał?

— Mamy rozkazy do zamków dardanelskich.

— Od kogo?

— Od wielkiego wezyra![1]

— Od wielkiego wezyra? — powtórzył zdziwiony kapudan.

[1] Wielki wezyr — pierwszy minister turecki.

— Mamy także rozkaz powiedzieć kapudanowi-baszy, jeśli go spotkamy, żeby śpieszył do Stambułu, do samego wielkiego, niezwyciężonego naczelnika wiernych, sułtana Mahmuda.

— Ja jestem kapudan — krzyknął przerażony basza — spełnijcie wasze rozkazy, żegnam was! Do sułtana — powtarzał niespokojny — do sułtana — i dalej płynął.

— Oddalajmy się prędko — rzekł Leon — aby przebyć w nocy ciaśninę.

Wiatr gwałtowny się zerwał, morskie wały uderzały o mały statek, czarne chmury, ścierając się z sobą, straszne wydawały grzmoty, błyskawice oświecały śmiałych Greków.

— Uważajmy pilnie i strzeżmy się rozbicia — rzekł jeden z Greków.

— Jużeśmy wpłynęli do ciaśniny — odezwał się Leon.

W tej samej chwili błyskawica przedarła chmury i oświeciła wysokie zamki i wieże, gdzie tysiące niewolników jęczy w kajdanach, gdzie dumni baszowie tem okrutniejsi, im bardziej podlą się przed tronem niezwyciężonego słońca wschodu, Mahmuda.

Już nie płynęli, ale lecieli Grecy, szybkim porwani pędem, jak strzała skrzydlata.

— Unoś nas, o nurcie, unoś — zawołał pełen radości Leon — uciekajmy prędzej, opuszczajmy miejsce niewoli i ucisku; duszące tu bardziej powietrze, płyńmy do mego ojca pełnymi żaglami, gdzie świetniejsze nad wolną ziemią wschodzi słońce, gdzie już nie 'schylają karku pod żelaznem jarzmem, gdzie krwawemi o wolność dobijają się walki i czują męże, że nie zrodzeni do haniebnej niewoli. — I ty, wodo, która jeszcze

jesteś w niewoli, wkrótce odzyskasz wolność; runą te zamki, siedlisko dumy i okrucieństwa, runie tron Mahmuda; wrócisz do prawych Konstantynopolu dzieci. Śmierć Turkom, wolność Grecyi!

Tak mówił, słodką napełniał serca towarzyszów nadzieją.

— Śmierć Turkom, wolność Grecyi! — powtarzali, wypływając z ciaśniny.

A już różana wschodziła jutrzenka, wiatr trochę się uspokoił, chmury się rozeszły, słońce pięknie jaśniało. Mijał liczne statek wyspy, nie spotkał już Turków. Śpiewali Grecy, dziękowali Bogu, a nad wieczorem przypłynęli do lądu niedaleko Termopylów. — Pośpieszył Leon z towarzyszami do ojca swego, znajdującego się w tych stronach, Marka Botzarisa[1].

Dnia 19 lutego 1826 r. Warszawa.

Zygmunt Krasiński.

[1] Marko Botzaris, jeden z największych bohaterów w walce o niepodległość Grecyi, zginął w zwycięskiej bitwie z Turkami pod Karpenisi d. 21 sierpnia 1823 r.

POLSKA

1.

Słońce zaszło. Noc czarnemi ramiony opasała ojczyznę. Księżyc jej nie oświecił, i słońce już nie weszło. Zorza tylko czasem zabłysła, ale, błyskawicy podobna, znikła. Runęło szczęście, w dym poszła nadzieja. Rozsypała się ojczysta ziemia. Rozerwały ją drapieżne szpony. Rozdzieliły ją wrogi. Spustoszenie zstąpiło, klęski się zebrały i, jak czarne chmury, przyleciały. Krew płynęła, legły syny ojczyzny i już więcej z kurzawy nie podnieśli czoła. Cieszcie się, wrogi, napaście tym widokiem wściekłe oczy, skaczcie na grobie Polski! Uwieńczcie wasze głowy kwiatem goryczy, który na nim rośnie! Śpiewajcie zwycięstwa wasze, dumni, wynoście swą chwałę pod nieba, kład[ź]cie jarzmo twarde na nasze osłabłe karki! Sypcie niewolę i kajdany pełnemi ręki! Żelaznem berłem panujcie nad nami, ostrzem miecza oddawajcie sprawiedliwość! Siejcie niezgody i rozterki! Siejcie dla podłych zaszczyty, dla szlachetnych poniżenie! —Noc czarnemi ramiony opasała ojczyznę. Księżyc jej nie oświecił. Słońce już nie weszło.

2.

Płaczcie, córki gór karpackich! Płaczcie, córy Polski! Uszyjcie całun dla waszej ojczyzny! Czarne roz-

wleczcie warkocze, puś[ć]cie je w igrzyska wiatrom, jak Polska puszczona w igrzysko nieszczęściu! Spuś[ć]cie, dziewice, twarz wesołą, zdeptajcie wieńce z róż! Zapłaczcie nad grobem waszego kraju! Już się piękne dni nie wrócą. W żalu i smutku pędzić wiek młody będziecie; nie zabłyśnie promyk nadziei ani miłości, ale czarne troski około was latać będą. Wasza piękna ojczyzna w niewoli. Wasi ojcowie ciężkie noszą okowy. Wasze młodzieńce legli w boju, w piersi raz odebrawszy, lub jęczą w ciemnych więzieniach. Ogień wolności zgasł na polskiej ziemi. Niewola, twarda niewola wzniosła haniebne czoło i okryła swemi skrzydły waszę ojczyznę. Płaczcie, córki gór karpackich, płaczcie, córy Polski!

3.

Rozwinął swe śnieżne orzeł biały pióra i, śmiałem mierząc słońce okiem, wzniósł się pod niebo. Spojrzał na nieszczęsną Polskę. — Ah, ojczyzno moja! — rzekł — jęczysz w okowach; odwilżyła cię rosa nadziei, lecz prędko oschła. Kiedyś pysznie się wznosiłaś; pioruny padały z twej ręki, odbierałaś hołdy panów i korzyłaś ich dumę. Nieszczęśliwa Polsko! jakże cię los uciska, jakżeś rozerwana, a ja już nie mam schronienia na twych zwycięskich znakach! Latam, opuszczony, po obłokach i muszę patrzyć na twe klęski. Trzy czarne burze niosły ci spustoszenie, wiatr pozrywał twe dęby, pioruny potrzaskały twe wieże. Serce twych synów biło dla ciebie, ale teraz już bić przestało. Już ich lekkie cienie ulatują po chmurach, smutne ich twarze, a gorzka łza ciągle wilży ich powieki. Nie przebija

się promień nadziei przez chmury, które cię okryły. Chciałem na nie mojemi uderzyć piersiami, chciałem je rozerwać memi szpony; ale próżno, wiatr coraz ich więcej nasyła, coraz bardziej ciemno, zginęła Polska. — Tak mówił orzeł biały i smutno ulatywał.

4.

Zniszczmy Polskę, zagrzebmy ją w popiołach, zdeptajmy ją końskiemi kopyty — rzekli wrogi szlachetnej naszej ojczyzny. Z ogniem i żelazem wkroczyli do niej. Pożarli ją, spalili, zniszczyli. Kamień nie po-|zo]stał na kamieniu. Upadła Polska, runęła odwieczna Polska z łoskotem. Nie podniesieszże czoła, nie otrząśniesz się z kurzawy, miła ojczyzno? Daremne wołania, daremna rozpacz i łzy. Bałwany chytrości i grabieży rozwarły się. Zstąpiła w ich otchłań Polska, zemstę wskazała wiatrom i popiołom swych synów. Ale one spoczywają w mogiłach, a wiatry ucichły. Próżne twe skargi i żale, Polsko, ojczyzno moja! Z[s]tąpiłaś w bezdenność bałwanów, a one się zawarły nad twoją głową i szumem swym przygłuszyły twe ostatnie wołania. Głos wolności nie mógł przebić morza niewoli.

5.

Zawiał od lodowatej północy wiatr smutku i spustoszenia, zmroził kwiaty nadziei na niwach ojczyzny, pospadały zwiędłe wieńce z głów naszych, a groźna burza rozwlekła swe nad Polską skrzydła. Ucichła w sercach naszych nadzieja, czarne ją rozerwały wichry; płacz i jęk rozległ się po naszym kraju. Napeł-

niły go najezdnicze hufce, stratowały go końskie kopyta, błysnęły miecze na naszą zgubę, dźwiękła trąba dnia ostatniego i zniszczona Polska. Ah! Polsko, Polsko, szlachetna ojczyzno moja! kiedyżże dźwigniesz się z swych gruzów, kiedyż znowu ogień z pod popiołów błyśnie? — Zawiał od lodowatej północy wiatr smutku i spustoszenia, zmroził kwiaty nadziei na niwach ojczyzny.

6.

Czas płynie szybko i, jak wezbrana rzeka, unosi, porywa i niszczy dawne pamiątki. Sława się jedna przez jego przebija wody i, podobna świetnej gwiaździe, oświeca przyszłe wieki. Nie zginęła u nas, żyje i wznosi się; niewola jej nam nie wydrze, hańba nie zeszpeci. Ah! jakże różne od naszych dawne wieki! Dumną głowę wznosiła ma ojczyzna. W jej ręku były losy panów i książąt. Wieńczyła ją korona, uwita ze zwycięstw. Zbroiła ją cnota synów i sława ich nieśmiertelna. Strach ją otaczał, bojaźń jej służyła, drżący padali na kolana przed nią mocarze, składali u jej stóp swe berła, a ona losami ich rządziła. Znikło wszystko teraz, zgasł blask dawnej chwały, ale zostało wspomnie[nie]. Wspomnienie długo ulatywać będzie nad nami, długo na jego widok serca nasze bić będą. Ni go kosa czasu, ni przemoc władców zniszczy. Czyste, jak niewinność, świetne, jak promień słońca, przejdzie w serca następujących po nas Polaków, a gdyby mu groziło niebezpieczeństw[o], przyjmij go, o orle biały, w swe łono, unieś go na niebotyczne skały, skąd się naśmiewać będzie z daremnych

usiłowań niegodziwych. Jego świetność przyćmi światło czarne, krwawe, ponure, naszych ujarzmicieli.

7.

Mignęła nadzieja, rozciemniła się burza, zakwitły łąki, zazieleniały drzewa. Mgła zdała się opadać, raz ku górze, znów na dół wracała. Wznieśliśmy do nieba ręce, dzięki składaliśmy, serce się nasze rozpływało w radości. Smutek uciekł z polskiej ziemi, lecz wkrótce wrócił. Nie burza gwałtowna, nie wicher srogi, ni piorun okrucieństwa uderzył w ciebie, o szlachetna Polsko, ale cię ogień napół skryty pali, coraz się dalej posuwa, ostrożnie i chytrze. Zakrywa go próżna mara wolności.

8.

Muszę żyć w niewoli, smutek okrywa dni mego życia. Niewola szpeci młode me lata. Urodziłem się, kiedy burza chwiała światem wśród gromów i nawałnic. Ledwom otworzył oczy, ledwom nauczył się wymawiać imię ojczyzny: nie pozostało z niej, jak tylko mara. Oczy moje przyzwyczajone widzieć wrogów, ucho słuchać ich mowę, ręka ściskać ich rękę. Ah! poniżenie, hańba: wrogi, ujarzmiciele w stolicy Polski! Gdzież się chować, gdzie uciekać od światła słońca? O Boże, jeśli winni Polacy, ukarz ich wojną, zarazą, a niewolę zostaw dla podłych! Czyśmy nie dosyć zapłacili winy? Gdzi[e]ż naszej krwi niema! Jakie miejsce naszych bitew nie oglądało? Jakiż kraj nie ujrzał orła białego? Jakaż ziemia nie słyszała naszych klęsk? Śmierć okryła synów naszej ojczyzny, ich cie-

nie po wszystkich ulatują chmurach; po wszystkich miejscach stoją ich mogiły, mogiły, zamykające ostatnie ukrycie wolności polskiej ziemi. Siadywa na tych mogiłach orzeł biały i płacze ojczyzny. Lekkie wzdychania przechodniów głaskają jego pióra. Lecz jeśli go nieprzyjaciel spędzi, daleko odlatuje, jęcząc. Pląsaj, wrogu, na mogile bohatera: zhańbisz siebie, nie zeszpecisz jego.

9.

Słońce najpiękniejsze na niebie gasi swymi promieńmi złote gwiazdy. Wolność, najszlachetniejszy dar Boga na ziemi, wszystkie inne przyćmiewa. Kto ją raz utraci, ten więdnieje, usycha i ginie. Naród bez wolności jest wiosną bez kwiatów. A jeśli twarde niewoli mrozy ścisną jego członki, biada mu, biada! Sława jego znika; uciska go ujarzmiciel. Ujarzmiciel? — niech imię jego przeklęte będzie, aby nigdy radość nie kołysała mile jego serca, aby go smutek okrył grobowym swym cieniem, zgryzota pożerała leniwym ogniem, żal ścisnął gorzkimi więzy! Niech zginie przed czasem, niech pamięć jego w obrzydzeniu i w nienawiści będzie! Ojczyzno, Polsko, ujarzmiona jesteś. Uciska cię dumny syn lodowatej północy. Twarz jego sroga, a ręka skora do okrucieństwa i niesprawiedliwości. Padnij, zgiń, ujarzmicielu, opuść ziemię, brzydzącą się twym widokiem! Podli cię tylko szanują. Rozciągn[i]ęci u nóg twoich, liżą ci ręce, wychwalają twe czyny. Schylają głowę i całują ślady twoje. Strzeż się, strzeż się! Zemsta Boga cierpliwa, lecz podobna bystremu potokowi, co lasy i skały, miasta i chaty

porywa. Łzy nasze wołają do nieba o pomstę krzywd, obelg i poniżenia. Dodaj nam, o Panie, który widzisz naszą niewolę, męstwa i sił, tchnij na nas moc i stałość! Naszlij czarną chmurę na naszych wrogów, zetrzyj ich na proch drobny, puść wodze twoim wiatrom i wichrom i burzom, niech one rozerwą państwo uciskających nas wrogów! Wymów tylko ich zgubę, a zapadną w przepaść nieszczęścia, w którą nas chcą pogrążyć!

10.

Sława i cześć polskiej ziemi! Ożyj, duchu, który ognistym zapałem przejmowałeś naszych przodków serca, ożyj w ich potomkach! Piekło czarne i brzydkie nasłało nam mary: niewolę ze zhańbionem czołem, z śniademi licami, z blademi oczyma, upodlenie z pochlebstwem słodkiem na pozór, a czarnem i zepsutem wewnątrz, ucisk z żelaznem berłem i ołowianą koroną. Ogień czarny Erebu błyska w jego oczach. Rysy twarzy ściśnione, jak okowy nieszczęśliwych jego ofiar. Niebieska dziewico, której białe jak niewinność szaty, której prawica odstrasza wrogów, przywraca szczęście, oddala i odpędza hańbę, o rzadka teraz wolności! zstąp z nieba, dotknij się twą stopą polskiej ziemi i wróć jej utraconą radość, wróć błogie czasy zwycięstw i wielkości! Wznieś dzielną ręką miecz, błyskawicy podobny, miecz świętej zarzuconej sprawiedliwości, pogardzonej, zdeptanej od naszych wrogów! — Sława i cześć polskiej ziemi!

11.

Bóg wszechmocny i nieba i ziemi zasiadł na swym tronie z płomieni. Otaczają go lekkie anioły. Skrzydła, jak tęcze, ich zdobią. Przed tronem pali się kadzidło na złotym ołtarzu. Nieśmiertelne wonie ulatują koło Pana, rządzącego ziemią, słońcem i niezliczonymi hufcami gwiazd, które, posłuszne jego skinieniu, po krzywych toczą się drogach. Rzekł Bóg: Niech będzie Polska. Natychmiast zleciał z wysokiego nieba anioł śmierci i bitew i wojny. Oczy podobne do dwóch płomieni. Włosy iskrzą się niszczącym wszystko ogniem Miecz długi, którym wywraca dumne miasta i strąca pysznych króli, w jego ręku. Czerwone i krwią pobryzgane skrzydła zasłaniają ogromne słońce. Gdzie leci, tam śmierć i spustoszenie, tam noc i ciemności. Walą się pod nim miasta, rozsypują się narody. Ogień wybucha, gdzie stąpi, rozstępuje się w przepaść ziemia, gdzie się jej dotknie. Giną wrogi Polski, krew ich płynie po ziemi, dusze nieczyste zapadają w piekło. Oręż synów Lecha wszędzie błyska; gromią, rażą, mordują nieprzyjaciół. Anioł okrywa ich tarczą nieprzebitą; jej cień dodaje mocy zmęczonym Polakom, jej widok w kamień i w trupy wrogi obraca. »Śmierć synom północy, cześć Polsce, wolność Lechii!« — wołają dzielne Polaki. Ziemia drży pod kopytami koni, a głos mężów uderza niebo, przebija się do tronu Boga i oznacza mu wdzięczność za zwycięstwo. Czarne chmury, wiszące nad Polską, rozgania anioł. Słońce mile rosę nadziei i szczęścia oświeca na niwach naszych. Wszystko się raduje, wszystko się zieleni. — Niestety, był to sen, była to próżna mara. Obudziłem

się, pojrzę w niebo. Czarne go sępią chmury, a promień nadziei jeszcze się nie przebija. Miły śnie, zwiodłeś mnie, w większy smutek pogrążyłeś. Sprawdziszże się kiedy?

12.

Gdzieżeście, o znaki zwycięskie, sztandary, gromem zwycięstwa rażące? Wasz blask odbijał się o słońce chwały i zwycięstw, wasza jasność zlewała się w ognistych falach na ziemię polską, w żarzących się sławą strumieniach. Zniknęły wasze promienie, nie oświecają one więcej serc bijących dla ojczyzny. Piersi u nas z miedzi, a serce z lodu. Niewola zmroziła nam duszę, zdrętwiał nasz umysł więzami. Poniżenie udziałem naszym, śmierć szczęściem, życie męczarnią. Kajdany nas krępują i nadzieja, miła, jak róża, skropiona jutrzenki łezką, nie zawita do naszego serca.

13.

Miecz ordzawiał, zbroja nietknięta gnuśnieje. Chorągwie w kurzawie leżą. Trąba wojny nie zagrzmi, słychać tylko chrzęst kajdan, które nas krępują. Jęki i płacze rozległy się po naszej ziemi. Łzą gorzką ją skrapiamy. — Nie kwitną już na niej laury. Róża więdnieje, a łono dziewicy, na którem leżeć miała, nie bije już dla kochanka. — Nieszczęście wrzuciło nas w przepaść niedoli. — Nie wolno płakać głośno, łzę naszą pokrywać musiemy, słowa głęboko w piersiach zawierać. Ale łza toczy się w naszem oku, słowa wybuchają z piersi. — Ogień zemsty wre w naszem sercu, gniew rumieni nam lica, rozpacz włada umysłem. —

Lód pęka przed promieńmi słońca. — Pryskają więzy przed ogniem wolności.

14.

Do broni, do broni! — Za miecze, za dzidy! — Na koń, bracia, na koń! — Śmierć, rzeź, spustoszenie. — Zagłada wrogów. — Długą była niewola — sen był długi, ale lew się obudził, otworzył oczy, wstrząsł grzywę; ogień bucha w jego oczach, ryczy — drżą nieprzyjaciele; — otwiera paszczę — już po nich, tratuje po ich ciałach. Polsko, Polsko! powstań, złam jarzmo! Niech pękną okowy. Długo jęczałaś — ale nadszedł czas, nadeszła chwila. Pierzchną syny lodu — pierzchną. —

15.

Czemu miły śnie, miła maro, kołysasz mój umysł tak mile? — To wszystko marzenia. — Wznoszę się do nieba, unoszę się nad ziemią, chcę stargać pęta; ale zawsze spadam na ziemię i zawsze w okowach. Skrzydła jeszcze mi nie przyrosły do boków, jeszcze piórka mnie nie unoszą. — Mylisz się, nieszczęśliwy: złamane, skruszone twe skrzydła, nigdy nie odrosną. Ostatni raz się wzbiłeś niedawno, ale było to ostatnie wysilenie. Utraciłeś wszystko, nawet nadzieję. — O Boże! jeżeli już straciliśmy nadzieję, jeżeli już na nas nie chcesz swego zwracać oka, jeśli już twa ręka wszechmocna piorunami wrogów nie zdruzgoce i wiecznie mamy płakać w okowach, zeszlij lepiej śmierć i zagładę na nasze głowy! Zetrzyj z ziemi imię polskie! Śladu niechaj nie zostanie jego spodlenia i jego

niewoli! Zginmy, bo życie nasze gorsze od śmierci! Znosim urazy i krzywdy, upadamy pod ciężarem obelg; gniew twój ogarnął nas, rozciągnąłeś nad nami mściwą rękę. — Ale, o ty, Królowo niebios i Polski, ty, która panujesz naszym sercom, ubłagaj Pana piorunu! Winniśmy nasze zwycięstwa Tobie. Dawniej sprzyjałaś Lechitom. Czcili Cię, jak matkę, kochałaś ich, jak synów; ale czas twej miłości znikł, opuściłaś i wydałaś nas wrogom. O wróć nam twe serce! Imię twe wielkie. Wieniec z gwiazd nieśmiertelnych wieńczy twe skronie. Wiosna uśmiecha się na twych licach. Pod nogami twemi rozlewają się strumienie jasności i światła. Ogień słońc tysiącznych toczy się u twej stopy. Panujesz całemu światu — czyż jednę tylko odrzuciłaś Polskę?

16.

Nadzieja jest najmilszą. Wzrok jej spokojny, łagodne wejrzenie, lica jaśnieją boską światłością, na skroniach wieniec z tęczy uwity, szata jej kwiatem spleciona. Skrzydła utrzymują ją na powietrzu, bo nigdy się ziemi nie dotknie, ziemi polskiej.

17.

Mijają i dnie i lata. Lód kuje pęta wodom. Słońce wraca je wolności, ale nasza niewola ciągle w cieniu, żadnem nieoświecona słońcem. — Nieszczęście napełnia życie nasze — radości nie znamy. Zdaje się człowiek na to rodzić, by wychylał aż do ostatniej puhar nieszczęścia kropli. — Przy samym wschodzie życia płacz zalega twarz jego, łzy nieprzestannie snują się

po powiekach. — Ale już wzrasta — siła młodości następuje po słabości — raj mu się zdaje stać otworem — szczęście zdaje się ulatywać około niego. — Miłość jest darem nieba, nadużyta — piekła — piekła, co niszczy uciechy, wysusza swym ogniem łzy radości. — Całe nasze życie piekłem. — Fale ognia unoszą nas — ogień nas pożera i trawi. — Wieniec na naszych więdnieje skroniach. — Młodość, życie ulatuje — a jeśli chwila uciechy, chwila rozkoszy je nam uprzyjemniła, zato tysiąc chwil wtrącają nas w otchłań nieszczęścia. — Wszystko się łączy przeciwko nam. — Czas bystro płynie — unosi z sobą siły, młodość, gaśniemy. — Śmierć nas porywa — gdzie? — W te gwiazdy złote, w te ogniste słońca? — Nie — gdzie? — W te chmury białawe? — Nie — gdzie? — Do Boga, do wolności. Pryska świat i kajdany — zdruzgotane pęta — więzienie zostawione ziemi — dusza wzbiła się. — Ale gdzież się unoszę? Myśl błądzi po gwiazdach, a ja na ziemi, skropionej łzą niedoli i nieszczęścia, skutej w łańcuchy ucisku i niewoli.

18.

Kto ślepy. ten nie widzi nieba. Ogniste słońce dla niego nie krąży po niebie — zieloność wiosny nie całuje mile zagasłego wzroku....

(*Na tem się utwór urywa*).

[R. 1826].

WILIAM WALLAS

POWIEŚĆ

I.

Rozciągnął władzę po wielu krainach,
Mnogie królestwa jemu hołdowały;
Miasta i grody zagrzebał w perzynach,
Na hasło jego narody zadrżały.

Krasicki.

Po śmierci króla Aleksandra roku 1291 wielu panów domagało się o koronę szkocką — między nimi najznakomitsi byli Robert Bruce i Jan Baliol. Trwały niezgody, i Szkocya jeszcze żadnego nie miała króla. Zgodzili się więc wszyscy domagający się o tron na sąd Edwarda I, panującego w owe czasy Anglii z wielką sławą. Niesyty zdobyczy i panowania, uważał za godziwe wszystkie środki, którymiby większego się mógł dobić państwa. Od młodych lat wzrósł wśród wojny, słońce wschodu twarz mu zczerniło[1], miecz jego nigdy nie spoczywał; wielkie przymioty zdobiły jego umysł, wielkie zbrodnie ciężały mu na sercu. Dawno już chciwemi oczyma spoglądał na Szkocyą, która teraz podała mu sposobność zagarnięcia jej. Sam naprzód ogłasza swe prawa do korony szkockiej, jednak mia-

[1] Edward I brał udział, wspólnie z Ludwikiem św. królem francuskim, w wyprawie krzyżowej, lecz na wieść o śmierci ojca, Henryka III, powrócił w r. 1272 do Anglii.

nuje Baliola jej królem. Ale ten król jest jego niewolnikiem. Z początku znosi cierpliwie narzucone od pana więzy, co rok jeździ do Anglii składać mu hołd posłuszeństwa; ale nakoniec męstwo ozwało się w jego duszy, gniew i zemsta zapaliła mu serce, porwał oręż. — Filip Piękny, królujący w Francyi, wspiera go. — Ale Edward wystąpił w pole, wojsko angielskie pokonało Baliola i z tronu zrzuciło. — Edward, samowładny w Szkocyi, okuł ją w kajdany. Ale niewola niedługo ją przyciskała. — Wiliam Wallas zrzucił haniebne jarzmo i w pięciu bitwach zwyciężył Albion. Do tego właśnie czasu ściąga się nasza powieść.

II.

Twarz jego, jako księżyc, mgłą zakryty
Wtenczas, gdy bladą jasnością przyświeca[1].

Ossian.

Roku 1305, 3-go maja szedł wieczorem, drogą wiodącą z Woodburn do Greennoch, człowiek zawinięty szerokim, góralskim pledem; znać było, że się śpieszył. Z pod skórzanego szyszaka krucze wypływały włosy. Twarz była męską, piękne rysy ją zdobiły. — Oczy czarne pałały ogniem młodości i odwagi. — Napół odsłonięte czoło wzniosłą oznaczało duszę. Niespokojne myśli zdawały się mieszać umysł przechodnia. Czasem tęsknota duszy odbijała się na pięknych licach. Kiedy wiatr zaświszczy po liściach lasów, obrastających skały, drogę otaczające, kiedy daleki szum wodospadu uderzy

[1] Por. »Dzieła poetyckie Ignacego Krasickiego« T. I. Warszawa 1812. str. 291.

mu uszy, zapewnie myśli, że słyszy wrogów, bo nieraz odsłania zakrytą pledem zbroję, nieraz dzielną prawicą chwyta rękojeść miecza. Czarny kirys ochraniał piersi, podobne do starożytnych szermierzów Grecyi, z pod którego wysuwała się szata, do kolan spadająca. — Lekkie buty ze skóry kóz dzikich nie przyciskały mu nóg, zwyczajnych, jak się zdawało, do pieszej podróży i do drapania się po ojczystych skałach. Puginał, którego ostrze dotknęło nieraz serce wroga, wisiał mu przy zbroi; trochę niżej był pałasz, któryby najodważniejszego ogromem przeraził swoim, ale w porównaniu ze wzrostem nieznajomego był jeszcze małym.

Już słońce ostatni raz zachodzącą jasnością oświecało góry Kattenu, już ostatni raz wysoka dzwonnica klasztoru Allewarskiego nurzała się w złotych falach promieni ginącego światła. — Wiatr północny z szumem przedzierał się przez gęste lasy. Niebotyczne góry bielały zdala, jak duchy zabitych rycerzy. Podwajał kroku mąż zbrojny i wkrótce stanął w miejscu, gdzie się rozdzielała droga. Kto w prawo skieruje swe kroki, ten w kilka godzin dojdzie do miasta Greennoch — kto zaś lewą pójdzie stroną, ten ma po drodze jaskinie i lasy. Właśnie młodzieniec ją obrał. Ciemność zupełna zakrywała ziemię, do której bladawe światełka gwiazd przez gęste chmury dochodzić nie mogły. Jakaż to łuna zakrwawia niebo, jakiż to dym wznosi się w gęstych kłębach nad drzewa i skały? »Już blizko jestem« — rzekł rycerz i wszedł w ciemny las. Tu dopiero skały, drzewa wywrócone na ziemię, grząskie błota trudną czyniły przeprawę; ale coraz większa jasność ostrzegała go, że się zbliża do ognia, do

jaskini Marty Allen, którą w okolicach Greennochu zwali czarownicą. — Nareszcie stanął przed jaskinią, w której ogromny palił się ogień i wybuchał w kształcie kolumny otworem, w wierzchniej części skały wykutym. Niewiasta wysoka siedziała na ziemi.—Podeszły wiek ośnieżył jej włosy, ale nie zgiął wysokiej kibici. Ogień jej oczu mógł iść w zawody z palącym się. — Piekielne wyrażenie jej twarzy. — Niedaleko od niej stał młodzieniec, którego wiek nie zdawał się 18-stu lat przechodzić. Wdzięki młodości, do których mieszało się jeszcze coś dziecinnego, rozlały się po jego licach. Lekki ubiór ze skór zabitych na łowach zwierząt obwijał kształtne ciało, lekki miecz strzegł jego boku, a grot z błyszczącej stali trzymał w ręku. — Za nadejściem nieznajomego porwała się niewiasta.

— Widzisz — rzekła — jak niebo pochmurne? Żadnej gwiazdy nie mogę dojrzyć ani wróżyć o przyszłej bitwie. Twój towarzysz, twój przyjaciel jest świadkiem sposobów, których używam na rozpędzenie czarnych chmur, ale mi się nie wiedzie; niebo odmawia pomocy: piekło poruszę. —

Zaczęła biedz prędko około ognia, zaklęte wymawiając słowa, rzucała doń ziemię, kości i rośliny. Patrzał na nią z zadziwieniem nasz rycerz, którego rękę ściskał młodzieniec i w te się odzywał słowa:

— Jutro, kochany Wallasie, dobędę miecza; zobaczymy, czy jeszcze nie zerdzawiał. — Już oddawna czekam tu na ciebie w niebardzo przyjemnem towarzystwie tej czarownicy. —

— Argylu — odpowiedział Wallas — albo jutrzejsza

walka uwieńczy pięć zwycięstw, któremi zgromiłem Anglików, albo pogrąży mnie w przepaść nieszczęścia. —

— Zwyciężysz, zaręczam ci, nie wierz czarownicy: w bitwie najlepszymi czarami ostry pałasz i doświadczona zbroja. —

— Cicho, cicho Argylu; widzę, że już ją piekło czy niebo natchnęło, słuchaj. —

Czarownica rozciągnęła suche i bladawe ręce; uniesienie, wściekłość, trwoga, co chwila twarz jej zmieniały, włosy powstały na głowie, ogień piekielny żarzył się w błędnych oczach.

— Nieszczęście nad tobą, Wallasie, Wallasie; śmierć rzeź, spustoszenie i niewola Szkocyi. — Chroń się bitwy; pęknie twa szabla, zdruzgoce nieprzyjaciel twą zbroję, przebije twego szlachetnego konia, padniesz, Wallasie, padniesz i nie powstaniesz więcej. Śmierć cię żelaznem okrąża ramieniem, życie ulatuje, słońce skończy swój bieg drugi, a już nie będziesz. — Ale jakiż to lew wstrząsa grzywą i depce wrogów? Bruce Robert, Bruce zrzuci[1]...

Tu mowa skonała na jej wybladłych ustach, z których wrząca płynęła piana. Porwała Wallasa za rękę i wybiegła z jaskini; za nimi szedł Argyl. Wzniosła rękę ku niebu i zdała się rozkazywać chmurom, ulatującym nad ziemią. Rozeszły się, i błękit nieba, złotemi zdobny gwiazdy, ukazał się. — Drzewa, otaczające to miejsce, oświecał krwawem ogień światłem.—

Wiatr gwałtownie szumi[a]ł. — Czarownica uważała

[1] Robert Bruce zrzucił jarzmo angielskie i koronował się w r. 1306 na króla Szkocyi.

pilnem ciała niebieskie okiem, wydawała się być nadprzyrodzonem stworzeniem. — Stopy jej dotykały się ziemi, ale oczy i myśl wlepiona w niebo; stała niewzruszona, jak gdyby słuchała dźwięku i harmonii słońc i gwiazd. — Nakoniec rzekła:

— Patrz, Wallasie, urodziłeś się pod strzelcem, pod gwiazdą Hamizan; patrz, jak zbladła, gaszą jej jasność Farran i Hamiran, pod któremi ujrzał światło życia Edward Plantagenet, morderca Lewellyna[1], król Albionu, zwycięzca Wallasa.

— Mylisz się, niewiasto — ozwał się Argyl — mylisz się, Marto Allen; Wallas zwyciężył Edwarda.

— Ale kto zwycięży — odpowiedziała Marta, szyderczy uśmiech osiadł jej usta — jutro zobaczycie. —

Wallas nie zmienił twarzy, nie ruszył się z miejsca; zdawały się proroctwa czarownicy mało na nim wrażenia czynić, ale dusza jego trapiła się nieszczęsnem przeczuciem. W tym wieku grube przesądy, wierzenie w czary, duchy, upiory, powszechne były, a Wallas pomimo wielkiego geniuszu, mimo rzadkiej mocy duszy nie był od nich wolny. Starał się jednak stłumiać smutne przewidywanie przyszłości. — Pamięć dawnych zwycięstw wlewała nowe męstwo, nowy zapał do sławy w jego serce. Postanowił więc mężnie nazajutrz na niwach Greennochu stawić się Anglikom.

— Pamiętaj na skałę Warrocha — jeszcze raz odezwała się niewiasta — i znikła.

Wallas obrócił się do Argyla:

[1] Edward I z domu Plantagenetów, król angielski, wiódł przez 6 lat wojnę z Lewellynem, księciem Wallii, nakoniec wziął go w niewolę i zamordował.

— Drogi przyjacielu, śpieszmy do obozu; trzeba nam uszykować i przygotować wojsko do jutrzejszej sprawy, do walki, którą może ostatni raz stoczę. —

— Rzuć smutne myśli; nie śmierć, ale nieśmiertelność sławy, którą zyskasz, powinna ci umysł zajmować.

To mówiąc, ścisnął Argyl rękę przyjaciela i razem puścili się ku okolicom miasta Greennoch, w których stały obozy szkockie i angielskie naprzeciw siebie. Ogień, palący się w jaskini, powoli się zmniejszał, już nie dosięgał jej wierzchu, nakoniec zupełnie zagasł; żarzyło się jeszcze ognisko, ale nim błysnęła zorza, popiół tylko i czarne węgle zostały się z płomieni, niedawno pół boru oświecających.

III.

Gromadzą się mężni,
Wspaniali w kroku, a w boju potężni,
Pamięć dzieł dawnych zarumienia lice,
Na hasło wojny śklnią się [już] źrzenice,
Rękojeść miecza każdy tęgo ściska,
A stal hartowna, jak piorunem, błyska[1].

Ossian.

— Do broni, do broni! Na konie, na wrogi, panowie moi — wołał donośnym głosem król Anglii, Edward Plantagenet.

Słońce ledwo pierwszym promykiem drasnęło chorągiew, powiewającą na szczycie jego namiotu, na której herb Anglii był odmalowany, aliści dzielnego dosiadł konia. Szyszak z jaśniejącej stali, ozdobny

[1] Por. »Dzieła poetyckie Ignacego Krasickiego« T. I, Warszawa 1812, str. 274.

małą złotą koroną, nad którą białe kołysały się pióra, dawały poznać króla. Zresztą od stóp do głowy prostą okryty był zbroją, miecz z rękojeścią, wysadzoną drogimi wschodnich krajów kamieńmi, i topór ciężki, zawieszony u siodła zwyczajem tych wieków, składały jego broń zaczepną. Otaczały go orszaki panów angielskich, między którymi odznaczał się bogatym ubiorem hrabia Rochester, ulubiony od króla. — Rochester doszedł już wieku męskiego, jednak jeszcze zamiary młodzieńcze zapalały mu umysł. Myślał o koronie szkockiej i miał nadzieję, że po zwyciężeniu Wallasa król mu jej odstąpi. Dowodzi to, że mało znał swego pana, bo Edward wolałby życia, niż tronu, odstąpić. Z tem wszystkiem dla dopięcia swego zamiaru nie wstydził się pochlebiać królowi i hańbić się tą podłością wobec zebranych Anglii całej panów, między którymi najznaczniejsi i najbliżej króla stojący byli: Argentyn, pan Durwardu, rycerz, którego serce nigdy nie zadrżało, hrabia Sussex, doświadczonego męstwa młodzieniec, książę Rokeland, towarzysz Edwarda w Palestynie, łączący nadzwyczajną chytrość z walecznością, i wielu innych.

— Na Boga — ozwał się król — spocimy się dzisiaj i nie wiem, czy sam zły duch broni Wallasa, ale trudna z nim rozprawa. —

— Tobie nietrudna — rzekł Rochester — ty, którego sława od Palestyny do Anglii jaśnieje, i mam nadzieję, że zwyciężymy i rozpędzimy Szkotów, bo, panie, twe ramię potężne i miecz w twych rękach niesłaby. — Rozsypią się na twój widok przeciwnicy jak popiół, sam Wallas uciecze.

— Obym go mógł wziąść w niewolę — rzekł Edward — zarazby się kołysał u wysokiego dębu i kruki szarpałyby jego ciało.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się Argentyn — wątpię, żebyś chciał zamordować tak sławnego i walecznego bohatera. —

— Żal ci go zapewnie; ale zobaczymy, czy miłe będzie dzisiaj wasze spotkanie, czy ci się on odwdzięczy za tkliwą litość. —

— W polu, najjaśniejszy panie, umiem zetrzyć się z wrogiem, ale pojmanego zabijać jeszczem się nie mógł nauczyć.

Zmarszczył się Edward, bo te słowa prosto mu trafiały do serca i wzbudzały wyrzuty stłumionego sumienia.

— Dosyć o tem, Argentynie; stanie się podług mojej woli. — Pamiętaj walczyć, jak przystoi na ciebie. Teraz naprzód, panowie! naprzód Rochester! Sussex, czemuż zostajesz się w tyle? Dobądź miecza, Rokeland, szykuj wojska, Leycester, na nieprzyjaciela, naprzód, panowie!

Spiął ostrogą konia, na twarz spuścił przyłbicę i wyleciał z obozu, za nim rycerze i wojska pędzą.

Z drugiej strony Wallas i Argyl urządzali wojsko, z góralów złożone. — Męstwo błyszczało w ich oczach, wolność dodawała im sił, miłość ojczyzny podwajała moc ich razów.—Wiatr rozwiewał ich różnofarbne pledy, które z daleka do skrzydeł, farbami tęczy jaśniejących, podobne były. — Stal zakrywała ich piersi, a wierna claymora[1] w tysiącznych błyskała prawicach. — Wallas

[1] Claymore — długi miecz obosieczny.

w czarnej zbroi, na czarnym koniu obiegał swych szyki, krzepił słabych namową, nieśmiertelną wskazywał sławę. — Argyl szykował góralów, sam czapkę góralską z sokolem nosił piórem, puklerz skórzany go osłaniał; ufny w prędkości nóg swoich, żadnego nie miał konia, a szpada ze złotą rękojeścią wisiała przy kolczudze żelaznej.

— Wpadnijcie na ujarzmicieli! — krzyknął Wallas.

Wnet górale przebiegli pole, dzielące ich od angielskich rot.

— Zginęliśmy, najjaśniejszy panie — rzekł Rochester przestraszony — jeszcze całego nie zebraliśmy wojska, a Wallas na nas uderza. —

— Z tego jeszcze mi się zdaje, że nie wypada nasza zaguba — spokojnie odpowiedział Edward; potem głos wznosząc:

— Naprzód, łuczniki! wstrzymajcie buntowników! —

Natychmiast 600 łuczników angielskich wysunęło się z szeregów, grad strzał i pocisków runął na górali, tarczami zasłaniających się. Zaraz Wallas zrozumiał, że jeszcze się nieprzyjaciele zupełnie nie uporządzili. — Dobył ogromnego miecza i rzekł do Argyla:

— Powiedz Fergusowi, by na czele lewego skrzydła zaszedł w tył Anglikom i wpadł na nich, a my dokończymy zaczętego dzieła.

Spiął konia Argyl, spełnił rozkaz i wrócił do Wallasa.

Edward Plantagenet niejedną już widział bitwę. Z męstwem doświadczonem łączył doskonałą znajomość sztuki wojennej i może był największym swego czasu wodzem. Postrzegł natychmiast podstęp Wallasa; kazał więc swoim ułożyć się w pół księżyca,

Tym sposobem Fergusa, wpadającego z góralami na angielskie hufce, otoczył. Tu dopiero straszna zaczęła się walka. Zewsząd nieprzerwanym łańcuchem wrogów okrążeni górale ścierali się z wściekłością. Pryskały przyłbice, w kawałki leciały miecze. Fergus potkał się z hrabią Leycester, a Leycester zginął. — Hrabia Kennet z Oxfordu zbroczył claymorę góralów krwią swoją. Jednak ich szyki się przerzadzały. Wallas dowiaduje się o tem. Natychmiast bierze z sobą kilkaset najodważniejszych żołnierzy i leci do miejsca, w którem Fergus odpierał nawałę nieprzyjaciół. — »Śmierć i zemsta!« — krzyknął, natarł na Anglików, zdruzgotał toporem głowę Rokelanda, dzidę zostawił w piersiach Rochestera. Na tę wieść król Edward sam udaje się, gdzie Wallas walczył, za nim odważny Argentyn, śmiały Sussex, waleczny Strafford, młody, piękny jak wiosna, Arundel. Koń uniósł króla i tratował po ciele Rochestera. Na ten widok wściekłością zapaliło się serce Edwarda, łza mu nie zmiękczyła powiek, ale z gwałtownego gniewu krew mu z wierzchniej wytrysła wargi. Rzucił się na mordercę przyjaciela; nie ociągał się Wallas, wpadł z mieczem dobytym na króla, który zręcznie od tęgiego uchylił się cięcia i nawzajem zbroję przeciwnika żelazem uderzył. Pękła zbroja, krew spłynęła. Wtenczas Wallas zwraca konia na stronę, szybko miecz do pochwy chowa, a porwawszy swój topór, rzucił go z całej siły na Edwarda. Szyszak króla nie zniósł przeważnego razu, a złota, zdobiąca go korona, padła koniowi przed nogi. Wallas skoczył do króla, ale waleczny Argentyn zasłonił pana swego. Daremnie pałasz Wallasa zadzwonił, od-

bity tarczą rycerza. Tymczasem król ustępował z pobojowiska, ukazawszy się wprzód swoim, mówiąc, że w nowy szyszak idzie się przebrać.

— Nie puszczę cię — zawołał Argentyn do Wallasa, którego krew oblała.

— Nie odmawiam walki, Argentynie; czuję, że mam dosyć sił do niej, bo ta rana słaba jak draśnięcie niewiasty — ale naprzód odrzuć mi mój topór. —

— Dobrze, masz go — i rzucił Argentyn silną prawicą ogromny topór Wallasa; trafił w głowę dzielnego konia, na którym Wallas siedział, a koń jelenionogi rozciągnął się na kurzawie. Upadł z nim i jeździec, ale wkrótce powstał. Zsiadł Argentyn, na nowo zaczęli się wręcz ścinać żelazem. Razy Argentyna były straszne dla innego, jak Wallasa; ale wódz szkocki, chociaż znał odwagę i doświadczał strasznej przeciwnika siły, jednak i na krok jeden mu nie odstępował, a nakoniec, obrawszy sposobną chwilę, z taką natarczywością wpadł na Anglika, że ten cofnął się i, zmieszany, słabo się zaczął bronić. Wtenczas Wallas podniósł topór, a Argentyn leżał bez duszy u nóg jego. —

— Zwycięstwo, zwycięstwo! — krzyknęli górale — niech żyje Wallas! Zemsta Anglikom! —

Na te krzyki struchleli najmężniejsi rycerze króla Edwarda: Argentyn, najlepszy rycerz, był zabity. Jednak, pamiętni na sławę, dotrzymywali pola Szkotom. Wallas, osłabiony utratą krwi, musiał na chwilę opuścić bitwę, zostawiwszy dowództwo Argylowi. Doszedłszy swego namiotu, zrzucił pancerz, krew zatamował, wychylił puhar hiszpańskiego wina i, rzuciwszy się na usłane niedźwiedzią skórą łoże, kilka chwil

odpoczął. Znów się zerwał, przywdział zbroję i, dzielną ręką chwyciwszy za włócznię, kazał sobie konia przyprowadzić przed namiot. Wtem wbiegł do niego Delwin, syn Fergusa. Twarz jego blada, krew strumieniem leje się z rany, w piersi zadanej, drży cały, a łza smutku odwilża wkrótce zawrzeć się mającą powiekę.

— Wodzu — rzecze — Szkocya pokonana, prysły nasze claymory, męstwo z wiatrem uleciało. Edward na czele świeżego wojska, przez Warwicka przywiedzionego, szeroko po polu goni góralów, koń jego tratował po ciele Fergusa. — Śpieszaj, Wallasie, śpieszaj!

Na te słowa chmura rozpaczy pokryła czoło Wallasa; ale przedarły ją błyskawice jego wzroku, porwał za miecz. »Zgadła — rzekł drżącym głosem — czarownica« — i wybiegł.

Straszny widok uderzył jego oczy. — Uciekali zewsząd górale; jedni, dopadłszy gór, szybko między nie znikali, drudzy jeszcze w niektórych miejscach potykali się z Anglikiem. Edward na pięknym koniu, chciwy zemsty, wołał na żołnierzy: »Śmierć i rzeź buntownikom!« Warwick, sławny w owe czasy z męstwa i okrucieństwa, zachęcał innych do mordu i sam oblewał się krwią nieprzyjacielską. Argyl wtenczas stanął przed Edwardem: »Giń od mego miecza!« — krzyknął i rzucił się z wściekłością na króla, ale żelazo rozleciało się w kawałki. — Plantagenet porwał z ziemi z nadzwyczajną siłą bezbronnego młodzieńca i, dobywszy sztyletu, utopił mu go w serce, potem rzucił ciało pod końskie kopyta. Widział to Wallas, łza spłynęła na jego szlachetne lica, przysiągł zemstę, i zapewnie

bitwa pod Greennoch zakończyłaby się śmiercią króla angielskiego, gdyby ten prędko, nie czekając na Wallasa, do swoich się nie cofnął. Daremnie wódz szkocki wołał na górali; ucieczka powszechną się stała. — Wallas nie mógł jej wstrzymać; dosyć długo jeszcze bronił się z rozpaczą, ale nakoniec, tłumem uciekających porwany, ustępował z pola bitwy. Hrabia Sussex chciał go pojmać, ale bohater szkocki rzucił nań toporem; topór trafił w przyłbicę hrabiego, i śmierć go żelaznem opasała ramieniem. Zastęp góralów otoczył wodza, który, rzucając pobojowisko, zniknął w górach. —

IV.

Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

Mickiewicz.

Wieczorem tego samego dnia, w którym Edward I zbił na głowę pod Greennoch szkockie wojska, po skałach niedalekich góry Warrochu błąkał się rycerz. — Wysoka jego postać, czarna od stóp do głowy zbroja, sajdak przewieszony przez ramię, łuk w ręku, puginał na piersiach, zapewnie musiał miecz stracić w bitwie, bo oręż nie strzeże jego boku. Twarz, zakryta przyłbicą, i tarcza bez żadnego godła nie dozwalają poznać rycerza. Droga, którą szedł, niebezpieczna była dla wielkiej liczby przepaści, które omijać trzeba było. Coraz trudniejsza stawała się przeprawa wśród krzewów, kamieni i drzew. Jednak mąż czarny, choć ciężko zbrojny, lekko i zręcznie spuszczał się ze skały na skałę, i właśnie słońce miało się już ku zachodowi,

kiedy stanął u stóp skały Warrochu. Była ona prawie prostopadła do równiny i zewsząd okryta mchem i suchymi krzakami. Zostałaby jednak ukrytą wśród innych, daleko wyższych gór, opasujących ją, gdyby wysoka na niej zbudowana wieża swego nad okoliczne skały nie wznosiła czoła. Od niepamiętnych czasów stała na Warrochu, i już jedna jej część rozsypała się w gruzy. Ciasna i na jednego tylko człowieka szeroka droga prowadziła do niej stopniami, w skale wykutymi; z obu stron strzegły ją okiem niezmierzone przepaście. — Nie zważał na to rycerz i śmiało zaczął wdzierać się ku górze. Brzękała jego zbroja, o twardą uderzając skałę; często, by się utrzymać, chwytał ostre krzaki rękoma, często ustawał i odpocząwszy, znowu się dalej posuwał. Nakoniec doszedł pustej wieży, brama jej stała otworem. Wszedł do środka, a mury go zakryły.—

Tymczasem gniew i żal napełniały serce Edwarda; ale nie była to litość dla innych, tylko uczucie własnej straty. Wprawdzie zwyciężył, ustąpili z pola górale, Wallas sam uciekł, a Argyl i Fergus zginęli, ale te korzyści przypłacił utratą wyboru swego wojska. Najmężniejszy z rycerzy, Argentyn, poległ, miodowe słowa Rochestera nie głaszczyły więcej mu uszów mile, a prócz niego wiele innych znakomitych walecznością panów straciło życie. Zemsta owładła królem; postanowił ścigać Wallasa i pojmanego na okropne wydać męki. Kazał więc, jak tylko pole wolne zupełnie od wrogów zostało, zawołać do siebie Warwicka. —

— Najjaśniejszy panie — rzekł ten ostatni, stawiąc się rozkazowi Edwarda — od dawna słońce tak przeważnego dla nas nie oświecało zwycięstwa.

— Milordzie — odparł Edward — nigdy też w tak wiele krwi szlachetnych Anglików nie nurzyło swych promieni. — Daj ostrogi koniowi i zemną w pogoń za Wallasem! Niech dwieście ludzi konnych nam towarzyszy, a ty, Essex, zbierz wojska; jeszcze mamy kilka godzin dnia, dzisiaj jeszcze przenieś obóz do góry Warrocha, niedaleko stąd. Może mnie tam zastaniesz. — Rzekł, i poniósł go wiatronogi rumak, w kilka godzin stanął pod górą Warrochu. — Słońce właśnie zachodziło.

— Warwick — ozwał się król — chciałbym wiedzieć, czy się Wallas nie schronił do tej wieży, bo słyszałem od dawna proroctwo, że ma tu zginąć. Weź kilka ludzi i tą ciasną drogą idź do niej. —

Wypełniał ten rozkaz hrabia, kiedy na szczycie wieży ukazał się rycerz czarny — ujrzał Anglików. —

— Ani kroku dalej — krzyknął piorunnym głosem — bo ma strzała przeszyje twe serce! —

Zbladł Warwick, widząc niebezpieczeństwo; tarczy nie miał, zbroja tylko zasłaniała mu piersi.

— Idź dalej, milordzie, idź dalej! — zawołał Edward ze stóp góry — weźcie tego czarnego męża; poznałem głos, poznałem — i radość twarz mu okryła. W tej samej chwili krwią oblane ciało Warwicka spadło ze skały przed królem.

— Wróćcie się, wróćcie! — rzekł król, zmieszany i do wściekłości przywiedziony, żołnierzom struchla-

łym. — Ognia, prędko ognia! Zapalcie te suche krzaki! Zobaczym, czy wytrzyma.

Natychmiast żołnierze zapalili krzaki góry Warrochu. Z początku ogień wązką snuł się wstążką; ale, gdy w większych się zajął krzakach, podwoił swej mocy. Wiatr północny mu pomagał, wkrótce jasnym wieńcem okrążył górę. — Zdawało się, że piekło się na ziemię przeniosło. — Wrzał ogień, mech go podżegał. — Czarna noc powlekła niebo, na którem krwawa zabłysła łuna. — Czasem ogień upadał i kilka chwil zdawało się, że znikł; ale wkrótce z nową wybuchał siłą, coraz bliżej wieży się przysuwał — ze wszystkich ją stron otaczał. — Poznał mąż czarny konieczność śmierci, żadnym jej sposobem nie mógł uniknąć. — Oświecona twarz Edwarda wyrażała radość, ale nie tę, która niewinne krasi usta; była to zemsta, śmiercią nieprzyjaciela nasycana. Często przy nim padały ułamki rozpalonej skały, i z niecierpliwością czekał, aż padnie wieża. Jej murów widać już nie było, tylko jeszcze wśród płomieni ukazywał się na samym wierzchołku rycerz czarny. Zrzucił hełm i zawołał:

— Edwardzie, ginę za ojczyznę. Pięć zwycięstw unieśmiertelniło me imię. Przyjm ostatni dar Wallasa. — To mówiąc, dobył strzały z sajdaka, łuk natężył: warknęła struna, grot trafił w szyszak królewski i zbił z niego śnieżne na nim pływające pióra. — W tej samej chwili usłyszano słowa: »O Boże, daj wolność Szkocyi!« Wszyscy podnieśli oczy do góry: wstrzęsła się skała, runęła z ogromnym wieża łoskotem, a z nią Wallas.

Koniec.

[R. 1826].

ZNISZCZENIE IPSARY

Z DZIEŁA PANA RAFFENEL O REWOLUCYI GREKÓW[1]

[1] Por. »Histoire des évènements de la Grèce depuis les premiers troubles jusqu'à ce jour avec des notes critiques et topografiques par M. C. D. Raffenel, Attaché, au commencement de la révolution, à l'un des Consulats de France, aux Échelles du Levant. Troisième Partie campagnes de 1824—1825. Paris 1825« (str. 188 i nstp.).

Una salus victis nullam sperare salutem

Virg.

Arma, viri, ferte arma — vocat lux ultima victos.
Reddite me Danais, sinite instaurata revisam
Proelia — nunquam omnes hodie moriemur inulti.

Virg.

Ukończył nakoniec przygotowania wojenne admirał ottomański. Ufał w zdrady swoje i w porozumienia, które miał z broniącymi wyspę, zapewniające mu szczęśliwe powodzenie. Za pierwszem się ukazaniem był pewny, że go przyjmą. Mnogie jego wojska miały w końcu zwyciężyć męstwo i rozpacz wyspiarzy. Pomimo tego Chosrew-basza, pałający żądzą, żeby zwyciężcą Ipsaryotów[1] na całym Wschodzie go witano, zostawał w Mitylenie[2] w trudnych i ciężkich okolicznościach. Miał pię[ć]dziesiąt okrętów, ale nikogo, któryby nimi dowodzić potrafił. Dowódzcy przewozowych statków europejskich kilka razy ofiarowali mu się oddać tę usługę, ale, mało pokładając w nich ufności, odrzucał te przełożenia. Więc ci nędzni ludzie, zdradzający własne sumienie, gwałcący imię Europeów

[1] Mieszkańcy Ipsary lub Psary (staroż. Psyra), małej wysepki, leżącej na zachód od północnego cypla wyspy Chios.

[2] Mitylena (staroż. Lesbos) — wyspa przy wybrzeżu Małej Azyi.

i godność ludzi cywilizowanych, znaleźli karę swych zbrodni we wzgardzie samych barbarzyńców! W tem dziwnem położeniu znajdując się, kapudan-basza[1] pisał do swoich dobrych przyjaciół w Smyrnie[2], od których już niejednej podobnej doczekał się usługi. Był winien tym niegodziwym porozumienia swoje ze zdrajcami Ipsary. Flaga neutralna zakryła te zbrodnicze namowy. Okręt, na którym ta flaga powiewała, opłynął brzegi Ipsaryotów, i ci sami, którzy przekupili Kottę[3] w imieniu tureckiego admirała, wywiedzieli się o sposobach obrony wyspy z największymi szczegóły, zdejmowali plan jej warowni, bateryi, oznaczali miejsca, mniej lub bardziej przystępne; jednem słowem kreślili kapudanowi-baszy drogę, którą miał postępować, i stawali się pierwszą i główną przyczyną klęski Ipsary. Komitet turko-frankowy[4] w Smyrnie wyprawił śpiesznie dostateczną liczbę sterników, urodzonych w Europie i po większej części od austryackiej kancelaryi zależących. Jak tylko przybyli do tureckich okrętów, dał hasło admirał-basza całej flocie, puścił się z Mityleny 19-go sierpnia [1824], a nazajutrz stanął przed Ipsarą o 9-tej wieczorem.

Płynęło za nim dwieście okrętów różnej wielkości; przewozowe statki europejskie, na których żadna flaga się nie wznosiła, składały przynajmniej trzecią część

[1] Por. przypisek na str. 25. Kapudanem-baszą był Chosrew.

[2] Konsul austryacki. *(P. a.)*.

[3] Kotta, pułkownik albański, przekupiony od Turków, wydał Ipsarę. *(P. a.)*.

[4] T. j. komitet, złożony z Turków i europejczyków, których na wschodzie zowią Frankami.

tej floty. Otoczywszy wyspę, kapudan-basza wysłał kilka fregat dla poznania brzegów, ale działa wyspy odparły je. Statki ipsaryockie, dawszy kilka razy ognia, wróciły do portu. Jeszcze Turcy nie ukończyli odwiedzać brzegi, kiedy wiatr zupełnie ucichł; flota turecka stanęła na spokojnem morzu, a dla uniknienia napaści niespodzianej Chosrew kazał [z] okrętów wszystkie latarnie wywiesić. Może także chciał tym sposobem w strach wprawić Ipsaryotów, ułatwiając im rachubę żagli nieprzyjacielskich.

Zarzucił kapudan-basza kotwicę. Jego okręta łańcuchem nieprzerwanym opasały wyspę. Bojaźń palnych statków przeraziła jego umysł i dlatego ubezpieczał się wszelkimi środkami, służącymi do uniknienia tego nieszczęścia; ale i Ipsaryotom nie było w myśli użyć tak prędko tego podstępu. Małą tylko liczbę statków posiadali, większa część ich floty krążyła po morzu; za najpierwszem ukazaniem się Turków zaraz najlepsze i najprędsze okręty wyprawili do Hydry[1] dla doniesienia tej ważnej nowiny; z pozostałych zaś okrętów broń i rynsztunek wzięty, a dla odjęcia ostatniej nadziei ucieczki, pierwsi urzędnicy Ipsary, godni wystawiać bohaterski naród, stery kazali oderwać od wszystkich statków.

Widok nieprzyjaciela sprawił trudne do opisania wrażenie na tych szlachetnych wyspiarzach. Nie była to bojaźń, ale ta ufność i ten porywający zapał, obudzony miłością ojczyzny i wolności. Pierwsi urzędnicy

[1] Hydra — wyspa na morzu Egejskiem przy południowych brzegach Argolidy.

jeszcze raz zwołali ziomków do rady, żeby już niezmiennego chwycić się postanowienia, na nowo porachowali siły, mogące opierać się nieprzyjaciołom. Nie przechodziły one sześciu tysięcy ludzi, złożonych z marynarzów lub żołnierzy, po większej części obcych Ipsarze i przybyłych ze Scio[1], Kidonii[2] i Mityleny. Albani[3] dopełniali to szczupłe wojsko. Ponieważ z niebezpieczeństwem byłoby powierzać cudzoziemcom i najemnym obronę najważniejszych miejsc, uchwalono, żeby marynarze ipsaryotscy wyłącznie trudnili się bateryami, a żołnierze albańscy i inni zajęli wzgórza i zasłaniali artyleryę.

Obwarowano szczególniej miejsca, w których mniej przeszkód naturalnych przy wysiadaniu miał doznawać nieprzyjaciel. Takich miejsc dwa tylko było. W każdem z nich tysiąc postawiono ludzi, a po innych miejscach brzegu rozsiano 1200 ludzi, których dosyć było do obrony tu i owdzie leżących redut i skał prawie niedostępnych. Zdrajca Kotta dowodził w jednej z tych redut, zbrojnej we cztery działa. Opatrzywszy tak brzegi, mieli jeszcze Ipsaryoci dosyć pozostałego wojska na utworzenie w środku wyspy oddziału odwodowego, który mocny w trzy tysiące ludzi, za pierwszym znakiem miał nieść pomoc zagrożonemu nie-

[1] Scio, Chios — sąsiednia wyspa, straszliwie przez Turków spustoszona w kwietniu 1822 r.

[2] Kidonia — bogate miasto portowe w Małej Azyi, naprzeciw wyspy Lesbos, złupione i zniszczone przez Turków 15 czerwca 1821 r.

[3] Albańczycy — lud, mieszkający w Albanii (starożyt. Epirze), a częściowo także w północnej i środkowej Grecyi.

bezpieczeństwem miejscu. Za pomocą mnogich telegrafów[1] łatwo i szybko mogło środkowe wojsko z broniącem brzegów porozumieć się.

Tymczasem niewiasty i starcy wzięli się do oręża. Słabych i trwożliwych nie było w tej garstce walecznych. Wspaniałomyślne niewiasty Ipsary chciały, żeby im powierzono obronę miasta, kiedy ich męże i syny zwierać się wstępnym bojem na brzegach i w bateryach z wrogami będą. Noc z 2-go na 3-go sierpnia zeszła na samych przygotowaniach. Żadnemu wyspiarzowi sen powiek nie zamknął, każdy czuwał w miejscu, którego miał bronić, i Kotta, udając, że dzieli zapał wojenny swych towarzyszy broni, czuwał jak i oni.

Nazajutrz flota ottomańska o 4-tej zrana, kierowana przez sterników smyrneńskich, dzieląc się na dwie części, tak obroty swe urządzała, żeby wyspy z dwóch stron przeciwnych dobywać mogła. Kilka jej fregat stanęło naprzeciw głównych bateryi — wszczął się ogień. Ipsaryoci odpowiadali wystrzałom nieprzyjacielskim pewniejszymi i lepiej trafiającymi razy; to strzelanie, bardziej Turkom, niż wyspiarzom, szkodzące, trwało 4 godzin[y]. Chosrew-basza miał pięć okrętów rozbrojonych i nie potrafił wstrzymać gęstego Greków ognia. Wtenczas postanowił jąć się ostatniego sposobu, szczęśliwy obiecującego mu skutek.

Wyspa zniknęła wśród kłębów dymu; wojenne okręty stacyi morskich europejskich patrzały z daleka na obroty kapudana-baszy. Oficerowie, na nich będący,

[1] Były to stacy telegrafów optycznych.

przyznali później, że nigdy jeszcze tak potężnego dobywania i tak tęgiego odporu nie widzieli.

Dym nie dozwalał Grekom widzieć, co się zewnątrz wyspy działo, a łatwo mógł tym sposobem korzystać ze zdrady Kotty admirał ottomański. Kiedy jedynie zdawał się mieć na celu dobycie bateryi, położonej blizko miasta i naprzeciw której był rano z większą częścią swego wojska stanął, rozkazał przewozowym statkom europejskim inny wziąść kierunek; wystąpiły one za linią i, zakryte chmurami dymu, zasłaniającemi je oczom Ipsaryotów, posunęły się wraz z kilkoma fregatami do północno-wschodniej części wyspy; tej małej flocie dowodził jakiś admirał turecki, któremu Chosrew-basza zatokę Ammundia za miejsce pierwszego wylądowania wyznaczył. To miejsce właśnie było powierzone Kotcie.

Miał tylko 4 działa, ale, ponieważ wysadzone z okrętów wojska miały dla dostania się w środek wyspy przechodzić ciasny wąwóz, przez który kule dział greckich przelatywały, łatwo więc było Albanom oczyścić brzeg z Turków i ich zamiar niepodobnym do wykonania uczynić. Wtem europejskie okręty przypływają i swoje małe statki puszczają do brzegów. Trzy tysiące ochotników, wziętych w Salonice od kapudana-baszy, napełniają je. Wtenczas widziano, jak szlachetność żołnierzy ważyła się z władzą zdrajcy, będącego na ich czele. Kotta patrzał spokojnie na przygotowania nieprzyjaciół. Niespokojność nie ocieniała jego twarzy. Czekano z niewymowną niecierpliwością rozkazu wystrzelenia na statki; ale kiedy nikt

go nie wyrzekł, Szkipetarowie[1], zdziwieni milczeniem Kotty, sami zaczęli działać. Dali z dział ognia i kilka statków, przebitych kulami, utonęło. Chrześcijanie, znajdujący się na nich, sprawiedliwą otrzymali swej niegodziwości nagrodę. Jeszcze można było wszystko naprawić. Sam admirał ottomański się wahał i myślał, że go Kotta zwiódł. Kazał statkom się cofnąć, bo nie spodziewał się bez pomocy Albanów wylądować na niedostępną Ammundię. Ta chwila rozstrzygała wszystko. Turcy, jeszcze raz w ucieczkę wprawieni, nigdzieby indziej zdrajców nie znaleźli. Sami żołnierzeby ukarali swych dowódców. Ale już wybiła zgubna Ipsary godzina. Kilka statków wróciło się na znak, dany od admirała, inne płynęły dalej. Kiedy to się dzieje, każe swoim Kotta broń złożyć. Nie wszyscy byli jego wspólnikami. Straszna walka około zdrajcy się wszczyna. Turcy korzystają z tego zamieszania, stopą niewierną dotykają się ziemi wolności. Biegną do dział. Wycinają małą liczbę wiernych swej przysiędze Albanów, ścigają drugich, ustępujących walcząc do bateryi Mawra-Jani, synowca Warwaki.

Ipsaryoci, broniący tego stanowiska, oburzeni w najwyższym stopniu, z początku sądzili, że wszyscy Albani zdradą się skalali. Ale wkrótce, swój błąd poznawszy, przyjęli walecznych, domagających się o pozwolenie zginąć z nimi. To ich życzenie spełnione zostało.

Jednak Ammundia została bez obrony; bajrak[2] tu-

[1] Szkipetarami zowią się w swoim języku Albańczycy.
[2] Bajrak — chorągiew, sztandar.

recki powiewał na niej. Mawro-Jani uwiadamia o tem dalsze stanowiska i prosi o pomoc. Tymczasem Turcy wysadzają na brzeg mnóstwo Albanów i Azyatów. Szykują się na równinie i ruszają, prowadzeni przez dwóch doświadczonego męstwa Szkipetarów: Ismaela-Pliassy i Pasza beja. Kotta postępował przed kolumną Muzułmanów z swymi żołnierzami, których był sobie ujął. Każe im zachodzić z drugiej strony reduty Mawra-Jani. Ipsaryoci z Szkipetarami, którzy pozostali wierni, nie przenosili trzystu ludzi. Sześć tysięcy nieprzyjaciół ich otaczało, a coraz przybywające nowe tłumy popierały dawniej wylądowałych. Mawro-Jani i mężni jego towarzysze broni dokazywali cudów waleczności. Przez cztery godzin[y] jeszcze dotrzymywali kroku nieprzyjaciołom; nakoniec po usłaniu wałów tureckimi trupy, kiedy Grecy prawie wszyscy zabici lub ranni byli, a pozostali nie mogli wydołać usłudze dział, reduta szturmem dobyta, a jej obrońce, każdy na swojem stanowisku, wymordowani. Ta baterya nie więcej nad 700 sążni oddalona była od brzegu, ale po jej opanowaniu nie mogła się już więcej wyspa obronić. Upojeni krwawem Turcy zwycięstwem nie wątpili o zupełnym tryumfie. Było ich wtenczas do 15-stu tysięcy. Podzielili się na dwa oddziały. Pier[wszy], złożony z Albanów, prosto poszedł na baterye, broniące środka wyspy; drugi obrócił się na miasto. Zbytniemby było opowiadać tu te wszystkie piękne czyny, które w tym nieszczęsnym dniu podały mężnych Ipsaryotów nieśmiertelności. Nie ustąpili, ale polegli. Krew barbarzyńców oblała każde stanowisko, każdą chwałę. Ale w końcu niezmierna wyższość ich liczby wzięła

górę nad rozpaczą wyspiarzy. Dochodzili już Muzułmani do bateryi środkowych, kiedy w tym samym czasie straż ich tylna oblegała pierwsze domy miasta.

Straszny był ten dzień, ale nic jeszcze nie rozstrzygnął, bo dobywający nie potrafili wcisnąć się do miasta ani do bateryi. Odparci i gromieni wszędzie, wieczorem 3-go sierpnia Ammundia tylko i kilka innych mało znaczących w środku wyspy miejsc były w ich mocy. Helleni utrzymali się wszędzie. Ale ten stan rzeczy miał się koniecznie ze dniem zmienić.

Chosrew-basza ciągle gromił swemi działy wielką bateryą, chcąc ją rozsadzić, a tym sposobem stać się panem portu. Żadnej jeszcze korzyści tu nie otrzymał a wojska, przeznaczone do wylądowania, niewzruszone czekały na okrętach, aż się ogień Greków zmniejszy i dozwoli im wsiąść na statki dla przybicia do brzegu. Wtem donoszą admirałowi ottomańskiemu o odniesionem przez namiestnika jego na Ammundii zwycięstwie. Natychmiast wyprawia mu na pomoc liczne hufce z rozkazem dobycia szturmem warowni Tabia, gdzie Ipsaryoci pod wodzem Warwaki kwiat swojej młodzieży i wybór wojska zebrali. Śpiesznie tam zmierzali Turcy; nie mieli żadnego działa, a twierdza niemi najeżoną była. Rzeź okropna barbarzyńców się wszczęła. Każdy wystrzał kartaczami ścielił ich tysiące; dwa lub trzy [razy] wpadli na baterye, ale z ogromną stratą odparci. Więcej jak 800 ludzi legło z ich strony. Szczególnie w tem zdarzeniu niewiasty Ipsary świetniały tem nadzwyczajnem męstwem, unieśmiertelniającem je w dziejach Grecyi.

Tak więc wschodzące słońce oświecało jeszcze wol-

nych ludzi na skałach Ipsary, ale miało zajść nad ich grobem! — W nocy z 3-go na 4-ty wszystkie rodziny cudzoziemskie, które gościły w szczęśliwszych czasach u wyspiarzy, rozpierzchły się w nieporządku po miejscach, w których jeszcze Grecy uparcie się bronili. Tłumy niewiast i dzieci w zamieszanie wprawiły walecznych, rozpacz tylu nieszczęśliwych przypominała im samym wielkość niebezpieczeństwa, na które się narażali. Nagle usłyszano krzyki zdrady i słowa: »Uciekaj, kto może!«, tak zgubne wojownikom i męstwu, mrożą serca poniewolnym strachem. Jedni wahają się; drudzy, porwani potokiem uciekających, opuszczają swe stanowiska. Wtem dzień świtać zaczyna, i z nową zażartością odnawiają się walki. Jednak słabnieją Ipsaryoci; męstwo i poświęcenie w równym u nich utrzymywało się stopniu, ale nadzieja zgasła w ich sercu. Wielka baterya szturmem wzięta. I ci, którzy wsławiali się pięknem jej bronieniem, i ci, którzy w niej pewnego szukali schronienia, wszyscy równie giną. Ale nie widać niewolników, nie słychać w tym tłumie umierających ludzi, którzy jeszcze w nocy łzy wylewali nad okropnością swego położenia, ani niegodnych narzekań, ani podłych próśb. Niewiasty walczą, dzieci u boku ich giną, a Turcy zatykają swój bajrak na wałach bateryi dopiero po wymordowaniu ostatnich jej obrońców.

To samo się działo w mieście, gdzie zamieszanie, łkaniem i płaczami niewiast i dzieci sprawiane, jeszcze większem było.

Chosrew-basza, nie mając się niczego obawiać ze strony portu, kazał przypłynąć swoim statkom, świe-

żem wojskiem obciążonym, a tym sposobem zajął Ipsaryotów między dwa ognie. Nie mniej jednak się opierali z zawziętością rozpaczy. Turcy osobno każdy dom dobywać musieli. W tem morderczem oblężeniu utracili 1500 ludzi, i już najmężniejsi z nich znużyli się walką, której najmniejsze korzyści tak drogo opłacali. Żołnierze z Azyi, którzy ostatni wylądowali, kilka razy odparci i w morze wrzuceni; zmęczeni barbarzyńcy ustawali i dłużej wstępnym nie chcieli się ścierać bojem. Już nawet zaczynali wracać i cisnąć się na statki, ale kapudan-basza kazał marynarzom, je kierującym, złączyć się z resztą floty, daleko od wyspy stojącej. Ten ostateczny krok admirała ottomańskiego zostawił Turkom wybór tylko zwycięstwa lub śmierci.

O 4-ej po południu miasto przestało się już bronić, a wały portu toczyły ciała dwóch tysięcy chrześcijan obojej płci i wszelkiego wieku. Wśród tej okropnej rzezi, okrywającej cały brzeg południowo-wschodni Ipsary krwią i spustoszeniem, część północno-wschodnia wyspy była nietknięta. Słyszano tam piorunne wystrzały artyleryi i pomieszane walczących krzyki, a najokropniejsza niepewność jeszcze tu panowała zrana 4-go sierpnia o tem, co się w mieście wydarzyło. Wtenczas admirał Apostolis, dowodzący w tej części wyspy, przedsięwziął pójść poznać stan rzeczy i stanowiska nieprzyjaciół; koniecznem było to śmiałe przedsięwzięcie. Od 12-stu już godzin nie odpowiadano znakom telegrafów, a nieprzyjaciel się jednak nie pokazywał.

Apostolis, starzec siedemdziesiątletni, powierza obro-

nę swego stanowiska hufcowi ipsaryockiemu i kilku oddziałom albańskim; z sobą 4 statki i 150 ludzi bierze. Chciał, żeglując wedle brzegów, wejść do portu drogą, którą wielkie okręty płynąć nie mogły; ale nie miał czasu dopełnić swój zamiar. Ledwo minął przylądek północno-wschodni, aliści ujrzał 12 okrętów uszkodzonych, napełnionych starcami, dziećmi i niewiasty. Te okręty bez żagli i sterów unosiły rozbujałe fale morza; nieszczęśliwi, w nich skupieni, poznali szanownego rodaka i wołali do niego: »Polegli waleczni, gdzie płyniesz? Zwyciężył niewierny. — Uciekaj, Apostolisie! zachowaj się na pomszczenie ojczyzny!« — Te słowa jakby piorun starca uderzyły. I dziwi się i waha; nie stawiają się jeszcze jego myśli ani krewni ni przyjaciele. Nakoniec wyrzekł: »O ojczyzno moja, ojczyzno!« Właśnie powiew wieczornego wiatru szeroko pędził po wodzie trupy wyrzniętych w mieście chrześcijan. Otoczyły one Apostolisa. »Niema więc już Ipsary!« zawoła jeszcze. Wtem porywają go towarzysze, a flota ucieka z tego okropnego miejsca.

Zostawmy szanownego Apostolisa w rozpaczy, wypytującego się o szczegóły wylądowania Turków. — Już jest trzecia — Ipsara się jeszcze nie poddała, i ojczyzna mężnych nie upadnie bez oznaczenia i uświetnienia swego zgonu straszną klęską.

Ze wszystkich redut, których tak pięknie dniem wprzódy broniono, dwie tylko jeszcze były w mocy Greków; inne zajęły Muzułmani, którzy, zaniedbawszy dobywania Ś. Mikołaja i Paleo-Kastro, wszystkie swe siły obrócili na dobycie zamku Tabii, obwarowanego odług praw sztuki, uzbrojonego w 24 działa i oto-

czonego minami, prochem napełnionemi. 15000 Turków zebrało się na równinie. Ścierali się z wściekłością i stałością, której trudno było się po nich spodziewać. Na gromadach trupów dostali się do wysokości parapetu[1]; jednak kartacze okropnie śmierć siały w ich ściśnionych szeregach. Aż do czwartej na nie ciągle się wystawiali.

Wtenczas oblężeni, zmordowani długą walką i zewsząd ściśnieni, poznali niepodobieństwo dłuższego odporu. Podkopy, pełne prochu, otaczały Tabią. Jeden z Ipsaryotów ofiaruje się je zapalić. Przyjęli inni poświęcenie jego z zapałem. Rzuca się z zapaloną włócznią, ale pada, przebity razami. Drugi mężny po nim następuje i podobnego doznaje losu. Po kilkakroć odnawiają Grecy te bohaterskie usiłowania, ale zawsze bez[s]kutecznie. Już Turcy, domyślając się, że stąpają po minach, usiłują wszelkimi sposobami grożącego uniknąć niebezpieczeństwa. Zalewają tłumami miejsce gdzie podkopy mają być zapalone, i bronią doń Hellenom przystępu.

Natarczywość ich się wzmaga, niebezpieczeństwo, zamiast odstraszać, wściekłości im jeszcze dodaje. Niektórzy przeskakują pierwsze okopy. Już Grecy w ostatniem schronieniu mają być pokonani; ale nie padną żywi w ręce nieprzyjaciół, zginą, zemszczeni. Już oddawna postanowili zginąć lub zwyciężyć. Przysięgli, że żaden z nich ojczyzny nie przeżyje. Ta przysięga była świętą i nie mogła być zgwałconą. Nagle garstka

1 Parapet — (z franc.) mur forteczny, za którym stoją obrońcy.

bohaterów, dotrzymująca jeszcze czoła 20 tysiącom ludzi, występuje na szaniec. Krzyk się daje słyszeć ostatni. Godzina ofiary nadeszła. Ogień dział się zwalnia i powoli ucicha. Rzucają się Muzułmani, przebywają wały, gromadzą się w bateryach. Już dochodzą parapetu warowni. Nikt im się więcej nie opiera. Dzieci Ipsary, niewzruszeni nad ich głowami, zdawali się patrzeć z radością na zbliżanie się barbarzyńców. Ale oni kroku nie postąpią dalej. Chorągiew Ipsary, powiewająca nad warownią, znika, i biała bandera wznosi się na jej miejscu. — Była to osłona grobowa synów Grecyi [1]. — W tej samej chwili zagrzmiał ostatni raz wystrzał z dział twierdzy, i nagle wstrzęsła się wyspa. — Morze szeroko się wzburza i pieni; gruzy zasypują tureckie okręta. — Tabia, jej obrońce i dwa tysiące niewiernych zniknęło.

To okropne zdarzenie przeraziło Turków i zamieszanie w ich flocie sprawiło; kilką godzinami potem gwałtowny wiatr wschodni odparł i oddalił jej okręta od brzegów wyspy. Dawniej wysadzeni na ląd Turcy uważali się za zgubionych. Gruchnęła wieść między nimi o zbliżaniu się eskadry greckiej, a nagłe cofnięcie się kapudana-baszy zdaje [się] ją potwierdzać.

Jeszcze osłupiali i zmieszani wysadzeniem Tabii ci nikczemnicy zewsząd ustępują — rzucając dobywanie Ś. Mikołaja i Paleo-Kastro, zbierają się w nieładzie nad brzegiem w nadziei zastania tam statków. Wtenczas Ipsaryoci, stojący w warowniach, wypadają na ściganie nieprzyjaciela, wyrywają mu część zdobyczy

[1] C'était le linceuil des fils de la Grèce. *(P. a.)*

i, wyparłszy go z miasta, 500 mu ludzi zabijają. Wkrótce jednak, poznawszy swój błąd, Muzułmani w nowe się męstwo krzepią i, widząc nazad płynącą flotę, zwracają się i pędzą Greków aż w ich warownie.

Takim sposobem dopełniało się zniszczenie Ipsary, w której wszystko podruzgotane i spustoszone. Żadna już zawada nie przeszkadzała barbarzyńcom. Warownie Ś. Mikołaja i Paleo-Kastro jeszcze się nie poddały, a ponieważ dla niedostępnego położenia niepodobne były do zdobycia, Turcy tylko je otoczyli. Potem rozsypali się szeroko po polach, niszcząc wszystko, co pierwszą razą uchroniło się ich wściekłości, i mordując ostatki chrześcijan.

Prawie niepodobnem jest wyrachować liczbę wyspiarzy, poległych dnia 3-go i 4-go sierpnia. Mniemają jednak, że nie przewyższała 3-ch tysięcy ludzi. Ta strata była niezmierna, bo ci 3000 walecznych ważyli tyle, co całe wojsko dla Grecyi; ale drogo życie zwycięzcom oddali — krew 8-miu tysięcy Turków wmieszała się do krwi bohaterów Ipsary, którzy wszyscy zginęli, a Turcy żadnego nie mogli znaleźć niewolnika. Kapudan-basza obiecał 500 piastrów żołnierzowi, któryby mu przywiódł żywego niewolnika. Ani razu nie wyliczył tych pieniędzy. Nie sądźmy, żeby Chosrew to czynił przez ludzkość; dalekim był od myśli oszczędzania chrześcijan. Chciał tylko, powróciwszy do Stambułu, wieść za swoim tryumfem kilka tych wyniosłych i dumnych obrońców wolności.

Dokonane było zdobycie Ipsary, a zdrajca, który wydał tę wyspę barbarzyńcom, czekał zapłaty swych przeklętych usług. Urodzony między Turkami, zapo-

mniał, jakie u nich nagrody. Jak tylko rozsadzenie Tabii pochłonęło ostatnich obrońców Ipsary, admirał turecki każe wołać Albana do swego okrętu. Serce Kotty żywiej bije z radości — myślał, że mu jaką prowincyę oddadzą w zarządy. — Obiecali mu tytuł wezyra. Wsiadł na statek w nadziei otrzymania z rąk kapudana-baszy inwestytury. — Ale wkrótce uleciały łudzące go marzenia. — Przybywa na okręt admirała. Miasto oznaków godności wezyra, kują go w kajdany. — Narzeka na takie postępowanie, zewsząd słyszy obelgi, i w tym stanie poniżenia i upodlenia wiodą go przed nogi kapudana-baszy.

Chosrew jeszcze nie ostygł z gniewu, który na widok wysadzenia Tabii zapalił jego duszę.—Składa na Kottę przyczynę tego nieszczęścia. »Zdrajco — mu rzecze — dobrze wiedziałeś, że te psy prochem napełniły podkopy swej twierdzy.— Dlaczego nie doniosłeś mnie o tem? Chciałeś zguby Osmanlisów, udając, że im służysz?— Odbierzesz karę, winną twoim zbrodniom«. — Daremno usiłował usprawiedliwić się Kotta.—»Jakto, nie jesteś winny?— powtarzał Chosrew z wściekłością — ale ci sami Albani, których miałeś pod me przywieść znaki, jeszcze walczą w nieprzyjacielskich szeregach! — Nie jesteś winny? — A krew Osmanlisów zbroczyła miecze twych własnych żołnierzy! Weźcie ten potwór, oddalcie go z moich oczu, niech zginie!« — Zaniesiono Kottę na pomost okrętu; widział tam przygotowania własnej śmierci, i, kiedy nieszczęsne tego zdrajcy ofiary padały pod orężem niewiernych, w tym samym czasie dokonywał on ży-

cia w mękach palu. Mordercami jego byli ci, którym dał zwycięstwo.

Kiedy to się dzieje, kilka wojennych statków francuskich, świadki zniszczenia Ipsary, zbliżyły się do jej brzegów, chcąc ocalić nieszczęsnych wyspiarzy, którzy okropną rzeź przeżyli. Villeneuve de Bargemont, kapitan okrętowy, dowodzący fregatą »Isis«, wniósł swe pośrednictwo względem pozostałych Greków do kapudana-baszy. Admirał turecki spędził cały dzień na błędnych i wykrętnych odpowiedziach, a nakoniec oświadczył mu, że nie jest już więcej swego wojska panem. »Isis« odpłynęła flotę barbarzyńców. — Nazajutrz postrzegła na północno-wschodnim brzegu Ipsary człowieka, którego wkrótce za Greka poznano. — Dowódca zaraz swój mały statek na morze puścić kazał, a miasto jednego 150-ciu Ipsaryotów wyratowano, których »Isis« przeprowadziła do Anapli [1]. — Gdyby wszyscy dowódzcy chrześcijańskich okrętów, przytomnych zniszczeniu Ipsary, poszli byli za pięknym p. de Bargemont przykładem, mniejby łez miała do wylania Grecya.

Chosrew-basza śpiesznie zdjął kotwice i wrócił do Metelinu [2], bojąc się każdej chwili nadpłynięcia greckiej floty. Zostawił trzy tysiące ludzi około twierdz Ś. Mikołaja i Paleo-Kastro, które jeszcze nie zgięły czoła przed Turkami, i nieliczną w innych wyspy częściach załogę. 8-go sierpnia wpływał, uniesiony dumą i pychą, do portu metelińskiego.

[1] Anapli — Nauplia (Napoli di Romania), twierdza nad zatoką Argolską.

[2] Metelin — Mitylena (Lesbos).

Bohatery Tabii! dowiedliście wrogom, całemu światu, że wnuki Leonidasa podnieśli czoło z szpecącej ich kurzawy i zrzucili na zawsze jarzmo niewoli. — Zagrzmi w przyszłości wysadzenie Tabii. — Wieść bohaterskiego poświęcenia zapaliła waszych ziomków, którzy poznali, że ta sama krew w ich płynie żyłach. Z zapału, waszą ofiarą sprawionego, wypłynęły pamiętne bitwy 1824-go roku, w których oswobodzona ojczyzna, a jej ujarzmiciel przywiedziony do niemożnej wściekłości. —

Gdyby można zapomnić o stracie tylu walecznych, przyjaciele Grecyi winniby się cieszyć z poświęcenia Ipsary. Ta klęska natchnęła nowem Hellenów życiem. Żądza zemsty i blizkość niebezpieczeństwa wszystkich zjednoczyła. Po udręczeniach przemijającej trwogi nastąpił ognisty zapał, który natchnął życiem wyspy i ląd stały. Jak nieszczęścia wyspy Scio były przyczyną cudów waleczności w r. 1822, podobnie zniszczenie Ipsary[1] zrodziło nadzwyczajne siły. Trzeba było tak okropnego zdarzenia na złączenie umysłów i obalenie stronnictw. Grecy, którym tylko zginąć lub zwyciężyć pozostawało, poznali, że dopiero silnymi pod opiekuńczym puklerzem rządu zostaną. W dobrej wierze wszyscy zbliżyli się do tego wspólnego środka, a później, jeśli jeszcze wybuchały małe bunty, w początku zaraz przygaszone, dawały lepiej poznać przywiązanie całego narodu do konstytucyi epidauryjskiej[2].

[1] W r. 1824.

[2] Zgromadzenie narodowe, zebrane d. 1 stycznia 1822 r. w m. Piada nad zatoką Sarońską (w pobliżu starożytnego Epidauros), uchwaliło 13 stycznia t. r. pierwszą konstytucyę grecką, zwaną epidauryjską.

Za pierwszem doniesieniem o rzezi Ipsaryotów wszędzie zaczęto się uzbrajać — nigdy uniesienie nie doszło wyższego stopnia. Obywatele ubiegali się o zaszczyt stawiania się naprzód Muzułmanom, a flota nie mogła przyjąć wszystkich żołnierzy, pragnących na niej płynąć. Już 5-go sierpnia 80 statków, wojownikami napełnionych, stało w Hydrze. Niedługo potem ukazali się przed brzegami Ipsary. — Ale jeszcze po raz ostatni rzućmy okiem na dymiące się szczątki nieszczęśliwej wyspy, w której wszystko wkrótce postać zmieni.—

Byłoby rzeczą daremną mówić tu o poświęceniu się mężczyzn. Wysadzenie Tabii w powietrze dosyć wyraźnymi rysy maluje Ipsaryotów — ale [i] ich żony godne mężów chwałę nieśmiertelną dzielić. — Potomność winna ich także uwielbiać. —

Żadnej niema słabości w bohaterskim narodzie. Płeć żadnej w męstwie i zapale nie stawi różnicy.— Kiedy hordy barbarzyńców wkroczyły do miasta Ipsary, mnóstwo niewiast, które walecznie i z niezwyciężoną odwagą z nimi się ścierały, ustąpiło na brzeg morza. Przygniecione tłumem nieprzyjaciół, broniły się jeszcze, a Turcy, [zdumieni] nadzwyczajną płci od nich pogardzanej śmiałością, własnym nie wierzyli oczom. Jednak podwajają swe usiłowania. — Córki Ipsary nie czekały już żadnej pomocy, a nie mogąc dłużej dotrzymać natarczywości Muzułmanów, przedsiębiorą uniknąć ich wyuzdanych chuci dobrowolnym zgonem. Gromadzą się i skupiają na brzeg. Pienią się bałwany morza u stóp skały, na której zebrane. — Turcy bliżej przystępują — kroku jednego im nie dostaje, a zdo-

bycz w ich rękach. Wtenczas te niewiasty, do bohaterów podobne, rzucają niepotrzebne im teraz pieniądze. Blaskiem drogich kamieni i swych bogactw rażą oczy Muzułmanów. — Ci myślą już ich być panami. Wtem w[z]noszą one ku niebu jedną ręką swe dzieci, drugą znikome skarby — zdają się tę podwójną Bogu poświęcać ofiarę. Rzucając w otchłań wszystko, co miały najdroższego, raz ostatni dłonie sobie podają.—

Jeden ich zapęd unosi; morze się roztwiera — dziewice Ipsary, wdowy walecznych, potomstwo bohaterów, wszystko ginie pochłonione.

KONIEC.

[R. 1826].

JOANNA D'ARC

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW FRANCUSKICH XV WIEKU

I.

Brzydka podłość na wszystko łatwo się ośmiela:
Wydrze biednej sierocie po ojcach puściznę
Zgnębi niewinność, zdradzi brata, przyjaciela,
Nawet zaprzeda Ojczyznę.

K. Gaszyński.

Świadczą kronikarze francuscy, że 23 maja 1430 r. okropna burza przeraziła trwogą mieszkańców miasta Compiègne, oblężonego wtenczas przez Anglików pod dowództwem hrabiego Salisbury, a bronionego przez sławną Joannę d'Arc, zwaną inaczej Dziewicą Orleańską. Od samego rana ze strony południa ogromne i czarne chmury, silnym pędzone wiatrem, zaczęły zaciemiać cały widnokrąg. Z niezmierną szybkością przesuwały się po niebie, a ścierając się ze strasznym hukiem, bojaźnią napełniały zabobonnych w owe czasy Francuzów i Anglików. Tego dnia nawet z tej przyczyny do żadnej między oboma stronami nie przyszło rozprawy. Częste błyskawice, przedzierając obłoki, rzucały bladawe światło na mury starożytne Compiègne. Piorun nawet kilka razy uderzył w najwyższą wieżę, należącą do zamku rządcy miasta, Wilhelma de F lavy co wielu ludzi za złą wróżbę poczytało i za znak gniewu niebios na Wilhelma, którego pospolicie miano za niegodziwego człowieka, wykarmionego w domo-

wych wojnach i na nich zakładającego swój byt i swoje dostatki. Ku wieczorowi powstał gwałtowniejszy wicher i rozproszył chmury na zachodzie. Słońce przez chwilę się ukazało i krwawymi oświeciło miasto promieńmi, a jak gdyby chciało ostrzedz tylko o jakiem nieszczęściu, natychmiast zniknęło. Nadzwyczajna ciemność pokryła ziemię, żadnej gwiazdy nie można było dostrzedz. — Mieszkańcy schronili się do swoich domów. — Straże przy wałach podwojono za rozkazem hrabiego Dunois i Joanny d'Arc, choć nie chciał na to żadnym sposobem przystać Wilhelm de Flavy. — Niedaleko od miasta tysiączne światła zabłysły w obozie Anglików, tysiączne ogniska czerwonawym paliły się ogniem, a zdałoby się patrzącemu z daleka, że gwiazdy, opuściwszy niebieskie mieszkania, na ziemię się przeniosły.

11-tą wybiły zegary — miasto w zupełnej pogrążone było cichości. Pogaszono światła — czasem tylko, kiedy wiatr opuścił z swej mocy, słychać było stąpanie ciężko zbrojnych żołnierzy. W wieży zamku rządcy Compiègne, w tej samej, w którą potrzykroć piorun uderzył, migała się jeszcze pochodnia i jakieś widać było poruszenie. Drzwi się boczne otworzyły, a z nich wyszedł człowiek, którego dla ciemności rozeznać niepodobna; w ręku trzymał latarnię do oświecania drogi. Sądzić można po jego chodzie, że chce z największą ostrożnością przebyć miasto i uniknąć spotkania żołnierzy. Bo jak tylko jaki ich oddział przechodził, krył on światło pod szerokim płaszczem i natychmiast stawał blizko murów. Takim sposobem doszedł aż do bramy zachodniej Compiègne, stojącej naprzeciwko obozu nieprzyjaciel-

skiego.— Zbrojny od stóp do głowy strzegł ją rycerz, a księżyc właśnie wypływając z za chmury, rzucał blade promienie na jego postać barczystą, długą brodę i ciężkie klucze bramy, zawieszone obok pałasza u rzemiennego pasa.

— Przyjacielu — rzekł nieznajomy udanym, jak się przynajmniej wydało rycerzowi, głosem — otwórz mi małe drzwi, przy wielkiej bramie będące.

— A to na co, wędrowniku nocy? — odparł rycerz.

— Mam ważne zlecenia dla hrabiego Salisbury, tyczące się zawieszenia broni.

— Od kogo?

— Od rządcy tego miasta, Wilhelma de Flavy.

— Pokaż je.

— Nie mogę, kazano mi jak najtajemniej postępować; ale oto masz rozkaz od samego rządcy, rozkaz puszczenia mnie za miasto.

Rycerz przeczytał przy świetle latarni kilka słów i podpis Wilhelma.

— Żałuję bardzo, ale nie mogę cię puścić; mam rozkaz od samego Dunois, żeby strzedz tego stanowiska, i, gdyby sam Wilhelm de Flavy, gdyby sam dyabeł, choć wiele między oboma niema różnicy, tu przyszedł, pierwejby się zemną spróbował, nimby przez tę bramę przeszedł. —

To mówiąc, wstrząsł silnie rycerz długą dzidę. Na ten widok nieznajomy się cofnął i chwilę rozmyślał.

— Szlachetny rycerzu, koniecznie muszę dopełnić danych mi rozkazów; oto masz nagrodę, ale otwórz co prędzej, bo od tego całość tego miasta zależy. —

— Stój, podły nikczemniku! odbierz pieniądze,

a wiedz, że takie postępowanie z rycerzem może cię o śmierć przyprawić — oddal się, bo na świętego Dyonizyusza, każę cię wziąć i z tych murów zrzucić. —

Poznał nieznajomy, że nie przemoże rycerza i oddalił się; ale, ledwo kilkadziesiąt odszedł kroków, stanął, zrzucił płaszcz, latarnię pod nim ukrył. — Księżyc w tej chwili oświecił twarz jego — na niej trwoga i nadzieja dokonania zbrodni się maluje. — Ale nic szlachetnego w rysach upatrzyć nie można. Gęste włosy czoło całkiem zakrywają, a lekką czapkę zrzucił na ziemię. — Dobył puginału, wyciągnął z pochwy i żelazo oglądał. — »Dobrze wyostrzone — rzekł cicho do siebie. — Mnie zrzucić z tych murów! Zobaczymy«.— Natychmiast schylił się ku ziemi i z nadzwyczajną zręcznością czołgać się zaczął w cieniu, rzucanym od wysokich murów. — Największa ostrożność towarzyszyła jego działaniom. — Oddech wstrzymywał i za najmniejszym szelestem zwijał się w kłąb, jak jeż, od psów otoczony, i w stanie zupełnej nieruchomości zostawał. — Po niejakim czasie znowu się zaczynał czołgać, wspierając się tylko na łokciach i kolanach. — Niedługo zbliżył się do rycerza, na stanowisku spokojnie stojącego. —Tu jeszcze podwoił swą ostrożność, zwolnił szybkość i tak powoli się do niego przysuwał, że wyćwiczone nawet oko nie mogłoby rozpoznać, czy się rusza, czy leży spokojnie. — Rycerz oparł się o gruby kamień, z za którego plecy tylko i głowa jego wystawały. — Doszedłszy do głazu, z największą podniósł się nieznajomy cichością, dobył morderczego sztyletu i z zimną rozwagą szukał oczyma, gdzieby uderzyć przeciwnika, zbroją żelazną wszędzie okry-

tego. — Przez chwilę zwątpił o spełnieniu zamiaru, gdyż zobaczył, że pancerz wszędzie doskonale przystawał; ale dostrzegł na nieszczęście mały przedział, zostawiony między szyszakiem a zbroją. Szyderczy uśmiech, w którym znać było zadowolnienie z własnej zręczności, osiadł mu na ustach, wzniósł krwi chciwe żelazo i utopił go w rycerzu. — Tak silnie, tak dobrze raz był wymierzony, że rycerz, nie wydając żadnego jęku, upadł i zakończył życie. W mgnieniu oka zabójca porwał klucze, z szybkością błyskawicy pobiegł po swój płaszcz, podniósł latarnię i czapkę, drzwi przy bramie znajdujące się otworzył, wywlókł trupa i w głęboką rzucił fosę, a sam szybkim krokiem udał się w pole.

Noc zawsze była ciemną, chociaż czasem chmury odsłaniały niebo, a jednak nieznajomy szedł niezmiernie prędko, kierując swe kroki ku obozowi Anglików. Zdawało się, że doskonale zna swoją drogę; lecz kiedy już bliżej namiotów angielskich doszedł, zgasił światło i w największej cichości, lecz zawsze z tą samą szybkością szedł dalej. Nagle obrócił się w lewo, oddalił się od obozu i wszedł w ciemny las. — Postąpiwszy jeszcze kilka kroków, zapukał do chatki. — Drzwi się jej natychmiast otworzyły i wszedł do środka.

Ściany chatki, dosyć ubogie, ustrojone były rozmaitymi obrazkami, wystawującymi św. Michała, ścierającego się z duchem ciemności, św. Genowefę, klęczącą przed biskupem paryskim, i wieloma jeszcze innymi. —

Ogień, podsycany słomą i drzewem, oświecał całą izbę. — Wieśniak z żoną stali w kącie, a ich ubiór

ostatni stopień ubóstwa dowodził. Przy ognisku siedział mąż zbrojny — szyszak leżał przy nim — miecz podobnież z bogatym pasem spoczywał na ziemi. — Pancerz błyszczący strzegł jego ogromnych piersi, siłę olbrzymią pokazujących. — Nogi opierał na tarczy, na której wyryta strzała, przeszywająca serce, z takiem godłem: »W boju i pokoju zawsze trafiam w serce«. Lica jego były bladawe, a gęste wąsy zakrzywiały się nad szerokiemi usty. — Orli nos przedzielał twarz na dwie części zupełnie równe. — Kilka zmarszczków na czole dowodzi, że równie jest oddalony od młodości, jak od lat sędziwych. — Lekki rumieniec okrył jego lica za wejściem nieznajomego.

— Niech cię wszystkie pioruny zdruzgocą, Wilhelmie — ozwał się rycerz — przychodzisz tak późno: już od godziny tu być powinieneś. —

— Nie mogłem, hrabio; musiałem wprzód posłać szlachetnego rycerza na zwiady do piekła, czy tam już gotowe jest dla niej miejsce.

— Co znaczy ta mowa?

— Nic, to rzecz mała, do ciebie nie należy. — Wczoraj jeszcze twój list odebrałem. — Wiesz, co ci obiecałem, i dotrzymam. — Nie cierpię jej, nienawidzę. — Ona jedna poznała mnie, ona jedna śmiała odkryć tajniki mego serca przed wszystkimi; ale przysiągłem zemstę i dokonam.

— Więc mi ją wydasz jutro?

— Wydam, choćbym miał śmiercią jej zgubę przypłacić. — Kiedy się cofać będzie z wycieczki do miasta, każę bramę przed nią zamknąć, a tym sposobem wpadnie w twe ręce.

— Dobrze więc; ale, gdybyś mnie zwiódł, pamiętaj, że nigdy hrabia Salisbury nie przebaczył zdradzie, że wszędzie dosięgnie cię miecz lub topór, sztylet lub trucizna. —

Na te słowa uśmiechnął się nieznajomy i rzucił wzrokiem na swój pas, jak gdyby chciał powiedzieć: »I ja mam sztylet«.

— Ale teraz nie o tem mowa. Przysięgam ci, wpadnie w twe ręce. — Będzie twoją branką, ale wiedz — dodał cichym głosem — że nigdy Wilhelm de Flavy nic darmo nie robił, że całe życie się narażał, ale wtenczas, kiedy go nagroda czekała.

— Myślałem o tem, szlachetny Wilhelmie de Flavy — odparł hrabia Salisbury, mierząc go pogardy wzrokiem — przyniosłem ci nagrodę — oto ją masz — i wyjął z szyszaka trzy pierścienie, błyszczące się drogimi kamieńmi.

— Na samego szatana! — krzyknął Flavy. — To za mało, mości hrabio, to za mało. — Czy sądzisz, że za trzy nędzne obrączki zniszczysz obronę Francyi, postrach Anglii, weźmiesz w niewolę dziewicę, która zdobyła Orlean, włożyła koronę na skronie królewskie w Reims, zgromiła nieprzyjaciół w tysiącznych potyczkach — którą Bóg i anioły, cheruby i serafy bronią, strzegą, zakrywają przed pociskami wrogów? — Nie, nie nazywam się Wilhelmem de Flavy, nie jestem rządcą Compiègne, jeśli to się stanie! — Na Boga wielkiego, przez Wszystkich Świętych, nie dopuszczę tego, i nikt nie powie, żem za tak małą cenę zdradził Francyą.

— Jeśli chcesz większej nagrody — odparł żywo

Salisbury, wyciągając na pół miecz z pochwy — znajdzie się taka, która będzie zapewnie więcej ważyć od tych trzech dyamentów; ale pamiętaj, że ci na piersiach zaciąży — i wskazał mu godło puklerza.

— Angliku! — krzyknął Flavy — nie przysz[ed]łem tu się z tobą ścierać; nie na to przebyłem tysiąc niebezpieczeństw, żeby z twojej ręki stracić życie. — Nie chcesz dać mi większej zapłaty — zgoda; ale Joanna nigdy twoją nie będzie. — Ustąpisz z oblężenia i wrócisz z niesławą. — Żegnam cię. —

— Stój — ozwał się Salisbury — stój! Jesteś w mojej mocy — i zatrzymał go silną prawicą — zginiesz!

— A nawet i gdyby tak się stało — z największą odpowiedział Flavy spokojnością, dobywając nieznacznie sztyletu — cóżby ci z mej śmierci przyszło?

— Niech się więc piekło roztworzy pod twoimi krokami, bezwstydny i podły zdrajco! Weź jeszcze więcej, ale wydaj mi Joannę. — To mówiąc, wyciągnął z za pancerza dosyć wielki worek pieniędzy. — Ale przysięgam, że, jeżeli nie dopełnisz słowa, zaguba twoja gotowa; śmierć cię wszędzie doścignie, nie u[m]kniesz jej i wyzioniesz ducha w najokropniejszych mękach. — Pamiętaj, że nie młody Bedford, nie młody Sussex ci to obiecuje, ale Salisbury.

— Dopełnię obietnicy — spokojnie rzekł Flavy i, lekko skłoniwszy głowę, wyszedł z chatki. — Salisbury zaś na ognistym rumaku wrócił do obozu.

II.

Już są na koniach — świsnęli strzałą.
Brzękiem, parskaniem — rżeniem — tętęty
Huczała ziemia — powietrze grzmiało.
— — — — — — — — — — —
Starły się w pędzie obu wojsk szyki,
Jak wicher z wichrem, jak z chmurą chmura,
Biją pod nieba grzmotne okrzyki. —

Zaleski.

Następującego dnia po zdarzeniach, wyżej opisanych, stały jak najraniej przed sobą od strony Compiègne wojska francuskie, a naprzeciwko angielskie, gotowe do krwawej bitwy. Niebo zupełnie się wypogodziło, i wczorajszą burzę przypominała tylko zroszona murawa i drzewa, gdzieniegdzie po polu leżące.

Ze strony francuskiej odznaczała się na pięknym, białym koniu Joanna d'Arc, owych czasów bohaterka.— Świetna i lekka kolczuga jej piersi zasłaniała. Szata z czerwonego aksamitu spływała jej aż do kolan, a na niej złote gwiazdy wyszyte. — Skórzane, miękkie i krótkie buty z ostrogą złotą jej lekką stopę okrywały, a sztandar powiewał w jej ręku. — Na jednej jego stronie widziano Zbawiciela ukrzyżowanego, na drugiej anioła, zwiastującego Najświętszej Pannie przyszłe jej losy. — Naokoło zaś świetniły się srebrem wyrazy »Jezus-Marya«. Przy lewym jej boku wisiała tarcza, na której szpada, w niebieskiem polu, z obu stron liliami otoczona, podpierała koronę. — Niedawno Karol VII, król Francyi, udarował ją był tym herbem.

Jej twarz, jeszcze młoda, ogorzała od słońca, męskie wystawiała rysy, łagodzone anielskiemi oczy, w których słodycz i poświęcenie się bez granic malowały się. Usta miała bladawe, ale nagradzał tę bladość rumieniec, po licach rozlany, a wysokie czoło, które pod szyszakiem uchroniło się promieni słonecznych, białością i gładkością lilii wszystkich zachwycało. — Czarne włosy, w pięknych spływające na jej zbroję pierścieniach, dopełniały unoszącego obrazu. — Szyszak, który kładła dopiero przy rozpoczęciu walki, przywiązany był do siodła, a białe nad nim ulatywały pióra — na kolczudze miała obraz Matki Boskiej.

Rozmawiał z nią hrabia Dunois, najsławniejszy w tych wojnach rycerz. Jaśniejący stalowy szyszak, nad którym wznosiły się czerwone pióra, zbroja, złotemi liliami zdobna, miecz, któregoby niełatwo inna udźwignęła ręka, a który w jego prawicy, jak leszczyna, się uginał, tarcza bez żadnego godła, z koroną tylko hrabio[w]ską, długi puginał przy pasie, którym w owych czasach skracano boleści ranionego wroga, składały jego uzbrojenie. — Wzrok, ogniem męstwa pałający, a częściej zwracany na Joannę, niż naprzeciwko stojących Anglików, przydawał ozdoby jego twarzy, na której znać otwartość rycerską i waleczność lat młodych, żadnem niewstrzymaną niebezpieczeństwem. — Blizna na wzniosłem czole świadczyła trudy podjęte i stoczone walki.

Wszyscy go wielbili, wszyscy jednomyślnie jego cnotę, jego męstwo wychwalali; starsi tylko dodawali do pochwał, że więcej roztropności pomnożyłoby nowym jego zalety blaskiem. Od niedawnego postrzegano

czasu, że częściej towarzyszył Joannie, że częściej czarne oczy na nią zwracał i że często, chcąc do niej przemówić, zatrzymywał się nagle, jakby nieznaną muszony siłą. Często pośród zaciętej bitwy stawał, miecz spuszczał i, niebaczny na śmierć mu zewsząd grożącą i pociski wrogów, przypatrywał się anielskiej bohaterki postaci i jej niezrównanemu męstwu.

Niewiasta, rzucająca swej płci zatrudnienia, żeby przenieść się na pole bitew i bez żadnej litości patrzeć na rzeź i trupy, jest odrażającem stworzeniem; ale Joanna łączyła z rycerskiemi zatrudnieniami tyle dobroci, tyle słodyczy, tyle uległości i ufności w Bogu, że raczej wydawała się aniołem, zesłanym dla ocalenia wojowników, nie dziką, wyzutą z czułości, w mordach i krwi szukającą rozkoszy dziewicą. — Nie dziw więc, jeśli serce hrabiego Dunois pałało ku niej miłością. —

— Ciężką dzisiaj sprawę mieć będziemy — rzekł hrabia — ale mam nadzieję, że ten miecz potrafi ich zgromić. — Ale czegóż tak smutną jesteś, Joanno, oczy odwracasz, łzami zroszone?

— Niech Bóg okryje was prawicą swoją! — Niedługo już będę z wami — odpowiedziała Dziewica — mam przeczucie nieszczęśliwej doli. — Ale niech się dzieje wola Boska!

— Bóg zanadto sprawiedliwy, żeby chciał twojej zguby. On cię przysłał, on cię broni i pewnie nigdy nie odstąpi. Ale zdaje mi się, że Flavy został w mieście — hańba mu za to! — wtenczas, kiedy powinienby życie narażać dla ojczyzny...

— Zdradza ją — przerwała żywo Joanna, ale nagle wstrzymała wymykające się z ust słowa.

— Jakto? — rzekł Dunois.

— Nie wolno mi o tem mówić, nikogo nie chcę oskarżać. — Niech się dzieje to, co Bóg za dobre osądził; ale powtarzam ci, niedługo już będę z tobą, to jest — dodała z lekkim rumieńcem — z wami. Godzina wybiła, i dzisiaj się jeszcze spełnią niebios wyroki. —

— Jeśli się śmierci lub niewoli lękasz dzisiaj, wróć do miasta, zaklinam cię, wróć w te niedalekie mury; przeminie dzień złowróżby i znowu potem bez żadnej obawy pokażesz się na polu sławy.

— I takież mi hrabia Dunois rady daje! — Jażbym miała opuszczać pole bitwy, ja, której Bóg rozkazał roznosić postrach po szeregach angielskich? Nigdy moja chorągiew nie uchyli się przed wrogiem, za święte ona na to nosi znamiona. — Nie znasz mnie. — Od najrańszej młodości czułam gorącą chęć wydobycia ojczyzny z nieszczęść i wojen. — Bóg mym pragnieniom pobłogosławił, i jażbym teraz miała, niegodna jego łaski i sławy, uciekać, z murów patrzyć na ziomków, bezemnie ginących? — Dopóki kropla krwi we mnie płynąć będzie, dopóki ta ręka nie spocznie martwa w zimnym grobie, dopóty tym sztandarem wskażę Francuzom drogę zwycięstw i chwały. — Joanna d'Arc, choćby o dwa kroki śmierć widziała, nie cofnie się o jeden, by zguby uniknąć. — Wiem, pewna jestem, że dzisiaj spotka mnie nieszczęście; ale moją powinnością jest walczyć, zachęcać wojsko i w osta-

tnich jeszcze chwilach zostać godną i łask Boskich i względów ziemskich. —

Wszyscy uważali wtenczas za niechybne wszystkie proroctwa Dziewicy Orleańskiej. — Struchlał, słysząc jej słowa, Dunois i cichą tylko wzniósł do Boga modlitwę, prosząc go, żeby uchował od niebezpieczeństw niewiastę, której Francya swe ocalenie winna była. —

— Mam nadzieję — rzekł po krótkiej chwili — że Opatrzność ustrzeże cię od złego, a zresztą mój miecz dzisiaj przy tobie tylko błyskać będzie.

— Hrabio Dunois, powinnością twoją jest pełnić wodza obowiązki. — Zostaw mnie woli Boskiej, ale zaprawdę ci mówię, że ostatni raz rozmawiamy. — Żegnam cię więc, żegnam cię na wieki. Tam — i wskazała niebo — tam poznasz, że moje serce cię zrozumiało. — Ale Bóg wskazał mi drogę, pełną cierniów i przepaści; z posłuszeństwem ją przebyłam. — Za kilka godzin skończy się mój zawód, a niezadługo ciało moje będzie na tej ziemi, ale dusza wzleci tam, gdzie jej Stwórca wskaże.

To mówiąc, spięła konia ostrogą i, podnosząc chorągiew, — »Naprzód!« — zawołała — »bracia, naprzód!« — Dunois oddalił się, a łza smutku spłynęła na jego twarz, którą przyłbica zakryła. —

Hrabia Salisbury, dowodzący angielskiemu wojsku, z radością szedł do boju. W wielu bitwach okazał on męstwo, ale u niego równe były wszystkie sposoby, którymiby mógł dojść do zamierzonego celu. Używał miecza z walecznością, kiedy tego potrzeba wymagała, ale i trucizną nie gardził. — Przywiązany do swego króla, więcej go kochał, niż ojczyznę; dlatego

wszystkich środków używał, żeby przywrócić mu koronę francuską. Zresztą Salisbury kochany był od żołnierzy, od rycerzy szanowany; większa ich część bowiem nie znała jego zbrodni, skrytych w cieniach nocy.

Przekupstwem nieraz podbił wiele serc i zdobył wiele miast. Niedawno użył tego, jak widzieliśmy, sposobu na zapewnienie sobie zdobyczy, która miała w największej go u Henryka łasce ustalić i świetną chwałę zjednać w ojczyźnie. Ale oprócz tego nie cierpiał Salisbury Joanny d'Arc, która po wielekroć dumę jego ścierała i z małą liczbą wojowników ogromne jego znosiła pułki. Z radością więc w sercu szedł on do boju, pewny, że już bohaterka Francyi nie zdoła się wywikłać z sideł, około niej nastawionych. Przy jego boku cała młodzież angielska śpiesznie gotowała się do bitwy. — Książę Bedford w połyskującej zbroi zręcznie koniem kierował. Zemsta w nim wrzała, pragnął zguby Joanny i srogą ku niej pałał nienawiścią.

— Na świętego Jerzego! — krzyknął — oto i Francuzi do nas się zbliżają. — Piękny widok — wojsko prowadzone przez kobietę, przez czarownicę! Do broni, towarzysze, do broni! — Trzymajcie się silnie na koniach i za mną! — O, widzę, Francuzi na nasz środek wbiegają. — W półkole, przyjaciele, na prawo, rycerze, obróćcie się jeszcze trochę! — Teraz naciągnijcie cięciwy, łucznicy!

— Przez Boga, Mości Książę, chociaż jesteś bratem naszego króla, nie dowodzisz w tem miejscu — piorunnym zawołał Salisbury głosem. — Słuchaj więc moich rozkazów. — Na czele jazdy opieraj się Fran-

cuzom przez chwilę, ale coraz bardziej odstępuj, coraz bardziej do mnie się zbliżaj, a resztę nam zostaw. —

— Cóż to znowu, hrabio Salisbury, za rozkazy? Posyłasz mnie, jak szalonego...

— Po bitwie się rozmówimy. — W imieniu króla każę ci wypełnić moją wolę...

— I tego najświętszego imienia nie trzeba było — odparł Bedford z uśmiechem — żeby mnie do boju zachęcić. — To mówiąc, wziął część jazdy i poleciał wstrzymać zbliżających się coraz bardziej Francuzów.

Młody książę angielski tak wycieńczył niezmiernie prędkim biegiem swego konia, że ten o kilkanaście kroków od szyków francuskich padł z panem na ziemię. — Dosyć daleko jeszcze była jazda, na której czele miał walczyć Bedford. — Natychmiast tłum Francuzów go obskoczył, i z mieczami wzniesionymi krzyknęli żołnierze: »Poddaj się!«. —

— Nie zaraz przynajmniej — żartując w tak wielkiem niebezpieczeństwie, odparł Anglik — jeszcze kilku muszę wprzód dla zabawki zabić. I, dobywszy pałasza, zaczynał się ścinać na ostrze z otaczającymi, kiedy przypadł Dunois i rozpędził jego przeciwników.

— Konia księciu Bedford! — krzyknął, i natychmiast piękny czarny rumak stanął przed zdumionym młodzieńcem. — Nie ociągał się i, bez pomocy strzemienia skoczywszy na niego, lekko schylił głowę przed wodzem francuskim i rzekł mu:

— Wdzięcznym będę tak szlachetnemu rycerzowi. — Osiągniesz wszystko, co będziesz wymagał odemnie, oprócz zgwałcenia mej sławy lub cnoty.

To wszystko niezmiernie prędko się stało, i Bedford,

obróciwszy się, ujrzał swe hufce przybiegające mu na pomoc. Zaczęła się bitwa. Dopiero w niej okazywała się waleczność rycerzy angielskich i francuskich. Chęć zwycięstwa i wstyd niesławy obie strony zachęca. — Ale, gdziekolwiek mignął się sztandar Joanny, tam lica Anglików blednieją, tam im serce bić przestaje. — Zdaje się, jak gdyby silna Boska prawica spadła na nich i strasznym uderzyła ciosem. Ale, jak tylko oddalała się bohaterka, znów męstwo wracało, i znów szli tracić życie na polu sławy. Bedford, jak raz zaczął walczyć, jak raz mógł gonić Francuzów i kruszyć z nimi kopie, zapomniał o poleceniach Salisburego, a ponieważ oddział jazdy pod jego dowództwem był nieliczny, a załoga Compiègne dosyć wielka, coraz nierówniejsza stawała się walka. Dunois rzucił się między hufce nieprzyjacielskie i, straszny męstwem, straszny nadzwyczajną siłą, słał trupami ziemię, gdziekolwiek przechodził. — Nie mógł tego znieść Bedford, zgasły w jego sercu uczucia wdzięczności. Z całą zemstą, z całą wściekłością, której zdolne namiętne serce, rzucił się na Dunois.

— Dziękuję ci za spełnienie obietnicy, książę — krzyknął do niego hrabia francuski. Ale Anglik nic nie słyszał, bał się tylko hańby. Kopia jego trafiła w puklerz wroga i na drobne rozleciała się kawałki. — Miecz hrabiego Dunois spadł na szyszak Bedforda i skruszył przyłbicę. — Szyszak upadł na ziemię. — Dobył Bedford szabli i wściekle siekł nią w pancerz przeciwnika — Dunois wytrącił mu ją z ręki i oddalił się. —

— Żegnam cię, Bedfordzie; mężny jesteś, ale bądź

roztropniejszym — dodał rycerz francuski z uśmiechem.

— Na ś. Jerzego, ma prawdę — pomyślał Bedford i bez szyszaku, bez kopii, bez szabli, dopiero sobie przypomniał rozkaz Salisburego. Chciał go wypełnić, kiedy zobaczył cofających się w rzeczy samej i w największym nieładzie Anglików. Z rozpaczą w sercu przyłączył się do nich i tyle dokazał prośbami i wyrzutami, że, w lepszym się uszykowawszy porządku, powoli ustępowali.

Salisbury wyćwiczonem okiem poznał błąd Bedforda, natychmiast całe wojsko poruszył i pobiegł na pomoc bratu swego króla. Anglicy z odświeżonem męstwem wpadli na Francuzów, osłabionych długą walką i nierównych im w liczbie. Z radością patrzał z murów wysokich Wilhelm de Flavy, jak coraz więcej polegało Francuzów. Tu szyszak znikał, owdzie sztandar upadał — ale chorągiew Joanny wznosiła się nad wszystkimi szyszaki, nad wszystkimi sztandary. Na koniu białym przelatywała szeregi i, wskazując ręką Anglików, prosiła, błagała ziomków, żeby nie odstępowali i pamiętali na ojczyznę. Mężnie się opierali przeważającej potędze Francuzi. — Ale pole okryte było trupami najwaleczniejszych ich rycerzy. Dunois z bohaterską walecznością bił się z wrogami. Rzucił posiekaną tarczę. — Zbroja na jego piersiach zgruchotana, ale męstwo coraz się wzmaga w sercu, i, im większe niebezpieczeństwo, tem żądza sławy i miłość walk wzrasta. Jednak pomimo jego usiłowań znacznie zmniejszeni w liczbie Francuzi cofać się naprzód porządnie, a po

tem w rozsypkę iść poczęli. Ze łzami w oczach Dziewica, z rozpaczą w sercu Dunois zgromadzał kilku żołnierzy i z nimi wracał do boju. — Ze 60-ma towarzyszami długo opierali się Salisburemu, ale prawie wszyscy polegli. Flavy bramy otworzyć kazał i wpuścić wszystkich uciekających; ale w wielkiej niepewności zostawał, gdyż widział z daleka czerwone pióra hrabiego Dunois, a bał się, żeby król francuski za złe mu nie miał, że nie dbał o ocalenie pierwszego rycerza Francyi. Nareszcie Joanna i Dunois z nielicznymi załogi ostatkami zbliżyli się do murów. — Towarzysze ich prędko się schronili do miasta. — Dunois sam pośpieszał ku bramie, a za nim Joanna. Wtem usłyszał krzyk przeraźliwy i w tej samej chwili zobaczył, jak bramę miasta zamykano. Nad nią stał Flavy i uśmiechał się, jak duch złego, unoszący się nad polem swych zbrodni. Obrócił się rycerz francuski i zobaczył niedaleko otoczoną Joannę, mężnie odpierającą swoim sztandarem razy mieczów angielskich. Natychmiast zwrócił tam konia i, jak piorun, wpadł między żołnierzy angielskich. »Śmierć wam!« krzyknął i podniósł silną prawicę. Pierwszy hr. Essex upadł pod jego mieczem. Wszyscy drżeli na widok rycerza. — Ale Joanna słabym rzekła doń głosem:

— Zostaw mnie, darmo już walczysz.

Bohater francuski skoczył z konia i, zakrywając ją własnem ciałem, oburącz siekł po zbrojach angielskich. Jedną on ręką wspierał ranioną Joannę, drugą bronił jej z całą dzielnością i z całem natężeniem, jakiego był zdolny. Miłość ojczyzny i miłość ulubionej sił mu przymnażały. Padali u jego stóp żołnierze angielscy,

ale krew własna rumieniła mu zbroję. — Kilka już strzał go dosięgło. Pióra, unoszące się niedawno nad jego szyszakiem, leżały na ziemi, krwią zbroczonej, a kawałki zbroi za każdem uderzeniem odpadały. Męstwo nie słabło, ale wycieńczone siły już odmawiały pomocy. Nie tak już szybko wywijał mieczem, nie z taką już mocą odpierał wrogów. — Joanna zemdlała ciężyła mu na lewej ręce, jej blada twarz i zgasłe oczy rozpacz wzniecały w duszy rycerza. — Czuł, że już się nie będzie mógł długo bronić; ale nadzieja, że Flavy przyszle posiłki, jeszcze go utrzymywała. — Wtem przypomniał sobie słowa Joanny, i znikł z jego serca ostatek nadziei. — Śmierć niechybną widział; ale nie dbał o siebie, o Joannie tylko myślał.

Wtem przybiegł Salisbury na czarnym koniu. — Stanął, z początku zdumiony walecznością rycerza, odpierającego tłumy nieprzyjaciół, ale krótko to uczucie w nim trwało. Porwał za topór i z rzadką szybkością, zaszedłszy z tyłu rycerza francuskiego, w hełm go przeważnym uderzył razem. — Opadła prawica bohatera, krew potokami z ran wytrysnęła; przez chwilę jeszcze utrzymywał się na nogach, ale schylił głowę na piersi, zawarł powieki i upadł na stosie trupów. — Jeszcze się raz chciał podnieść, jeszcze raz oczy otworzył i zobaczył Anglików, uprowadzających upragnioną zdobycz. — Zupełna go wtenczas niemoc opanowała, i zemdlał.

Otwierając po kilku dniach pierwszy raz oczy, poznał, że się znajduje w pałacu rządcy Compiègne. Pierwsze jego słowa były:

— Gdzie Joanna d'Arc?

— Wzięto ją w niewolę — z udanym odpowiedział Flavy żalem. —

— Przypominam sobie — rzekł Dunois — że nikt ani jej, ani mnie w pomoc nie przyszedł. A Anglicy?..

— Nazajutrz po wzięciu Joanny d'Arc oddalili się i miasto od oblężenia uwolnili.

III.

Jeden i drugi wnet miecza dobywa,
I obaj skoczyli wnet z koni:
I oto się walka zaczyna straszliwa.
Chrzęst zbroi, szczęk mieczów powietrze rozrywa,
A iskry się sypią z ich broni.
Jeden i drugi nastaje i siecze.
Już obu krew broczy pancerze:
Jak ognie się jakie krzyżują ich miecze.
Z obudwu znój ciężki, z obudwu krew ciecze.

Bürger, tłum. Odyniec.

Rok już upływał, jak Joanna, wzięta w niewolę pod Compiègne, jęczała w więzieniu miasta Rouen, będącego jeszcze w mocy Anglików. Wielu rycerzów francuskich starało się o jej uwolnienie, wielu zbrojnie napadało na Rouen; ale Anglicy zanadto cenili swoję zdobycz, żeby ją mieli tak łatwo z rąk wypuścić. — Kilka przedsięwzięć się nie udało, a Karol VII zapomniał prędko o tej, która w kościele Reims koronę mu na głowę włożyła. Anglicy, chcąc się zemścić niesławy swojej na nieszczęśliwej dziewicy, męczyli ją wszystkimi sposoby. Sąd, złożony z biskupa z Beauvais i kilku Anglików, skazał ją naprzód na wieczne więzienie, a kilka dni później na spalenie.

Przybliżał się dzień 30 maja 1431 r., w którym bohaterka Francyi miała zginąć przez niedbałość swego króla, a zbrodnię i nienawiść nieprzyjaciół. — Nieszczęśliwa Joanna, spokojna w nieszczęściu, oddająca się woli Boskiej, zapragnęła spowiednika. — Już nazajutrz miała stracić życie niewinne. — Ciemna komnata, dostępna małej tylko części promieni słonecznych, zewsząd podwójnemi drzwiami i żelaznemi otoczona kraty, składała już od roku mieszkanie Joanny w wieży, służącej za więzienie oskarżonym o najczarniejsze zbrodnie. Zakonnik w długiej szacie, z kapturem, twarz zasłaniającym, stał przy klęczącej dziewicy. — Długa, biała broda spływała mu na piersi, ale wzrok bystry i żywy nie zgadzał się ze znakami starości. — Jak tylko ostatni z żołnierzy, którzy go wprowadzili, wyszedł, zrzucił zakonnik swój kaptur i długą szatę, a na miejscu starca z siwą brodą stanął przed zdziwioną Joanną mąż zbrojny od stóp do głowy. Pancerz czarny i hełm czarny żałobę oznaczały. — Łzy mu z ócz płynęły. —

— Ah! — Dunois — rzekła pomięszanym dziewica głosem. —

— Tak — ozwał się bohater — Tak, Joanno; po wielekroć starałem się tym mieczem wydobyć cię z tych katuszy, ale nie powiodło się nam w zamiarach. — Podstępu użyłem. — Weź, zaklinam cię, jak najprędzej te szaty zakonne, weź je: one cię jedne ocalić, one jedne zbawić cię mogą. — Za miastem stoi piętnastu moich żołnierzy i biały rumak niecierpliwie czeka na ciebie.

— A cóż się z tobą stanie?

— Zostanę tutaj, dopóki tyle czasu nie upłynie, żeby pogoń Anglików bez[s]kuteczną była. —

— Ale co godzina przychodzą do mego więzienia: znajdą cię i zabiją! —

— Czyż za nic już nie masz — odparł z pewnym rodzajem dumy Dunois — tego ramienia?

Pomyślała chwilę Dziewica Orleańska. — Z początku, za poznaniem hrabiego Dunois, żywy rumieniec zapłonął jej lica; ale zaczął stopniowo się zmniejszać, a kiedy jej myśli, opuszczając ziemię, wzniosły się do Boga, zniknął on zupełnie. — Miłość życia w pierwszej chwili w niepewność wprawiła Joannę. — Ale cnota i męstwo wzmogły jej siły. — Poważną przybrała postać — oczy jej wzniosły się do nieba, rękę położyła na sercu i, jak gdyby już nic ziemskiego nie miała, w takie do rycerza odezwała się słowa:

— Nie, już się wszystko dla mnie na tym świecie skończyło — nie ujrzę już Francyi, nie ujrzę już rodzinnej zagrody. — Taka jest wola Boga. — Ogłaszam ci ją. — Bądź więc jej posłuszny i nie sprzeciwiaj się Opatrzności. — Ojczyzna nie potrzebuje już Joanny d'Arc. Jutro przejdę do życia szczęśliwszego, jutro na łonie Stwórcy będę się cieszyć i chwalić Boga moich naddziadów. — Wracaj, szlachetny rycerzu, uchodź od zdrad swych nieprzyjaciół, bo tysiąc oczów patrzy na ciebie, tysiąc sztyletów wznosi się nad twemi piersiami. Joanna d'Arc może przyznać przy śmierci, kiedy już za kilka chwil ma opuścić wszystkie uczucia ziemskie, że jednego kochała na tej ziemi człowieka, i ty nim byłeś. — Żegnam cię, żegnam na wieki — nie opierajmy się rozkazom Boskim, a w niebie kiedyś

połączeni, razem pić będziem z kielicha nieśmiertelności.

— Nie, Joanno, nie moja lubo, nie zostaniesz w tem czarnem więzieniu; Bóg nie byłby dobrym, gdyby chciał twej zaguby, a zresztą — dodał — jeśli taka twoja wola, zostaję się tutaj i Dunois woli zginąć z tobą, niż żyć bez Joanny.

— Gińże więc! — krzyknął rycerz, wpadający do więzienia ukrytemi drzwiami.

Był to Salisbury; rzucił się na Dunois z dobytym mieczem. Ale wprzód, nim go dosięgnął żelazem, drugi mąż zbrojny stanął między nim a francuskim rycerzem.

— Na Ś-go Jerzego — ozwał się — nic z tego nie będzie, żeby nie tylko Salisbury, ale i całe piekło wdało się w tą (s) sprawę. — Prawda, że nie pięknie, mości hrabio Dunois, takich podstępów używać; ale na Boga, nic ci nie będzie. — Daję ci książęce słowo, że jesteś bezpieczny i że, zawdzięczając ci za ocalone mi po dwakroć pod Compiègne życie, pozwalam ci się bawić w tem mieście, dopóki zechcesz, i być jutro na widowisku, w którem mi się zdaje, że jedna z osób, tu się znajdujących, działać będzie — i rzucił wzrokiem na dziewicę, z której tak okrutnie się urągał; ale jej twarz była spokojną, litość tylko malowała się w jej oczach.

— Bedfordzie — krzyknął wściekle Salisbury — i na to cię z sobą przyprowadziłem, żebyś mi przeszkadzał?

— Może i na to — śmiejąc się, odparł Bedford — ale pamiętaj, żem winien życie hrabiemu Dunois i że

pierwej sam zginę, nim mu jeden włos spadnie z głowy.

— Ale przynajmniej mi wolno — z utajonym gniewem ozwał się Salisbury — rzucić mu rękawicę.

Podniósł ją Dunois i pytał się, gdzie i kiedy ma z nim walczyć.

— Natychmiast — odparł Salisbury — i za miastem.

— Ja tego pojedynku będę świadkiem — krzyknął Bedford — i nie masz żadnej zdrady lękać się od brata króla angielskiego.

Ze łzawemi oczyma patrzała na rycerza, idącego narażać swe życie. Żadne słowo z ust jej nie wyszło, ale wzrok, pełen czułości, trafił na wzrok hrabiego Dunois. — Bohater padł jej do nóg i, ostatni raz przyciskając do ust rękę, tyle razy zwycięską, żegnał się z Joanną. Schyliła dziewica głowę i drżącym wyrzekła głosem:

— Kocham cię, Dunois; wypełniszże to, o co cię prosić będę?

— Wypełnię, żebym miał życie utracić!

— Zapomnij więc o mnie, a przynajmniej nie staraj się o moje uwolnienie, bo już napróżno.

— O Boże, jakże ciężkie twe wyroki! — rzekł rycerz francuski i, powstawszy, szedł za wrogiem.

Niedaleko za miastem Rouen jest pole, zwane »polem Śmierci«, bo na nim śmiertelne walki mężni odprawiają rycerze. Zagroda z dębowego drzewa otacza miejsce, na którem walczą wojownicy, a czarna chorągiew z herbem miasta Rouen i trupią nad nim głową wznosi się na środku. W to więc miejsce Salisbury z wściekłością w sercu prowadził Bedforda

i hrabiego Dunois. Wolał onby zapewnie zdradą zakończyć życie szlachetnego wroga, ale Bedford stał mu na przeszkodzie — a nareszcie męstwo się ozwało, a gniew, wzruszając namiętności, dodał Salisburemu odwagi. Podczas drogi Bedford mieszał z żartami rady, które dawał Salisburemu.

Dunois szedł, pogrążony w rozpaczy, i pierwsza jego myśl była dobrowolnie stracić życie w walce z Anglikiem. Jednak duma rycerska i miłość sławy wkrótce odzyskały swoje prawa, a zemsta, sroga zemsta nadewszystko zapaliła duszę rycerza.

Stanęli naprzeciwko siebie wrogowie.

Książę Bedford z założonemi rękoma oparł się o czarną chorągiew i z uśmiechem na ustach przypatrywał się walce.

— Broń się, Salisbury — wołał — broń się, żeby ci pięknej zbroi nie popsuł Dunois. — Oh, mości hrabio, zdaje mi się, że milsza muzyka hiszpańskiej gitary, niż miecza Salisburego, o twoją bijącego zbroję.

Dunois, dobywszy szabli, podsycany zemstą, zapalony obrazem jęczącej w więzieniu Joanny, zapamiętale rzucił się na wroga, ale zbroja Salisburego z twardej stali ochraniała pana od śmierci. Przeciwnie, nie tak hartowne żelazo pękało na piersiach Francuza. — Szyszak jego, na dwoje przeważnym razem Salisburego przecięty, upadł na ziemię. W tej samej chwili i miecz jego rozprysł się na drobne kawałki. Rękojeść sama tylko została mu się w prawicy. Wtenczas Dunois z największą zapalczywością rzucił się na Anglika, wyrwał mu miecz z ręki, który aż przed Bedfordem upadł, a silnem ramieniem wpół objąwszy

Biblioteka Publiczna im. J. Kochanowskiego w Siedlcach Nr

Salisburego, powalił na ziemię. Upadł Anglik w kurzawę. Zwycięzca wzniósł sztylet nad jego sercem.

— Śmierć — zawołał — lub życie Joanny!

Salisbury wahał się, widząc razem i hańbę i zagubę tak blizką. Już chciał podstępem uniknąć śmierci, chciał przyrzec uwolnienie bohaterki, a powstawszy, wpaść na hrabiego i wydrzeć mu życie, ale Bedford stanął przy nim.

— Hrabio — rzekł — masz prawo wymagać od zwyciężonego przeciwnika wszystkiego, coby ani jego sławie, ani wierności, którą winien swemu królowi, się nie sprzeciwiało. Święty nasz kościół, władze duchowne i wojskowe, biskupi i wodzowie, cały naród angielski i król jego skazali na śmierć Joannę d'Arc, jako oskarżoną o porozumienie się ze wspólnym dusz naszych nieprzyjacielem, z duchem ciemności, i o wiele innych zbrodni. Nie jest więc w mocy Salisburego odwrócić śmierć od niej. Nawet, gdyby ci to przyrzekł, pewnoby nie dotrzymał i nie mógł dotrzymać, bo ja, brat i zastępca króla Anglii, ja, książę Bedford, nigdybym na to nie zezwolił. Wymagaj więc od niego inszych rzeczy, nie takich, których i jako Anglik i jako poddany kościołowi i najwyższej władzy, dopełnić nie może. Zresztą pozwalam ci — dodał z uśmiechem — przekłuć mu serce tem żelazem, któreś tak zręcznie dobył. Możesz go zabrać w niewolę, poprowadzić na dwór Karola, w klatce żelaznej zamknąć i wszystkimi męczyć, dręczyć, mordować sposoby, ale nie wolno ci narażać jego sławy i wierności.

— Przyznaję — odpowiedział wtenczas Dunois z gorzkim uśmiechem — przyznaję, żem za daleko

postąpił, narażając życie w walce z rycerzem, który się ani bić, ani rycerskiemu słowu zadosyć uczynić nie umie, osobliwie, kiedy znajdzie w osobie książęcia Bedford tak wymownego obrońcę. Salisbury, daruję ci życie.

To mówiąc, puścił Anglika bohater francuski, a miecz jego podnosząc:

— Używam — rzekł — praw zwycięzcy. Ten miecz od tej chwili moim będzie. Przypomni mi nieraz, jak mało trzeba ufać cnocie angielskiej. Ale słuchaj, książę: musisz mi pozwolić jeszcze raz widzieć się z Joanną.

— Nadto szanuję twe życie, mości hrabio, żebym miał na to przystać. Znowuby cię może jaki podsłuchujący rycerz napadł — i, to mówiąc, rzucił Bedford wzrok pełen urągania na Salisburego, który, zwalany kurzawą, w połamanej zbroi i bez miecza, z spuszczonemi oczyma i z wściekłością w sercu odchodził — a zresztą jutro dosyć będziesz mógł nasycić się widokiem pięknych, złotych płomieni, które, jak koroną, jej głowę otoczą. Wierz mi, nic zabawniejszego nie będzie, widzę już jej skromne oczy; ale jak ogień palić zacznie....

— Na Boga, mości książę — krzyknął Dunois, ściskając go tak silnie za rękę, że aż Anglik zbladł — twe usta nie godne wymówić imienia tego anioła. Nie urągaj się z niej, bo widziałeś, że niedawno Salisbury leżał pół umarły na miejscu, gdzie stoisz. Na nieszczęście winienem ci życie; to mnie jedno wstrzymuje, bo inaczej przysięgam, że już dawnoby twe usta na zawsze się zawarły.

— Żegnam cię — rzekł Bedford, unikając bohatera — dotrwam w danem słowie, choć nie z francuską grzecznością ze mną się obchodzisz. Muszę iść wszystko przygotować do jutrzejszej zabawy.

IV.

. . . . . i w jednej godzinie
Ginie niewinność, lecz i zbrodnia ginie.
Bezimienny. Stara ballada.

30 maja 1431 r., w dzień oznaczony na spalenie Joanny, w pałacu księcia Bedford, w sali, podpartej wysokiemi z marmuru kolumny, siedział Salisbury przy stole, na dwie osoby nakrytym. Ogromne dwa złote puhary stały na nim, a w srebrnej konwi czerwone Burgundyi pieniło się wino. Zdawało się, że wódz angielski oczekuje osobę, której przybycie niewiele przyjemności wróżyło. Długo, pogrążony w myślach, chodził szerokim po komnacie krokiem. Czasem marszczył brwi, czasem spokojność zupełna panowała na jego twarzy. Stanął nakoniec, chwilę rozmyślał i rzekł sam do siebie: »Postanowiłem i tak być musi«. Potem usiadł na krześle, w aksamit obitem, przy stole i już spokojnie czekał na gościa. Drzwi się wkrótce otworzyły. Wszedł człowiek miernego wzrostu. Czapka i czarne pióra, spadając mu na twarz, zasłaniały ją, a ogromny płaszcz całego zakrywał.

— Zrzuć ten ubiór, Wilhelmie — krzyknął Salisbury — zrzuć, nie masz się czego lękać w domu przyjaciela.

Osoba, do której tak mówił Anglik, obejrzała podejrzliwem okiem całą salę i przeszła się dwa lub

trzy razy między filary, a nakoniec zrzuciła swój płaszcz i czapkę.

Lekki owych czasów ubiór osób wyższego dostojeństwa pozostał na Wilhelmie de Flavy — pas, bogato w złoto i srebro tkany, krótką utrzymywał szpadę.

— Zawsze podejrzliwy jesteś, Flavy — rzekł mu powtórnie Salisbury — czegóż się lękasz u przyjaciela? Zdejm tę broń, która ci ciąży.

— Zadosyć czynię twoim, mości hrabio, rozkazom — odparł cichym Wilhelm głosem i rzucił szpadę daleko od siebie. Potem, zbliżywszy się do Salisburego, wziął go za rękę i tak mówić zaczął:

— Pamiętasz, Salisbury, pamiętasz tę noc, w której przedałem ci i obronę Francyi i sławę moją? Pamiętasz, że, wydobywszy trzy pierścienie z szyszaku, chciałeś nimi zakupić sobie największe korzyści? Przyznaję, żeś mnie kilka chwil później większą obdarzył zapłatą; ale teraz, kiedy postradałem moje urzędy, kiedy za sprawą tego przeklętego Dunois muszę się tułać, przebrany, a niezadługo może pójść prosić o litość dumnych panów, nad których wznosiłem się kiedyś, czyż nie widzisz, hrabio Salisbury, że twoją powinnością jest wynagrodzić to, com dla ciebie stracił? Żądam więc nagrody takiej, jaką ci sam naznaczę, albo inaczej wydam twą zdradę, wydam twe zbrodnie. Powiem przed światem, że James Salisbury, wódz wojsk angielskich, nie zbrojną ręką, jako na rycerza przystoi, nie męstwem, tylekroć głoszonem, ale zdradą, przekupstwem, najczarniejszym podstępem wziął w niewolę niewinną i waleczną dziewicę, żeby ją przez rok w ciężkiem męczyć więzieniu, a później

na stosie zgubić. — Powiem wszystkie twoje zamysły, wszystkie twe obłudy, bo mi je sam odkryłeś. — Wyjawię czarność twej duszy, zerwę zasłonę, kryjącą twe bezecne serce, i wydam cię na pogardę rycerzy i ludu. — Lecz jeszcze możesz uniknąć tej niesławy — możesz jeszcze pełną złota ręką oddalić od siebie hańbę — możesz zamknąć me usta i kupić nieśmiertelną chwałę. — Będzie jeszcze twoim przyjacielem Wilhelm de Flavy, ale ratuj go, ratuj, bo inaczej, wpadając w przepaść, ciebie za sobą pociągnie — ciebie, hrabio Salisbury.

Słuchał z niecierpliwością Anglik tej mowy.

— Sprawiedliwe twe żądania — odparł nareszcie z wściekłością, źle tajoną — ale w przyzwoitszych mogłeś je wyrazić słowach; siadaj do stołu, przy nim się rozmówimy.

— Ani kroku dalej nie postąpisz, mości hrabio, jeśli mi nie zaręczysz słowem rycerskiem, że dasz nagrodę.

— Zaręczam ci więc słowem rycerskiem, że ją dostaniesz, może nawet podczas obiadu. Siadajmy teraz i, oddaliwszy smutne i nieprzyjemne myśli, cieszmy się, że znowu razem jesteśmy.

Siadł z posępnem Flavy czołem. Kilka paziów pięknie ubranych przyniosło potrawy. Wnet się oddalili, a Salisbury zamknął wszystkie drzwi i zasunął rygle.

— Cóż robisz — krzyknął Flavy, szukając oczyma swej szpady, której już nie było — cóż robisz? Ja bezbronny, a u twego boku ciężki pałasz widzę.

— Jeżeli ci o to idzie — odparł z szyderskim Sa-

lisbury uśmiechem — rozprószę twą bojaźń. — To mówiąc, odpiął szablę i położył ją daleko od stołu.— Zamknąłem drzwi, żeby nam nikt nie przeszkodził. — Bo trzeba nam nareszcie zgodzić się z zacnym naszym przyjacielem Wilhelmem de Flavy. — Jednak ci powiem, że nie jestem bardzo bogaty.

— Znać to po tych puharach — odparł Flavy.

— Jeśli ci mogą w czem pomódz, masz je.

— Dobrze — rzekł Flavy — ale nie sądzę, żeby twoja wspaniałomyślność tę tylko nagrodę przeznaczała za tak wielkie ofiary, za tak znaczne usługi, za tak ogromne szkody, które poniosłem. Bo naprzód wiedzieć ci trzeba, że mój pałac w Compiègne . . .

— Dajże mi pokój z podobnymi żalami — przerwał Salisbury — i bez nich znajdziesz we mnie wiernego przyjaciela. — To mówiąc, uścisnął Francuza za rękę; ale to ściśnienie podobniejsze było do ściśnienia wroga, niż do słodkich przyjaźni uścisków.

— Jeśli się tak tobie podoba, już nie będę mówił o moich nieszczęściach.

— Skosztuj tego burgundzkiego wina — rzekł Salisbury i nalał mu i sobie pełną czarę.

— Niech żyje przyjaźń! — krzyknął Flavy.

— Niech żyje! — powtórzył Salisbury, ale ogień nienawiści żarzył się w jego oczach.

— Pomyślałem — znowu po chwili się ozwał Anglik — że te cztery czapraki, w końcu sali za tym ostatnim filarem leżące, mogłyby się tobie przydać.

Na te słowa porwał się Flavy i pobiegł oglądać lśniące się złotem i drogimi kamieniami czapraki. — Salisbury został się przy stole i, zręcznie wydobywszy

z piersi małej flaszki, wpuścił kilka z niej kropel do czary Wilhelma i znów ją schował.

Tymczasem chciwy Francuz zatapiał wzrok w bogatych łupach, niegdyś wziętych ze dworu Karola VI. Nie mógł się dosyć nacieszyć ich widokiem; ale zawsze niedowierzający, wziął je i wprawnemi oczyma starał się poznać, czy prawdziwe na nich złoto, czy nie fałszywe kamienie. Uradowany nakoniec z dobrego skutku swych poszukiwań, stanął przed nimi i używał największej rozkoszy, jakiej zdolne było jego niegodziwe serce. Bojaźń znikła, uwierzył w przyjaźń Salisburego. Ale ponieważ chciwość nigdy się nasycić nie może, postanowił udawać przed Anglikiem, że to jeszcze za mało, i większej jeszcze wymódz od niego nagrody. Wrócił więc do stołu i rzekł do Salisburego:

— Zapewnie kosztowne to rzeczy, ale moje straty...

— Ah! jeszcze — przerwał Salisbury — jeszcze o stratach... — — Obiecuję ci coś więcej. — Wypijże ten puhar.

Wziął Wilhelm de Flavy z radością w sercu puhar śmierci i wychylił go aż do dna; ale nie mógł go już na stole postawić. — Wymknęła się złota czara z ręki i padła na marmurową podłogę.

— Przebóg — krzyknął Flavy — źle mi jest.

Powstał Salisbury i z szyderczym uśmiechem:

— Żądałeś — rzekł — jeszcze większej nagrody. — Masz ją — wypiłeś truciznę.

Jeszcze tych słów nie skończył Anglik, aliści Flavy, ostatki sił ginącego życia dobywając, rzucił się na

niego i, jedną ręką ścisnąwszy go za garło, drugą sztylet mu w piersiach utopił.

— Umieraj więc i ty, wspólniku zbrodni — krzyknął.

Oba runęli na ziemię. Salisbury chciał się jeszcze podnieść, ale Flavy podwoił swe razy i wydarł życie wodzowi angielskiemu. Sam zaś obok skrwawionego trupa zakończał w okropnych boleściach dni, na zbrodni i zdradzie spędzone. Bladość śmiertelna rozlała się po jego twarzy, gwałtownie ściskał dłonie, miotał się po ziemi. Raz zamykał oczy, to znów je otwierał i, jakby okropnym uderzony obrazem, jęki tłumione wydawał. W swojej wściekłości czołgając się, przybliżał się do zabitego Anglika i, jakby chciał swoją zemstę jeszcze nasycić, utapiał w jego zimnej piersi po kilka razy zabójcze żelazo.

— O Joanno, widzę ciebie; oddal się odemnie, straszny obrazie! — krzyczał w pomieszaniu — Widzę, jak płomienie cię otaczają, widzę, jak nieprzyjaciele zapalają twój stos. — Czegóż tak strasznie na mnie spoglądasz? Cóż wymawiasz mi? Ale nie, nie zdradziłem ciebie; nieprawda, Salisbury sam tylko winien. — Oddal się, szatanie, oddal się, duchu złego; zatapiasz szpony w mych piersiach, rozdrażniasz me serce....

Takim sposobem w ostatnich ulatującego życia chwilach dręczył się nieszczęśliwy. — Boleści stawały się coraz silniejsze, piana z ust mu wypływała, włosy jeżyły się na głowie, oczy w słup przewracając, rzucał się z wściekłością, a nie mógł ani ulżyć, ani skrócić srogiej męczarni. Wtem z daleka| ozwały się ko-

tły i trąby, usłyszał Flavy tętnienie kopyt i pomieszane okrzyki ludu. Głos silny przy drzwiach sali zawołał:

— A cóż, Salisbury! Już czas, czekają tylko na ciebie; nacóż drzwi zamknąłeś? — Otwórz je — otwórz!

— Już on ich nie otworzy — odparł Flavy, dobywając ostatki sił swoich — ratuj mnie, ratuj!

Wyleciały wybite drzwi z trzaskiem, a książę Bedford wszedł do sali; ale zaraz cofnął się w tył, przerażony i zdziwiony tak niespodzianym widokiem.

— Zmiłuj się nademną, zmiłuj się — słabiej mówił Flavy — a przyrzekam, będę już cnotliwym; nikogo nie zabiję, nikogo nie zdradzę.

— Cóż to jest? — krzyknął Bedford, przybliżając się; ale więcej mówić nie mógł, słowa zatrzymały się na jego zbladłych ustach.

— Widzisz karę moich zbrodni. On i ja zdradziliśmy ją. — Ona niewinna.

Kończąc te słowa, rozciągnął gwałtownie Flavy wszystkie swe członki, głowa jego upadła na kamienną podłogę, i dech ostatni wyzionął.

Śpiesznie oddalił się książę Bedford i kazał kilku żołnierzom zabrać oba ciała i całe zdarzenie w największej zachować tajemnicy. Rodzaj jakiś trwogi owładnął jego sercem, i słowa »ona niewinna« co chwila powtarzało mu własne sumienie; co chwila się wzmagało jego pomieszanie, i stał mu ciągle przed oczyma obraz kary dwóch zbrodniarzów.

Ale wkrótce odgłos trąb i bębnów i krzyki wojska angielskiego, wołającego pomsty, rozprószyły czarne myśli. — Żwawo skoczył na konia i na czele swych

rycerzy jechał w świetnej zbroi na plac Ś-go Michała, na którym stos wystawiony oczekiwał przybycia ofiary. — Przed nim pięciu żołnierzy prowadziło nieszczęśliwą Joannę, w kajdany okutą — każdy z nich trzymał zapaloną pochodnię, którą miał stos zapalić. — Mnóstwo ludu, wielu rycerzy angielskich, mniej daleko francuskich, szło przypatrywać się męczarniom bohaterki. — W jednych umyśle chęć zemsty wrzała, a nadzieja prędkiego jej spełnienia radością ich unosiła. Drudzy, nie tak gwałtowni, szli z ciekawości patrzeć, jak niewiasta w płomieniach ginąć będzie. — Ale wszyscy młodzi rycerze angielscy żałowali Joannę, wzruszeni jej anielską pięknością i niczem niezmienioną słodyczą. Nareszcie stanęli wszyscy na placu Ś-go Michała. Ogromny wieniec ludu stos opasał. Dachy domów okryte były widzami. —W białej sukni niewinna dziewica niewzruszonym wstąpiła krokiem na stos wysoki i, uklęknąwszy, ostatnie odbierała od kapłana w tem życiu pociechy.

Tymczasem dwieście ciężko zbrojnych żołnierzy stos nieprzerwanym okrążyło łańcuchem. Dano im rozkaz zabicia odważającego przełamać ich szeregi. — Z jednej strony stał książę Bedford na koniu, a około niego młodzież angielska w bogatych pancerzach. — Z drugiej strony w ubiorze uroczystym siedział na wzniosłem krześle biskup z Beauvais i sędziowie Joanny, wszyscy w aksamitnych, czerwonych sukniach.

Czasem słychać było Anglików, wołających: »Śmierć, śmierć! — Czego się tak długo spowiada? — Zapalcie stos!« — Rzadziej daleko odzywały się głosy ry-

cerzy francuskich: »Wolność Joannie! — Śmierć nieprzyjaciołom!«

Dziewica skończyła spowiedź, a zakonnik zszedł ze stosu. Dał znak ręką Bedford — i już czerwonawe pochodnie miały wzniecić zgubne płomienie, kiedy dotąd niepostrzeżony rycerz z tłumu: »Stójcie!« zawołał.

Zbroja jego całkiem czarna, czerwona kita nad hełmem się unosi — spuszczona przyłbica — wyniosła jego i groźna postać obudza we wszystkich uszanowanie. Każdy się ustępuje z drogi mężu czarnemu. Przybył on aż do żołnierzy, stos opasujących, ale nie chcieli go puścić, i jeden nawet śmiał podnieść dzidę na rycerza. Zaiskrzyły mu się z gniewu oczy, i, gardząc takim nieprzyjacielem, nie dobył miecza, ciężką tylko żelazną rękawicą uderzył go w szyszak, a żołnierz bez zmysłów upadł na ziemię. Przerażeni, rozstąpili się inni, a mąż czarny wstąpił na wyniosły stos. — Bedford przybiegł na koniu i już chciał poskromić nieznajomego, gdy poznał u jego boku miecz Salisburego. Cofnął się więc i dozwolił hrabiemu Dunois jeszcze raz pożegnać się z Joanną. — Dziewica straciła swe męstwo, widząc u nóg ukochanego rycerza. — Kilka chwil przedtem śmierć zdawała się jej końcem smutków i udręczeń; ale teraz pod okropną stanęła w jej myśli postacią. — Człowiek, który jeszczeby mógł ją do życia przywiązać, dla którego tylko żałowaćby mogła tej ziemi, był przed nią, ściskał jej rękę i gorącemi oblewał łzami. Rozpacz, połączona z chęcią zemsty, ze smutkiem niepodobieństwa jej dokonania, malowała się na jego twarzy. Widać

było bladość, śmierć poprzedzającą, na jego licach i zdawało się, że chwila, która skończy życie Joanny, będzie chwilą skonania hrabiego Dunois.

Ten bohater, tyle razy zwycięski, postrach Anglików, obrona ojczyzny, ten mąż, patrzący z niewzruszonem sercem na rzeź i trupy, jęczał teraz na stosie, we łzach się rozpływał i imieniem Joanny, sto razy powtarzanem, napełniał powietrze. Wszyscy rycerze angielscy wzruszyli się tym widokiem. Częstsze już się odzywały głosy: »Wolność Joannie!«

Nawet Bedford, choć żadna łza nie spłynęła z ócz jego nieczułych, chociaż się jeszcze uśmiechał, uśmiechał się politowania, nie urągania się śmiechem.

Joanna uczuła jednak, że trzeba skończyć tak smutne dla niej i hrabiego Dunois pożegnanie i znieść swój los z męstwem i stałością, które ją dotąd wsławiły.

— Dunois — rzekła do niego — wszyscy patrzą, jak bohater Francyi jęczy u stóp niewiasty. Wszyscy się dziwią. —

— Stój — odparł Dunois — nic nie wstrzyma łez moich! Cóż mi po sławie, cóż mi po tym mieczu, cóż mi po męstwie, kiedy cię obronić i wydrzeć śmierci nie mogę!

— Spełniają się niebios wyroki — rzekła Joanna — godzina śmierci już niedaleka. Widzę przed sobą niebo otwarte i słyszę już nieśmiertelne aniołów śpiewy. Zostaw mnie, Dunois. Nic ci mówić już nie mam, chyba powtarzać to, com tyle razy mówiła, powtarzać, że cię kocham. Wierz mi, czysta i święta miłość nie kończy się z słabem życiem. — Moja dusza, wzlatując

do błękitu niebios, uniesie z sobą uczucia, któremi moje serce przepełnione. — Ale teraz oddal się, hrabio! — Zostaw mnie. — Dosyć jeszcze mam siły, dosyć miłości Boga, żeby znieść spokojnie srogie męki. — Płomienie i cierpienia nie wymogą na mnie żadnego jęku. — Ty jeden mógłbyś być przyczyną niegodnej słabości. — Oddal się więc, mój ulubiony, żebym zakończyła dni moje tak, jak je spędziłam, i żeby żadna słabość nie skaziła ostatnich chwil moich.

— Błagaj w niebie — zawołał Dunois — żeby prędzej śmierć mnie oderwała od ziemi, od ludzi, patrzących suchem okiem na śmierć niewinnej. Zresztą — dodał — sam się zdołam od życia uwolnić.—

— Cóżeś wyrzekł, niebaczny! — rzekła mu Joanna — cóżeś wyrzekł! — Nie mieszaj spokojności mojej duszy wspomnieniem zbrodni, którą Bóg karze, którą się śmiertelni brzydzą. — Niech ta myśl zawsze daleką będzie od ciebie. — Pamiętaj, że Joanna przy śmierci prosi cię, upomina i zaklina, żebyś żył, jeśli nie dla siebie, to dla ojczyzny. — Jeszcze twój miecz będzie druzgotał zbroje tych, którzy mnie teraz otaczają. —

Na te słowa podniósł się bohater, zrzucił hełm, żeby go wszyscy widzieć mogli, i, dobywając oręża:

— Przysięgam — rzekł — ścigać wszędzie Anglików, przysięgam na to żelazo, nie dać im nigdy chwili spokojnej i dla żadnego nie mieć miłosierdzia, jak go oni nie mieli dla Joanny d'Arc. — Jeśli tej przysięgi święcie nie dochowam, niech jej krew nie na waszą, ale na moją spadnie głowę!

To mówiąc, obrócił jeszcze raz oczy na dziewicę; spotkał jej wzrok pełen miłości, niebieskiej miłości, nie mającej nic wspólnego z ziemską.

Już Bedford, rozgniewany zuchwałemi rycerza słowy, kazał żołnierzom rzucić się na niego. — Ale Dunois groził niechybną im śmiercią. — Żaden nie śmiał przybliżyć się nawet, i z uszanowaniem patrzyli, jak bohater francuski pytał się Joanny, czy nie ma czego mu jeszcze polecić.

— Odwiedź — rzekła dziewica — moją rodzinę i zanieś ojcu pożegnanie; powiedz matce i braciom, że w niebie prosić będę dla nich Boga. — Powiedz, że kochałam ich zawsze i że u progu śmierci błogosławię ich — błogosławię chwilom, które spokojnie przepędzałam z nimi. —

Tu łza zabłysła w oczach dziewicy za wspomnieniem pięknych łąk, umajonych kwiatami, na których igrała w dzieciństwie. Ale ta łza ostatnia była. — Dunois zstąpił ze stosu ze śmiercią w sercu. — Nikt go nie śmiał zatrzymać, a widok miecza, niegdyś strzegącego bok Salisburego, przerażał wszystkie serca trwogą. — Wkrótce znikł w tłumie.

Dochodzimy już do rozwiązania tych krwawych wypadków. — Błysły zgubne płomienie, i ogromny stos się zapalił od dołu. — Joanna stanęła na jego środku i chciała mówić. Natychmiast wszyscy się uciszyli.

— Przebaczam wam — rzekła — przebaczam, Anglicy.

Ale w tej samej chwili nadprzyrodzonem zaświe-

tniały jej oczy światłem. — Rękę wyciągnęła nad ludem i strasznym zawołała głosem:

— Słuchajcie ostatnich słów moich. — Duch Boski mnie natchnął. — Naprożno darowałam wam moje krzywdy, Anglicy. — Bóg wam nie przebacza. — Nie minie kilka lat, a jego prawica spadnie na was i zginiecie. — Wszędzie was Francuzi ścigać i porażać będą. — Śmierć najwaleczniejszych waszych rycerzy razy zatrzyma. — Szeregi wasze upadną, a mściwy gniew Pana ziemi i niebios zetrze waszą dumę, ukróci zuchwałość i wrzuci w przepaść, w którąście Francyą chcieli pogrążyć. I wy, sędziowie, wy, którzyście niewinną na karę zbrodniarzów skazali, wszyscy w zgryzocie i rozpaczy dni swoje pędzić będziecie, dni niedługie, bo je skróci śmierć gwałtowna. — I ty, Bedfordzie, który z uśmiechem na ustach poglądasz na płomienie, już mnie ogarniające, pamiętaj, że rycerz, który dopiero co ze mną się żegnał, że ten straszny rycerz utopi ci w piersiach mściwe żelazo. — Wszyscy, wszyscy tu przytomni długo mieć będą w pamięci słowa moje, które się spełnią tak pewno, jak że to słońce oświeca teraz waszą zbrodnię. — Przyjdzie czas, kiedy zechcecie zatrzeć ją i zakryć, nie pamiętać o niej. — Ale jej obraz wszędzie wam towarzyszyć będzie. — Przeklniecie dzień, w którym ten stos świętokradzką zapaliliście ręką, a śmierć zawczesna i zaguba waszym będzie udziałem.

Zatrzymała się na tych słowach dziewica. — Natchnienie i zapał ją opuścił. — Płomienie cały stos ogarnęły, dym w grubych kłębach zaczynał zakrywać

Joannę. — Obróciła się jeszcze do raz do ludu dziewica i słabszym wyrzekła głosem:

— Uważcie jednak, że to nie moje są słowa, bo ja wam przebaczam; powtarzam, przebaczam moim zabójcom.

Ostatnie to były jej wyrazy. — Widziano jeszcze wśród dymu, jak klękła dziewica i w srogich męczarniach, zapomniawszy o ziemi, wznosiła modlitwy do Boga, przed którym za kilka chwil stanąć miała. Ale coraz bardziej otaczał ją ogień, a wkrótce nikt jej dojrzeć już nie mógł.

W tej samej chwili uderzono w dzwony kościoła Ś-go Michała. — Usłyszał te pogrzebne dźwięki Dunois, oddalający się od miasta na szybkim rumaku, i cichym rzekł głosem:

— Już się wszystko skończyło.

Podniósł wzrok do góry, i zdało mu się, że widzi ulatującą Joannę w błękity niebios, zdało mu się, że go jeszcze dziewica żegna i wskazuje mieszkanie szczęścia i nieśmiertelności, w którem miał się z nią kiedyś połączyć. Cicha łza spłynęła na lica bohatera; spiął konia ostrogą i jechał dalej ku rodzinnej Joanny stronie.

KONIEC.

1827.

PAN TRZECH PAGÓRKÓW

(UŁAMKI ZE STAREGO RĘKOPISMU)

1.

Szczere ci, ojcze, przynoszę życzenia.
Szczęście i zdrowie niebiosa ci dały,
Nie będą moje wspominać ich pienia;
Życzę więc tobie nieśmiertelnej chwały.

2.

Chwała! Cóż bowiem czyni pierś niezłomną?
Co sprawia, że serce świętszym ogniem płonie?
Ah! ta myśl tylko, że nas nie zapomną,
Że w sercach ziomków odżyjem po zgonie!

3.

Oparty mieczem na grobie ojczyzny,
Całun jej w sztandar zmieniłeś zwycięski;
Świadczą oschłe z krwi niedawnej blizny,
Wytrwane wojny, poniesione klęski. —

4.

Ty dzikie Maurów widziałeś kraje[1],
Zwycięskich Gallów[2] oglądałeś miasta,

---

[1] Maurów kraje — Hiszpania.

[2] Gallów — Francuzów; Gallowie zamieszkiwali w starożytności dzisiejszą Francyę.

Boskiej Prowancyi odwiedziłeś gaje,
Gdzie laury kwitną i gdzie róża wzrasta.

5.

Ale napróżno! — losy nam zawzięte
Wstrzymały orły, wzlatujące w chmury;
Spełzły walki i boje zacięte,
Upadły grody i warowne mury! —

6.

Omdlałym głosem jeszcze wiodłeś szyki,
Z sercem odważnem rzucałeś się w boje;
Ni cię szczęk broni, ni cię spiżu ryki
Wstrzymać zdołały. — Lecz daremne znoje!

7.

Niechaj więc świetny wawrzyn pamięci,
Uwity w świetne, urocze sploty,
Wdzięczna ci kiedyś przyszłość poświęci
Za twe męstwo, za Polaka cnoty. —

8.

Bo kto się pięknej dobijał chwały
Przez groty, przez krwi potoki,
Ten wzlatując nad niwy, skały,
Wzbija się w górne niebios obłoki.

9.

Tam go płomieniste słońca,
Tam gwiazdy czekają złote,
I tam go sława bez końca
W boską przemienia istotę. —

10.

Szczere ci, ojcze przynoszę życzenia,
Szczęście i zdrowie niebiosa ci dały,
Nie będą moje wspominać ich pienia;
Życzę więc tobie nieśmiertelnej chwały.

I.

1.

W Mazowszu jest miejsce, zwane Opinogórą[1]. — Trzy pagórki wznoszą się wśród rozległej równiny — lasy zdala czarnym ją okrążają wieńcem — gaje zielone, po niej rozsypane, przyjmują w swoje zacisza różnopióre ptaki lub trwożliwe zające — krzaki gdzieniegdzie z błot i trzęsawisk wznoszą gałęzie, wiatrem na wszystkie nachylane strony. — Ileż razy tam się uganiałem za szybko lecącym bekasem, ileż razy broń morderczą podnosiłem na szarą kuropatwę — ileż razy na tych błoniach hasałem i, uniesiony namiętnością, pędziłem za uciekającym zwierzem! — Poznałem ciągłem zwiedzaniem najmniejszy krzaczek na rozległej równinie. — Ledwie, że każdego kwiatku nie pamiętam. — Tu strąciłem z górnych niebios okrutnego jastrzębia — tu przepiórka, umierając, rozciągnęła swe skrzydła przed mojemi nogi. — Tam znowu wystrzał mej broni nie trafił celu. — Tam dziką kaczkę aż pod chmurami raniłem. — Każde drzewo poznałoby mnie —

[1] Opinogóra – wieś w gub. płockiej, pow. ciechanowskim. Wincenty Krasiński, ojciec poety, otrzymał od Napoleona razem z tytułem hrabiego cesarstwa francuskiego starostwo opinogórskie, z którego utworzył ordynacyę Krasińskich.

niema kamienia na tych polach, któregoby moja nie trąciła stopa — niema strugu, przez którybym nie przeskakiwał. — Wody Sony[1] unoszą na sobie liczne ptaki, i niema fali, którejby krew nie zarumieniła — krew, płynąca z razu, zadanego moją ręką. —

2.

Różne wsie, cztery miasta towarzyszą na tych równinach Opinogórze. — Ale ona wznosi się z powagą, jak olbrzym zwycięski, i wszystkim zagraża płaszczyznom. Czernice, Pomorze, Płońsk, blizkie miejsca urodzenia nieśmiertelnego wieszcza[2], naokoło jej rozrzucone. — Lidynia[3], błękitnawemi wody spokojnie płynąc, cichą falą podmywa ciechanowskiego zamku ostatki. — Tam kiedyś dzielni rycerze na dziarskich rumakach walczyli za piękność. — Tu hoże dziewice obdarzały miłym wzrokiem mężnych wojowników. — Nieraz odpadły mosty zwodzone, nieraz połyskujący świetnymi pancerzami męże wychodzili z tych wież, obwijanych teraz kręcącym się bluszczem. — Trawa gdzieniegdzie się zieleni na murach, deptanych żelaznemi nogi. — Gdzie chorągiew z herbem tęczowe rozwijała farby, tam dzisiaj krzak porasta, a na jego gałązkach kołysze się wróbel lub samotna pliszka. — Gdzie huczne odbywały się biesiady, gdzie wino bursztynowym lało się strumieniem, gdzie wieńce z róż

[1] Sona — rzeczka, wypływa w pow. ciechanowskim, lewy dopływ Wkry.

[2] Maciej Kazimierz Sarbiewski, jeden z najznakomitszych poetów łacińskich, ur. w r. 1595 w Sarbiewie na Mazowszu, um. w r. 1640 w Warszawie.

[3] Lidynia, właściwie Łydynia — lewy dopływ Wkry.

zdobiły niewinności skronie, gdzie błyszczące szyszaki świetniały na głowach walecznych, tam dzisiaj samotność i głuche milczenie. —

Okrzyki wolności nie odbijają się już teraz o zczerniałe sklepienia, nie tętnią kopyta, nie dźwięczą puhary, nie krzyżują się już żelazne pałasze. — Ręka, która je ujmowała, spoczywa w grobie — zimny głaz wstrzymuje jej zwycięskie zapędy — mech wije się nad niezwalczonym bohaterem — sławy tylko pamięć została — a te mury, te baszty, skropione rannemi jutrzenki łzami, zdają się płakać nad zbiegłemi laty, nad dzielnymi pany. — Codzień kamień odpada, codzień część wieży runie na ziemię — nieprzebite razami nieprzyjaciół warownie w proch się rozsypują — a ten proch się miesza z popiołami dawnych panów, z ostatkami zerdzawiałej broni. — Dumałem ja w tym zamku, zmęczony biegiem, kładłem broń na ziemię, a wlepiając oczy w naddziadów siedliska, przypominałem sobie dzieje ojczyzny. — Wiatr czasem przerwał milczenie — czasem kruk złowieszczym głosem przypominał obecne nieszczęścia. — Księżyc, wschodzący z za chmury, zastał mnie nieraz opartym o głaz nieczuły, zgłębiającym dawne czasy. — Promienie pochodni niebios zlewały się na mnie i, żałobnem światłem oblewając ostatki dawnej chwały, trącały o leżące kamienie, o wijące się rośliny, a kiedy natrafiały na odłamki miecza lub zbroi, w płomienistych rozlewając się strumieniach, zdawały się radować, że na niewolniczej ziemi spotkały ślady dawnej wolności. —

O ty, wolności, wygnana z tego kraju, natchnij moje pienia i, jeśli ci w ojczyźnie naszej być nie wolno,

schroń się do serc naszych i boskimi wdzięki upięknij słabe te śpiewy!

II.

Półtora tysiąca lat zbiegło od czasu, kiedy Opin panował równinie, otaczającej Trzy Pagórki. — Jeszcze światło nauki Chrystusa nie przebiło się do tych krain. Dzierżanie, horda słowiańska, zamieszkiwała płaszczyzny, a Opin, pan Trzech Pagórków, władał nad nimi. — Jego szeroki namiot czerniał się na górze, a nad nim powiewała czerwona chorągiew, znak śmierci i spustoszenia. — Bóg piekieł nie miał tak strasznego wzroku — nie miał tak okrutnej duszy.— Srogi Opin uciskał poddanych — nie znał tamy swoim namiętnościom. Niedostępny, ponury, ciągle przebywał w swoim namiocie, a kiedy z niego wyszedł, to na wojnę i rzezie; krew wtenczas zalewała ziemię, śmierć czarnemi skrzydły zakrywała jaśniejące słońce. — Maczuga Opina siała rzeź i rany — miecz ciężki druzgotał głowy wrogów, powalał na ziemię niewiasty i starce, męże i niemowlęta — nikt jeszcze nie wyszedł żywy z walki, z nim odbytej. — Uśmiech szyderczy siadał mu na ustach, kiedy spoglądał na trupy, zalegające szerokie pola, a radość piekielna jaśniała w oczach, kiedy ostatki życia wydzierał obalonemu wrogowi. —

Wszyscy się bali tak okrutnego pana, wszyscy drżeli przed nadludzką jego siłą, przed wzrokiem ponurym, przechodzącym aż do głębi serca. — Żaden śmiertelnik nie mógł naciągnąć łuku, wiszącego w jego namiocie — nikt nie podniósł ciężkiej włóczni, przy

ognisku leżącej. — W mnogich wojnach nabył sławy, a na skinienie jego posłuszni służalcy roznosili ogień i mordy. —

Pogardzał on ludźmi. — Pochlebstwo jego łask zjednać nie mogło — uważał wszystkich za niższych od siebie — nie dbał o ludzi i przestawał na posłuszeństwie. — Posłuszeństwo trzymało u niego miejsce przyjaźni i miłości. — Serce jego tchnęło wojną i mordem — ręka roznosiła śmierć i żałobę. — Wzrok przerażał bojaźnią, a głos, rzadko wychodzący z głębi piersi, nigdy jeszcze nie wymówił przebaczenia, nigdy łaski nie oznajmił. — Przy nim Horak dniem i nocą zostaje. — Podobny do pana, z niewzruszonem sercem, z niezwalczoną prawicą, słucha rozkazów Opina — wykonywa okrucieństwa, broczy ręce w krwi niewinnych, zabiera dostatki, majątki zagrabia — ale nic dla siebie nie bierze — znosi wszystko pod namiot Opina, gdzie go czeka wzrok, pełen wzgardy, i ręka, darami napełniona. — Jak dwa duchy złego, wznosząc się oba nad równiny, napełniają kraje postrachem. — Pan Trzech Pagórków pogardza Horakiem, bo niema człowieka, którymby nie gardził — Horak zasługuje się Opinowi. — Pierwszy jest zbrodniarzem, ale zbrodnie wykonywa dla siebie; nie dla zysku pustoszy pobratymskie ludy, nie dla zysku zatapia mordercze żelazo w serca krewnych i sprzymierzeńców, ale dla własnej przyjemności, ale dla nienawiści, którą przeciw ludziom pała. — Drugi przyjął jarzmo i nie śmie go zrzucić. — Pierwszy ma coś wielkiego w samych zbrodniach, bo zbolałe serce go wiedzie do złego, bo doznawszy niechęci ludzi, mści się teraz nad nimi. —

W młodości żebrał względów ludzkich, w młodości chciał pozyskać szczęście — zamiast radości gorycz dni mu napełniła. — Objął w ręce berło i dobył miecza zemsty nad całym rodem ludzkim. — Drugi nie mógłby być wzniosłym w cnocie. — Opin, gdyby łączył z nieustraszonem sercem łagodne uczucia, wzniósłby się nad innych, napełniłby wszystkie usta swojemi pochwały; mógł być lwem, wolał zostać tygrysem.

Sam opuszczony od ludzi, lubi on rozmyślać nad przeszłością lub w samotnym namiocie bawić się obrazami wojny. — Często, oparłszy głowę o rękę, przypomina sobie staczane walki, poległych mężów, zasłane trupami pola. — Bezsenne pędzi noce, szerokim przechadza się krokiem; czasem słowo wyrzecze, czasem lekki cień wzruszenia odbije się na twarzy, ale to tylko przez chwilę. — Nie cierpi zwracanego na siebie wzroku — nie cierpi, żeby badano jego zamiary. — Ucieka od wesołych igrzysk, nie patrzy na biesiady i wesołe uczty. — Radości okrzyki nieznośnym przeszywają go bolem. — Wyraz wesołości, upatrzony na twarzy innego, w rozpacz go pogrąża. — Chciałby wszystkich zasmucić, chciałby własnego serca smętność przelać w serca innych. — Chciałby pozbyć się otaczających, sam zostać na świecie lub też, zgiąwszy wszystkich pod jarzmo niewoli, naśmiewać się dniem i nocą z ich nieszczęścia. — Słowika śpiewy dręczą jego umysł — pogoda dnia wiosennego w ponurość go wprawia, jak gdyby się lękał, żeby jeden z milionowych jaśniejącego słońca promieni nie przebił się aż do jego serca i strasznych nie odkrył tajemnic. — Pogardza wszystkiem, w nic nie wierzy. — Nie uznaje

Boga, bo sam chce być Bogiem dla ludzi. — Pioruny czarnej nocy nie przerażą jego duszy. — Naśmiewa się z kapłanów i z ich obrzędów. — Srebrna Dziedzilia nigdy go jeszcze przed swoim nie widziała ołtarzem — nigdy jeszcze nie prosił Marzanny o szczęśliwe łowy. — Nie broni ludowi korzyć się przed panami świata, ale sam jeszcze dumnej nie schylił głowy, a patrząc na poddanych, modły gorące wznoszących do nieba, naśmiewa się z prostoty. — Gdyby przed jego ołtarzem się korzyli, śmiałby się jeszcze, ale dumie stałoby się zadosyć, bo w skołatanem burzami sercu władnie jeszcze duma i duma, żadnych nie znająca granic. — Dziwią się ludy, że szczęście sprzyja temu, który bogów ma za nic. — »Moim Bogiem, z szyderskim uśmiechem pomyślał Opin, jest ta maczuga«. — Tak więc pan Trzech Pagórków, gardząc wszystkiem na świecie, rządził Dzierzanami, trzymał w rękach berło, z którego krew, wołająca pomsty, się sączyła. — Wszyscy, przelękli, tarzali się w pyle u stóp strasznego władcy, i nie było człowieka, któryby śmiał spotkać wzrok straszny pana Trzech Pagórków lub straszniejszą jeszcze prawicę.

III.

1.

W niezbyt odległem miejscu od góry Opina, w szerokim namiocie wesoła odbywała się uczta u starego Mieczyna. — Pan mnogich trzód i rozległych gruntów, władca kilkuset namiotów, Mieczyn wyprawia wesele synowi. — Młody Sławan dwudziestą dopiero

widzi wiosnę — nikt lepiej koniem nie kieruje, maczugą nie włada, łukiem nie strzela, wiosłem nie robi — siłę nadzwyczajną łączy z męską postacią, z twarzą, na której wyryty zapał i męstwo — serce otwarte dla przyjaciół, dostatki rozdaje uboższym, prowadzi poddanych na wojnę i na polu sławy zastępuje zsiwiałego ojca. — Zjednał sobie serce młodej Żulisławy — ona dzisiaj w jego progi wstępuje. — Anielskie wdzięki, oczy żywe, włosy, w czarnych rozlewające się splotach, zapaliły miłość Sławana. — Zapragnął kraśnej róży, w nią się wpatruje, dla niej tylko żyje. — Żelazna szabla rdzawieje od roku, psy spoczywają, niecierpliwe łowów. — Darmo wyją u nóg pana — nic on nie słyszy, prócz głosu Żulisławy, myśli dniem i nocą o nadobnej kochance. — Wiosna wszystkie wdzięki rozlała w dniu, poświęconym na ślub Sławana — słońce żywiej jaśnieje — kwiaty przyjemniejsze rozsyłają wonie, i woda w świetniejszych rozbija się kroplach o brzeg ukochany — słowik radośniej się wita z odrodzonem przyrodzeniem — liście, poruszane miłym wietrzykiem, milej się kołyszą — wszystko zda się radować z sercem Sławana i Żulisławy — wszystko odpowiada ich duszy uczuciom. —

2.

Zaproszeni goście złożyli oręże, zsiedli z prędkich rumaków. — Stół ugina się pod zabitą zwierzyną. — Tu jeleń, niedawno wznoszący pośród borów promienisty swój wieniec, tam znowu dzik, wiele razy niezwalczony, stają się pastwą biesiadników. — W czaszkach poległych wrogów krąży napój — okrzyki

i śpiewy napełniają powietrze: »Chwała Sławanowi, szczęście nadobnej Żulisławie!« Skromna dziewica płonie się i rozpływa w miłosnych uniesieniach — Sławan siedzi przy niej, ściska kształtną rękę — wlepia oczy w błękitne kochanki oczy, poprawia spływające na jej ramiona pierścienie i z uśmiechem na ustach raduje się z osiągnionego szczęścia. — Przy Sławanie stoi jego przyjaciel Nadar. — Doszedł on już lat trzydziestu — o głowę niższy od towarzysza — włócznia, nieraz w krwi zbroczona, spoczywa w jego ręku — wzrok ognisty umie upatrywać na łowach kryjącego się zwierza, na wojnach czyhającego wroga. — Przezwali go Dzierzanie »Sokołem równin«, Sławan nosi imię wzniosłego »Orła«.— Oba, nieodstępni od dziecinnych lat w boju czy w igrzyskach, przysięgli sobie braterską miłość i nikt nie śmie ścierać się z bohaterami. — Mówią nawet, że Nadar walczył z niezwyciężonym Opinem. — W nocy jesiennej, przy pochmurnem niebie, wracał z łowów — strzały spoczywały w kołczanie, pałasz błyszczał u boku. — Wychodził z ciemnego lasu, kiedy stawił mu się olbrzym z maczugą w ręku. — Stoczyli walkę zaciętą, »Sokół równin« wytrzymał z odwagą razy przeciwnika i nie upadł pod nimi. — Jutrzenka walczących rozdzieliła — znikł olbrzym, ale po śmiechu szyderczym i przerażającym wzroku poznał Nadar pana Trzech Pagórków. — Jeden więc nadludzkiej nie przeląkł się siły, jeden tylko wyszedł żywy z boju, stoczonego z władcą Dzierzanów. — Ale naprożno szukałby kto w jego sercu łagodności Sławana. — Dziki, nie zna uprzejmości, nie umie darować życia

obalonemu wrogowi — ale kiedy komu przysięże wierność i przyjaźń, żadna siła nie zdoła go z nim rozłączyć. — Teraz spoglądał na Sławana i, często podnosząc pełne czary, pił zdrowie przyjaciela: »Życzę ci szczęścia, twojej żonie mężnych synów, a nam wszystkim śmierci pana Trzech Pagórków«. —

Na to straszne imię zbladły biesiadników lica — każdy odjął z ust puhar, każdy z trwogą przypomniał sobie Opina. — Stary Mieczyn starał się przywrócić radość w swoim namiocie — nowe zastawiono pokarmy, nowe przyniesiono konwie — sam zachęcał gości, przemawiał i prosił, by smutkiem syna nie zatruwali godów. — Ale darmo Mieczyn zachęcał, darmo Sławan powstawszy, pełne nalewał kielichy — darmo piękna Żulisława śliczną ręką roznosiła wianki z niezapominajek i ruty swoim towarzyszkom — wszyscy milczeli, już nawet oddychać nie śmieli. — Wspomnienie Opina zgasiło ich radość, wniwecz obróciło męstwo, ustały krzyki, ucichły śpiewy, i rzadko kiedy kto cichym głosem przemówił do sąsiada.

3.

Jeden tylko Nadar przechadzał się wzdłuż i wszerz — trwoga nigdy nie miała jeszcze przystępu do jego serca; widać było na jego ustach uśmiech pogardy dla otaczających go towarzyszów, którzy na samo imię Opina zbledli i z rąk wypuścili wesołości puhary. — »Nikczemnicy, myślał Nadar, nie warci nosić zbroi ani ująć miecza!« — »Sokół równin« lubił się naśmiewać z słabości innych i urągać się z nieznanej mu

trwogi — porwał więc drugi raz czarę i głośno zawołał: »Życzę wam wszystkim śmierci Opina!«

— »Przestań, zawołał Mieczyn, nie mieszaj naszej radości!« I powstał starzec z siwą brodą i, wzniósłszy czarę: »Szczęście wam, rzekł, szczęście, moje dzieci!«

Umilkł Nadar, szanował bowiem starość, ale schylił się do ucha Sławana: »Niewiasty tu tylko siedzą, nie widzę mężów! — Strach ich opanował na wymówienie imienia zbrodniarza! — Chciałbym, żeby tu sam przybył!« —

4.

Ale jakiż to zgiełk i hałas miesza spokojność biesiadników? Jakież głosy miotają przekleństwa i srogie obelgi? — Czyjeż miecze błyszczą przy wejściu do namiotu? — Otoczeni goście hufcami zbrojnych — Sławan daremnie broni Żulisławy — daremnie Nadar wstrząsa swoją włócznią. — Wróg niewinności i cnoty, nieprzyjaciel wesela stanął między szczęśliwymi i rozdzielił ich strasznym wzrokiem. Pan Trzech Pagórków przybył — wszyscy upadli na kolana przed nim — Sławan tylko i Nadar, oparci na pałaszach, śmieją się wpatrywać w zbrodniarza. — Stary Mieczyn, zwątlony wiekiem, pozostał na siedzeniu z skór dzikich zwierząt. — Patrzy Opin naokoło — wszędzie widzi podłość i uniżenie — wszędzie postrach i przymuszone go spotykają hołdy. — Raduje się ze spodlenia rodu ludzkiego. — Ale jakiż widok uderzył obłąkane jego oczy? — Krew lica mu zalała czerwonawym potokiem — ale nie jest to rumieniec młodzieńczego wstydu — nie jest to rumieniec szlachetnego gniewu —

jest to rumieniec wściekłości. — Trzech tylko śmiertelnych śmie się opierać władzcy Dzierzan — trzech tylko znosi z niezmienną twarzą błyskawice, z jego ócz wylatujące! — Chce mówić Opin — ale, zamiast słów, piana mu z ust wypływa — chce sięgnąć po miecz, ale ręka drżąca odmawia pomocy. — Gniew silny zwątlił moc jego i musi czekać chwilę, nim przejdzie osłabienie. — Przez tę chwilę spotyka wzrok nieustraszony Sławana i Nadara — ta chwila jest piekłem dla niego. — Nareszcie rzekł do Horaka: »Zabierz tę dziewicę — niech dzisiaj pod moim spocznie namiotem!« —

Na te słowa róże zwiędły na licach Żulisławy — upadła zemglona w ręce Sławana. — Nic niema okropniejszego nad zemglałą dziewicę — nad tę walkę życia i śmierci — kiedy na zbladłej twarzy wyraz zgonu przyciemnia anielskie wdzięki — kiedy coraz słabnie oddech. — Za każdem poruszeniem piersi zdaje się, że serce bić przestanie — że już żelazna ręka śmierci przymyka powieki i wydziera życie. — Ogień młodości, w żywych przygaszony oczach, już odlatuje do niebios, z których wziął początek. — Wszystko się waha, wszystko jest w niepewności. — A życie z śmiercią, jak gdyby dwa przemożne duchy, ścierają się, ulatując nad martwem ciałem. — Jeśli zwycięstwo przy pierwszym, wracają wdzięki, znowu głos pieszczony różane umila usta, znowu nadobny rumieniec okrasza lica. — Ale jeśli śmierć przeważy, wtenczas zniszczenie rozprzęga ciało, wtenczas godowa suknia zamienia się na pogrobowy całun — kwiaty, wieńczące czoło, odpadają z dziewiczych skroni — du

sza ulatuje, a piętno spustoszenia i smutek zostają się na ziemi . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

5.

Ciemna i burzliwa noc zasępiła niebo. — Poświst[1] na tronie z chmur unosi się po przestworzu. — Trzy razy rzucił się i wstrząsł ogromną prawicą, a trzy razy odpowiedziały mu wiatry, odpowiedziała mu ziemia. — Upadły przed nim w kurzawę dęby i wysokie sosny, zieloną uwieńczone jemiołą — chaty ludzi w drobne rozsypały się szczątki — słabe zboża schyliły się po polach, a kwiaty nazawsze zawarły swoje kielichy. — Góry wstrząsły się w posadach — bałwany jezior i rzek wzniosły się ku niebu, jak gdyby chciały wymawiać i wyrzucać Panu pioruna[2] zniszczenie jego stworzeń. — Jeden tylko namiot Opina, czerniąc się wśród mroku, jako znak klęsk i mordów, nieugięty, jak dusza pana swego, wytrzymywał walkę z nacierającymi wiatry i zwycięsko z niej wyszedł.

Ale cóż robi Opin? — Czy nad wojną przemyśla? czy u stóp Żulisławy szuka przebaczenia winy? — Radość Sławana, szczęście dziewicy gorycz wlały w duszę Opina. — Nie mógł znieść szczęścia podobnego siebie i zatruł jego życie. — W namiocie Opina piękna Żulisława łzy roni — okrutnik z uśmiechem w nią się wpatruje. — Każda łza przymnaża mu ra-

[1] Poświst — wedle Naruszewicza, bóg wiatru.
[2] Pan pioruna — bóg pogański Perun albo Perkun.

dości — każda oznaka smutku duszę jego unosi. — Najmniejsze śledzi poruszenie, najmniejszą zmianę na twarzy nieszczęśliwej, okropnym wzrokiem wszystkie jej niszczy nadzieje, i sam wśród walki i burzy żywiołów, opuszczony od wszystkich, pastwi się nad swoją ofiarą — a uśmiech piekielny wydaje radość, godną szatana. —

Ale czy już bogi sprzysięgły się na pana Trzech Pagórków? — Czy już nieszczęsna dla niego wybiła godzina? Sen, nie mogący nigdy obciążyć jego powiek, zwarł je teraz ołowianą ręką. — Schylił głowę i upadł na łoże. — Pierwszy raz nie mógł się oprzeć uśpieniu — pierwszy raz słabe przyrodzenie człowieka zwyciężyło w nim niezgiętą wolę — ale obrazy, towarzyszące nocy, otaczają jego łoże — rzuca się, jęczy, a nie może stargać więzów, przez sen narzuconych. — Raz zdaje mu się, że Sławan wchodzi do jego namiotu. — Skóra z dzikich żbików obwija młodzieńca — kołczan z brzozowej kory, najeżony strzałami, grozi tyloma zgonami, ile pocisków w sobie mieści. — Łuk w lewej ręce, a w prawej błyszczy szabla. — Zdało się jeszcze Opinowi, że Nadar, »Sokół równin«, szedł za przyjacielem. — Wzrok jego okrutny zwracał się na leżącego pana Trzech Pagórków — już nawet miecz zemsty zajaśniał nad jego głową; wstrząsł się Opin, dobył sił wszystkich — ale próżne usiłowania — nie mógł zerwać się z łoża, i ciągle miecz zemsty grozi mu niechybnym razem. — Nadar urąga się z niego, jak on się ze wszystkich urągał — przedłuża jego męczarnie. — Błyszczący oręż, jakby mściwy piorun niebios, w tysiącznych rozlewa się płomieniach

nad jego głową. — Otacza go morzem ognia, męstwo odejmuje, siły wydziera i jedno tylko uczucie bojaźni zostawia. — Ale ręka Nadara opada: Sławan zabronił mu zbrodni nad bezsilnym wrogiem. Sławan porwał Żulisławę w swoje objęcia i unosi ją z namiotu, za nim Nadar. — Znikło wszystko — tentent tylko koni, oddalających się od góry, uderza uszy Opina. — Zebrał jeszcze raz wszystkie siły pan Trzech Pagórków — oparł się szeroką prawicą o łoże — chciał się rzucić, ale, jakby przykuty, pozostał na miejscu.

Ale nagle zmieniła się postać rzeczy. — Biesiada zastawiona w namiocie Opina — naokoło stołu z dębu czarnego siedzą białawe i wybladłe postacie — niektóre, do mgły lekkiej podobne, kształt tylko ludzki mają — inne, oparte na włóczniach i mieczach, zwracają wzrok okropny na Opina. — Chciałby on odwrócić oczy, ale nie może — chciałby zamknąć powieki, ale nieznana siła nie pozwala mu ich zawrzeć — musi patrzeć, musi, jak głaz nieczuły, spoglądać na otaczające widma, ale serce czuje, duszę rozrywają boleści, a bojaźń pierwszy raz posępnemi go pokrywa skrzydły.

Wybladłe i suche ręce wyciągają do potraw biesiadnicy — puhary z czaszek ludzkich krążą po szerokim stole. — Ale kogóż-że poznaje Opin? Czyjże wzrok przeraził go trwogą? Czyjaż twarz przypomniała mu przeszłość? Człowiek wysokiego wzrostu, wspaniałej postawy stoi na pierwszem miejscu. — Czarna broda obwija się naokoło pogrobowej twarzy — zmarszczki na czole, bladość lica, posępność, po całej twarzy roz-

lana, nie zdołała jeszcze zatrzeć znaków dawnej powagi i godności. — Berło nawet żelazne w lewej ręce dowodzi, że był poprzednikiem Opina. — Ale w miejscu, pod którem bije serce, znać szeroką ranę — krew z niej kroplami się sączy i już okropnym strumieniem dosięga łoża pana Trzech Pagórków. — Wzdrygnął się Opin, poznał twarz, srogie przywodzącą pamiątki. — Nagle morze czarnej krwi oblało kamienną pokoju podłogę — purpurowe bałwany zbroczyły uginający się pod wiatrem namiot. — Opin ze śmiercią w sercu, niewzruszony, leżał na łożu, jak gdyby na małej wyspie, wznoszącej się wśród ogromnego oceanu. — Zbliżyły się do niego wybladłe biesiadników postacie — tłum ich stanął wieńcem nąokoło pana Trzech Pagórków — podali sobie dłonie i wszyscy wlepili wzrok przeszywający w Opina. — Jak wśród tysiącznych błyskawic wypadający piorun oświeca pół nieba, tak wśród tylu wzroków jeden tylko wlał rozpacz w serce leżącego zbrodniarza. — Był to wzrok tego samego, który, berło trzymając, pierwsze zajmował miejsce. — Jeszcze raz Opin chciał się podnieść, ale nadludzka potęga zniweczyła jego usiłowania. — Chciał zakryć oczy rękoma, ale zawsze widział okropny obraz, zawsze trupy otaczały łoże, a postać z okropnym wzrokiem, schyliwszy się ku ziemi, puhar krwią napełniła i, podając go Opinowi, cichym, ale przerażającym wyrzekła głosem: »Pij krew twojego ojca«! — Wszystkie cienie powtórzyły słowa: »Pij krew twojego ojca«! — Nieznajoma siła zmusiła pana Trzech Pagórków — wyciągnął rękę, przyjął czarę, przytknął ją do ust i wychylił do ostatniej kropli. —

Znikło wtenczas wszystko oprócz krwi, zalewającej komnatę. — Bystre jej strumienie coraz się wyżej wznosiły, coraz zbliżając się do łoża, już już go zajmowały pod swoje panowanie. — Tonął Opin wśród fali krwi ojca, przyjaciół i krewnych. — Już jednej tylko nie dostawało kropli, kiedy sen uleciał. — Wstrząsł się Opin — pojrzał wokoło, ale nigdzie krwi nie zobaczył — a jednak zdawało mu się jeszcze, że czuje na ustach okropny napój, we śnie mu podany. — Ale cóż się stało panu Trzech Pagórków? Porwał za maczugę, wyskoczył z namiotu, zawołał Horaka. »Niema Żulisławy — piorunnym głosem krzyknął — zginiecie wszyscy! — Zniknęła wśród nocy — Sławan ją.....«

Darmo szukają dziewicy, niema Żulisławy. . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

IV.

1.

Chcecież wiedzieć, co się stało z nadobną dziewicą? Chcecież słyszeć, co się stało z odważnym Sławanem? — Ledwo jutrzenka w kroplach jaśniejących na kwiatach i krzewach obraz swój różowy odbiła, aliści Sławan z Żulisławą przybyli pod niedaleki lasek góry Opina. — Dziewica rzuciła się na szyję swemu wybawcy — Nadar szedł za nimi . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

2.

Zeszli się na równinach Sławan i Nadar, Opin i Horak. — Walka zacięta między nimi powstała. — Żulisława patrzała na bój i mordy. — Sławan toporem uderzył Horaka — Horak upadł bez życia. — Rzucił Sławan broń swoją i patrzał z założonemi rękoma na walkę Nadara z Opinem, bo uważał za zdradę, niegodną męża, dwom łączyć się na jednego. — Pan Trzech Pagórków walczył zręcznie — walczył, jak na bohatera przystało — »Sokół równin« utrzymał swoją sławę; — oba byli sobie równymi — oba z równą zaciętością nacierali na siebie. — Nareszcie skoczył Opin jak tygrys na swą zdobycz, silnemi ramiony objął Nadara i chciał powalić na ziemię. — Ale przyjaciel Sławana pozostał na ziemi. — Dwa razy usiłował go obalić Opin, dwa razy, podobny do skały wrytej w ziemię, Nadar utrzymał się na nogach. — Ale trzeciego razu stracił równowagę i runął na ziemię. — Opin podniósł maczugę, ale nim ją mógł skierować na głowę wroga, Nadar wyjął nóż żelazny, zatknięty u pasa, i tak silnie i zręcznie go rzucił, że ten aż po rękojeść zanurzył się w serce Opina. — Upadł pan Trzech Pagórków — »Godny byłeś walczyć ze mną — zawołał do Nadara — i umieram radośny z tego, że jeszcze między ludźmi człowieka znalazłem«. — Takie były ostatnie słowa Opina, uśmiech nie wściekłości, ale wesela i szczęścia zajaśniał na jego twarzy, ścisnął rękę Nadara, jak gdyby żegnał się z przyjacielem i, oparłszy głowę o szeroki kamień, skonał. —

DOKOŃCZENIE.

Właśnie przeszłej jesieni kilka dni przebywałem w Opinogórze. — Łowy mojem były zatrudnieniem — jednak inna jeszcze rzecz przychodziła często mi na myśl: skąd nazwisko »Opinogóra«? Nigdzie nie mogłem znaleźć początku lub powodu takiego imienia.—

Jednego wieczora późna w lesie zaskoczyła mnie pora. — Cały dzień goniłem za lisami i zającami, nie zważając na schylające się ku zachodowi słońce. — Właśnie już teraz ostatnie światła promienie złociły iglastych sosen wierzchołki i szczyty poważnych dębów — ptaki rozliczne ostatnim śpiewem modlitwę wieczorną wznosiły do Boga, gdzieniegdzie liść zaszeleścial pod lotną stopą zwierza, wracającego do nocnego łożyska, czasem kraska lub różnofarbna sójka przeleciała nad głową i, pociągnąwszy dalej, siadła na jakiem drzewie — tam, oblana promieńmi słońca, zdawała się unosić po falach złotego potopu. — Wietrzyk raz, nizkie poruszając krzewy, igrał z każdym liściem i kwiatem, drugi raz, okręcając się naokoło stuletnich lasu olbrzymów, nachylał ich gałęzie na wszystkie strony. — Czasem też zupełna panowała cisza. — Błękit niebios, w purpurze ku zachodowi ginący, rozweselał oko, a milczenie i samotność wzywały duszę do dumania. — Psy daleko się zagoniły, myśliwcy zapędzili się za nimi. — Niekiedy jeszcze daleka trąbka słyszeć się dawała, ale na chwilę jej głos tylko poruszał powietrze, tak, że często można było wątpić, czy dźwięki, dopiero co słyszane, były rzeczywistymi, lub też wyobraźni skutkiem. — Już pierwsza gwiazda, od starożytnych ubóstwiana ludów, wstąpiła na szafirowe

przestworze — już coraz bardziej fale światłości ustępowały przed nocą i czerwonawy kolor nieba zastępowały już czarne cienie. — Daleko było do domu — przyspieszałem więc kroku, ale spostrzegłem, że już nie idę po ścieżce, że moje nogi nie torowaną postępują drogą, ale że na miękkiej i wilgotnej chłodną rosą murawie się znajdują. — Daremno obracałem się wokoło, daremno szukałem straconej drogi. — Przebijałem się więc dalej przez krzaki i ciernie, głogi i krzewy. — Noc już całkiem owładła niebem. — Po długim dosyć czasie wysz[ed]łem na miejsce otwarte, zewsząd jednak lasem otoczone. — Kilka tam ogromnych bielało kamieni. — Ujrzałem we środku białą postawę — stała niewzruszona na miejscu — w jednej ręce trzymała coś czarniawego — drugą kazała mi się zbliżyć. — Z odwiedzionym kurkiem, z biciem serca, z pilnemi oczyma, ze wstrzymanym oddechem przybliżyłem się do niej. — Twarzy rozeznać nie mogłem, ale pamiętam, że blade jej lica zgadzały się zupełnie z lekkiemi jej szaty. — Podała mi pergamin, trzymany w ręku. — »Tu, rzekła, znajdziesz powód imienia Opinogóry«. — Po tych słowach oddaliła się — ja chciałem gonić, ale rękopism upadł na ziemię — schyliłem się, żeby go podnieść — a kiedym go z ziemi ujął, wszystko już było znikło. —

Nazajutrz przebiegłem oddane mi pismo. — W wielu miejscach zepsute przez wilgoć — znać, że w jakimsiś lochu leżało — nie mogłem więc, jak ułamki powieści o Opinie podać do wiadomości, co też uczyniłem. —

1828 r. 6-go kwietnia, Opinogóra.

GRÓB RODZINY REICHSTALÓW

POWIEŚĆ ORYGINALNA
Z DZIEJOW WOJNY TRZYDZIESTOLETNIEJ.

I.

Jej twarz, jak róży blade zawoje,
Skropione jutrzenki łezką,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

A. Mickiewicz. — Świtezianka.

Tydzień już był upłynął od bitwy,[1] wygranej pod Pragą 8-go listopada 1620 r. przez Maksymiliana, księcia bawarskiego, nad Fryderykiem V, palatynem Renu. — Wojsko cesarskie, zwycięskie i uradowane z nadziei odpocznienia po trudach wojennych, rozgościło się po całych Czechach. — Rozmaite jego oddziały pod dowództwem Tillego[2] ścigały broniących się jeszcze protestantów, inne zaś rabowały miasta, żadnego im nie stawiające oporu. Niektóre pułki rozłożyły się po miasteczkach poblizkich Pragi; między tymi był pułk hr. Wallenstein[3], który stanął

[1] Mowa o bitwie na Białej Górze, która położyła kres niepodległości Czech.

[2] Tilly Jan hr. — słynny wódz z czasów wojny 30-letniej, um. w r. 1632.

[3] Wallenstein (właściwie Waldstein) Albert Wacław Euzebiusz, słynny wódz z czasów wojny 30-letniej, ur. w r. 1583, zamordowany w r. 1634 w Chebie.

w Egrze[1]. Najświetniej on swoją waleczność okazał w bitwie pod Pragą, a zachęcony przez młodego i męstwem pałającego dowódzcę, najbardziej się do zwycięstwa przyłożył. Po wygranej dostał rozkaz zajęcia miasta Egry i tam w największej spokojności i porządku się zachował. Żeby dać poznać ówczesny stan rzeczy, przytoczymy tu rozmowę dwóch żołnierzy, stojących przed domem, w którym mieszkał młody ich pułkownik, hrabia Wallenstein.

— Do milion szatanów, Maksie — rzekł z nich jeden, młody i żywy — muszę lecieć teraz, kiedy już się ściemnia i deszcz padać zaczyna, do tego dyabła czyli uczonego, astrologa czyli alchimisty, jak to go nazywają. Niech go czarny myśliwiec lub upiór porwie; nasz dowódzca upodobał go sobie, muszę lecieć.

— Nie masz czego tak narzekać — odparł drugi, nad którego ustami już się wąs siwy zakręcał — ja muszę całą noc tu stać i znosić pod tym dziurawym płaszczem niepogody i słoty. Zniósłbym to jeszcze, wytrzymałbym i deszcze i śniegi, nie zważałbym na wodę, lejącą się z tych czarnych chmur, jakem i na kule nie zważał, gdyby pułkownik pozwolił nam starym, zadawniałym, powszechnym, wszędzie używanym zwyczajem, porabować trochę. Ale od czasu, a już będzie tydzień, jak tu stoimy, ani zdobyczy, ani łupów nie widzę; niema nawet nadziei. Nie tak, do pioruna, zdarzało się dawniej. Pamiętam w wojnie z Turkami, pamiętam przeszłego roku, kiedy służyłem pod Tillym,

[1] Eger (w powieści zawsze Egra) po czesku Cheb — m. w półn.-zachodnich Czechach nad rz. Ohrą, po niem. Eger, która dała miastu niemieckie nazwisko.

ah, to rozkosz była, to uciecha! Przybyliśmy do wsi lub miasta: prędko ognia, prędzej pochodni! Zapaliliśmy, wywróciliśmy, zburzyliśmy, złupiliśmy, i dalej na nieprzyjaciół! Tak bywało, a teraz pod tym Wallensteinem i bić się trzeba i nie można rabować. Prorokuję, nic z niego nie będzie; bo pierwsza cnota żołnierza jest: nie przymrużać oczu, kiedy kula leci, a druga: dobrze rabować.

— Alboż to Wallenstein nigdy nie rabował? — rzekł młody — nie znasz go chyba; prawda, niedawno pod nim służysz, ale zaręczam ci, że przedtem większego nie było rabusia. Ale ten dyabeł czy astrolog, ten czarownik zawrócił mu głowę gwiazdami i mnóstwem rzeczy, których nie rozumiem.

— Młodyś jeszcze, Walterze, nie znasz świata. Nie gwiazdy, choć dosyć w nie wierzy nasz pułkownik, tam go przyciągają, ale czarne oczy córki astrologa.

— Nie może być; to niepodobne do niego, taki dumny!

— Wierz, Walterze, słowom starca! Jeśli to miasto jeszcze nie spłonęło, dzięki powinni złożyć jego mieszkańcy astrologowi lub raczej jego córce.

— Ale z czemże cię posyła pułkownik?

— Kazał powiedzieć, że dzisiaj, nawet niezadługo, przyjedzie odwiedzić astrologa.

— Czyli jego córkę! — dodał Maks z uśmiechem, pokazującym radość z docieczenia tajemnicy — idź więc, spiesz się, bo Wallenstein nie lubi, kiedy nie spełniają żwawo jego rozkazów!

— Żegnam cię — rzekł młody żołnierz i wśród lejącego deszczu wyleciał szybkim krokiem z dziedzińca.

Szedł między dwoma rzędami wysokich domów, z których potoki wody spływały. Ale im mocniejszy był wicher, im gwałtowniejszy deszcz padał, z tem większą siłą opierał się Walter wzburzonym żywiołom i mężne stawiał im czoło. W prędkim biegu rozmiękła ziemia, bo jeszcze wtenczas bruk nie zdobił miasta Egry, okrywała płaszcz i buty żołnierza; ale nie zważał na to i wśród błota pędził, jak strzała, do domu alchimisty. Przeszedł kilka ciasnych i krętych ulic i przybył do stóp wzgórka, na którym się wznosił dom nizki, ale tak długi, że wziąćby go można z początku za obszerny pałac. Znikało jednak to złudzenie za zbliżeniem się do niego. Jedna część zupełnie była pusta, okna bez szyb, a nieliczne kawałki szkła, pod niemi leżące, dowodziły, że już wiatr rozwiał inne na wszystkie strony. Belki, niedobrze spojone, uginały się pod wichrem, a deszcz rzęsisty dokonywał dzieła niedbałości i czasu. Druga jednak strona w lepszym była stanie, a nawet gdzieniegdzie spostrzegano ozdoby. Ganek podpierały cztery kręcone kolumny, na wzór świątyni Salomona, nad nim wznosiła się kula ziemska, miedzianemi zdobna kołami, których płowy kolor już się był na ciemnozielony zamienił. Wysoka wieża z cegieł, rozmaicie pomalowanych, dopełniała dziwacznego obrazu, który rozśmieszał Waltera, ile razy tamtędy przechodził. Wszedł więc do budynku środkowego i przez kilka korytarzów dostał się do pokoju astrologa. Dwie lampy oświecały szeroką komnatę, ale ich światło z trudnością się przedzierało przez gęsty dym, który dopiero się zmniejszył, kiedy Walter drzwi otworzył. Ogromne szafy z półkami

opierały się o ściany pokoju, na nich leżały szklanne banie i naczynia wszelkiego rodzaju, to z gliny, to z kruszcu wyrabiane. Nad szafami zaś wisiały, jakby trofea nauki, czaszki i kościotrupy zwierząt i ludzi obok różnokształtnych narzędzi. W głębi, pod zaginającem się sklepieniem, stały na wysokim kominie misy i miednice, piecyki i retorty, gdzieniegdzie porozrzucane żarzące się węgle, flaszki pełne różnokolorowych płynów, sztaby żelaza i miedzi. W środku obszernej komnaty był szeroki stół, pokryty księgami rozmaitej wielkości. Na jego środku stały dwa globy ziemi. Naokoło nich przypatrzyć się można było rozłożonym cyrklom, szkiełkom, medalom. Na obu końcach stołu dwie trupie głowy strzegły leżących na nim skarbów, a między niemi wznosił się mały szkielet z kości słoniowej, który trzymał srebrną lampę w oschłej prawicy. Bladawe jej promienie zlewały się na twarz starca, siedzącego przy stole. Liczne zmarszczki na czole, śnieżne włosy i krótka, biała broda dowodziły wieku sędziwego. Wpatrując się w niego, znać jednak było żywość bystrego wzroku, zatopionego w tej chwili w księdze, zamykającej dziwaczne obrazy i rozliczne systemata astronomów starożytnych. Ubiór jego składał się z szerokiej sukni, podszytej połyskującem futrem, a mała, aksamitna czapka okrywała mu głowę. W jednej ręce trzymał cyrkiel roztwarty, a drugą opierał na długim teleskopie, który był daleki jeszcze od tegoczesnej doskonałości.

Blizko niego na krześle, dwoma sfinksami miedzianymi podpieranem, siedziała niewiasta wysokiej kibici i kształtnej postawy.— Zdawało się, że dopiero osiem-

nasta wiosna jej bladawe skronie uwieńcza. Ogień młodości, ogień, do błyskawicy podobny, świetniał w jej czarnych oczach, ukrytych pod długiemi rzęsy, a smutek, po nadobnych licach rozlany, bladość, zamieniająca na lilie róże, kwitnące niegdyś na twarzy, wydawały uczucia zbolałego serca. — Jej włosy w wijących się splotach spadały naokoło szyi, otoczonej pięknie wyszytą chustką. — Biała wstążka otaczała głowę. Lekka suknia w spływających fałdach zlewała się na ziemię, a niebieska przepaska ściskała dziewicę. — Sprzączka złota, grzebień, błyszczący się srebrem, dopełniały pięknego ubioru. — Trzymała w ręku małą książkę. — Jej piękne oczy szybko ją przebiegały, ale zadziwiłby się każdy, widząc, że dzieło, czytane przez osiemnastoletnią dziewicę, było rozprawą o śmierci, niedawno wydaną przez pewnego protestanta i dowodzącą, że nie jest zbrodnią zginąć z własnej ręki, żeby uniknąć hańby lub nieszczęścia.

Za ukazaniem się Waltera podniósł się astrolog i znowu zagłębił się w myślach. — Dziewica opuściła na jego widok książkę i, jakby wryta, czekała, aż żołnierz przemówi, tak, jak obwiniony czeka na czytanie swego wyroku.

— Na wszystkich dyabłów piekła lub, jeśli się pani bardziej podoba, na wszystkich aniołów nieba — rzekł Walter — słowo daję, że łatwiej się dostać do nieprzyjacielskiego zamku, niż do waszego domu. Słuchajże, mości — nie wiem szczerze, jak cię nazwać — mości astrologu czy alchimisto, czy też mości uczony, postaw kogo na warcie, żeby otwierał drzwi puka-

jącym; ale dzisiejszej nocy nie potrzeba tego, bo bramy waszego pałacu wszystkie teraz stoją otworem.

— Jakto? — obudzając się jakgdyby ze snu, krzyknął alchimista.[1] — Jakto? cóż chcesz, cóż rozumiesz przez te słowa?

— Rozumiem to — odparł Walter — że wybiłem drzwi tym mieczem — i uderzył z pewnym rodzajem dumy o rękojeść miecza. — Ale niewielka szkoda, bo już były napół zgniłe, a kiedy nowe sprawisz, wiatr nie tak łatwy będzie miał przystęp. Zresztą hrabia Wallenstein, nasz pułkownik, przysyła mnie z doniesieniem, że tu zaraz sam przybędzie.

— Pułkownik Wallenstein? — powtorzył alchimista — Dobrze, czekam na niego; otworem mu stoją te przybytki nauk, te skarby, zebrane moją pracą, niezmordowanem przez czterdzieści lat staraniem. — Użyczę mu mojego światła, nauczę poznawać gwiazdy, słuch jego przyzwyczaję do harmonii sfer niebieskich, rozłożę przed jego oczyma promienie słońca, pokażę mu pierwiastki wszystkiego — nic mu nie utaję. — Wszystko, co wiem, jego będzie, wszystko co mam, oddam jemu.

— Nie, nigdy to być nie może! — wyrzekła wtenczas głębokiego smutku głosem dziewica — Ojcze....

— Dobrze, dobrze; to są niedorzeczności, które, mam nadzieję, że wyjdą ci z głowy, moja Minno.

[1] Alchimista, właściwie alchemista, alchemik. Alchemia, poprzedniczka chemii — sztuka przemieniania metali nieszlachetnych na szlachetne. Nowsi alchemicy starali się wynaleźć t. z. kamień filozoficzny, mający rzekomo przedłużać życie.

Powstawszy, chodziła dziewica, kiedy ojciec kazał jej siąść przy sobie — a potem rzekł do Waltera:

— Powiedz pułkownikowi, że go czekam z radością w sercu!

II.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła.
Adam Mickiewicz. — Sonety.

— Kochane moje dziecię, ulubiona Minno, córko najdroższa! — rzekł astrolog do dziewicy po wyjściu Waltera — już temu trzeci dzień upływa, jak książę Lichtenstein, znając moją obszerną naukę, przysłał mi kamień, którego nazwiska nie wiedział, i prosił, bym doszedł przez moje wiadomości, z jakich części się składa i jakie jego imię. Włożywszy go w miedziane naczynie, zacząłem ogrzewać, ale ogień mały nie pomógł, większy roznieciłem. — Ale kamień jeszcze się nie chciał rozkładać; wtenczas dobyłem ostatnich sił alchemii, nareszcie zwyciężyłem przyrodzenie. Podobnież, Minno, teraz nie chcesz ustąpić, gardzisz ręką Wallensteina, gardzisz jego ofiarą; ale kiedy lepiej go poznasz, zmiękczysz się. — Umie on także skrytemi miłości drogi ująć sobie serce i, równie jak ja z tym kamieniem, on, coraz bardziej nalegając, prosząc, coraz bardziej odkrywając tobie swoje zalety, cnoty, bogactwa, zniewoli cię do ślubu. — A nakoniec pomyśl, Minno, że ta nadzieja jest całem mojem szczęściem!

Tu zamilkł alchimista i czekał odpowiedzi córki. Ale żadne słowo z jej wdzięcznych ust nie wyszło,

Promień tylko lampy odbił się o łzę w jej czarnem oku.

— Nic nie mówisz? — znów ozwał się astrolog — nic nie odpowiadasz? — Niczе więc cię wzruszyć, niczе przekonać nie zdoła? A więc ostatniego już się chwycę sposobu. Słuchaj, córko, słuchaj! Gwiazdy, te narzędzia woli boskiej, te oznaki jej gniewu lub dobroci, rozkazują ci oddać rękę hrabiemu Wallenstein. — Ty i on pod jedną gwiazdą urodziliście się.— Wasz los jest nierozdzielnym. — Nie ojciec, nie względy ziemskie przeznaczyły cię jemu od urodzenia, ale same niebiosa, ale Bóg wszechmogący.

To mówiąc, podał jej papier, na którym wyciągnął jej i Wallensteina horoskop. — Wyobraził tam planetę wspólnego im obu, i wiele inszych porobił znaków, mających przekonać dziewicę. — Rzuciła mimowoli na papier smętne oko i położyła go po chwili na stole. — Obraził się tem jej ojciec.

— Czy za nic nie masz — rzekł — mojej nauki? Czy sądzisz, że słaba wola dziecka może zmienić niebios wyroki i naruszyć postanowienia boskie? Los nami rządzi i jemu podlegamy. — Twoje łzy ani jęki go nie zmiękczą. — Przynosi ci Wallenstein w darze sławne imię, mężną prawicę i chwałę, w bitwach nabytą. — Gwiazdy zgadzają się na wasze zamęście, a ty odmawiasz. — Uważaj córko, same gwiazdy....

— Tu jest najpierwsza gwiazda — przerwała Minna wskazując na serce.

— A więc to serce nie chce Wallensteina?

— Nie chce, nie cierpi, nienawidzi, znieść nie może. Nigdy jego żoną nie będę.

— Smucisz mnie swoim uporem, kochana córko! — Powiedz przynajmniej, jakie masz do tego przyczyny?

— Drogi ojcze! — odpowiedziała Minna — życiebym dała dla ciebie. — Ale za wielką jest ofiara pójść za Wallensteina. — Znam tego człowieka: duma i zemsta panują w jego umyśle, a tymczasowa miłość prędko ustępuje tym dwom namiętnościom. — Nigdy z nim szczęśliwą nie będę.

— Będziesz, będziesz, Minno. Poznaj go lepiej! — Musisz być jego żoną!

Nie odpowiedziała już dziewica, ale jej oczy mówiły, że wolałaby umrzeć, niż połączyć się z Wallensteinem.

Wtem wszedł do pokoju mąż wysokiego wzrostu. Kapelusz, strusiemi ocieniony pióry, okrywał mu głowę. Na pół odwinięty płaszcz, srebrną klamrą spięty, odkrywał bogaty ubiór hiszpański. Szpada, na której rękojeści wyrabiane były ze złota herby rodziny Wallensteinów, strzegła jego boku. Twarz, potem oblana i żywym rumieńcem okryta, dowodziła, że się spieszył ujrzeć cel swoich pragnień i miłości. Wysokie czoło, nad którem rudawe unosiły się włosy, wielką duszę oznaczało. Oczy błyszczały świetnym ogniem, który się podwoił za ujrzeniem Minny. Wyraz wytrwałości w zamiarach i męstwa rozlany był po całej twarzy. Ale razem znać było na niej nienasyconą dumę. Gwałtowne namiętności, często rozrywające jego serce, wyryły swe piętno na bladych zwyczajnie licach i zatarły znaki młodości. Liczył bowiem wtenczas hrabia Wallenstein dopiero trzydzieści kilka lat.

Przybliżył się do stołu i zatrzymał odchodzącą Minnę,

zdjął kapelusz i usiadł naprzeciwko astrologa. Oczy jego zwracały się ciągle na dziewicę, ale nikt nie przerwał przez długi czas milczenia. Nareszcie powstał alchimista i poważnym rzekł głosem:

— Błogosławię was i życzę jak najdłuższego szczęścia. — To mówiąc, rozciągnął nad nimi swoje ręce i wzniósł oczy do nieba, jak gdyby chciał wezwać jego łaski i opatrzności nad osobami tak drogiemi. —

Uradowany Wallenstein, porwał się z krzesła i wziął rękę Minny. Ale dziewica odwróciła łzawe oko i w rozpaczy mocnym wyrzekła głosem:

— Nie masz, nie będziesz miał nigdy mego serca. Przymuszą mnie być twoją żoną; ale czyż miło ci będzie pędzić życie z niewiastą, która cię nie cierpi i nienawidzi?

Na to zapytanie stanął Wallenstein, jak wryty, i najgwałtowniejsze namiętności zawrzały w jego duszy. Smutek i gniew, miłość i wściekłość napełniły jego serce. Nareszcze:

— Nieczuła Minno — rzekł — chcesz mojej śmierci, bo bez ciebie żyć nie mogę.

A po chwili silnym zawołał głosem:

— Mówisz, że mnie poznałaś. Nie, nie znasz, nie znasz jeszcze gniewu Wallensteina. Jedno moje skinienie może ciebie i twojego ojca w proch zmienić. A nie myśl, żeby to były próżne słowa! Zapytaj się Czech całych, a odpowiedzą, że zemsta Wallensteina wszystko pożera! Moja miłość dla ciebie jest bez granic; ale kiedy zemsta zajmie jej miejsce, niebo samo, sam Bóg nie wstrzyma mojej prawicy.

— Minno, każe ci ojciec usłuchać próśb Wallen-

steina — zawołał alchimista — nie stawaj się naszej zaguby przyczyną.

— Minno! — krzyknął Wallenstein, zbliżył się do dziewicy i pałasz złożył przed jej stopami — nie odmawiaj tej ofiary, przyjmij tę szablę, dopóki leży przed tobą, nie czekaj, aż podniesie ją mściwa prawica! Oddaję się tobie. Ja, hrabia Wallenstein, ja, któremu gwiazdy przepowiedziały zawód najświetniejszy, którego męstwo w tysiącznych już się wsławiło walkach, ja, przed którym kiedyś cały świat, wojska i kraje drżeć będą, przychodzę prosić cię i błagać, byś zwróciła łaskawe na mnie spojrzenie, a za to ci obiecuję szczęście i zaszczyty bez granic.

Tu stanął Wallenstein, rozjaśniło się jego czoło i porwawszy szablę, wyjął ją z pochwy, wyniósł do góry.

— Tak, zaszczyty! Obiecuję ci królestwa i państwa, hołd ci złożą dumne pany. Ten miecz kiedyś zabłyśnie nad wszystkiemi Europy koronami, wzniesie się nad wszystkich tronu mocarzów. Na jego widok cesarze zbledną i przed nim uniżać się będą! I możesz się jeszcze wahać, o Minno? Możesz jeszcze gardzić mojemi ofiary?

Takim sposobem przepowiadał Wallenstein przyszłe swoje losy wieszczym duchem. W największem uniesieniu zdawało mu się, że już widzi świat cały klęczący przed sobą. Nie wątpił już, że Minna przystanie na jego żądania.

Okropnem było położenie dziewicy. Z jednej strony widziała ojca proszącego, błagającego, z drugiej człowieka, którego namiętności żadnej tamy nie znały i w którego sercu szeroko panowała zemsta. Pewną

była, że odmówienie ręki Wallensteina będzie wyrokiem śmierci i zaguby nie tylko dla niej, ale dla ojca i dla wszystkich mieszkańców Egry.

Urodziła się Minna z pięknymi przymioty, z sercem czułem na męki innych, ale jej dusza nie miała tej mocy, której trzeba na poświęcenie się wiecznym cierpieniom i boleściom, żeby ratować i zapewnić szczęście drugich. Przekonała się z czynów i słów Wallensteina, że sercu jego prawdziwa miłość niedostępną była, że jedna w nim tylko władała duma i pycha, niczem niewstrzymana, żadną przeszkodą, żadnym niezrażona oporem. A pędzić życie z takim człowiekiem — zdawało się jej, że to jest zmienić złudzenia i błogie chwile młodości na męczarnie bezdennego piekła. Wtem nowy zamiar urodził się w jej myśli, zbliżyła się do rycerza i słabym ozwała się głosem:

— Wallensteinie, jeśli prawdziwie mnie kochasz, uczyń zadość mojej prośbie, poczekaj jeszcze tydzień, a po jego upłynieniu, przysięgam, że nigdy mojej ręki innemu, jak tobie, nie oddam.

— Nie, to być nie może — krzyknął alchimista.

— Minno — rzekł Wallenstein — zezwalam na twoje żądanie i, żeby dowieść ci moją miłość i poświęcenie bez granic, jeszcze tydzień jeden w najsroższej niepewności dla mnie upłynie, ale potem żadna władza boska ani ludzka nie zdoła mnie wstrzymać.

Po tych słowach oddaliła się dziewica. —

Astrolog przez chwilę stał niewzruszony, nareszcie wziął swój teleskop, porwał Wallensteina za rękę i spiesznym krokiem zaprowadził go na wysoką wieżę,

z której zwykł był wpatrywać się w niebo i uważać bieg światów.

Ustała burza, księżyc wydobył się z za chmur, powoli ustępujących z nieba, jak pobite wojska, których męstwo jeszcze nie ostygło, zwolna z pola krwawych mordów się cofają. — Zachodnia część nieba błyszczała rozsypanemi gwiazdy. — Całe miasto, u stóp pagórka leżące, ukazało się Wallensteinowi w cichości i milczeniu nocy. Dachy świetniały odbitymi promieniami księżyca o wody, w srebrzystych kroplach z nich spływające.

Z przeciwnej strony wznosił się zamek egierski na niebotycznej górze. Straże stały po jego wałach i gotyckich wieżach. Gdzieniegdzie błyszczały kopie w ręku mężnych wojowników i działa, strzegące warowni.

Spokojnie usiadł astrolog i patrzał na niebo przez swój teleskop. Z tyłu stał pułkownik z założonemi rękami, dumał, wpatrując się w gwiazdy, które uważał za najpewniejsze przewodniki w życiu człowieka. Zmieniała się powoli twarz Adalberta de Reichstal. Coraz żywiej iskrzyły mu się oczy i coraz mocniejszy rumieniec pokrywał jego lica. Wstał nareszcie, mocno ścisnął prawicę rycerza, drugą rękę wyciągnął ku gwiazdom, wzrok wlepił w błękity niebios i, jakby uniesiony nadludzkim duchem, w takie ozwał się słowa:

— Po wielekroć ogłaszałem ci, Wallensteinie, przyszłe twoje losy, powielekroć mówiłem, że twoja gwiazda jest najświetniejszą i najżywszym ze wszystkich pali się ogniem. Jeszcze raz to powtarzam.

Powtarzam, że Pan świata przeznaczył cię do wy-

sokich dzieł i zaszczytów. Twoje ramię pokona najsroższych wrogów, zrzuci z szczytu wielkości wielkich panów ziemskich, wielu innych wyniesie. Twoje imię, głośne na późne wieki, zagrzmi w przyszłości, jak trąba anioła, mającego kiedyś obudzić śmiertelnych ze snu śmierci. —

Szczęście skrzydłami cię okryje. Na twój rozkaz całe Niemcy uklękną, a śmierć i rzeź, postrach i przerażenie ciebie otaczać, tobie splatać wieniec nieśmiertelności będą. Cały twój zawód stoi teraz przed moją myślą. Widzę, jak twoja gwiazda rzuca płomienie złote. Zalewa nimi pół nieba, wszystkie inne giną w tym potopie sławy i zwycięstw. Widzę koronę cesarską blizko twej głowy.

Tu wyraz smutku okrył twarz astrologa.

Ale nigdy jej nie okryje. Już rękę wyciągniesz po nią, ale wymknie ci się z prawicy, a zabójcze żelazo twój zawód ukończy. Właśnie w tem miejscu spostrzegam bledniejącą gwiazdę przeznaczenia twego, krew zagasza jej świetny ogień. Bladość śmierci po niej się rozlewa.

Skończyłem, Wallensteinie. Witam cię, bohaterze, witam cię, zadziwiający człowieku.

— Dzięki ci składam, mój ojcze — krzyknął z radością Wallenstein. — Nie dbam o ostatnie moje chwile, nie dbam o to, czy skonam w purpurze królewskiej lub pod ciosem wroga; dosyć mi na tem, że życie moje świetne, że mój zawód nadzwyczajnym będzie. Bylebym się wsławił, byleby moje imię dobiło się nieśmiertelności, zgadzam się na śmierć okropną i na koniec nieszczęśliwy. Za tydzień wrócę tu po

twoją córkę. A potem rzucę się w wojny i zamęt świata i śmiałym zmierzać będę krokiem do korony lub śmierci. — Żegnam cię.

To mówiąc, opuścił astrologa, zszedł z wysokiej wieży i wrócił do swego mieszkania.

III.

Kędy je t miłe latek dziecinnych wesele?
Gdzie miłe burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja, gdzie są przyjaciele? —
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje?

Mickiewicz. — Sonety.

Żeby zrozumieć wypadki naszej powieści, musimy się cofnąć o pięćdziesiąt lat i wystawić Adalberta de Reichstal, okrytego już teraz śnieżnym włosem, w kwiecie młodości i nadziei. — Harald de Reichstal, jego ojciec, odumarł go w młodym jeszcze wieku, a przez ciąg życia rozproszył po dworach Europy i świetnych turniejach majątek swych dziadów, wsławionych wieloma czynami. — Aż do dwudziestego roku przebywał w Wiedniu Adalbert i wraz z matką starał się dawny majątek do pierwszej wrócić świetności. — Wtem matka jego nagle umarła. — Smutek ogarnął umysł przywiązanego syna. Porzucił swe włości, które wkrótce zajęli dłużnicy[1], a sam puścił się w podróż. Z początku nie cierpiał życia i wzywał śmierci.

1 Tu w znaczeniu: wierzyciele. »Słowo wierzyciel Polakom nie bardzo zwyczajne; przeto go dłużnikiem, t. j. komu dłużno, mianują«. (Słownik Lindego).

Nie uważał na otaczających go ludzi, a zbolałe serce nie biło ani dla miłości, ani dla przyjaźni. — Powoli jednak zmniejszać się zaczął smutek, a coraz nowe okolice, coraz nowe ludzi namiętności zajęły jego umysł. — Poznał jednak, że nie będzie mógł w świecie się odznaczyć, że nigdy sławy nie uzyska, jeśli nie posiędzie skarbów, nauk i wiadomości. — Przybywszy do Florencyi, zapoznał się z signorem Riccioli, sławnym alchimistą. — Oddał się zupełnie tej nauce, która zapalała żywą jego wyobraźnią i zaostrzała ciekawość. Uczył się także astronomii, ale nie mógł przestać na stałych i niewzruszonych prawach, nadanych przez Stwórcę; odwieczne prawdy bez związku z człowiekiem wydawały mu się suchemi, a chcąc dojść do ważnych odkryć, do wyższego światła, cofnął się i wpadł w przesądy. —

— Gwiazdy są skazówkami mego życia — rzekł do siebie i zaczął uważać te ogromne sfery, te słońca, rozlewające światłość i promienie, te światy nieskończone za przewodników człowieka. — Doszedł nawet w tej nauce do wielkiej biegłości, a kilka jego proroctw, trafem sprawdzonych, potwierdziły go w wierze w astrologię. — Przebywając długo na ziemi, nad którą kiedyś ulatywały orły rzymskie, spotykając co krok ślady tych panów świata, co krok depcząc popioły ich wielkich mężów, nie mógł być nieczułym na te ostatki zgasłej wielkości, wielkości, panującej kiedyś światu i korzącej dumnych mocarzów. — Każdy kawałek marmuru, każdy grobowiec, każdy napis zwracał jego uwagę; i z[a]głębił się w przeszłe i dalekie wieki. — Nauczył się języka, którym niegdyś Homer

opiewał ostatnie walki ludu, poświęconego na srogą niewolę. — A takim sposobem został alchimistą, astrologiem i antykwaryuszem. — Po dwunastu latach opuścił Florencyą i wrócił do Niemiec. — Zwiedził Czechy. — Zakupił pagórek i dom, w którym go widzieliśmy, upodobawszy sobie położenie Egry. — Wystawił wieżę, z której miał uważać nieskończoność. — Ale długo nie mógł zostawać na jednem miejscu. — Chciwy sławy i nauki, chciał jej szukać po rozległym świecie. — Zamknął swój pałac. Przyłożył na jego bramach pieczęć z herbem Reichstalow. — Opuścił Egrę. — Dziesięć lat nie słyszano o nim; raz tylko jakiś podróżnik, przybywszy do Pragi, mówił, że go spotkał w pustyniach Arabii i że tam nawet poślubił sobie muzułmankę. — Właśnie dziesiąty rok dochodził, jak porzucił Egrę, kiedy dnia jednego siedem koni stanęło przed warownią na wzgórku. — Właśnie wiosna w całej swej piękności rozwijała kielichy świetnych kwiatów i liście w zieleniejących się ogrodach, słońce, jak bohater po zwycięstwie, wzbijało się w górne niebiosa, i wszystko zalewało potopem złotych promieni. Piękna pogoda rozweselała orszak, w którym mieścił się astrolog. — Przy jego boku, na pięknym koniu arabskim, ukazywała się młoda niewiasta. — Jej twarz spalona od gorąca pustyni, jej oczy pełne ognia; zawój głowę jej okrywa, a bogaty ubiór wschodni jej ród oznacza. — Na trzecim koniu niewolnik czarny trzymał szeroki kosz, w którym leżało uśpione dziecko. Czwarty rumak, niezmiernie mały, dźwigał na sobie syna astrologa, którego wiek sześciu lat nie przechodził. — Mała szabelka wisiała u boku, a koł-

czan i łuk spoczywał na dziecinnych barkach. Za temi osobami jechało dwóch zbrojnych muzułmanów na koniach, pakami i szkatułami obładowanych.

Astrolog zsiadł z konia, zerwał pieczęć, otworzył drzwi, wprowadził do domu muzułmankę z dziećmi.— Paki i szkatuły w ukrytej sali zamknął. — Niewolnicy, odpocząwszy kilka godzin, dosiedli koni, i jak strzała, puścili się ku wschodniej stronie. — Wkrótce w tumanie kurzu zniknęli.

Mieszkańcy Egry nie wiedzieli, co myślić o tem zdarzeniu; w kilka dni przybył arcybiskup pragski ze stolicy Czech i w kościele egierskim muzułmanka przyjęła chrzest święty wraz z dziećmi, z których jedno było Minną de Reichstal. — Drugie otrzymało imię Alana. — Spokojnie potem pędził dni szczęśliwe Adalbert de Reichstal z piękną Fatymą. — Często mówił o swoich podróżach w Palestynie, Arabii, w pustyniach Azyi. — Często wspominał o swojej miłości ku pięknej małżonce. — Ale nigdy nikt się nie dowiedział, jakim ją poznał, jakim zaślubił sposobem.— Codzień jednak słabło zdrowie Fatymy, codzień większa bladość rozlewała się po jej licach. — Zwolna zstępowała do grobu, podobnie jak kwiat, przeniesiony z lubej ziemi w odległe strony, więdnieje, schyla niegdyś świetną głowę i usycha. — Patrzył na to nieszczęśliwy Adalbert. — Gwiazd się poradził. — Wróżyły mu nieszczęście. — Od tej chwili pewnym już był, że utraci ulubioną Fatymę i że ta perła wschodu niezadługo przestanie razić swym blaskiem. — Całe nocy przepędzał przy łożu ukochanej żony. — Krokodyle, rośliny, mumie, wydobyte z pak i rozwieszone

po ścianach, nie zwróciły już jego wzroku. — Oczy łzawe zatapiał ciągle w umierającej żonie, w tej pięknej córce dzikiej Arabii, którą ani jego miłość, ani nauka zachować nie mogła. — Zmieniała się stopniami piękna pora. — Deszcze, wichry i śniegi przybycie zimy obwieszczały. — Wkrótce pola i miasta śnieg zakrył białym całunem. — Czarne chmury zasępiły niebo. — A Fatyma, zwyczajna widzieć zawsze jasne słońce, widzieć rozkoszne łąki i doliny okolic Mekki, nie mogła znieść widoku obumarłej natury. — Wspomnienie ojczyzny tak dalekiej łzy jej wycisnęło i w ostatniem westchnieniu usłyszano słabo wymówione słowa: »Bóg jest jeden, a Mahomet jego prorok«.

Padł bez zmysłów Reichstal przy ciele Fatymy i długo nie mógł wrócić do spokojności. Wiele lat upłynęło, nim się trochę smutek w jego sercu zatarł. Tymczasem Alan de Reichstal wzrastał w siły i męstwo. Zrzucił kołczan i łuk, chwycił za szablę i puklerz. Już ciężka zbroja kryła jego piersi, a nikt lepiej nie kierował koniem, nikt lepiej nie siekł żelazem. Minna, podobna do matki, ulubioną żonę ojcu przypominała. — Nie pamiętała tej, która dała jej życie, ale często mówił jej o Fatymie Adalbert de Reichstal.

— O, jakbym chciała widzieć i znać moją matkę — rzekła Minna.

— Chciałabyś? — odparł Reichstal — chodź więc — i silną ręką porwał ją Adalbert i zawiódł do podziemnej komnaty.

Lampa drżącym ją oświecała płomieniem. Na wysokiem krześle siedziała niewiasta, czyli raczej ciało

niewiasty. Fałdzista suknia je owijała. Twarz blada, oczy zawarte żelazną ręką śmierci.

— Oto twoja matka, Minno — rzekł astrolog — oto Fatyma, zachowana moją sztuką. Sądź po piękności umarłej, jaką musiała być za życia!

Widok ten przeraził Minnę; i odtąd czarna smętność opanowała jej duszę, wszystko jej ponurem się wydawało. — Astrolog codzień odwiedzał ciało żony, ale w tajemnicy zachowała to jego córka; sam nawet Alan o tem nie wiedział. Kilka lat później wszedł do wojska i był już teraz kapitanem. W wielu walkach odznaczył się męstwem, a imię młodego Reichstala wszędzie głośnem było. Gwałtowny gniew często zapalał jego duszę, a wtenczas nicby go nie wstrzymało; ale zwyczajnie dobrego i usłużnego był serca. Najmniejsza jednak obraza w wściekłość go wprowadzała, i niejeden już zginął z jego mściwej ręki w krwawych pojedynkach.

Astrolog przestał odwiedzać ciało Fatymy, nad którem ciągle paliła się srebrna lampa, podsycana najczystszą Palestyny oliwą. Zatopił się już sędziwy Adalbert w naukach. Otoczył się wszystkiemi księgami i narzędziami alchimii i w rozważaniu natury ulgę ciężkich znajdował boleści.

Wielu możnych panów go znało, a Wallenstein, chcąc pojąć jego córkę za żonę, nie zniżał się, bo ród Reichstalów świetniał zawsze blaskiem męstwa i sławy, ich potomek Adalbert szeroko słynął nauką, a nadewszystko młoda Minna anielskiej była piękności.

IV.

A wy dla znaku pierścień tylko weźcie;
Nie trzeba więcej: skoro ujrzy godło,
Pozna, kto jestem . . . . . .

Mickiewicz. — Grażyna.

Kapitan Alan de Reichstal wracał spokojnie na dzielnym koniu do wsi Leitmenitz, gdzie stał pułk, w którym służył. Zrana jeszcze wyjechał na łowy, a zmęczony, śpieszył do niedalekiego pomieszkania. Już noc oblekła niebo, i księżyc bielił swymi promieniami ciężkie chmury zimowe. Naokoło ziemia śniegiem błyszczała, a gdzieniegdzie szronem ubielone drzewo wznosiło się wśród pola. Jechał Alan zatopiony w myślach. Przy siodle dwóch zabitych zajęcy wisiało, a kordelas strzegł boku. Igrał wiatr z piórem czarnem, wznoszącem się nad czapką. Czasami powstawał wicher i tumanami śniegu oczy konia i jeźdźca zasypywał. Zimno wzrastało stopniami. Wtem chmury, złączywszy się, zakryły księżyc. Niedaleka wieś Leitmenitz znikła z oczu Alana, a śnieg gęsty padać zaczął. W tej samej chwili usłyszał za sobą tentent rozpędzonego konia; odwrócił głowę i rozeznał wśród ciemności jakąś czarną postawę, zbliżającą się do niego. Mimowolnie prawie dotknął się kapitan pistoletu i wyjął go z za pasa. W tych bowiem czasach nieszczęść i wojen, na każdego zwracało się podejrzenie, osobliwie jeszcze, kiedy noc i burza sprzyjały zamiarom zbrodniarzów. Stanął po chwili przy Alanie człowiek wysokiego wzrostu, obwinięty futrem, i silnym zawołał głosem:

— Kto jesteś? — Czy przyjaciel poczciwych ludzi, czy zbójca lub protestant?

— Jestem wojskowym — odparł Alan — i chciałbym wiedzieć, czego się błąkasz po nocy?

— Czy daleko do wsi Leitmenitz?

— Nie mogę o tem sądzić, bo znikła mi z oczu, ale zdaje mi się, że niema więcej, jak ćwierć mili.

— Czy tam stoisz, mości panie wojskowy?

— A tobie cóż do tego? Twoje pytania już mnie nudzą. Jedź naprzód lub obierz sobie inną drogę.

— Moją drogą jest droga, wiodąca do Leitmenitz; ale przebacz mi, jeszcze jedno zapytanie: Czy nie wiesz, w jakiej stronie wsi stoi kapitan Alan de Reichstal?

— Kapitan Alan de Reichstal? — powtórzył zdziwiony młodzieniec. — A z jakimiż do niego jedziesz zamiarami?

— O tem ani słówka więcej, mości wojskowy. Ale oddaj mi, proszę, usługę, którą każdy poczciwy człowiek bliźniemu wyświadcza, to jest, wskaż mi drogę do wsi i powiedz, gdzie w niej mieszka kapitan Alan de Reichstal.

Nie mógł już wytrzymać niecierpliwy Alan i krzyknął:

— Ja nim jestem! — a porwawszy za cugle konia towarzysza, zatrzymał go i pytał się, czego po nim żąda.

— Trzeba mnie o tem jeszcze przekonać — odparł spokojnie nieznajomy; nie mam w zwyczaju we wszystko i wszystkim na ślepo wierzyć.

— Do tysiąca piorunów, uparty człowiecze, mówię

ci, że jestem Alanem de Reichstal, kapitanem w pułku Lichtensteina, synem Adalberta de Reichstal, mieszkającego w Egrze. Cóż chcesz więcej?

— Zaczynam już wierzyć, ale to jeszcze nie dosyć. Proszę mi powiedzieć, jaki jest herb Reichstalów?

— To już zanadto, żeby mnie nie wierzyć, że ja jestem sobą samym! — zawołał rozgniewany młodzieniec.

— Patrzże, niewierny, patrz! — i, to mówiąc, wyciągnął lewą rękę, na palcu której miał bogaty pierścień z swoim herbem, prawą odwiódł kurek u pistoletu, a przyłożywszy go blizko twarzy nieznajomego, wystrzelił. Przy chwilowej światłości, sprawionej przez ogień wybuchający, poznał nieznajomy trzy topory, godło rodziny Reichstalów, i wyczytał imię Alana na pierścieniu.

— Poznaję cię teraz — rzekł — poznaję i twarz, już dawno nie widzianą, i herb twych mężnych przodków. Witam cię, kapitanie, ale spieszmy się; nie mamy ani chwili do stracenia, lećmy do Leitmenitz, żebyś tylko prędzej mógł przeczytać list od siostry.

— Od Minny? — zawołał Reichstal — mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

— W wielkiem jest niebezpieczeństwie, i zaraz mam odjechać z odpowiedzią twoją, ale spieszmy się do wsi!

— Nie trzeba wsi na przeczytanie jej listu — krzyknął Alan. Zskoczył z konia, wyjął z worka, wiszącego przy siodle, trochę suchego siana, otoczył nim niewielką przy drodze stojącą sosnę, a dobywszy drugiego pistoletu, w nią wystrzelił. Przybitka rozogniona

padła na siano, które się zajęło jasnym płomieniem. Z początku wilgoć i śnieg odpierały moc ognia, ale jednak wkrótce zapalił się pień, przepełniony żywicą, i oświecił szeroko pole naokoło siebie. Wyrwał Alan list siostry z rąk towarzysza, zdarł pieczęć i czytać zaczął. Wzywała dziewica jego pomocy. Zaklinała, żeby przybył ją uratować i wyrwać z rąk Wallensteina.

Ale poznał z daty listu i z opowiadania siostry, że właśnie dzisiejszego dnia minął nieszczęsny tydzień. Obrócił się do towarzysza i rzucił się na niego.

— Niegodziwy! już zapóźno! — zawołał — czemuż prędzej mi nie doniosłeś tych nieszczęśliwych nowin? W jednym dniu mogłeś tu przyjechać, a cały tydzień upłynął od czasu, jak cię moja siostra wyprawiła.

— Nie sądź tak porywczo, mości kapitanie. Wszystkich bram Egry strzegą żołnierze Wallensteina i przetrząsają wszystkich przejeżdżających. Kilka dni zeszło, nim znalazłem sposobność przejścia tajemnie przez austryackie straże. A zresztą zdaje mi się, żem i tak dosyć się dla was poświęcił.

— Przepraszam cię — odpowiedział Alan i skoczył mu do szyi — dziękuję ci tysiąc razy za to, coś zrobił dla niej. Ale może już ją przymusili? Nie mogę tracić czasu.

To mówiąc, oderwał kawał papieru czystego z listu siostry, napisał na nim kilka słów ołówkiem i oddał towarzyszowi.

— Weź mego konia — rzekł rozkazującym głosem. — Twój, nie tak zmęczony, mnie służyć będzie. Ale się obrócisz na lewo, pojedziesz do Leitmenitz

i oddasz to pismo pułkownikowi Lichtenstein. Ja zaś polecę do Egry wyrwać siostrę z rąk niegodziwych. A teraz żegnam cię i dziękuję ci raz jeszcze.

Dokończając tych słów, rzucił mu sakiewkę, napełnioną złotem. Wzdryga się ją przyjąć nieznajomy.

— Ubogi jestem — rzekł — ale Robert Dojuz nie potrzebuje nagrody za czyn cnotliwy. Nieraz twój ojciec już świadczył....

— Weź, Robercie, weź — krzyknął Alan — bo inaczej rzucę te pieniądze w rów ten głęboki. — To mówiąc, nabił pistolety, skoczył na dzielnego rumaka i w jednej chwili zniknął z oczu Dojuza.

V.

Ach! i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem.

A. Mickiewicz — Dziady.

22 listopada 1620 roku skończył się tydzień, po którego upłynieniu miała córka Adalberta de Reichstal oddać rękę hrabiemu Wallenstein. Nazajutrz wieczorem mieszkańcy Egry zdziwili się niespodziewanym widokiem.

Pułkownik Wallenstein na czele 40-stu dobranych z swego pułku żołnierzy jechał przez miasto. Czapka z wzbijającemi się ku niebu pióry okrywała mu głowę. — Płaszcz, podbity sobolowem futrem, ulatywał naokoło. Szabla, błyszcząca drogimi kamieńmi, wisiała

u złotolitego pasa. — Złote ostrogi strzegły nóg, opierających się na srebrnych strzemionach, a na szyi obwijał się złoty łańcuch, utrzymujący medal cesarza Niemiec. Koń biały w przepysznych, lśniących się szafirami i szmaragdami rzędach zwolna postępował, dzielną kierowany prawicą. Za nim żołnierze na pięknych rumakach jaśnieli świetnymi ze stali kirysy. Z ich środka wznosiła się chorągiew rozwita i puszczona na igrzysko wiatrom. Dwóch zaś jeźdźców w srebrnych hełmach, w srebrnych pancerzach jechało obok pułkownika. Jeden z nich na miedzianej tarczy utrzymywał koronę świetną połyskującymi dyamenty i wieniec z róż kolorowych uwity, drugi zaś na aksamitnej poduszce miał drogie zausznice, perłowe naszyjniki i inne ozdoby. Z takimi więc dary jechał Wallenstein po piękną oblubienicę. Za tym orszakiem ukazał się sędzia Egry w długiej, czarnej sukni. Czworograniasta czapka kryła sędziwą głowę. W prawej ręce trzymał laskę z jabłkiem złotem, a w lewej pargamin, zawierający układy przedślubne, na którym z jednej strony była pieczęć Wallensteinów, a z drugiej Reichstalów.

Wszyscy zatrzymali się na wzgórku przed domem astrologa. Żołnierze uszykowali się w półkole. Skoczył na ziemię niecierpliwy ich dowódzca. — Porwał za rękę sędziego i wszedł w podwoje Adalberta. Za nim szli dwaj towarzysze, niosący dary dla Minny. Sędziwy Reichstal przyjął ich w tym dniu uroczystym z powagą, przyjął z twarzą, przypominającą więcej świetność i sławę swego rodu, niż alchimią, gwiazdy

i starożytności greckie lub rzymskie. Ale w wielkiej sali nie było jeszcze Minny.

Opuścił więc Adalbert gości i przyspieszonym krokiem udał się do komnaty córki.

Miał czas Wallenstein przypatrzyć się odmianom, zaszłym w szerokiej komnacie. Nie widać było już na jej murach ani kościotrupów, ani naczyń alchimii, ale wszędzie herby i zbroje Reichstalów świetniały. Tu rogi jeleni dźwigały tarczę i szyszaki, tu znowu na niedźwiedzich skórach błyszczały groty i miecze. Serce mocno biło pułkownikowi. Stary sędzia spokojnie zasiadł w szerokiem krześle, rozłożył pargamin na stole, przysunął pióra i kałamarz. Wtem wrócił astrolog z córką. Ale niktby nie pomyślał, że się ona gotuje do ślubu. Nie wesele, nie słodkie uczucia radości, nie miłości uniesienia, ale smutek, ale śmiertelna rozpacz malowały się na jej twarzy, odbijały się w ogniu ponurym jej czerwonych oczu.

Wiódł ją ojciec za rękę, jak za dawnych wieków kapłan prowadził do ołtarza ofiarę, przeznaczoną bogom. Stanęła naprzeciwko Wallensteina. Nie miała na skroniach ślubnego wianka. Rozpuszczone włosy wiły się bez porządku naokoło śnieżnej szyi. Jedna tylko suknia biała bez żadnych ozdób mogłaby być znakiem godowej uroczystości, gdyby w pół ją nie obejmowała czarna przepaska. — Długo wlepiał w nią oczy Wallenstein i nie mógł w tej dziewicy wybladłej poznać pięknej, boskich niegdyś wdzięków Minny. Nareszcie zbliżył się, ukląkł i ofiarował przepyszne dary. Pomieszanem okiem rzuciła na nie córka Adalberta, ale nie wyciągnęła ręki, nie schyliła głowy na

znak podziękowania. Podobną była do pięknego posągu z marmuru, tylko, że na martwym kamieniu rozpacz się nie maluje. A rozpacz władała jej sercem, władała już niezdrowym rozumem. Znikały powoli wszystkie jej nadzieje. W każdym świście wiatru słyszała z początku głos Alana, w każdej osobie upatrywała brata; ale brat nie przybywał i sto razy na dzień omylona, już nie śmiała spodziewać się pomocy. — Postanowiła jednak w głębi serca, że nie będzie żoną Wallensteina i dochodziła już godzina, w której miała śmierć obrać lub rękę nienawidzonego męża. Widząc jej oziębłość, Wallenstein sam rozłożył swe bogate dary na stole, a ojciec zaprowadził ją do blizkiego krzesła.

Powstał wtenczas sędzia i oświadczył, że nie godzi się przymuszać niewiasty do ślubu. Ale w tej chwili silna ręka Wallensteina ścisnęła go za ramię i w oddalony kąt pokoju zawiodła. Pospieszył za nimi Adalbert.

— Obieraj! — po cichu, lecz mocno, rzekł Wallenstein, a prawicą uderzył w pałasz, lewą zaś ręką podawał ciężki worek. Nie długo wahał się sędzia, a wkrótce ręka pułkownika nie spoczywała już na rękojeści miecza, ale też i w drugiej nie było złota. W tej chwili wszyscy odwrócili się od dziewicy. Leżał na stole przed jej oczyma nieszczęśliwy pargamin. Na ten widok jej rozpacz nie znała już granic, a na nieszczęście postrzegła na kominie zapomnianą flaszkę przy wynoszeniu alchimicznych narzędzi. Porwała ją dziewica. Na długim papierze, przy niej wiszącym, były słowa: »Trucizna«. Ledwo je przeczytała, już

do ust przytknęła śmiertelny napój. Potem spojrzała w stronę komnaty, w której naradzał się jej ojciec z sędzią i Wallensteinem; dziki uśmiech wydał jej myśl okropną: »Już nie jestem w waszej mocy«. Po chwili Adalbert wrócił do stołu. Zasiedli przy nim sędzia i pułkownik. Porwał Reichstal zimną rękę Minny i połączył ją z ręką Wallensteina.

— Błogosławię was — rzekł — błogosławię, moje dzieci. Doczekajcie późnych lat...!

— Nie doczekamy ich oboje — przerwała mu dziewica i znów do dawnego wróciła milczenia.

Nie wiedział, co począć, astrolog, kiedy Wallenstein porwał za pióro i podpisał się na pargaminie. — Poszli za jego przykładem Adalbert i sędzia. — Teraz kolej przychodziła na nieszczęsną Minnę, która już zaczynała cierpieć bóle, śmierć poprzedzające. — Z obłąkanemi oczyma wzięła pióro, ale zapomniała go umaczać. — Astrolog odebrał pióro, zanurzył w kałamarz i oddał córce. — Ale Minna nie miała dosyć mocy do podpisania się. — Ojciec więc wziął jej rękę i nią kierował. — Nareszcie nieczytelne dziewicy imię zaczerniało na pargaminie. — Właśnie kończyła ostatnią literę, kiedy usłyszano tentent prędko biegnącego konia, a wkrótce potem kroki w sieni i głos silny.

— To on! — krzyknęła Minna i pióro wypadło jej z ręki.

Drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Alan de Reichstal. — Pióra połamane na czapce, cały ubiór w nieładzie, buty okryte śniegiem, pot cieknący z twarzy dowodziły prędko odbytą podróż. — Jego ukazanie się wszystkich zadziwiło. — Astrolog nie mógł pojąć,

dlaczego syn przybywa na ślub siostry, kiedy o tem nawet go nie uwiadamiał, bojąc się, by, wzruszony łzami Minny, nie wyzwał Wallensteina na śmiertelną walkę. — Pułkownik nie znał Alana i z gniewem w sercu porwał się z siedzenia i pobiegł ku niemu.

— Kto jesteś? — silnym zawołał głosem. Jak śmiesz tu się stawiać przed hrabią Wallenstein?

— Jestem jej bratem — krzyknął wściekle Alan — i twoim wrogiem śmiertelnym!

— Ty moim wrogiem? — odparł z uśmiechem wzgardy Wallenstein — jej bratem, szaleńcze? — Odejdź, bo cię każę pojmać!

— Nikogo się na świecie nie boję. — Jestem bratem tej dziewicy. — Kiedy wszyscy ją opuścili, mój pałasz zabłyśnie na jej obronę. — Chcesz ją gwałtem poślubić?

— Któż ci o tem, najpodlejszy z ludzi, któż ci o tem doniósł?

Nie mógł już takiej zniewagi wytrzymać Alan, dobył szabli i piorunnym zawołał głosem:

— Gdyby nie ten list, jej oczy, jej twarz byłyby mi to powiedziały. — Broń się, Wallensteinie!

Krzyknęła przeraźliwie Minna, a na ten krzyk upadła żelazem zbrojna ręka Alana. — Podniosła się wtenczas z trudnością dziewica i tak do otaczających przemówiła:

— Wstrzymaj się, Alanie, bo przybyłeś zapóźno! — Wstrzymaj się, Wallensteinie, bo już spełzły twoje nadzieje! — A teraz, mój ojcze, dowiedz się, że ja napisałam list do brata, że ja mu doniosłam o mojem nieszczęściu! — Ale spóźnił się Alan, a ja już uczy-

niłam wybór między śmiercią a tobą, Wallensteinie.— Przysięgłam, że nikt, oprócz ciebie, mojej ręki nie otrzyma. Święcie dochowałam danej wiary. — Wypiłam truciznę.

To mówiąc, wskazała ręką na komin i upadła na krzesło.

— Żegnam was — dokończała głosem, przerywanym częstymi jęki — żegnam was. — Ojcze, daruj winę! — Mój bracie, zachowaj Minnę w twojem sercu, kiedy już jej przy tobie nie będzie! — Módlcie się za mnie!

Alan przez chwilę wahał się, czy utopić żelazo w piersi Wallensteina, który stał głęboko zamyślony, czy pobiedz do siostry.

— Później zdasz mi z tego rachunek — rzekł nakoniec do pułkownika. — A teraz wychodź stąd! — Nie zatruwaj jej chwil ostatnich twoją przytomnością.—

— Nie, zostanę; żadna siła nie zdoła mnie wyprzeć.—

— Zostań więc, do szatana! krzyknął Alan i, rzuciwszy dobytą szablę, pobiegł do siostry, którą ściskał stary Adalbert. — Tonąc we łzach, żegnali się oba z ulubioną Minną. — Ale nareszcie kapitan porwał ojca za rękę.

— Ojcze, czy nie posiada twoja nauka sposobów uratowania jej?

— Nie, synu. — Trucizna, rozdzierająca jej wnętrzności, nie da się niczem uśmierzyć. — Utraciłem w młodym wieku matkę, w późniejszych latach patrzałem na śmierć Fatymy, a teraz ginie moja nadzieja, moja Minna. — Takie moje przeznaczenie! Takie skutki nieszczęśliwej gwiazdy!

Ale umysł Adalberta de Reichstal nie miał już dosyć

siły do zniesienia tych nieszczęść. — Upadł bez zmysłów na ziemię, a Alan kazał go zanieść do jego komnaty, — sam zaś z Wallensteinem został się przy siostrze. — Za kilka chwil już miała Minna ten świat porzucić. — Już niedobrze słyszała słowa brata — już niedobrze rozpoznawała rysy Wallensteina, stojącego przed nią. — Zatapiał on wzrok w umierającej oblubienicy, śledził na twarzy każdą oznakę boleści, uważał najleksze jej poruszenia, ale żadna łza nie zaświetniała w jego oczach, żadne pomięszanie nie wydało się na jego licach. — Boleść rozrywała duszę, ale panem był Wallenstein swoich namiętności, i kiedy chciał je ukryć, darmo szarpały jego serce, daremnie w piersiach się ścierały; nigdy westchnienie, nigdy ogień oczu, nigdy bladość twarzy go nie zdradziła. Alan drżące siostry ręce trzymał w swoich ręku. W okropnej rozpaczy prosił ją, aby nie opuszczała tej ziemi, jak gdyby mógł człowiek śmiertelny swoją wolą oprzeć się wszystko niszczącej śmierci. — Wallenstein zbliżył się do Minny.

Alan chciał go odepchnąć.

— Dozwól mu widzieć ofiarę — rzekła dziewica — już się teraz go nie boję! Prawdaż, nie będę jego żoną? zostanę przy ojcu? Nie opuszczaj mnie, Alanie!

To mówiąc, powstała; zdawała się walczyć ze zgonem i, konając, nie przestawała mówić o szczęściu. Zbłąkane zmysły stawiały jej w najpiękniejszych farbach umajone kwiatami łąki, pola rozkoszne, pogodę bez końca, słońce rozlewające czyste promienie, ale nagle zmieniła wyraz łagodności, który dotychczas boleści nie mogły zatrzeć w jej oczach, na wyraz

gniewu i szaleństwa; wyciągnęła rękę do Wallensteina, ścisnęła jego prawicę.

— Nieprawdaż? — rzekła do brata — pomścisz się na Wallensteinie mojej śmierci? Nieprawdaż, utopisz mściwe w jego łono żelazo? Pamiętaj, że on mnie zabił, że on wlał truciznę w moje serce!

Na te słowa zmięszał się pułkownik, ale nie oderwał prawicy i, nawzajem ściskając rękę dziewicy, jakby go mogła rozumieć:

— Nie ja — odpowiedział — sprawiłem twe nieszczęście, bo świadczę się niebem, że twoje tylko szczęście miałem na myśli.

— Nie usprawiedliwiaj się — zawołał Alan — przed Minną, kiedy już jej grób się otwiera; zostaw mnie przy siostrze!

Wtem krzyknęła najsroższych cierpień głosem córka astrologa; nagły rumieniec zastąpił śmiertelną bladość, oczy zaświetniały strasznym ogniem, ale ten ogień, do błyskawicy podobny, znikł w tej samej chwili. Jeszcze chciała wyrzec pożegnanie Minna, jeszcze jej usta się otwierały, jeszcze oczy zwracała ku bratu, ale śmierć nie dozwoliła jej ostatni raz ścisnąć ręki Alana; schyliła głowę, zamknęła powieki i padła bez życia.

W tej samej chwili wszedł do sali stary Adalbert de Reichstal. Smutek najgłębszy wyrył swe piętno na jego licach; zbliżył się do ciała córki, przy której stał Alan, położył rękę na zimnej twarzy ulubionej Minny:

— To jest Minna de Reichstal — rzekł poważnym głosem — ja jestem jej ojcem i nikt oprócz mnie nie ma do niej prawa. Jej ciało po śmierci do mnie na-

leży. — Wallensteinie, oddal się stąd! Idź na wojny i walki dokonywać świetnego przeznaczenia i zostaw tyle już razy nieszczęśliwego starca! Nie mam ku tobie żadnej nienawiści. Sam jestem przyczyną.... Błogosławię ciebie, idź....!

— Błogosławię! — ciszej powtórzył Alan i napół dobył pałasza.

— Synu, schowaj oręż! Zostaw nas, to jest, zostaw mnie z córką, a jutro rano czekam ciebie w mojej komnacie! —

Na te słowa ustąpił Alan, ustąpił Wallenstein. Spojrzenia ich się spotkały, a te spojrzenia wróżyły nieszczęście. — Na czele żołnierzy wrócił pułkownik — kilkoma godzinami wprzódy jechał do ślubu, teraz wracał z spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu, wracał od grobu oblubienicy.

VI.

Gomez:
Wielbię cię, żeś odważny, żałuję, żeś młody

Rodryg:
Który to raz, nie pytaj! wychodź! a w tej dobie,
Jak ta ręka zaczyna, doświadczysz na sobie.

Cyd. — przekł. L. Osińskiego.

Sen nie nawiedził powiek Alana; smutek go dręczył, a czarne widma otaczały jego łoże. Zemsty piekieł i niebios wzywał nad Wallensteinem, nad mordercą ukochanej Minny. Raz zrywał się z łoża i, chwytając za miecz, w okropnych wyrazach groził puł-

kownikowi, drugi raz upadał na ziemię i bez czucia zostawał, a kiedy mocno bijące serce i krew wzburzona znowu go do życia wracały, tonąc we łzach, tysiąc razy powtarzał imię siostry.

Mówią nawet, że w tej pamiętnej nocy ukazał mu się szatan w całej potędze. Płomienie wieńczyły skronie dumnego anioła. Twarz była anielską, ale w oczach odbijało się całe piekło, w oczach, które wyrażają ludzkie namiętności, znać było pychę, piorunami Pana niebios nie startą, i to pragnienie złego. Stanął więc szatan przed oczyma Alana. Kapitan nie przeraził się jego widokiem, bo dla zbolałego serca niema bojaźni na świecie. Ofiarował mu pan nieszczęścia wykonanie zamiarów, obiecał nieszczęśliwy zgon wroga. Przystał wtenczas syn Adalberta na oddanie duszy w ręce jego i na własną śmierć, mającą zaraz nastąpić po śmierci Wallensteina. Ledwo ukończył przysięgę, ścisnął go za rękę anioł ciemności. — »Moim jesteś już teraz« — rzekł grobowym głosem, rozśmiał się szyderskim śmiechem i zniknął.

— Zginie nieprzyjaciel! — zawołał Alan.

Choć trudno wierzyć tej pogłosce, pewną jednak jest rzeczą, że Alan de Reichstal nigdy już od tego czasu radości nie doznał. Nigdy miły uśmiech nie osiadł mu na ustach, nigdy łza wesela nie odwilżyła powiek. Ponury, niedostępny, poświęcony na wieczną zagubę, pogardzał ludźmi; nie znalazł na tej ziemi serca, coby go mogło zrozumieć. Nigdy nie ścisnął prawicy przyjaciela, nigdy słodkie uczucia nie przerwały boleści, serce mu rozdzierających. Z nieszczęść w nieszczęścia, z błędów w błędy wpadając, pewnym

krokiem zbliżał się do przepaści. A kiedy stanął u jej brzegu, nie wahał się ani chwili w nią rzucić.

Nazajutrz przypomniał sobie ojca rozkazy. Wychodząc z pokoju, porwał za miecz i ścisnął go z uniesieniem, jak gdyby w nim tylko jedynego widział przyjaciela, jedyną upatrywał nadzieję. Przeszedł przez salę, w której skonała Minna. Zaćmiło mu się w oczach i mało nie zemglał. Przebiegł długi korytarz i pchnął drzwi pokoju Adalberta. Otworzyły się podwoje, upadł Alan na progu, okropnym rażony widokiem. Ojciec stał przy ciele córki. Czarna suknia ją okrywała, a płaszcz ciemny, spięty sprzączką, wystawiającą trupią głowę, aż do jej stóp spadał. Korona, z srebrnych liści uwita, wieńczyła martwe czoło, na którem znać było piętno śmierci gwałtownej. Ogromne dyamentowe kolczyki zdobiły jej uszy, a naszyjnik z drogich kamieni skamieniałą szyję obwijał. Ręce miała złożone, a w nich spoczywał krzyż z kości słoniowej. Łzawe oko zwrócił Adalbert na syna i pośpieszył go podnieść. — Z trudnością powstał kapitan, ścisnął ojca prawicę i rzucił się w jego objęcia.

Po chwili poważnie rzekł astrolog:

— Synu! tyś ostatni z rodziny Reichstalów, zatrzymuję cię tylko na chwilę. Potem wrócisz, gdzie cię powinność i sława wzywają. Wprzódy mam ci odkryć tajemnicę. W podziemnych tego domu sklepieniach jest miejsce, przeznaczone na grób naszej rodziny. W nim spoczywa Fatyma, moja żona i twoja matka, nie podlegając zepsuciu czasu; równie ocaliłem zwłoki mojej córki. Przetrwają one wieki, podobne do mumii starożytnego Egiptu.

Kończąc te słowa, uderzył astrolog nogą w podłogę. Drzewo się na kilka stóp rozstąpiło, ukazały się kręte z kamienia schody. Objął w silne ręce ciało siostry Alan de Reichstal i, przyciskając go *(s)* do piersi, szedł za ojcem, dobrze znajomym drogi, kręcącej się wśród różnych kolumn i galeryj. Dosyć długo zstępowali na dół. Zewsząd ciemności nacierały na mały kaganiec, trzymany przez Adalberta, jak gdyby nienawidząc światło, chciały wroga zakryć swemi cieńmi! Nareszcie otworzył astrolog drzwi żelazne i wszedł z synem do szerokiego lochu. Srebrna lampa posępne po nim rozsyłała promienie. Siedziała Fatyma na wyniosłem krześle. Przy niej przygotowane było niższe siedzenie, obite w czarny aksamit, nad którem wznosiła się tarcza z herbem Reichstalów. Tu Alan złożył ciało młodej Minny. Klął astrolog przed Fatymą i, biorąc jej rękę, tak przemówił:

— Przyprowadzam ci towarzyszkę, Fatymo, mój upór sprowadził ją do ciebie. Ja ją do grobu wtrąciłem. Spoczywajcie tu spokojnie! O wielki Boże, zwróć twój gniew na mnie, ale nie odwracaj oblicza od Wallensteina!

Tak się dręczył smutny starzec. Alan nie mógł ścierpieć, żeby się ojciec oskarżał i wzywał jeszcze łaski niebios na Wallensteina, krzyknął więc:

— Zaczekaj, ojcze, pozwól synowi pomodlić się u grobu matki i pożegnać się z siostrą!

To mówiąc, ukląkł, dobył błyszczącego miecza.

— Przysięgam — rzekł — na wielkiego Boga, na Boga mych naddziadów i na te *(s)* krwi pragnące żelazo, że całe moje życie, że wszystkie chwile poświęcę zem-

ście, okropnej zemście nad Wallensteinem. Ścigać go będę, krok w krok za nim postępować i nie ustanę, nim występnej duszy mu nie wydrę. Serce jego skrwawione tu przyniosę w ofierze, tu złożę przed twojemi stopy, ulubiona Minno, a jeśli mi się powiedzie, dziś go jeszcze zamorduję. Oby twoja śmierć, oby zbrodnie Wallensteina na mnie spadły, oby moję głowę przeklął ojciec, obym nigdy usnąć nie mógł, jeśli danego tu słowa nie dotrzymam, jeśli wszędzie zbrodniarza ścigać nie będę! Śmierć jedna wstrzyma moje ramię, a oprócz niej żadna siła ludzka zemsty zabronić mi nie zdoła. Miałem piękny zawód przed sobą. Ale ja go teraz zamieniam na zawód krwi i rzezi, pomsty i śmierci, a świadczę się Tobą, o Boże, świadczę się tobą, o matko i siostro, że to czynię z mojej woli, nie z czyjego natchnienia lub rozkazu. Więc niech kara moich czynów mnie tylko dosięże, na mnie tylko się zwali. Niech mnie piekło pochłonie, niech mnie piorun zdruzgoce, bylebym dokonał zemsty, bylebym zabił Wallensteina.

Skończył młodzieniec, wzniósł dobyte żelazo.

— Wstrzymaj się, synu — zawołał Adalbert — wstrzymaj się! — Ale już tych słów nie słyszał kapitan, już szybkim krokiem wyleciał z ciemnego grobu i zmierzał do mieszkania Wallensteina. Z mieczem błyszczącym, z gniewem i wściekłością w sercu i na twarzy leciał wyzywać wroga.

Pułkownik Wallenstein siedział zamyślony przy szerokim stole, na którym leżał jego pałasz i pistolety. Przed nim był papier, na którym czytał przed chwilą rozkaz wyruszenia tego samego dnia jeszcze z Egry.

Smutek duszę jego przejmował i wrażenia dnia wczorajszego zajmowały serce. Wtem silna ręka porwała go za ramię. Obrócił się i poznał Alana. Natychmiast ściągnął rękę do szabli, ale zaraz rzucił broń porwaną i pytał się kapitana o zdrowie ojca.

— Nie pytaj się o zdrowie człowieka, którego poznałeś na nieszczęście mojej siostry — krzyknął Alan — a mam nadzieję i na twoje nieszczęście! Nie odrzucaj tej broni! Owszem weź ją i chodź za mną!

— Kapitanie — odparł, wstając, Wallenstein — dosyć już nieszczęścia z mojej przyczyny spadło na twoją rodzinę. Nie chciej, bym ręce zmazał we krwi ostatniego jej potomka. Opuść mnie raczej i nigdy nie potykajmy się na drodze życia, lub kiedy się spotkamy, wskaż swoją, a ja przeciwną obiorę!

— Do stu piorunów, wychodź, zbrodniarzu, wyzywam cię na pojedynek! Nie trać czasu na słowach, bierz pałasz i pistolety!

— Mości kapitanie! — krzyknął z iskrzącemi się od gniewu oczyma Wallenstein — mówię ci raz jeszcze, byś mnie zostawił i nie przymuszał do zadania ci śmierci, boś zapewne musiał słyszeć, że tej ręki nikt jeszcze nie mógł zwalczyć.

— Chwal się teraz, chwal się, podły występco, z twojej odwagi! Umiesz zatruwać życie kobiety, umiesz ją do grobu wtrącać, a nie masz dosyć męstwa, byś z jej mścicielem walczył! — Ostatni ci raz mówię: wychodź, bo wyzywam cię na śmiertelną walkę!

— To już zanadto! Gotów już jestem, gotów. Idźmy się zabijać. Ale świadczę się niebem, że nie ja do tego powód dałem, żeś mnie przymusił, niech więc

twoja krew nie na moją głowę spływa! Zresztą — rzekł — bądź pewny, że darmo się silisz, bo nie mogę teraz i z twojej ręki zginąć!

Uśmiech, oznaczający wzgardę, zabłysnął na twarzy Wallensteina. Dokończając tych słów, wskazał na niebo.

— Tu — rzekł — jest moja gwiazda i nie przyszła jeszcze chwila, w której ma zblednąć. Ale idźmy, idźmy, mości kapitanie! —

Nie czekał długo Alan i wyskoczył z pokoju. Szedł za nim Wallenstein na śmiertelną walkę. —

Ledwo minęli ostatni dom Egry, stanął pod kilkoma drzewami syn Adalberta de Reichstal.

— Nie mamy po co iść dalej — krzyknął do Wallensteina — i tu możemy śmierć znaleźć. —

Stanął Wallenstein i oba szabel dobyli.

Spotkały się ich pałasze, jak dwa błyszczące pioruny. —

Jeden i drugi nastaje i siecze. Jeden i drugi napada, broni się, naciera i cofa. —

Wallenstein z zimną rozwagą odbijał żelazo wroga. Alan wściekle nacierał, ale zawsze jego pałasz spotykał pałasz przeciwnika, a za każdem uderzeniem tysiączne iskry się sypały. Wiedli dosyć długo walkę i Wallenstein poznał moc prawicy Reichstala. Alan nie mógł znaleźć mieczem drogi do serca wroga, rzucił więc broń nieużyteczną.

— Dosyć już tego, mości pułkowniku — zawołał — tą bronią za długo śmiercibyśmy szukali! Lepiej kulom powierzmy nasze życie!

— Dobrze — odpowiedział Wallenstein i dobył pistoletu.

Alan pierwszy wystrzelił, kula przeszyła kapelusz pułkownika i zrzuciła go na ziemię. Wallenstein podniósł pistolet i widocznem było, że mierzył do drzewa, stojącego przy Alanie. Ale w tej chwili zmienił swoje położenie młody Reichstal i raz odebrał w piersi. Upadł bez przytomności.

Wtem ukazał się przybywający na miejsce walki stary Adalbert. — Śpiesznie odszedł Wallenstein i wrócił do miasta. Zastał już pułk pod bramą, skoczył na konia, ściągnął wodze i zawołał żołnierza, blizko stojącego.

— Walterze — rzekł najprzód głośno, a potem mowy pocichu dokończał. Skłonił się żołnierz, a kiedy wszyscy wyruszali, on jeden w Egrze się został.

Kilka dni później pułkownik Wallenstein w zadumaniu już nad wieczorem siedział przy ognisku w wieśniaczej chacie. Nagle usłyszał tętent biegnącego konia. Zatrzymał się jeździec przed chatką.

— Czy tu stanął hrabia Wallenstein? — zawołał, a za daną odpowiedzią skoczył na ziemię. Drzwi się otworzyły. Wszedł Walter i, zdjąwszy szyszak, zbliżył się do wodza.

— A cóż? — zawołał Wallenstein.

— Żyje, pułkowniku, żyje! Ojciec go tajemnymi swej nauki sposobami uratował od zgonu. Ale wczoraj uzbrojony wyjechał z Egry.

— Do pułku Lichtensteina zapewnie?

— Nie, przeciwną udał się drogą, ale zdrów i żyje.

— Dzięki niebu — krzyknął Wallenstein — już mniej jedną zbrodnią!

VII.

Nowy jego towarzysz nakształt czarnej chmury
Smutny, jak noc jesienna, jak księżyc ponury;
Uśmiech opuścił usta, tylko zapał w łonie,
Tylko dzika chęć zemsty w zgasłych oczach płonie.

Bezimienny.

Piętnaście lat już było upłynęło od sławnej bitwy pragskiej. Wiele odmian tymczasem zaszło w Niemczech, ciągle mieczem i ogniem pustoszonych. Cesarz Ferdynand z początku doszedł do najwyższego szczytu potęgi, poskromił buntujących się panów, starł dumę królów i książąt. Wielkich wodzów liczył w swoich wojskach: Tyllego, księcia Bernarda[1] bawarskiego, ale nade wszystkich wznosił się Wallenstein — Wallenstein, postrach i śmierć protestantów. Mnogie jego zwycięstwa nadgrodził cesarz zaszczytami i mnogimi dary. Hrabia Wallenstein dostał łupem część kraju książąt meklemburskich, a później mianował go admirałem mórz północnych i księciem Frydlandzkim. Jednak po tylu świetnych czynach coraz wzrastająca naszego bohatera duma i przyczyna, którą dał do wojny z Gustawem Adolfem, znienawidziła go w oczach Ferdynanda. Utracił dowództwo. Pogardził pyszny

1 Ma być zapewne: Maksymiliana (wspomnianego powyżej na str. 161); Bernard weimarski, sławny również wódz w tej wojnie, walczył po stronie protestanckiej.

Wallenstein obmowami nieprzyjaciół zazdrosnych nieśmiertelnej chwale, ale zarazem otworzył serce zemście, którą miał nasycić, zrzucając z tronu cesarza i zasiadając na jego miejscu.

Pomimo jednak tych niechęci przyjął jeszcze raz książę Frydlandzki dowództwo nad wojskiem cesarskiem i pośpieszył uratować chylące się już ku upadkowi państwo.

Zwycięstwa Gustawa Adolfa wszystkich przeraziły strachem, ale to właśnie obudzało męstwo Wallensteina. Wystąpił więc w pole i spotkał się ze strasznym przeciwnikiem. Niepewne zwycięstwo raz jednej, znów drugiej sprzyjało stronie. Ale nakoniec w krwawym boju pod Lutzen[1] starł się z całą swoją potęgą bohater cesarstwa z bohaterem wolności. Gustaw Adolf zginął na polu sławy. — Odtąd nie upatrywał już nikogo Wallenstein, z którymby się mógł pomierzyć. Wrócił więc do dawnego zamiaru i, rozgniewany postępowaniem cesarza, pracować usilnie zaczął nad jego upadkiem. Cesarz nie zwiódł się na zamysłach Wallensteina i powtórnie okrył go swoim gniewem. Zemsta najgwałtowniejsza zapaliła serce bohatera i przysiągł zagubę dumnego pana, zawdzięczającego niełaską zbawienie Niemiec i utrzymanie tronu.

Opuścił wojsko cesarskie, a ze swojem własnem i z dworem, mogącym wiedeńskiemu się równać, osiadł w Egrze. Zamieszkał w zamku tego miasta, wystawionym na niebotycznej górze. Stąd jak orzeł by-

[1] Lützen — m. w Prusach, w prow. saskiej, na południ.-zachód od Lipska.

stremi spoglądał oczyma na całe Niemcy, śmiało wpatrywał się w słońce, panujące nad niemi, w słońce, świecące przez jego zwycięstwa, i ściskał już szpony na jego zagubę. Właśnie wtenczas kończył się rok piętnasty od bitwy, pod Pragą stoczonej, i od czasu, w którym pułkownik Wallenstein pierwszy raz poznał Egrę.

Wracając do tego miasta, Wallenstein zaledwo przypomniał sobie zdarzenia, których niegdyś był tu świadkiem. Tyle bowiem przypadków, tyle zdarzeń widział od tego czasu, że śmierć Minny, rozpacz jej ojca, pojedynek z bratem jak przez mgłę mu się przypominały. Ale kiedy ujrzał na wzgórku dom astrologa, kiedy poznał wieżę, z której Adalbert de Reichstal prorokował mu przyszły zawód, wzruszyło się jego serce i ledwo że łza nie zabłysła w oku. Ważne sprawy, w późniejszych dniach zachodzące, nie dały mu czasu spytać się o astrologa. Cały dzień bowiem dwieście paziów wprowadzało lub wyprowadzało od księcia Frydlandzkiego książąt, panów i posłów ze wszystkich niemieckich krain. Ci mu swe hołdy przynosili, ci dary pod jego składali stopy, tamci przybywali tajemnie się z nim naradzić, inni, wyprawieni przez dwór wiedeński, zdradzać wielkiego męża przychodzili, a pochlebiając jego dumie, śledzić skryte zamiary i knujące się na Ferdynanda spiski. Przyjmował wszystkich Wallenstein z dumą panującego. Dworzanie, lśniący się złotem i srebrem, wprowadzali posłów do szerokiej sali zamku egierskiego. Tu czekał na nich zbawiciel cesarstwa. Na wysokim tronie siedział z twarzą zasępioną. Ręka najczęściej spoczywała

na rękojeści bogatego pałasza. Odpowiadał krótko na przełożenia, a często ruchem głowy lub skinieniem ręki wolę swą oznajmiał i rozporządzał narodami i królestwy. Ponurym zwrokiem spoglądał na otaczających, ale tym wzrokiem zgłębiał duszę każdego, czytał na twarzach poruszenia serca i wyśledzał najmniejsze duszy uczucia. Jednej zdrady nie mógł poznać, bo jej się nie bał, bo nie zadawał sobie nawet pracy do jej wykrycia. Nie lękał się bowiem zdrajców, nie lękał się najzaciętszych wrogów. Ufny w swoją gwiazdę, pogardzał ludźmi i, jak gdyby sam nie był człowiekiem, nie chciał się zniżać aż do nich. Wiek i podjęte trudy swe piętno na jego twarzy wyryły. Blade lica, ścięte usta, smętne oczy, nie zgadzały się z pysznym ubiorem. Ale Wallenstein był zawsze wielkim i wola jego, jakby piorun rzucony z niebios, wszystko przynaglała, a opierających się druzgotała.— Nie namowami, nie podarkami, nie pochlebstwem postępował do swego celu, ale przewagą, ale sławą, nabytą przez wieloletnie zwycięstwa i wojny. Ciało już jego osłabło, siły osłabły, ale rozum, wszystko podgarniający pod siebie, nie zagasł. Owszem, rozwijał się w całej swej mocy, z nową trudnością nowe wynajdował sposoby i, wszystko przezwyciężając, torował sobie drogę do potęgi i chwały. Drżeli wszyscy przed bohaterem, nikt jawnie podnieść miecza nie śmiał na niego i w ciemnościach tylko nocy ostrzyły się sztylety, mające ugodzić w piersi księcia Frydlandzkiego. Naokoło niego stali zbrojni mężе w ozdobnych zbrojach, a zewsząd sypały się roje dworzan i paziów, kornie bijących czołem przed panem, py-

sznym z swojej wielkości, którą już teraz nie cesarzowi, ale sobie samemu był winien.

Między dworzanami Wallensteina odznaczał się pułkownik Leslie, powiernik jego i największy przyjaciel. — Od kilku lat już się przywiązał do księcia Frydlandzkiego i nawet w bitwie pod Lutzen uratował mu życie. — Od tej chwili polubił go Wallenstein i ciągle obsypywał dobrodziejstwami. — Leslie miał już trzydzieści kilka lat. Ogromne wąsy i bródka hiszpańska czerniały się naokoło ust jego. Twarz miedzianej barwy świadczyła podróże w dalekich krajach odbyte i walki stoczone w Afryce, o których często mówił. — Rodem miał być ze Szkocyi. — W młodym wieku puścił się na morze i popłynął do Afryki. — Tam z Anglikami walczył przeciw tamecznym ludom. — Ale nareszcie zachciało mu się wrócić do Europy. — A jak tylko stanął na brzegu ojczystym, usłyszawszy o wojnie, wrzącej w Niemczech, wyprawił się na nią, poznał wielkiego wodza i połączył swój los z jego losem. Takie było opowiadanie pułkownika. — Zresztą wszyscy znali moc jego ramienia i odwagę, którą świadczyły blizny, krzyżujące się na twarzy. — Nie używał on wpływu swego na serce Wallensteina, żeby szkodzić drugim, ale uważał, że często rady, dawane przez niego księciu Frydlandzkiemu, nie były najlepszemi. — Kochał go jednak dumny Wallenstein i wszyscy, idąc za przykładem pana, kochali go lub udawali, że mu sprzyjają. — Wpadał czasem Leslie w czarną posępność.—Wtenczas nienawidził świat i ludzi. — Zdawało się, jak gdyby pamięć jakiego nieszczęścia wszystkie jego zatłumiła

uczucia i serce tylko zemście otwierała. — Z nikim nie obcował, nigdy uśmiechem nie powitał przyjaciela, nigdy oka nie zwrócił na hoże dziewice. — Sam w sobie znajdując świat cały, głuchy był na wesołość pienia, na uniesienia radości. — Zimne jego serce niczem się nie wzruszyło, chyba, kiedy wlewało w nie gorycz przeszłych zdarzeń przypomnienie. — Wtenczas zdawał się odchodzić od zmysłów. — Oczy jego, zawsze martwe, żywym zapalały się ogniem, podobnym do błyskawicy, która wśród czarnej nocy rozdziera chmury i ogłasza światu grzmot strasznego pioruna. — Chodził po długich zamku korytarzach.— Jęczał i wzywał zemsty niebios na wroga. — Przysięgając jego zagubę, dobywał miecza i miotał przekleństwa. — Sam Wallenstein szanował te uniesienia i nigdy nie przerywał słów, bez porządku wymawianych, między któremi zemstę najczęściej słyszano.

Zresztą pułkownik Leslie wykonywał rozkazy Wallensteina z nadzwyczajną szybkością. — Daremnie nieraz pytał go się książę Frydlandzki o przyczynę czarnego smutku. — Nic nie odpowiadał Leslie lub mówił: »Nie czas jeszcze, najjaśniejszy książę«. — A wtenczas włosy jeżyły mu się na głowie, drżał cały, zwracał wzrok ognisty na Wallensteina, a ręką dotykał się sztyletu lub miecza. — Nie uważał na te oznaki bohater, ciągle łaskami obsypywał Lesliego, powierzał mu tajemnice i często powiadał, że wkrótce Ferdynand jeszcze się uniży przed tym, który go utrzymał na tronie, a za to doznał jego gniewu i niełaski.

VIII.

Ryszard:
Zabij, złoto ci trudy nagrodzi sowicie!
Arnald:
Co, jabym miał tą zbrodnią splamić moje życie
Nigdy . . . . . .

Szekspir.

Dnie upływały, a Wallenstein, ciągle trapiony chęcią panowania i pragnieniem zemsty, nie mógł się nasycić swoją wielkością i jeszcze świetniejszych żądał zaszczytów.

Jednego wieczora otoczony dworzanami, mając przy boku Lesliego, pułkownika Butlera, służącego w jego gwardyi, patrzył z wysokiej zamku egierskiego wieży na miasto i okoliczne pola, oświecone ostatnimi zachodzącego słońca promieńmi.

Zielone drzewa i kwiaty w ogrodach uprzyjemniały obraz, rozwijający się szeroko przed oczyma. — Zdala czerniały się lasy i Czech niebotyczne góry. — Lekki wietrzyk przynosił aż do Wallensteina ulatujące po powietrzu wonie. — Wszystko szczęśliwem i wesołem było. — Wszystko się uśmiechało. — Ale piękne przyrodzenie nie było w zgodzie z sercem księcia Frydlandzkiego. — Przypomniał sobie, jak piętnaście lat przedtem podobnież spoglądał z wieży na Egrę. — Przypomniał sobie proroctwo astrologa, lecz kiedy stanęły mu ostatnie słowa w pamięci, mimowolny dreszcz po nim przeszedł i zbladły mu lice. — Ale prędko ukrył to pomięszanie. — W tej chwili czer-

wonawy promień słońca odbił się od wieży domu astrologa.

— Pułkowniku Leslie, widzisz tę wieżę?

— To wieża mego... To wieża — odparł żywo Leslie — to wieża astrologa.

— Nie wiedziałem, że znasz jej pana — rzekł spokojnym głosem Wallenstein.

— Słyszałem niedawno o Adalbercie de Reichstal.

— I imię nawet? A, to już zanadto!

— Szczególnym dowiedziałem się sposobem.

— Wyjaw mi go! — to mówiąc, skinął książę Frydlandzki, a dworzanie i Butler go opuścili.

— Wyjaw! — powtórzył Wallenstein. — Wątpię, żeby jeszcze pamiętali.

— Żeby jeszcze pamiętali! — krzyknął Leslie z iskrzącemi się od gniewu oczyma. — Jest serce, co pamięta i co za każdą krwi kroplę odda jej strumienie.

— Cóż znaczy ta mowa, pułkowniku? — zawołał książę, porywając Lesliego za rękę i silnie nią wstrząsając. — Obudź się, bo widzę, że znów w szał zwyczajny wpadasz!

— Prawda, najjaśniejszy książę, często pamięć nieszczęść mięsza mój umysł. Przebacz tej krótkiej zapomnienia się chwili! O Adalbercie de Reichstal i córce jego słyszałem od tutejszych mieszkańców.

— Więc jeszcze nie zatarła się pamięć jej śmierci, po piętnastu leciech zaburzeń i wojen? Leslie, ty który jeden możesz zrozumieć moją duszę i objąć moje zamiary, przyszedł czas objawić ci zdarzenie, które goryczą napełniło kilka dni w mojem życiu.

Tu siadł Wallenstein i zaczął opowiadać swoją miłość ku Minnie i jej nieszczęśliwe skutki.

Za każdem słowem zmieniała się twarz pułkownika, za wymówieniem imienia Minny drżały mu usta i piekielny ogień żarzył się w oczach. Nie mógł ostać na miejscu, chodził wzdłuż i wszerz, ciche wymawiał słowa i zdawał się walczyć sam z sobą. Wallenstein, przyzwyczajony do tego, ciągnął powieść i trzymał oczy wlepione w wieżę Adalberta de Reichstal, która się jeszcze czerniała wśród mroku, jak pamięć zbrodni w przeszłości, nie widział przeto, jak Leslie dobył sztyletu wtenczas, kiedy opisywał gniew młodego Alana i pojedynek z nim odbyty i jak go znów do pochwy schował. Nareszcie temi słowy zakończył:

— Mimo największych starań, nigdy się nie dowiedziałem, gdzie uszedł lub gdzie przebywa.

— Może dowiesz się kiedy, najjaśniejszy książę — rzekł pułkownik i z uśmiechem szyderczym na ustach pytał się Wallensteina, czy żadnych nie ma do wydania mu rozkazów.

— Leslie — krzyknął książę — chcę odwiedzić dom astrologa, w którym pierwszy raz uczułem miłość i ostatni, mogę powiedzieć, bo później cała moja miłość w tem była. — To mówiąc, uderzył o rękojeść miecza. — Nie kochałem nawet córki Harracha,[1] nie, to nie była Minna de Reichstal. Chcę jeszcze raz zobaczyć starego Adalberta, jeśli żyje, a przynajmniej wejść jeszcze na wieżę, skąd świetne mi przepowiedział przeznaczenie. Świetne! Tak, usłałem pod mo-

[1] Córka hr. Karola Harracha, Izabella Katarzyna, była drugą żoną Wallensteina.

jemi nogi trony i mocarze, zwalczyłem wszystkich, pokonałem wszystkich. Zostaje mi jeszcze jedna część proroctwa, która jeśli się spełni, Adalbert był największym i najuczeńszym astrologiem.

— A jakaż to jest?

— Leslie, powiem ją tobie jednemu: że żelazo zabójcze wytrąci z moich rąk koronę cesarską.

Na te słowa spojrzał na sztylet pułkownik, jak gdyby chciał powiedzieć: »Już to żelazo gotowe«.

— Ale może pomylił się Reichstal — dalej mówił Wallenstein. — A zresztą, powtarzam, że sława pierwszem była mojem życzeniem. A dosyć jej mnie otacza, koronę w drugim już kładę rzędzie; jeśli nią ozdobię moje skronie, tem lepiej; jeśli nie, to i tak przejdę do nieśmiertelności. Ale słuchaj, Leslie, chcę dziś jeszcze wieczorem odwiedzić astrologa. Pójdziesz ze mną.

— Nie mogę.

— Ja chcę! — krzyknął książę Frydlandzki.

— Więc niech i tak będzie! — odparł Leslie i rozeszli się.

Już zegar zamkowy dziewięć razy swe brzęki powtórzył. Niebo jaśniało rozsypanemi po jego błękitach gwiazdy. Księżyc na wozie z chmur złotych wznosił się po lazurowem przestworzu. Upał dnia letniego zwalniał się powoli. Słodka rosa odwilżała podnoszące się głowy świetnych kwiatów, a lekki wietrzyk poruszał liście drzew, otaczających wały zamkowe. Przechadzał się po nich żołnierz, zbrojny w świecący szyszak, w stalowy pancerz, ciężki pałasz i parę pistoletów, wiszących u skórzanego pasa. Twarz jego zamyślenie wydawała; promienie księżyca oświecały ją zu-

pełnie. Czoło zmarszczone, owoc trudów wojennych, i poczerniałe lica oznaczały walecznego wojownika Wyraz poczciwości jaśniał w oczach, ale łatwo było poznać we wzroku smutek, połączony z zadziwieniem. Wtem zbliżył się człowiek w szerokim płaszczu, z kapeluszem, czarnemi ocienionym pióry. Skłonił się żołnierz na jego widok.

— Dobry wieczór, Walterze; cóż tak zamyślony chodzisz wzdłuż i wszerz warowni?

— Zamyślony, mości pułkowniku; a może mam przyczynę do tego — odpowiedział oddawna znany nam Walter.

— Cóż to może być?

— Oto niedawno widziałem księcia, wychodzącego tą bramą z towarzyszem, którym, zdało mi się, że jest pułkownik Leslie.

— Leslie? — powtórzył zdziwiony nieznajomy. — Pewno cię wzrok omylił. Książę nigdy o takiej nie wychodzi godzinie.

— Znam ja dosyć Wallensteina — odparł, pokręcając wąsa — wiele razy widziałem go na polu sławy. Widziałem, jak on, podobny do lwa wściekłego, ścierał się z heretykami. Zaręczam ci, pułkowniku Butlerze,[1] że się nie zwiodłem. — O Leslim nie mogę twierdzić, bo nie często go widzę.

— Gdzież więc się udali, w jaką stronę?

— Do domu astrologa.

— Do domu astrologa? Cóż to za astrolog? — Zdaje mi się, że słyszałem od Lesliego o jakiejś Minnie.

[1] Butler Walter — Irlandczyk, naczelnik spisku na życie Wallensteina, um. w r. 1634.

— Od Lesliego! — krzyknął zdziwiony Walter. — Ach, to już takiemu dyabłu książę tajemnice powierza!

— Nie gniewaj się na mego towarzysza! Ale słuchaj, mam z tobą do mówienia! — I schylił się pułkownik do ucha żołnierza.

— Mów głośno, pułkowniku Butlerze! Nie mam nic do ukrycia na tym świecie. Racz mówić głośno, pułkowniku Butlerze, przecie nikt nie słucha, a ja nie cierpię tych szeptów, tych tajemnic! Prosto, otwarto, szczerze powiedzieć, to ja lubię. To przystoi na poczciwego żołnierza; a potem nikogo się nie boję, bo mam przyjaciela u boku, który wiele razy największej dał mi dowody przyjaźni.

— Tu mury słuchają — rzekł Butler — tu drzewa w każdym liściu natężone mają ucho. — Nagle że zwyczajnego głosu przeszedł do najsłabszego, ale cichą mowę żywemi wyrażał poruszeniami; znać było, że do czegoś namawia żołnierza. Głośniejsze czasem dawały się słyszeć słowa.

— Wierz mi, to nie zdrada! To usługa dla monarchy. Dumny człowiek. Przysiągłeś na wierność cesarzowi. Obsypie cię bogactwami. Zaufaj mnie! Potrzeba dla spokojności państwa.

Twarz żołnierza podczas tej rozmowy rozmaitym podlegała odmianom. Gniew, oburzenie, pogarda szybko w jego oczach przemijały.

Nareszcie lica jego ognistym pokryły się rumieńcem. Oczy zajaśniały najżywszym płomieniem. Odepchnął Butlera.

— Milcz — krzyknął — nikczemniku, milcz, szatanie, pokusicielu! Przysiągłem na wierność nie Ferdy-

nandowi, który jak słabe dziecko chwieje się na tronie, ale księciu Frydlandzkiemu. Ty sam niedawno w Pilzen tę samą składałeś przysięgę. Za Wallensteina życiebym oddał. Milcz, jeśli nie chcesz, żebym cię zrzucił z tych wałów! Śmierć jego? Ty śmiesz o tem myśleć? Drżyj, nikczemniku!

— Uspokój się, Walterze, uspokój się. Ocal siebie, ocal pułk cały, a za to obiecuję ci nagrodę! Oto masz zadatek wdzięczności cesarza. — To mówiąc, wyciągnął Butler sakiewkę, pełną złota, i podał ją Walterowi.

Żołnierz porwał pieniądze i rzucił je ponad wysokie zamku egierskiego mury. —

— Nie przekupisz mnie, zbrodniarzu! — krzyknął w gniewie. — Odejdź, bo przysięgam, że tym pistoletem życie ci wydrę!

Wyjął broń z za pasa i przyłożył ją do serca Butlera. Cofnął się o kilka kroków zmięszany pułkownik.

— To wszystko żartem było — zawołał, wyciskając śmiech udany na drżących ustach — chciałem doświadczyć twojej wierności. Dobrze, Walterze, dobrze; widzę, żeś wierny księciu.

— Nie tak łatwo mnie oszukać — odparł Walter — i Wallenstein o tem jutro będzie wiedział. Nawet i dzisiaj.

To mówiąc, skoczył z wału i jak strzała pobiegł ku domowi astrologa. Butler odwiódł kurek u pistoletu, skierował broń na żołnierza i wystrzelił. Ale po śmiechu usłyszanym i podwojonej szybkości kroków poznał pułkownik, że jego kula nie trafiła w Waltera.

Nr

Żołnierz prędko mijał domy egierskie i po niedługim czasie przybył na wzgórek.

Miłość ku Wallensteinowi sił mu dodawała. Wszedł do domu, nie wstrzymany, jak niegdyś, zamkniętemi bramy, i w cichości długi przeszedł korytarz. Słabe światło uderzyło go w oczy i ujrzał drzwi dawnego pokoju astrologa napół otwarte. Chciwy usłyszeć rozmowę Wallensteina, stanął przy nich i wszystko pilnem przebiegł okiem.

Słaby płomień lampy, w bladawych rozlewając się promieniach, oświecał Wallensteina, stojącego z Leslim przy łożu, na którem jęczał zgrzybiały starzec z długą, śnieżną brodą. Księgi różnej wielkości leżały po stołach, szafach i posadzce. Wallenstein obrócił się ku drzwiom.

— Zostań się tutaj, Leslie — rzekł do pułkownika — i ostatnie jego chwile osłódź twoją przytomnością! Skłonił głowę Leslie, a Wallenstein odszedł. Jak tylko ujrzał go na dziedzińcu, Walter wyskoczył z domu i silnym zawołał głosem:

— Najjaśniejszy książę, racz zatrzymać się przez chwilę i posłuchać wiernego żołnierza!

— Kto śmie mnie wołać? — odparł Wallenstein. — Kto śmiał śledzić moje kroki w pośród cieni nocy i badać moje zamiary? —

To mówiąc dobył pałasza, ale poznał zbliżającego się Waltera.

— Któż ci pozwolił opuścić straż wałów?

— Twoje niebezpieczeństwo — po cichu odparł Walter — to mówiąc, klął przed bohaterem i rzekł do niego:

— Najjaśniejszy książę, znasz wierność Waltera, wiesz, że zawsze jego męstwo odznaczało się na polu bitew. Przysiągłem tobie na wierność, przysiągłem nie mieć innego pana nad ciebie. Dzisiaj oto, niedawno, pułkownik Butler przybył do mnie i pełną złota ręką chciał namówić do zdrady, do zbrodni. — Radził, bym cały pułk odwiódł od ciebie. Nareszcie zakończył odkryciem największej zbrodni. — Tak, najjaśniejszy książę, on chce twojej śmierci.

— Mojej śmierci? Butler! mojej śmierci? — krzyknął zdziwiony Wallenstein. — Jam go dobrodziejstwy obsypał, łaskami obdarzył. Nie, moje dziecko, mylisz się, wierny mój przyjacielu. Zapewnie chciał doświadczyć twojej wierności lub żartować. Ale zresztą dziękuję ci, Walterze, za ostrzeżenie i za to masz ten worek. Ale dodał ostrym głosem:

— Wracaj prędko na swoje stanowisko, bo żołnierz żaden opuszczać go nie powinien, żeby gwiazdy nawet padały na ziemię. Szczęście twoje, żeś spotkał samego Wallensteina, a nie księcia Frydlandzkiego, bo wtenczas musiałbyś zginąć za karę niedbałości. Wracaj więc, Walterze, i niech nikt się nie dowie, że Wallenstein mógł przebaczyć komu!

Usłuchał rozkazu wodza żołnierz, ale ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu spiesznie wracał na stanowisko. Ledwie tam przybył, alić ujrzał Wallensteina wchodzącego w bramy zamkowe.

IX.

Viens donc, viens détacher mes chaînes corporelles,
Viens, ouvre ma prison; viens, prête-moi tes ailes;
Que tardes-tu? Parais, que je m'élance enfin
Vers cet être inconnu, mon principe et ma fin.

Alph. de Lamartine.

Tymczasem pułkownik Leslie z założonemi rękoma w głębokiem zamyśleniu stał naprzeciwko łoża boleści, na którem umierał, srogą znękany chorobą i podeszłą osłabiony starością, Adalbert de Reichstal.

Adalbert podniósł się trochę, wyciągnął rękę ku Lesliemu i rzekł często przerywanym głosem:

— Jutro już mnie nie będzie; ale powiedz mi, śmiertelny człowiecze, czy to nie marą, nie snem było? Zdało się osłabionym oczom, że widzą Wallensteina. Ah! jakże się zmienił! Dawniej czoło bohatera jaśniało boską pogodą, teraz smętność i zmarszczki go szpecą.— Jednak, choć osłabiony wiekiem, choć trapiony boleściami, poznałem jeszcze te oczy, ten wzrok pełen ognia, który tyle razy zwracał się na Minnę. Słyszałem, że wiele zwycięstw odniósł, a zapewne teraz pnie się do tronu.

— Do tronu — powtórzył Leslie — do tronu! — A któż ci to odkrył? Czyż człowiek przy śmierci może zgłębiać najskrytsze śmiertelnych myśli? czyż dusza, mająca się wkrótce oderwać od ciała, unosi się nad sercami innych?

— Nędzny prochu, słaby człowiecze — znów odezwał się Adalbert — spojrzyj w to niebo, a tam poznasz myśli i zamiary ludzi! Przed piętnastoma laty już wiedziałem, że Wallenstein pokona, zwycięży,

wzniesie się wyżej, ale upadnie. Powiedz mu odemnie, jeśli jego przyjacielem jesteś, powiedz mu, że już kres życia dla niego się zbliża, lub lepiej nic nie mów, gdyżby cię nie usłuchał; niech losowi stanie się do woli!

Wtenczas Leslie zbliżył się do Reichstala.

— Przyjmuję — rzekł po cichu — tę wróżbę i tem śmielej postępować będę.

— Dlaczegóż — rzekł po chwili Adalbert — zostajesz się przy umierającym starcu, dlaczegóż pilnujesz osłabionego człowieka?

Nic nie odpowiedział pułkownik.

— Ostatnia moja chwila się zbliża, wszyscy mnie opuścili: żona, córka, syn może w zimnym spoczywa grobie; tyś jeden ulitował się nademną, zawdzięczę ci za to sposobem, który jeden mi tylko pozostał. Bogactwa złupili protestanci, siłę wiek odjął, ale wiek rozumu i nauki nie wydarł. Wesprzyj mnie ręką, zaprowadź do okna, niech jeszcze raz spojrzę na niebo, a powiem ci, co cię czeka, powiem ci, jak daleka śmierć od ciebie!

Usłuchał Leslie starca; podniósł się Adalbert i, wsparty na ręku pułkownika, słabym krokiem zmierzał do okna, przy którem stało jego krzesło i ogromny teleskop, dawno już nie używany. Usiadł i drżącą ręką przysunął astronomiczne narzędzie. Gasnące oczy przyłożył do szkła, przybliżającego oku śmiertelnemu gwiazdy i nieskończone światy. Długi czas patrzył na niebo, nareszcie pchnął teleskop, który padł na ziemię i na drobne roztłukł się kawałki.

— Tyś już mi niepotrzebny — silnym zawołał głosem — nieszczęścia same mi tylko wskazujesz.

Potem porwał z nadzwyczajną siłą rękę pułkownika i dość długo linie po niej się krzyżujące rozważał; nareszcie powstał, dobywając sił ostatnich, rzucił się w objęcia Lesliego i zawołał:

— To ręka Alana, nikt inny nie miał takich znaków! Zginiesz wraz z Wallensteinem. Wasze gwiazdy się spotkały, ale na śmierć waszą. Umieram; wiesz, gdzie grób naszej rodziny, pochowaj mnie z żoną i córką!

Ostatnie te były słowa Adalberta de Reichstal; jeszcze raz podniósł oczy ku niebu, jeszcze raz ścisnął rękę przerażonego pułkownika i upadł na krzesło. Łzy, płynące z oczu jego, zatrzymała ręka śmierci, a dusza astrologa wzbiła się ku światom, które za życia rozważał.

— I ciebie już niema — cichym głosem rzekł Leslie — wkrótce więc i ja zginę, ale zemszczony. —

Całą noc przepędził pułkownik przy Adalbercie, nazajutrz rano wyszedł z pustego już teraz domu. Łza samotna spłynęła na jego lica, ale to ostatnia była, którą miał wylać za życia.

Ciała astrologa nie znaleziono w jego komnacie, a sąsiedzi, zgromadzeni na pogrzeb Reichstala, rozeszli się, mówiąc pocichu, że zapewne Wallenstein kazał go przed śmiercią swoją pochować; niektórzy zaś, wierzący w czary, twierdzili, że duch ciemności przywłaszczył sobie Adalberta.

Ale wkrótce już nie mówiono o tem zdarzeniu, bo chodziła pogłoska, że książę Frydlandzki nie lubi, żeby wspominano o Adalbercie.

Pamięć bowiem nieszczęść, które z jego przyczyny

na rodzinę Reichstalów spłynęły, truła jego spokojność, a nieraz za wymówieniem imienia Minny bladły mu lica. Przestali więc mówić o Adalbercie de Reichstal, a pułkownik Leslie ani słowa nigdy nie wyrzekł o nocy, którą przepędził obok konającego starca.

X.

I w zemsty srogiej okupie,
Pastwić się będę na trupie.

Harald. — Tragedya.

Tygodniem później siedział pułkownik Leslie w ubogiej chacie, wśród czarnego lasu leżącej. Stały przed nim na stole puhary i konwie, pełne węgierskiego wina. — Kilku wojskowych przechadzało się po komnacie, której okopcone i czarne mury posępność w serce wlewały. Już się zaczynało ciemnieć, a po kilku słowach, niecierpliwość oznaczających, zdawało się, że czekają na kogoś. Leslie oparł głowę na ręku i zarzucił szeroki płaszcz naokoło siebie. — Blada twarz, zmarszczone brwi i ponurość czoła boleści duszy oznaczały. — Wlepiał wzrok w drzwi chaty, ale ten wzrok nie miał już dawnej żywości. Martwe oczy, jakby u trupa, już się świetnym nie paliły ogniem, ale serce zato stokroć gwałtowniejszym wrzało. Serce wrzało namiętnościami, a rozpacz nie mogła się utrzymać we wzdętych piersiach; częste jęki z nich wychodziły, często ręką uderzał o stół dębowy, ale na żadne zapytanie nie odpowiadał i czasem się pogrążał

w dumanie tak, że można było wątpić, czy żyje, lub czy już jego dusza ciała nie stargała więzów.

Już noc ciemna zupełnie pokryła niebo. Już liczne pochodnie zaświetniały w chacie. Wiatr silny starodawne dęby uginał, a przeciskając się przez szpary niedobrze spojonego drzewa, z przeraźliwym świstem na wszystkie strony poruszał płomienie pochodni. Już niecierpliwość osób, będących w chacie, do najwyższego doszła stopnia. Często dawały się słyszeć wyrazy: »Chyba go szatan porwał«. »Już dziś nie przybędzie«. »Nie wiedzieć, po co tuśmy się zebrali«. »Jedźmy!« — i już nawet chcieli wychodzić z chaty i wsiąść na konie, kiedy Leslie rozkazującym rzekł głosem:

— Czekajcie jeszcze! Zaręczam, że niezadługo tu będzie. —

Ledwo słowa te skończył, otworzyły się drzwi i wszedł pułkownik Butler. Na jego widok skłonili się wszyscy. — Niósł w swoich rękach małą szkatułkę, lśniącą się złotem i drogimi kamieniami, i złożył ją na stole. Leslie nie ruszył się z miejsca i najmniejszego znaku uwagi na zdarzające się wypadki nie dawał.

Butler wystąpił na środek chaty, obtarł pot z czoła i rzekł do przytomnych:

— Towarzysze! przysięgliśmy śmierć Wallensteina. Ferdynand, nasz prawy cesarz, powoływa nas do czynu, mającego zjednać nam chwałę nieśmiertelną i względy monarchy. — Tu okrzyki radości: »Niech żyje Ferdynand, nasz cesarz, niech żyje Ferdynand!« przerwały

mowę pułkownika, ale kiedy wróciło milczenie, znów dalej mówił:

— Wszyscyśmy gotowi śmierć i niebezpieczeństwa ponieść, byleby spełnić wolę panującego. Towarzysze! nie kryję przed wami, że Wallenstein włada sercami żołnierzy, że wojsko kocha go, jak ojca. Jednak udało mi się przekupić dwa pułki jego gwardyi i przyłączyć do naszego spisku większą część oficerów, którzy przysięgli mu na wierność niedawno w Pilsen. Kilku tylko nie można namówić, ale ci jutro zginą. Zaprosiłem ich na wielką biesiadę. Wśród okrzyków: »Niech żyje książę Frydlandzki!« — śmierć znajdą, a ich krew popłynie zmięszana ze strumieniami wina.

Wśród puharów i radości, wśród śpiewów i poklasków upadną. Sam Wallenstein miał zginąć podczas tych godów, — ale na nieszczęście odmówił moje zaproszenie. Dumny książę Frydlandzki nie raczył zasiąść u stołu pułkownika Butlera, ale za to śmierć mu obiecuję. — Tak, bracia! śmierć niech jemu będzie za dumę, za spiski, knowane na Ferdynanda. Pewnym jest korony cesarskiej, ale zamiast tronu znajdzie zimną śmierci rękę. Kiedy jutro u mnie na biesiadę sproszeni wszyscy jego dworzanie radować się będą, trzeba, żeby który z was poszedł i własną ręką zamordował Wallensteina.

— Pułkownik Butler! Pułkownik Butler!

— Odważny nasz pułkownik! — krzyknęli otaczający go wojskowi. —

Zbladł Butler na samą myśl zadania śmierci wielkiemu mężowi.

— Nie mogę — rzekł — żadnym sposobem nie mogę.

Muszę biesiady pilnować. Już biorę na siebie zamordowanie jego przyjaciół i jenerałów, przywiązanych do niego. Ale ciągnijcie na los, czyja ręka ma utopić żelazo w piersi nienawidzonego człowieka! Niech los rozstrzygnie, komu przyjdzie oddać tak ważną ojczyźnie i dworowi usługę!

Na te słowa skoczył Leslie z krzesła, jak gdyby obudził się ze snu głębokiego.

— Ja — krzyknął — ja mu serce tem żelazem przebiję. On ją wtrącił do grobu; ja zemszczę się na nim. Towarzysze, wyświadczcie mi tę łaskę, towarzysze, powiedzcie: »Twoja ręka niech się w krwi jego zbroczy!« — a najżywsze szczęście moim będzie udziałem!

— Pułkowniku Leslie — odparł Butler — nie odmawiamy ci tego. Niech więc twoja ręka się w jego krwi zbroczy!

— Tegom pragnął, tegom żądał — zawołał Leslie — to moim przez tyle lat było celem; nie spuściłem go z uwagi ani w pustyniach Afryki, ani w krwawych z Indyanami walkach. W Anglii myślałem o śmierci Wallensteina; w Azyi myślałem o śmierci Wallensteina. Pod Lutzen, kiedy życie mu ocalałem, myślałem o jego śmierci, ale o śmierci, moją ręką zadanej. Ciesz się, Minno! już blizka zemsty chwila. On cię zabił, on wlał truciznę w twoje serce; twój brat go zabije i rozedrze jego piersi żelazem.

Skończył Leslie, usiadł i znów do dawnego wrócił milczenia. Butler wtenczas obrócił się ku niemu i rzekł:

— Pułkowniku, jutro, jak posłyszysz u mnie okrzyki radości i pochwały Wallensteina, wymkniesz się z bie-

siady, a niech się nie omyli twoja prawica, niechaj twoje żelazo nie chybi, ale niech się zanurzy po rękojeść w piersi Wallensteina! Masz wolny przystęp do jego pokoju; tem łatwiej wypełnić ci ten czyn szlachetny! Ale teraz mam ogłosić wam, towarzysze, że cesarz po śmierci Wallensteina każdego z was wyższym stopniem obdarza. Posłaniec, dziś przybyły z Wiednia, oddał w moje ręce tę szkatułę. W niej mieści się nagroda dla tego, który z nieustraszonem sercem pójdzie ocalić monarchę, zrzucając Wallensteina ze szczytu potęgi. To nagroda jest wielka i godna cesarza Niemiec, szczęśliwie nam panującego Ferdynanda.

To mówiąc, wziął Butler szkatułę, złożył ją przed Leslim, otworzył i wyjął order złotego runa, wiszący na łańcuchu złotym, lśniącym się złotem i dyamenty.

— Tobie się ten zaszczyt należy, pułkowniku, tobie cesarz go przeznaczył, a wkrótce stopień jenerała....

— Stój, Butlerze! — krzyknął piorunnym głosem Leslie — stój, nie dla złotego runa, nie dla Ferdynanda moja ręka wzniesie się na Wallensteina! Śmierć jego najlepszą dla mnie będzie nagrodą. Zemsta mi rozkazuje zabić księcia Frydlandzkiego; nie chcę ani złota, ani zaszczytów. Nie dla złota błąkałem się tyle lat, nie dla złota zniosłem burze morza i spiekłe wschodu słońca, nie dla złota bezsenne pędziłem noce, myśląc o zgonie wroga, nie dla złota daleko od ojczyzny w rozpaczy młode strawiłem lata. Wy nie wiecie, co to zemsta. Was złoto, was zaszczyty, was skarby poruszają. Mnie nic oprócz zemsty nie wzrusza; wre ona w mojem sercu. Po śmierci Wallensteina wszy-

stko mi jedno, czy zginę, czy na najświetniejszym tronie zasiędę.

To mówiąc, porwał za łańcuch, ofiarowany przez Butlera, rzucił go pod stopy i zdeptał.

— Gardzę tobą, gardzę cesarzem, który cię przysłał, gardzę wami, gardzę światem. Tym jednym nie gardzę — i uderzył o rękojeść miecza — bo w tym jedyna moja nadzieja.

Wyrzekłszy te słowa, wyszedł z chaty.

— On szalony! — krzyknęli wszyscy.

— Tem lepiej — ozwał się Butler — kto szalony, nie trwoży się, stojąc nad przepaścią. Ale, bracia, pamiętajcie dobrze nagotować szable, bo jutro nie tylko Wallensteina krew popłynie! A teraz wracajmy do Egry. —

To mówiąc, wyszedł z chaty, a za nim inni. Wkrótce tętent ich koni szum wiatru przygłuszył.

XI.

Któżby to był powiedział, któżby się spodziewał,
Kiedy jego tryumfy wschód i zachód śpiewał?
Trembecki. — Powązki.

Dnia następującego jedno skrzydło zamku egierskiego tysiącznemi jaśniało pochodniami. Liczni słudzy ustawicznie wychodzili i wracali w świetne pokoje, zamieszkane przez pułkownika Butlera, a w których teraz wesoła odbywała się uczta. Siedzieli przy długim stole, uginającym się pod dzbanami srebrnymi i puharami ze złota, wodzowie i oficerowie wojska

księcia Frydlandzkiego. — Większa ich część za obiecaną nagrodą przeszła na stronę spiskowych czyli dworu wiedeńskiego, kilku jeszcze wiernych zostało, nie wiedzących nawet o zamachach podłych zdrajców. Zanadto Butler znał ich cnotę i przywiązanie do wodza, żeby śmiał przed nimi o spisku napomknąć. Wolał ich się czarną pozbyć zdradą. Na lśniącej się sali bogatemi obiciami stali żołnierze, gotowi na skinienie pułkownika, a miecze błyszczące już dobyli z pochew.

Tymczasem krzyki: »Niech żyje książę Frydlandzki, nasz pan i dobroczyńca!« odbijały się od wklęsłych sklepień, a za każdem krążeniem puharów podwajały swojej mocy. Kilka razy Butler nie chciał wziąć w ręce złotej czary, ale kiedy coraz mocniej nalegać zaczęto, kiedy już stronnicy Wallensteina, dobrze winem zagrzani, wyrzucali mu nieżyczliwość ku księciu Frydlandzkiemu, wziął nareszcie w ręce świetny roztruchan, wzniósł go do góry i silnym zawołał głosem: »Niech tak krew Wallensteina popłynie!« i wylał pieniące się wino. Na te słowa powstali wierni Wallensteinowi. Ale biesiada zwątliła ich siły. Daremno drżącą ręką szukali rękojeści pałasza. Inni udźwignąć tyle razy zwycięskiego w ich prawicach miecza nie mogli. Nogi odmawiały pomocy, oczy dobrze zdrajców rozeznać nie mogły. A choć w sercu wrzała miłość ku wielkiemu wodzowi, napój, bez miary użyty, nieszczęśliwe skutki na nich wywierał.

Na znak, dany przez Butlera, u wszystkich drzwi komnaty ukazali się zbrojni żołnierze z dobytym orężem, a wkrótce miejsce, gdzie przed chwilą śpiewy

i lejące się zewsząd wino radość i wesele ogłaszały, zamieniło się na miejsce mordu i rzezi.

Jednak nie bez bronienia się padali mężni. Niejeden z walecznością się opierał, niejeden śmierć własną przeciwnika zgonem pocieszył, ale mała ich liczba wkrótce uledz musiała. Komnata, zasłana trupami, ich wierność świadczyła i przywiązanie do wodza. Krew, pomięszana z winem, miecze, rozrzucone wśród puharów i stołowych naczyń, stawiały widok tem sroższy, że dwie w nim były ostateczności. Polegli, rozciągnięci na posadzce, oblani napojem i krwią własną, przypominali prawdę, że wesela i biesiady, pycha i okazałości tego świata kończą się na trumnie i że grób wszystko pożera oprócz nieśmiertelnej chwały. Ten z wyrazem męstwa na twarzy ściskał jeszcze pałasz w nieżywej ręce, jak gdyby i po śmierci nawet nie chciał ostatniego opuszczać przyjaciela. Drugi trzymał jeszcze złotą czarę w skościałej prawicy i zdawał się wzywać radość na miejsce wesela i godów. — Ale wszyscy głębokie mieli rany, to w piersi, to w głowę zadane, z których krew się sączyła i oblewała cały pokój purpurowym potokiem.

Tymczasem Wallenstein w swojej komnacie zabierał się już do spoczynku. Samotny, nieprzystępny nikomu, przez cały dzień pisał i układał w umyśle zamiary i sposoby zaczęcia wojny z Ferdynandem.

Dumne widoki, obrazy sławy i nieśmiertelności, stawiała mu gorejąca wyobraźnia. Już widział swe sztandary, powiewające na murach Wiednia, już lud i kapłani, witając go z drżeniem, słali się u stóp zwycięzcy. Tu znowu Ferdynand zstępował z tronu i od-

dawał rządy tych narodów własnemu wodzowi, pogardzonemu wodzowi, który podnosi się z zapomnienia i ciemności, mieczem zwycięskim rozstrzygnął w jednej chwili, czego ciągła od osiemnastu lat już wojna dokazać nie mogła. Najwięcej zaś działała na namiętności Wallensteina myśl, że pokaże światu, iż cesarz Niemiec nic nie może działać bez niego. Wystawiał sobie książę Frydlandzki zbladłego Ferdynanda, zdejmującego koronę, składającego berło, zstępującego z tronu naddziadów i żebrzącego litości u stóp tego, z którego tyle razy się naśmiewał. Pochlebiały takie obrazy dumie naszego bohatera, zemsta jego lubiła nimi się nasycać.

— Piorun mojej ręki zdruzgoce wrogów — zawołał z uniesieniem, przybliżając się do okna. — Czasem odgłosy hucznej biesiady, odbywającej się u Butlera, uderzały go w uszy. Blask rażący setnych pochodni oświecał cały dziedziniec zamkowy. Wpatrywał się jeszcze w mieszkanie Butlera Wallenstein, kiedy krzyki i szczęk broni dały się słyszeć. Pomyślał Wallenstein, że zapewnie spór jaki wszczął się między biesiadującymi. Zawołał więc na żołnierza, strzegącego bram, pod oknem będących:

— Idź, Walterze, zobacz, co się tam dzieje i rozkaż im w mojem imieniu broń złożyć i zaprzestać kłótni!

Pobiegł Walter wypełnić rozkaz wodza, który sam się został.

Wtem usłyszał Wallenstein kroki po schodach i ktoś w klamkę uderzył. W tej samej chwili wypadły wybite podwoje z trzaskiem, a Leslie wleciał do komnaty. Blade lica, najeżone włosy, pomięszane oczy wyda-

wały okropny zamiar, a miecz zemsty błyszczał w jego prawicy.

— Leslie! — krzyknął z początku Wallenstein surowym głosem.

— Nie Leslie, ale Alan de Reichstal — odparł pułkownik — Alan de Reichstal, szukający przez wiele lat zemsty! Umieraj!

Wallenstein wzruszył się na ten widok, wzruszył się, widząc człowieka, którego obsypał dobrodziejstwy, na jego godzącego życie. Ale to wzruszenie zamieniło się na wzgardę. Nie mógł się bronić bohater, stał osłupiały, bo nigdy nie myślał, żeby ręka śmiertelnika śmiała podnieść się na niego, na niego, który się sam tak wzniósł nad innych ludzi, który postrachem świat napełnił i ludźmi pomiatał, jak ziarnkami drobnego piasku. Nie wymówił żadnego słowa. Z początku szukał oczyma wiernego miecza, ale nie znalazł go nigdzie.— Rozciągnął więc ręce, jak gdyby chciał się rzucić w objęcia przyjaciela, ale zamiast przyjaźni spotkał żelazo przeciwnika i słowa: »Umieraj z ręki Alana!« ostatniemi były, które słyszał na tym świecie.

Wściekły zabójca rzucił się na Wallensteina i wydarł z dyszących piersi bijące jeszcze bohatera serce.

Oblany krwią wyleciał z zamku i pędem błyskawicy przebiegł Egrę. Wdarł się na wzgórek, wszedł do domu ojca, spuścił się do grobu rodziny Reichstalów, niepewnym krokiem zstąpił w czarne otchłanie, drżącą ręką otworzył żelazne kraty i wszedł do cichego grobu.

Stało tam naczynie z czarnego marmuru, przyniesione niegdyś z dalekiego Egiptu przez Adalberta de Reichstal; w nie włożył jego syn serce bohatera i, pod-

nosząc urnę, klął przed Minną i u jej stóp ją postawił. Żadnej zmiany nie zaszło w tem miejscu, poświęconem śmierci, od czasu, ja kje Alan po pierwszy raz odwiedził. Jedna tylko osoba tam przybyła, własnemi jego złożona rękami. Było to ciało Adalberta. Na wysokiem siedzeniu obok Fatymy tu już od kilku dni spoczywało. — Obrócił się do niego Alan. Ścisnął zimną rękę, przyłożył ją do ust drżących i cichym wyrzekł głosem:

— Ha! co? nie mówiłem? — Zemsta — jest zemsta — zginął!

Po chwili silniejszym zawołał głosem:

— A teraz cóż się ze mną stanie? Dla ciebie, o Minno, zostałem zbrodniarzem. Przyjm wydarte z jego piersi serce! Ale ja gdzież tułać się będę? Spada krew bohatera na mnie, obmierzłego Bogu i ludziom. Krew dobroczyńcy rumieni się na mojej prawicy, uciekać trzeba.

— Zatrzymaj się! — zawołał głos do pioruna podobny; obrócił się Alan i ujrzał męża zbrojnego, który powtórzywszy wyrazy: »Zatrzymaj się, Leslie!« dobył oręża.

W pierwszej chwili pułkownik nie poznał przeciwnika, ale wkrótce rozeznał rysy Waltera. Walter bowiem, jak tylko zobaczył zabitych stronników Wallensteina i krwią zbroczonego Leslie, pospieszył za nim, domyślając się strasznej prawdy, a chcąc się zemścić za ulubionego wodza, nie spuścił go z oka. Przybył za nim do domu astrologa, a kiedy Alan zapomniał zasunąć podłogi, która się na jego przyjęcie rozstąpiła,

wszedł do grobu i usłyszał słowa, wyrzeczone przez ostatniego z Reichstalów.

— Broń się, Leslie, czy raczej, szatanie! — krzyknął żołnierz. — Jeśli wszyscy opuścili księcia Frydlandzkiego, przynajmniej mnie zdasz sprawę ze strasznej zbrodni. Broń się!

— Zabijaj — odparł, odsłaniając piersi Alan de Reichstal — zabijaj, a wyświadczysz dobrodziejstwo!

— Nie! — krzyknął żołnierz — nie tak poczciwy katolik postępuje, nie tak żołnierz Wallensteina. Dobądź miecza, a wtenczas Bóg rozsądzi, kto z nas ma słuszność!

— Dobrze! — dobywając pałasza, rzekł Alan — pewno zginę, bo to ramię w krwi bohatera całą siłę straciło. Ale najprzód o jedną cię łaskę proszę.

— O żadnę, zbrodniarzu! — zawołał Walter.

— Więc nie będę walczył — rzekł Alan i rzucił pałasz.

— Mów, mów — krzyknął żołnierz — co chcesz?

— Walterze, przysięgnij, że po zgonie ciało moje złożysz obok rodziców i siostry i że tym kluczem zamkniesz drzwi grobu i że nikomu nie wydasz tajemnicy, nie powiesz, że tu nasza rodzina spoczywa! Niech przynajmniej spokojnie to ciało, tyle przez ciąg życia skołatane, w tem ciemnem miejscu po śmierci spoczywa!

— Zrobię, co żądasz, przysięgam na Boga; ale zabieraj się do walki!

Podniósł oręż Reichstal i stanął naprzeciwko Waltera. Za trzeciem uderzeniem pałasz żołnierza aż po rękojeść zanurzył się w piersiach Alana. Upadł pułkownik. Walter ostatnią wolę wroga wykonał, a potem wy-

szedł z grobu, zamknął drzwi kluczem, oddanym przez Alana, i z rozpaczą w sercu odszedł od domu, w którym tyle nieszczęść przez pół wieku blizko się zdarzało.

Już dzisiaj niema domu na wzgórku, niema nawet śladu żadnego zabudowania. Ale mieszkańcy Egry twierdzą, że grób rodziny Reichstalów zachowuje się dotąd we wnętrzu ziemi i że tam Adalbert, otoczony rodziną, we śnie śmierci oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnię.

[Druk. 1828].

SEN ELŻBIETY PILECKIEJ

Dwoiste życie nasze; sen ma świat udzielny
Wśród otchłani, nazwanych bytem i nicestwem,
Nazwanych, lecz nieznanych. Sen ma świat udzielny,
Z rzetelną władzą rządząc nad marzeń królestwem.

Byron.

WSTĘP.

Przedmiot do następującego utworu podały mi wypadki życia Elżbiety Pileckiej, żony Władysława Jagiełły i królowej polskiej. Była ona córką Ottona z Pilcy, możnego wojewody sandomierskiego; w kwiecie młodości poznała dzielnego rycerza z Morawii, na dwór ojca przybyłego. — Porozumiały się ich serca, i Elżbietę uwiózł rycerz wśród nocy z zamku ojcowskiego, ale odkryto ich ucieczkę i natychmiast Otton poszedł w pogoń za córką. Dogoniwszy ją, zwiódł z morawskim rycerzem walkę i zabił go. Okrutny rodzic, odebrawszy córkę z rąk kochanka, zmusił ją do oddania ręki Granowskiemu, kasztelanowi nakielskiemu. — Miała z niego Elżbieta jednego tylko syna, któremu Jan dano imię.

Po śmierci Granowskiego polubił ją sobie Władysław Jagiełło i wziął za żonę. Kiedy zaś przyszło do koronacyi, sprzeciwił się jej Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, mówiąc, że to małżeństwo niezgodnem było z powagą majestatu. — W takim stanie rzeczy król Władysław użył do koronacyi Elżbiety Jana Rzeszowskiego, arcybiskupa lwowskiego. — Elżbieta umarła 1419 r., a jej zwłoki złożono w kaplicy, w której później Stefana Batorego pochowano.

SEN.

Arfo minstrelów! Arfo, do którejże chwili
Spać będziesz w szumie liści, w mruczeniu strumienia?
Walter-Scott.

1.

Marzenia i ułudy młodości, gromadźcie się naokoło mnie! — Często niespokojnemu sercu przyszłość w promienistem okazujecie świetle. Innej teraz po was wymagam przysługi.—Wróćcie mi przeszłość! — Unieście mnie w odległe czasy, pomiędzy innych ludzi, ale zawsze na tej samej ziemi, na ziemi ojczystej, której zeschła garstka milsza jest duszy i oku, niż połyskujące wszystkiemi tęczy farbami kamienie na skroniach możnych! Waszemi wsparty skrzydłami, niech, porzuciwszy dzisiejsze wieki, pogrążę się w upłynionych czasu falach, na których odbija się promień niezgasłej chwały! — Niech moje pienia wyrwą ze snu śmierci śpiących w stalowych zbrojach rycerzy! Niech, pieniem sławy obudzeni, powstaną nagle z pod ciężących głazów i dawno zapomniane przedstawią obrazy! — Niech wrócą zwołane brzmieniem lutni dziewice Lechii i piękność zatartą z ziemnych wydobędą prochów! — Zakwitnijcie na nowo, róże, mieszające się

dawniej do ich splotów! Odzieleńcie się, gaje, poświęcone miłości, a choć głuche milczenie nieszczęścia oddawna was zaległo, odżyjcie jeszcze na chwilę w śpiewach poety!

2.

Słońce wiosenne wzbiło się na błękity, niedawno z pod jarzma ciężkich chmur uwolnione, a promienie jego lały się w niezmierzoną przestrzeń, oświecając pełną życia i wdzięku okolicę. — Nad nią panował zamek, wzniesiony na górze, zieleniejącą pokryty murawą. — Ciemne baszty, dumne wieże, grube mury, most zwodzony, żelazne po wszystkich bokach kraty i strzelnice czyniły go panem rozciągającej się przed nim równiny, a pływający w powietrzu sztandar nosił znaki i godła Ottona z Pilcy, wojewody sandomierskiego.

3.

Piękne ogrody opasywały zamek kwiecistemi ramiony. — Mieszały się w nich dzikie północnych lasów wychowańce z wysmuklejszemi południa drzewami. — Dąb, z którego wieńce chwały bohaterom splatają, wznosił się dumnie nad poziomą różą, zwracającą oczy piękności, a brzoza płacząca zlewała rosę jutrzenki na rosnące pod jej stopami fiałki. — Ścieżki, drobnym posypane piaskiem, w niezliczonych zakrętach prowadziły to w rozkoszne gaje, to w ciemne ulice, zachęcające posępnością do smętnego dumania.— Lecz kiedy dalej kto kroki posunął, dziwną postrzegał zmianę. — Z czarnego lasu na miłe wychodził

łąki — na otwarte błonia, umajone kwiatami, których połyskujące farby tysiącznymi blaski oko raziły. Tu strumień wił się splotami węża, tam znowu gwałtownemi wody rozbijał się o kamienie i konającemi falami z brzegiem ukochanym co chwila się żegnał. — Dalej wzgórki, stopniami rosnąc, w olbrzymią przechodziły górę, u której szczytu migały szklanne nadobnych mieszkań szyby. — Tu przepaść zatrzymywała nierozmyślne stopy, ale ją otaczały kwieciste krzewy i powój splątanymi wieńcami łączył przeciwne jej brzegi. — Tam skała, obnażona z ozdób przyrodzenia, śmiałym w niebo wzbijała się słupem, a na jej wierzchu opuszczona sosna lub świerk żałobny samotne rozciągał gałęzie. — Szumiący potok wrzał pomiędzy spadzistemi opokami, zamglewając powietrze drobną pianką, której każda kropelka na błyszczącą zamieniała się tęczę, a nareszcie poważna Pilica, tocząc kryształowe wody pośród ubarwionych wybrzeżów, zakończała srebrną wstęgą ogrody Ottona sandomierskiego. — Blizko rzeki był gaj różany, ze wszystkich najpiękniejszy gajów. — Z obu stron strzegły go czarne skały, uwieńczone orlemi gniazdami, a wewnątrz siedzenie z murawy codzień żywszą zieloność przybierało — kwiaty, wonią zapełniające przestrzeń, wiosenne rozwijały wdzięki, a głos słowika, jedynego tych miejsc mieszkańca, co wieczór dawał hasło promienistym gwiazdom do świecenia nad ziemią — co wieczór przywoływał na tron niebios, osierocony od słońca, mniej świetnego, lecz milszego czułym sercom króla. — Wtenczas urok czarujący rozlewał się na całą naturę i usypiające kwiaty, miłym kołysane wietrzy-

kiem, schylały ociężałą od rosy głowę. — Świat, opuszczony od śmiertelnych władców, przechodził pod opiekę niezrozumianych istot. — Duchy, spływając na srebrnych chmurach, zastępowały miejsce słabych ludzi, w których przemogło do spoczynku nawykłe ciało. — Rozciągając z świetnych promieni uwite skrzydła, czuwały nad ziemią, wolno w przestrzenie puszczoną — iskrę zapału wlewały w uśpionych bohaterów lub przyszłych nieszczęść przeczuciami ostrzegały cnotę, wystawioną na zamachy zbrodni. — A kiedy młoda dziewica przychodziła dumać nad brzegami Pilicy, lekkie błękitów niebieskich syny zlatywały się naokoło. — Ukryci pośród róż i kwiatów, czarującym wpływem młode serce napawając, oddzielały je przeźroczystemi skrzydły od zmysłowego świata i przenosiły do górnych siedlisk nieśmiertelności.

4.

Już powiew wieczoru, unoszący na skrzydłach wonne kwiatów westchnienia, zaczął igrać z różami gaju. — Słońce znikło z nieba i ciszej płynęły fale Pilicy. — Pomiędzy ścieżkami, prowadzącemi do »Gaju czarów«, jak go nazywano, ukazała się postać niewieścia, ale tak cudna, tak piękna, jak gdyby była mieszkanką gwiazd, ku którym wzniesione trzymała oczy. — Biała szata w lekkich fałdach obwijała wysmukłą kibić. — Lica świeżością podobne były do różanego światła jutrzenki, mieszającego się do fal srebrnego strumienia. — Rozwiane włosy bursztynowymi pierścieniami pieściły się z wietrzykiem, a ich barwa tak świetną była, jak gdyby igrający promień zaszłego

słońca, wmieszawszy się do nich i nie mogąc już z jedwabnych wydostać się splotów, w złotem po nich roztopił się świetle.

Na czole godność i spokojność niebianki się odbijała. W oczach tylko znać było ogień, wyrażający zmienne dziewiczych piersi uczucia, bo raz błyszczał, jak gwiazda wieczorna, to znów, cichą łzą przyćmiony, jak księżyc mgłą obwiany, napół tylko świetniał, a wtenczas najmilej, najczulej tłomaczył budzącą się namiętność w sercu piękności. Westchnęła lekko dziewica i weszła pod różane gaju sklepienia. — Tam patrząc z siedzenia murawy na kryształową rzeki powierzchnię, strojną odbitemi z nieba gwiazdami, myślała o nadziejach i o przyszłości. — Myślała Elżbieta, córka Ottona z Pilcy, o młodym kochanku, o Archeldzie z Heldy, rycerzu, niedawno przybyłym z Morawii na dwór potężnego jej ojca. — Pierwszą pałającą miłością, wszędzie szczęście upatrywała i błogie dni sobie obiecując, w rajskiej marzyła ułudzie. — Wtem wietrzyk doleciał do raju i miękkim tchem ją obwionął. — Duchy otaczające wyciągnęły przeźroczyste dłonie i usypały z nich drobne, barwą tęczy umajone kwiaty, w nadziemskich błoniach uszczknione. — Pod ciężarem woni uległy śnieżne Elżbiety powieki i sen wieszczy przeniósł ją w krainę urojeń. — Urojeń teraz, ale prawdy później! — I to piękne, to ponure, to miłe, to smętne obrazy snuć się zaczęły przerywanem pasmem przed jej wyobraźnią.

5.

Zdało się marzącej dziewicy, że przy świetle lampy, z trudnością przedzierającem się przez ciemną komnatę, widzi klęczącego u kolan rycerza i zaraz go poznała dziewica — i imię Archelda z Heldy wyszło z jej ust uśpionych. — Twarz wojownika nie nosiła piętna dzikości — owszem, łagodne, szlachetne rysy zdobiły lica, pokryte miłości rumieńcem. — Szyszak, błyszczący srebrem, unosił się ponad promieńmi czarnych włosów. — Kolczuga,[1] zdobna błękitną przepaską, zdawała się podnosić i zniżać pod namiętnemi serca biciami. — Oręż strzegł boku, a rękojeść złota swoim blaskiem zdawała się przyszłych zwycięstw przepowiadać chwałę. —

»O luba — mówił rycerz — już stoją na podworcu konie — słyszysz? tętnią ich kopyta — noc piękna — śpi zamek — księżyc patrzeć tylko będzie na naszą ucieczkę. — Nie zwlekaj, zaślubiona już mi sercem oblubienico! — Nie zwlekaj!« — A słowa młodzieńca podobne były do miłego szmeru błyszczącego strumienia; — przenikały one aż do duszy Elżbiety, jak promienie wiosennego słońca do kielicha świeżo rozwitej róży i jakaś moc nadludzka rzuciła ją w objęcia Archelda — i uniósł ją rycerz przez ciemne zamku galerye, przez kręte schody, wązkie przejścia i podłużne sale aż na szeroki dziedziniec. — Tu lekko posadził ją na czarnym swoim koniu, sam obok niej skoczył i przy świetle księżyca wyruszył wraz ze zbrojnymi towarzyszami.

[1] Kolczuga, albo kolcza zbroja — złożona z samych kolców czyli ogniw metalowych, misternie z sobą połączonych.

6.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia.—Zdało się marzącej dziewicy, jak gdyby kochanek na rączym koniu zawiódł ją w odludną i dziką okolicę, najeżoną zewsząd skałami i lasami pokrytą. — Niebo, przed chwilą tak czyste, przybrało mglistą i szarą pomrokę, oddzielającą ziemię od ożywnego słońca. — Rośliny, drzewa posępną miały postać, liście wyschłe dziwnej były zieloności, wpadającej w czarną barwę, przez zimę nadaną — wody, naokoło rozlane, wlokły się mętnemi falami, odbijając ciężkie chmury, w górze zawieszone. — Złowieszcze ptaki krążyły nad głową i przeraźliwe ich krzyki mieszały się do dźwięku trąb i rogów, z daleka się odzywających. — Przez taką krainę unosił Archeld dziewicę i, zatapiając ostrogi w boki zdyszanego konia, mijał z kilkoma towarzyszami góry i skały, lasy i jeziora. — Pomimo tej szybkości grzmiał ciągle goniący za nimi w powietrzu odgłos trąb i rogów — i czasem zdawało się Elżbiecie, że dalekie słyszy tętnienie. — W biegu tak rączym nie mogli sprostać rycerzowi jego towarzysze — jedni zostali z tyłu — drudzy padali, znużeni, wraz z końmi na ziemię, a choć lotem błyskawicy oddalała się od nich dziewica, zawsze zdawało się jej, że widzi po drodze rozciągnięte nieszczęśliwych ciała. — Nareszcie sam jeden Archeld z Heldy został na koniu — ostatni z jego orszaku legł przy spadzistej skale — za chwilę potem jego własny rumak rozciągnął się na piasku, a kochanek porwał oblubienicę i, przyciskając do serca, wydobył ją z pod zabitego

konia. — Wtenczas głos rogów zdał się powiększać i, coraz bardziej rosnąc, całą przestrzeń napełnił. — Mignęły wśród drzew otaczających zbroje i proporce i pancerna jazda wystąpiła z ciemnego boru. — Na jej czele poznała Ottona z Pilcy, ojca swojego, a przy nim niecierpianego człowieka.[1] — Zdało się wtenczas Elżbiecie, że ją Archeld, silnem dźwignąwszy ramieniem, uniósł na wysoką skałę i tam stanął z dumą orła, króla ptaków, wyzywając na równinie pozostałych wrogów — a wrogi poszły na skałę i Otto zagrzewał ich z niziny, stojąc obok tego, który był dla serca nieszczęśliwej, jak wąż jadowity dla lękliwej ptaszyny. — Zbrojne szeregi wdzierały się po przepaściach i sterczących urwiskach — Archeld z Heldy, trzymając w prawicy jaśniejący oręż, jak miecz anioła śmierci, podpierając lewą oblubienicę, czekał na nie z odwagą bohatera, poświęconego śmierci. — Cała skała, okryta zbrojnymi, w każdem miejscu błyszczała to szyszakiem, to pancerzem, i zdało się Elżbiecie, że kamienna opoka w stalową przemieniła się górę. — Doszli nareszcie szczytu mordercy — i szczęk broni się rozległ — i wielu ich poległo. — Archeld bronił najdroższego skarbu z wściekłością rozpaczy. — Ale córka wojewody uczuła, jak coraz bardziej drżało podpierające ją ramię, spostrzegła strumienie krwi, wylewające się z pod zbroi kochanka, i cała góra zdała się jej zalaną purpurowym potokiem — porwane nim ciało Archelda runęło ze szczytu opoki i, rozdarte przez ciernia *(s)* i głazy, padło u stóp pana z Pilcy. — A su-

[1] T. j. Wincentego Granowskiego, kasztelana nakielskiego.

rowy ojciec wziął rękę córki i połączył ją z sędziwą ręką swojego towarzysza i natychmiast rozległy się okrzyki: »Niech żyje Otton, niech żyje Granowski! I jego małżonka, córka wojewody — Elżbieta z Pilcy, niech żyje!«

7.

A tu po trzeci raz zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. — Zdało się marzącej dziewicy, że przebywa wśród posępnych murów. Ogromne wieże, żelazne kraty, głębokie rowy i mosty zwodzone dzieliły ją od świata — ale nad wzniosłe wieże i czarne kraty posępniejszym był pan tych miejsc, ubielony już siwym starości włosem. — Zapadłe oczy ciskały ponure błyskawice, i, kiedy patrzała nań nieszczęśliwa żona, zawsze obok widziała pokrwawionego Archelda, który wróciwszy z świata duchów, uśmiechał się jeszcze smętnie do oblubienicy, ale sztylet zemsty wzniesiony trzymał nad jej ciemiężcą. — I zdało się Elżbiecie, że dni, miesiące i lata powoli upływały dla niej w tym zamku, w tem uwięzieniu; jedyną pociechę miało jej strapione serce w dziecięciu, igrającem na matki kolanach — a to dziecię rosło co dzień i ono jedno wiązało córkę Ottona do ziemi. —

8.

A tu znowu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. — Zdało się marzącej dziewicy, że słyszy pogrzebowy dźwięk dzwonów i że, w żałobne ubrana szaty, trzymając syna za rękę, postępuje za trumną człowieka, którego jej serce nigdy nie kochało. — Tłum

ludu cisnął się wokoło. — Zbrojne hufce ze spuszczonemi dzidami, służalcy z udanym smutkiem szli za ciałem znienawidzonego — a jego wdowa kryła głowę między czarne zasłony — a każdy z otaczających starał się wzrokiem przedrzeć te zasłony i jej łzy wyśledzić, a ona łez wylewać nie mogła i wdowa Granowskiego była jeszcze kochanką Archelda. —

9.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. — Zdało się marzącej dziewicy, że spadły z niej żałobne szaty, a natomiast błyszczące przyodziały ją suknie. — W obszernym pałacu przeglądała się w srebrnych zwierciadłach i ujrzała róże, na nowo na licach zakwitające. — Otaczały ją okazale przybrane niewiasty, pazie na jej widok kornie czołem bili o marmurowe posadzki i dzielni rycerze przed nią zginali kolana. — Spojrzała przez okno, a naród cały przywitał ją okrzykami — odwróciła oczy, a bogate kobierce, jedwabne obicia, złote stropy, alabastrowe filary, porfirowe naczynia, jaspisowe ściany, krzyształowe sklepienia uderzyły wzrok zdziwiony. —

Wszędzie głowy, lśniące złotem i drogimi kamieniami, schylały się przed nią. — A wtem rozstąpiły się rzędy naokoło stojących dworzan i wszedł poważnym krokiem mąż wysokiej postawy, z koroną na skroniach i berłem w ręku. — Na czole błyszczała odwaga, pomieszana z ostatkiem nie startej przez wiele zmian dzikości, a jednak Elżbieta uczuła bijące serce z radości za jego zbliżeniem, a mąż, uwieńczony wień-

cem królów, wziął jej śnieżną rękę i zaprowadził do drzwi komnaty.

10.

A tu po ostatni raz zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. — Zdało się marzącej dziewicy, że w ogromnym kościele stoi w pośród tłumów, oświeconych tysiącznemi pochodniami. — Wonne kadzidła paliły się na jaśniejących ołtarzach, wznosząc lekkich dymów obłoki. — Śpiew poważny sług boskich rozlegał się po przestrzeni, dosięgając zagiętych sklepień, rażących blaskiem ozdób, poświęconych Panu nad pany.— Pomiędzy mnóstwem osób, zapełniających świątynię, rozeznała Elżbieta męża z koroną, który siedząc na tronie, rozciągnął berło nad swoim narodem i rzekł do niego: »Obieram poddankę za żonę.« Wszyscy milczeli i milczeniem przystawać się zdawali. Wtem ozwał się głos ponury, groźny, i wystąpił z ściśniętych tłumów duchowny w świetnym ubiorze.[1] — Twarzą surową przeraził patrzących — i, śmiałymi wyrazy przemawiając, sam jeden stawił się naprzeciw życzeń króla i narodu. — Ale drugi duchowny,[2] w równie błyszczących strojach, z łagodnością na twarzy, podniósł się z siedzenia i zgodził się z chęcią monarchy, a wtenczas okrzyki: »Niech żyje król Władysław i małżonka jego, Elżbieta!« przytłumiły głos pierwszego. Powstał mąż z berłem. Zeszedł z tronu i podał rękę córce wojewody. Zabrzmiały muzyczne tony, ozwały się pienia,

[1] Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński.
[2] Jan Rzeszowski, arcybiskup lwowski.

pochodnie podwojoną błysnęły jasnością i klękli oboje przed wielkim ołtarzem. Duchowny drugi zbliżył się do drżącej Elżbiety. Po chwili uczuła ciężar, unoszący się na splotach własnych włosów; podniosła oczy, a rażący połysk drogiej korony oblał jej twarz anielską — i kochanka Archelda była królową Lechii.

* * *

Właśnie w tem miejscu szmer lekki obudził dziewicę — i pierwsze jej wejrzenie padło na klęczącego rycerza. Rumieniec okrasił jej lica i wsparta na ramieniu Archelda z Heldy, wróciła do zamku dumnego wojewody. —

[Druk. 1829].

PARYSYNA

POEMAT LORDA BYRONA.

TŁÓMACZENIE Z ANGIELSKIEGO.

1.

Nadeszła godzina, w której słowik śpiewa na gałązkach gaju — nadeszła godzina, w której oświadczenia kochanka słodszemi się wydają w każdem cicho wymówionem słowie — w której miłe wietrzyki i blizko szemrzące wody mieszają się harmonijnymi tony w samotnem uchu. — Już rosa świetnie każdy kwiat polała — już gwiazdy się zgromadziły na sklepieniach nieba — i już błękit fali i barwa liścia ciemnieje — a niebo pokrywa jasność przyćmiona, która miła i czysta razem następuje po dnia upadku, kiedy mrok się roztapia w promieniach górnego księżyca.

2.

Ale nie dla słuchania szmeru strumyków opuszcza Parysyna[1] swoje mieszkanie — nie dla rozważania niebieskich świateł pogrąża się księżna w cienie nocy.—

---

1 Parisina Malatesta z Rimini, była drugą żoną Mikołaja III. d'Este (w poemacie Azo), księcia Ferrary. W jaki sposób między nią a pasierbem, nieprawym synem Mikołaja, Hugonem, powstała miłość, legenda rozmaicie opowiada. Rzecz się jednak wydała; wściekły książę kazał w nocy z 20 na 21 maja 1425 r. uwięzić kochanków i w kilka godzin skazał na śmierć najukochańszego syna i żonę, matkę dwóch małych córek — zaraz następnej nocy wykonano wyrok.

Siada w gajach Estu,[1] lecz nie dla woni świeżo rozwiniętych kwiatów — słucha, lecz nie śpiewu słowika, choć jej ucho równie miłego oczekuje brzmienia. — Przesunęła się stopa wśród gęstych zarośli — a jej lica blednieją, a jej serce żywiej bije — ozwał się cichy głos wśród cienistych liści, a jej krew się ścina i ciężar jej piersi przytłacza. — Jeszcze chwila dłużej — a będą złączeni. Już przeszła chwila — i luby klęczy u jej stóp, schylony.

3.

I czemże dla nich jest ten cały świat z swojemi zmiany pór i czasów? Jego żyjące istoty — jego ziemia i niebo są niczem dla ich umysłu i wzroku. — Stali się obojętnymi, jak śmierć sama, na wszystko, co się naokoło, pod i nad nimi dzieje — jak gdyby wszystko zaginęło, oni jedynie tylko dla siebie żyją. — Ich westchnienia są pełne tak głębokiej radości, jak gdyby ona nigdy zwiędnąć nie miała, jak gdyby szczęśliwy szał, któremu podległe ich serca, nigdy nie miał się zakończyć. — Mogąż oni myśleć o występku lub niebezpieczeństwie w tem czułem i tłumnem uniesieniu? Któż kiedy, czując władzę namiętności, znał rozwagę lub trwogę w podobnej godzinie, lub pomyślał, że prędko te chwile ulecą? Jednak muszą uleci[e]ć. — Niestety, budzimy się dla poznania, że takie marzenie już więcej nie wróci.

[1] T. j. w ogrodach książąt Este, domu panującego w Ferrarze.

4.

Z mdlejącym wzrokiem opuszczają miejsce występku, dokonanego wśród ponęt rozkoszy — a chociaż pełni nadziei, wieczną sobie miłość ślubują, smucą się jednak, jak gdyby to pożegnanie było ostatniem; a kiedy częste westchnienia i długie uściski i usta, któreby na zawsze spoić się chciały, okrywają rumieńcem lica Parysyny, lęka się, by niebo przebaczyć nie chciało, i zdaje się jej, że każda spokojna gwiazda, będąca świadkiem tych uniesień, patrzy na jej słabość z ponad górnych sklepień.

A jednak częste westchnienia i długie uściski wiążą ich do smutnego miejsca. — Ale i te muszą przejść nareszcie — i oddalając się z sercem, smętną trwogą obciążonem, czują okropne drżenie, które po każdym następuje występku.

5.

A Hugo poszedł do samotnego łoża myśleć o innego żonie. — Lecz ona musi złożyć winną głowę przy sercu ufnego małżonka — i we śnie zdaje się gorączką miotana — rumieńcem pokrywają się lica wśród pomieszanych marzeń — i powtarza imię, któregoby we dnie wymówić nie śmiała — i obejmuje śnieżnemi rękoma piersi księcia z namiętnością, innemu przeznaczoną. — A on obudzony tymi uściski, szczęśliwy w myślach, bierze senne jej westchnienia i gorejące pieszczoty za te, do których miał prawo — i w czułem rozrzewnieniu łzy wylewa nad tą, która go nawet we śnie kochać nie przestaje. —

6.

Drzemiącą przycisnął do serca i przysłuchiwał się przerwanym wyrazom. — Słucha. — Dlaczegóż zadrżał książę Azo, jakby na odgłos trąby archanioła? — I miał przyczynę zadrżeć. Okropna hańba może wkrótce zagrzmi nad jego mogiłą, kiedy się obudzi, by nigdy już nie zasnąć, i stanie przed Wiecznego tronem. — I miał przyczynę zadrżeć. — Ten głos zniweczył jego pokój na ziemi. — I czyjeż to imię, co grzmi nad jego wezgłowiem, jak wszystko druzgocąca fala, która roztrącając statek o spadziste wybrzeża, wbija na ostrą skałę nieszczęsnego, a on się zanurza w morza głębiny, by nie powstać więcej?— I czyjeż to imię? — To imię Hugona — Hugona, o którym w słodkich nie myślał pieszczotach.— Hugo, syn zapomnianej kochanki — to niegodziwe własne jego dziecię. — To potomek rozpustnej młodości — w której uwiódł Biankę,[1] nieszczęsną dziewicę, co szalona zawierzyła temu, który ją nie miał poślubić. —

7.

Porwał za sztylet, lecz nim go do połowy wydobył, znów go do pochwy schował — nie mógł zabić tak pięknej, choć życia niegodnej istoty. — Już się ona nie uśmiechała, głębokim snem ujęta. — I obudzić jej nie mógł — ale spojrzał na nią wzrokiem, któryby

1 W rzeczywistości nazywała się Stella Assassini. Miał z nią Mikołaj trzech synów, a kiedy w r. 1418 ożenił się nie z nią, lecz z Parysyną, Stella w rok później umarła ze zgryzoty.

obudzoną w tej chwili z marzenia do wiecznego snu zmusił na nowo. — A promienie lampy, palącej się nad jego czołem, odbiły się w łzach, napełniających przerażone oczy. Już ona więcej nic nie mówiła, lecz jeszcze drzemała. — Tymczasem w jego myśli dni jej życia były policzone. —

8.

A jak tylko nadszedł ranek, śledzi i znajduje w powieściach otaczających dworzan dowód tego, o czem lękał się dowiedzieć. Rozwijają się przed jego oczyma żony teraźniejsza zbrodnia i własne przyszłe tęsknoty. — Damy jej dworu, długo spólniczki występku, starają ocalić się, składając winę, hańbę i karę na nią jedną tylko. Już nikt nic nie tai — wszyscy głoszą okoliczności, zdolne zupełną wiarę do ich wyznań skłonić. — A serce i ucho Azona znękane nie mogą już ani czuć, ani słuchać. —

9.

Nie był on z tych, co lubią przewłokę. — W sali państwa naczelnik starodawnego rządu Estu zasiada na sądowniczym tronie — naokoło panowie i straże — przed nim występni — oboje w kwiecie życia, a ona zachwycającej urody — bezbronni i w kajdanach stoją. — O Boże! czyż tak syn ma stawać przed ojca obliczem? — Tak przecież musi Hugo, poglądając na rodzica, słyszeć wyrok jego gniewu i obwieszczenie niełaski. — A jednak nie wydaje się ukorzonym, choć dotąd jego usta milczą.

10.

Niewzruszona, zbladła i niema Parysyna czeka swego wyroku. — Jakże zmienione od niedawnego czasu żywe jej oczy, świetne niegdyś radością wśród jaśniejących komnat — gdzie szlachetni panowie chełpili się, że czekają na swoją księżnę — gdzie rozliczne piękności starały się naśladować jej dźwięczny głos, przyjemną postawę i wykraść z nich wdzięki swojej pani. — Wtenczas, gdyby jej oczy zapłakały w smutku, tysiącby rycerzy przybiegło natychmiast i tysiąc mieczów zabłysło, z pochwy dobytych dla zamienienia jej urazy na własną urazę. — A teraz czemże jest ona i czemże są oni? Ani może ona rozkazywać, ani oni słuchać — cały dwór tu zgromadzony — wszystkie jej damy, wszyscy rycerze milczący i nagłym uderzeni ciosem, z spuszczonemi oczyma i zmarszczonem czołem, z założonemi na piersiach rękoma, z zimnym na twarzy wyrazem i ustami, ledwo mogącemi znieść uczucie pogardy, są tutaj przytomni. — I on, wybrany przez nią z tysiąców, którego kopia zawsze na jej skinienie błyszczała, i który, gdyby na chwilę ramiona miał od więzów wolne, śmierci lub wolności się dobił — on, kochanek ojca małżonki, okuty w kajdany, stoi także przy jej boku — i nie patrzy na oczy lubej, we łzach bardziej dla niego tonąc[ej], niż dla siebie samej. — Jej powieki, po których fioletowe żyłki rozlane, lekkie rozwodziły plamki, odbijające się na rozkosznej białości, zdającej się zawsze najsłodszych całunków wzywać, teraz rozognione i żółtawej barwy, cisną, choć nie zakrywają dolnej źre-

nicy — która ponuro jaśniejąc, zapełnia się coraz bardziej za każdą łzą, na nowo przybyłą.

11.

I on także płakał dla niej. — Lecz teraz przed oczyma nań spoglądającemi zakrył smutek, jeśli jakiego doznaje. Bez trwogi wzniósł czoło do góry, jak gdyby zgryzot, duszę szarpiących, nie chciał wyznać przed gminem. — A jednak nie ośmielił się rzucić na nią wzrokiem. — Zajęło go wspomnienie godziny, w której zbrodnia i miłość przywiodły obecne położenie — gniew ojca — nienawiść ludzi — jego ziemskie i wieczne przeznaczenie i jej los — o, jej także — i nie śmiał spojrzeć na czoło kochanki, śmiercią napiętnowane. — Inaczej zdołałożby jego serce wydrzeć się zgryzotom zdziałanych nieszczęść?

12.

A Azo rzekł: »Wczoraj jeszcze chełpiłem się żoną i synem. — To marzenie przeszło dzisiaj — nim słońce zajdzie, już nie będę miał żadnego z nich. — Moje życie samotnie ciągnąć się będzie. — Ale mniejsza o to, — to wszystko przejdzie. — Niema nikogo w tem gronie, któryby inaczej postąpił odemnie. — Łączące nas łańcuchy się zerwały. — Nie ja je zerwałem. — Ale to wszystko przejdzie. — Wyrok już wydany. Hugonie, kapłan czeka na ciebie — i tutaj już twoja nadgrodzona zbrodnia. — Nazawsze się skończyło! — Wznieś modlitwy do Boga i skończ je — naucz się od zakonnika, że ci niebiosa przebaczyć mogą i winę w swojem miłosierdziu odpuścić — lecz tu na ziemi

niema miejsca, gdziebyśmy, ty i ja, razem godzinę żyć mogli. — Żegnam cię — nie chcę widzieć, jak będziesz umierał — lecz ty, słaba istoto, musisz patrzeć na jego odciętą głowę. — Nazawsze się skończyło! — Nie mogę już dalej mówić. — Idź, niewiasto namiętnego łona — nie przezemnie, lecz przez ciebie krew jego popłynie. — Idź — przeżyj ten widok i ciesz się z życia, które ci daruję«. —

13.

A tu srogi Azo zakrył twarz swoją. — Nabrzmiałe na jego czole żyły podnosiły się i opadały, jak gdyby krew wrząca raz uderzała, znów odbiegała od mózgu. — I schylił się na chwilę i drżącą rękę na oczach położył, chcąc je skryć przed gminem. — Wtenczas Hugo podniósł okute w kajdany ręce i prosił na krótką chwilę o posłuchanie u ojca. —

Milczący książę nie odmówił tej prośby. —

»Nie lękam się śmierci. — Widziałeś mnie nieraz przy swoim boku, z zapałem na twarzy walczącym wśród bitew. I nigdy topór sprawiedliwości nie okryje się tylą krwi mojej, ile nieprzyjacielskiej w twej sprawie wydartą mi przez twoich niewolników szablą wylałem. — Dałeś i możesz odebrać mi życie — dar, za który wcalem ci nie wdzięczny. — Nie zapomniano jeszcze dotąd o krzywdach mojej matki, o wzgardzonej jej miłości i skażonej sławie. — Syn odziedzicza jej hańbę. — Ale ona jest w grobie, gdzie i ja zstąpię. — Jej przekwitłe serce — moja głowa odcięta zaświadczą przy twoim zgonie, jak wiernemi i czułemi były — miłość twojej młodości — i ojcowskie

przywiązanie. — Prawda, żem ci krzywdę wyrządził — ale krzywdę oddałem za krzywdę. — Przekonana o tem twoja żona, druga twej dumy ofiara; wiedziałeś przecie, że mi była narzeczoną od dawna. Ujrzałeś i zaraz zapragnąłeś jej wdzięków — urągając się z mojego urodzenia, które było prawdziwą twoją zbrodnią. — Urągałeś się, zowiąc mnie jej ręki niegodnym — dlatego, że nie mogłem się głosić prawnym twego imienia następcą, ni zasiąść na Estu dziedzicznym tronie. —

Jednak gdyby kilka jeszcze wiosen dozwoliły mi były nieba, moje imię zajaśniałoby świetniej nad Estu zaszczyty. — Miałem oręż — i mam piersi, któreby dobiły się sztandaru, powiewającego wyżej nad wszystkie znaki królów, twoich przodków. — Nie zawsze najlepiej urodzeni najświetniejsze rycerstwa zyskają ostrogi — a moje, zatapiając się w boki dzielnego rumaka, puszczały go daleko przed pysznymi wodzami książęcego rodu, kiedy przyszło wpadać na wrogów z ulubionym okrzykiem: »Est i zwycięstwo!« — Nie myślę tu wytaczać sprawy ani cię błagać o przedłużenie na jakiś czas jeszcze krótkich godzin lub dni, które nareszcie muszą mnie doprowadzić do grobu. — Chwile szału, zapełniające moje życie, nie powinne ani mogą trwać dłużej. — Chociaż nizkim jest ród mój i pochodzenie i choć pogardzasz taką, jak ja, istotą, jednak moje lica zatrzymały wiele rysów z ojca twarzy — a dusza twoja we mnie się przelała. — Po tobiem odziedziczył — nieugiętość serca. — Lecz czemu zadrżałeś? — Po tobiem odziedziczył odwagę, ramiona w sile nie zwalczone i umysł,

płomieniem rozogniony. — Nie mogłeś wprawdzie inszego mi dać życia — lecz wszystkie moje uczucia do ciebie bardziej, niż do mnie, należą. — Ciesz się takim potomkiem występnej miłości. — Dusza mnie ożywiająca nie jest nieprawego syna — od ciebie wyuczona, podobna twojej, nie cierpi ucisku. — A co do życia, którem mnie udarowałeś i tak prędko pozbawiasz, nie ważę go więcej, jak ty, kiedy hełm swój na czoło wdziewasz, lub jak wy, kiedy ściśnięci w szeregi, puszczacie na śmierć dzielne rumaki. — Przeszłość jest niczem, a przyszłość może jest tylko przeszłością. — Jednak żałuję, żem dawniej nie zginął, bo chociażeś pogardził moją matką i zaręczoną mi dziewicę pojął za żonę, czuję dotąd, że jesteś moim ojcem. — Twój wyrok, choć okropny, jest tylko okropnym dla ciebie. — Poczęty w grzechu, umieram w hańbie. — Mojego życia jednaki początek i koniec. — Jak błądził ojciec, tak i syn zbłądził — i kara, dwóch dotykająca, na ciebie jednego spada. — Moja zbrodnia najgorszą ludziom się wydaje — ale i Bóg musi także między mną a nimi rozsądzić.«

14.

Przestał — i stanął z założonemi na piersiach rękoma, około których zawieszone brzękły kajdany — i ucho każdego z przytomnych tam wodzów przeraził szczęk ścierających się z sobą łańcuchów. — Lecz zaraz potem zgubne Parysyny wdzięki zwróciły wszystkich wzrok ku sobie. — I czyż kiedy spodziewała się, że jej przyjdzie taki wyrok usłyszeć? — Stoi, blada i milcząca — jej oczy, niewzruszone, otwarte

i łzami zalane, ani razu w drugą nie zwrócą się stronę! — A miłe powieki śnieżnej białości otaczają źrenice, nie mogąc ani zakryć ani zaciemnić promienistej światłości, nad którą się wznoszą. — A jednak zimnym spogląda wzrokiem, jak gdyby lodem zamarzła krew w jej żyłach. — Czasami tylko pełna łza powoli spada z pod ciemnych i długich pięknej powieki rzęsów. — Trzeba było widzieć, lecz nie słyszeć o tem — a ci, którzy widzieli, dziwili się, że taka łza może się z ludzkich stoczyć oczów.

Chciała przemówić — niedokończony wyraz przerwał się w nabrzmiałych ustach i tylko wydała westchnienie — lecz takie, iż się zdaje, że się w niem całe rozpłynęło serce.

Drugi raz przemówić chciała — wtenczas jej głos w długim krzyku wybuchnął i padła na ziemię, jak kamień lub posąg, z podstawy zrzucony — podobna martwej istocie — podobna kamiennej postaci żony Azona, której każda namiętność była nieszczęściem, która mogła do występku się nakłonić, lecz nie zdołała znosić hańby i rozpaczy zbrodni. —

Jednak żyje jeszcze i wszystkie odzyskała zmysły po omdleniu, śmierci podobnem—oprócz rozumu.— Natężenie boleści każde jej uczucie w więzy ujęło — i osłabły umysł przedstawia jej myślom wszystko w dzikiej i niezmierzonej przestrzeni — budzi jaśniejącą przeszłość, przyszłość zaćmioną, nad którą tylko świetnieją żałobne promienie, jak błyskawice nad ścieżką pustyni, kiedy burze nocy wściekłość swą wywierają. —

Lęka się — czuje, że jakieś złe tak zimną duszę przytłacza żałobą, że w niej musi być shańbienie i wina. —

Pamięta, że ktoś ma zginąć — ale kto? — zapomniała — nie wie sama, czy żyje — czy prawdziwą ziemię stopami dotyka, czy to prawdziwe nieba, zawieszone nad nią, i czy to są ludzie naokoło — albo czy to jej wrogi, którzy teraz, zmarszczeni srodze, spoglądają na tą *(s)*, której oku dotąd każde uśmiechało się oko? Wszystko w nieładzie i pomieszaniu stało przed jej rozognionym i błędnym umysłem. — Zamęt dzikich radości i bojaźni raz ją do śmiechu, znów do łez pobudzał. — Unosił ją szał w obu tych ostatecznościach. — Darmo usiłowała zrzucić to męczące obłąkanie, które zdaje się, że za każdą ją chwilą przygniecie. — Ach! napróżno usiłuje obudzić się z tego marzenia.

15.

Dzwony klasztoru, kołyszące się z wieży z pogrzebowym dźwiękiem, smutnem i powolnem ozwały się brzmieniem. — Ten odgłos ciężko na serce spada. — Słyszycie hymnu śpiewanie? — To pieśń za zmarłego lub za żywego, który niezadługo umrze. Hymn śmierci się rozlega i uderzają w dzwony dla duszy, wkrótce ten świat pożegnać mającej. — Tu jej śmiertelna powłoka[1] klęczy u stóp zakonnika. — Smutne to opowiadanie dla słuchającego, a widok litość wzbudzał w patrzących, jak klęczał Hugo na zimnym piasku, z rusztowaniem przed sobą, a strażą wokoło. — A gotowy kat, stojąc przed nim, goły topór zaostrzał, ażeby cios był pewnym i prędkim. — Tymczasem

[1] W angielskim oryginale jest: »Tu jej śmiertelne więzienie« zamiast ciała, zamiast samego Hugona. *(P. tł.)*.

zbierały się w milczącem kole tłumy dla widzenia syna, padającego pod ojca wyrokiem. —

16.

Właśnie nadeszła godzina, poprzedzająca zachód wiosennego słońca, które wtenczas zasłania się chmurą, to z za niej zwycięskie wychodzi. — I wieczorne promienie spływały w pełni na skazaną głowę Hugona — kiedy on, ostatnią odbywając spowiedź przed kapłanem, jego los opłakującym, schylał się w pokutnej pobożności dla usłyszenia błogosławionych wyrazów odpuszczenia, śmiertelne grzechy zmywającego. — Wysokie słońce świetniało mu nad czołem, kiedy zginając kolana, pilne ucho natężał — a pierścienie ciemnych włosów zakrywały mu połowę obnażonej szyi.— Ale świetniejszy jeszcze promień rzucało słońce na topór, przy nim rzęsistem i żałobnem jaśniejący światłem. — Ach! ta godzina rozdziału z ziemią była najprzykrzejszą. — Sam nawet srogiej sprawiedliwości wykonawca stał, przejęty dreszczem bojaźni — a choć okropna zbrodnia i słuszna kara, wszyscy z drżeniem na nią patrzali.

17.

Już syn występny, już przywiązany kochanek odmówił ostatnie modlitwy — opowiedział wszystkie swoje prośby i grzechy — i jego godziny do ostatniej chwili już upłynęły. — Zdarto mu płaszcz szeroki — błyszczące, ciemne włosy obcięto. — Nawet bogata suknia, którą dotąd nosił, i przepaska, dar Parysyny, nie mają mu towarzyszyć do grobu. — Musiał je

na bok odrzucić i już nad jego wzrokiem kat chce rozciągnąć zasłonę. — Ale nie — ta ostatnia sromota nigdy dumnych oczów nie skazi. — Wszystkie uczucia, podbite na pozór, razem ozwały się z pychą, kiedy ręka kata gotowała się zawiązać mu oczy, jak gdyby śmiało na śmierć spoglądać nie mogły. — Lecz nie miały one takiej ścierpi[e]ć ślepoty. —

»Nie — do was należą moja krew i skazane życie.— Te ręce już spętane — lecz dozwól[cie] mi zginąć z okiem nie spętanem. — Uderz!« — i po tych słowach głowę na słupie położył. — Ostatni jego wyraz był: »Uderz!« — i padł cios błyszczącego toporu. — Runęła głowa, a ciało ociężałe i zbroczone stoczyło się na piasek, który aż do głębi przemókł krwi strumieniami. — Oczy i usta przez chwilę ruszały się jeszcze gwałtownie — nareszcie na zawsze zmartwiały.

Umarł, jak mąż występny umierać powinien — bez narzekań i bez odznaczania się. — Pobożnie klęczał i modlił się, nie pogardzając pomocą wiary i mając jeszcze nadzieję w niebie. — A kiedy schylał się przed stopami spowiednika, już ogołocił serce z ziemskich uczuć. — Gdzież w tej godzinie był gniewny ojciec, miła kochanka? Już nie czynił wyrzutów — nie dręczył się rozpaczą. — Myślał tylko o niebie, mówił — tylko modlitwy — oprócz tych kilku słów, które wydarły się z jego piersi, kiedy już mający legnąć pod ciosem, zawołał, że chce ginąć z niezamkniętemi oczyma. — To było ostatnie jego pożegnanie z wszystkimi naokoło. —

18.

Piersi wszystkich patrzących oddech wstrzymały, jak usta, które śmierć przymknęła. Lecz kiedy zgubny raz zakończył życie i miłość Hugona, od męża do męża przebiegła iskra wzdrygnienia — i z każdego ust wypadło westchnienie, głucho się rozlegające. — Lecz oprócz uderzenia toporu, który z gwałtownym i nagłym hukiem o słup się roztrącił, żaden krzyk nie wyrównał temu, co przebił milczące przestrzenie tak dziko i przeraźliwie — podobnym był krzykowi matki, której syn nagle pada pod niespodziewanym ciosem. — Wzniósł się aż do nieba, jak gdyby pochodził z duszy, ciało opuszczającej. — Ten straszny głos, wyszły z okien pałacu Azona, wzbił się aż pod chmury — i wszystkich oczy w tamtą zwróciły się stronę.— Ale głos i westchnienie razem ucichło. — Był to krzyk niewiasty i nigdy okropniejszych tonów rozpacz nie przybiera. — A ci, którzy słyszeli, jak przelatywał powietrze, życzą w swojem miłosierdziu, żeby był ostatnim na tej ziemi.

19.

Hugo zginął — a od tej chwili ani w komnatach ani w gajach nie ujrzano Parysyny. — Jej imię, jak gdyby nigdy nie istniało, podobnie do imion wstydu lub trwogi, z każdych ust i uszów wygnanem zostało.— Nikt nie słyszał, by kiedy książę Azo wspomniał o żonie lub synu. — Niema dla nich ani grobu ani pamięci — nie poświęcono ich zwłoków. — Wiadomy dzień śmierci Hugona — lecz los Parysyny leży

w ukryciu, jak proch pod trumny ołowiem. — Nikt nie wie i nikt wiedzieć nie może, czy się udawszy do klasztoru, zyskała przez długie lata zgryzot, postów i pokuty przebaczenie niebios — lub czy w karze miłości zginęła od trucizny albo żelaza — lub czy mniej przedłużonym ulegając mękom, w tejże chwili, co ten, którego widziała na rusztowaniu, umarła, podzielając w sercu cios, na lubego spadły. — Jakikolwiek jej koniec, dosyć na tem, że jej życie się zaczęło w smutku i w smutku zawarło.

20.

A Azo pojął inną żonę — i dobrzy synowie wzrośli pod jego bokiem; ale żaden z nich nie zrównał w piękności i odwadze temu, który zawcześnie w zimnym zwiędnął grobie.

KONIEC.

1829 r. maj.
Z. Kr.

UŁOMKI PODRÓŻY SZWAJCARSKIEJ.

OPISANIE JEZIORA GENEWSKIEGO LEMAN.

(Wyjątek z listu podróżującego Polaka).

O milę jeszcze przed Lozanną odkrył się mojemu oku widok, zawierający wszystko, co tylko przyrodzenie stworzyć może wzniosłego i pięknego. Jezioro Leman, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesiennego słońca, jak masa nieprzeliczonych dyamentów. Wzruszone fale snuły się jedna za drugą nakształt splotów ognistego węża, a części jeziora, na które padał cień gór nadbrzeżnych, podobne były do roztopionego lapis lasuli,[1] w którego łonie osadzono świetniejące farbami tęczy kamienie. Ten ogromny obszar wody, lekkim wiatrem wzdymanej, przedstawiał zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło, igrając w zwierciadłach Lemanu, zamieniało je to na szyby lodu, to znowu na fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybierała jasny blask srebra. Kiedy wiatr, unoszący się nad wodą, zwalniał, odbite w jej toniach góry i skały nowy tworzyły widok. Każda nadbrzeżna

---

[1] Lapis lasuli — lazur, kamień posiadający piękną, niebieską barwę.

chatka zstępowała ze szczytu góry swojej, by kąpać się w przeźroczystych jeziora wodach; każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosa, by się odświeżać w zwierciadlanej toni. Zieloność murawy, dotąd jeszcze mrozami nie ujętej, białość śniegu, wieńczącego wzgórza, mieszały się z niebieskawą Lemanu barwą. Wsie, po bokach rozsypane, pełne były ogrodów i drzew, jesienną szatą okrytych. Tu sosna samotna, przypominająca mi Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy; tu lipa zżółkłymi szeleściała liśćmi za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwijały białe żagle statków jeziora; tu modrzew ciemną zielonością ocieniał skał wierzchołki, a po bokach bluszcz i różnobarwne, wijąc się, rośliny czarodziejskie tworzyły sklepienia. Dalej znowu dziksza poczynała się okolica; naga skała, śmiałe czoło pod chmury dźwigając, wydaje się jak olbrzym, pogardzający kwiatami i murawą; strumień huczący spada z jej urwisk i z pianą biegnie w dolinę, gdzie pośród umajonych wybrzeży spokojniejszem już płynie korytem. Świerki rosną tu i ówdzie nad chatą, której białe ściany z daleka jeszcze wzrok przyciągają; ciasna ścieżka kręci się od jej drzwi aż do stóp skały. Czasem człowiek po niej dąży, czasem krowy, dzwonkami, u szyi zawiązanymi, brzęczące, przesuwają się powoli śród dołów i przepaści i z schyloną głową na wzniesionych gór piętrach żują ostatek jesiennej trawy.

Ale nad wszystkie te obrazy uroczystszy i poważniejszy panuje widok. Pasmo gór, wiecznym lodem skrzepłych, ciągnie się po drugiej stronie jeziora; mgła i śród najczystszej pogody zaciemia ich ściany; chmury

w fantastycznych kształtach snują się po ich szczytach, to jak czołgające się węże, to znów jak skrzydlate smoki. Śniegi, od wieków na ich barkach złożone, błyszczą przy słońca promieniach, jak sztaby ze srebra, przykute do piątr skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; lecz kiedy, zniżona, zapowiada zachód czerwonawą barwą swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka i patrzeć tylko i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia. Niczem są rubinu blaski przy jasnościach, rozlewających się po górach, które otaczają jezioro genewskie, kiedy je barwa zachodu okrywa. Chmury zdają się z płynnego złota ulane, a wierzchołki gór, purpurą i dyamentami strojne, dają wyobrażenie, o ile to może istnieć na ziemi, tronu Przedwiecznego. Obłoki, podobne do tęczowych skrzydeł serafinów, to się roztapiają i nikną powoli w czystym błękicie, to znowu, gromadząc się razem, rozwijają pyszny baldachim nad skał szczytami. Do tego dodać potrzeba ukazujące się zewsząd domki wiejskie, Genewę w oddali, lasy i gaje, a utworzy się obraz, który łatwiej uczuć, niż opisać.

Za stopniowem zniżaniem się słońca słabną iskrzące się barwy na szczytach i z purpurowego koloru przechodzą do różanej farby. Wtenczas oko zmęczone mile odpoczywa po tylu świetnościach i każda góra wydaje się narzeczoną, strojną w ślubne suknie, kratowane śnieżnemi pasmami i uwieńczone różami. Zmrok zapadający miesza z sobą odrębne wprzód kształty i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę, pięknie przy wodach Lemanu odbijającą: księżyc wschodzi powoli, a wtenczas odnawiają się pyszne dnia wi-

doki, ale słabiej odznaczone. Nie tak rażące światło jaśnieje nad okolicą, milszy czułemu sercu blask rozprasza nocne cienie, zatrzymując wszystkie złudzenia i piękności mroku. Góry i skały, jak gdyby przez sen widziane, zdają się z upodobaniem przezierać się w nurtach Lemanu, którego zwierciadła leżą spokojnie i dopóty za sobą zdziwione przyciągają oko, dopóki w mglistej nie znikną oddali. Urocze Helwecyi wdzięki, opuszczając nieco z swojej wzniosłości i powagi, zstępują do rzędu widoków, między którymi już nie drży, nie uwielbia, ale rozpływa się serce. Księżyc rozsyła srebrne promienie, by uwieńczać gór szczyty niepewną jasnością. Chmury się zwolna przesuwają i, mieszając się do śniegów, zdają się między nimi roztapiać. Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaczną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdają się jedną składać krainę, w której i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują się chmury, podobne do statków, żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obszarów.

Ale, przyjacielu, nad te wszystkie cuda natury, nad te czarowne Szwajcaryi okolice wolałbym widzieć brzeg naszej Wisły lub Narwi, poglądać na Gopła fale. Oko zajmuje się Lemanem i niebotycznemi górami Helwecyi, ale serce wzdycha za Polską i powtarzam sobie nieraz ów wiersz Mickiewicza:

Wokoło mnie kraina dostatków i krasy
Nademną niebo jasne....
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i, niestety, jeszcze dalsze czasy?

Pisano w Genewie dnia 10 listopada 1829 r.

JEZIORO GENEWSKIE.

Jezioro tak spokojne i ciche, jak w pierwszym dniu stworzenia. W przeźroczystej jego powierzchni odbija się sklepienie niebios. Błękity górnej, powietrznej, i dolnej, wodnej przestrzeni stykają się w niem razem. Tu płynie barka z srebrzystymi żaglami, tam płynie obłok łabędziej białości. Zdaje się ono brzemienne i własnym i cudzym lazurem. Cała piękność przyrodzenia w jego piersiach zamknięta. Wszystko, co nad brzegami stoi, wszystko, co nad falami się wzbija, po raz drugi istnieje w jego toniach. Ono jedno jest sobą samem i całą naturą zarazem. W niem i wód kryształ i niebios obszary i skał wierzchołki razem się malują. Ono zda się być duszą całej okolicy. Każdy jej ruch, uczucie, działanie musi na jego licach odbić się koniecznie. Wodospad w niem po raz drugi spada z urwisk góry, chmura powtórną drogę przelatuje, każdy promień słońca w jego łonie na błyskawicę się zamienia i górne swe ognisko odzyskuje. W pozostałej naturze wszystko jest raz tylko pięknem; w niem i przez niego wszystko dwa razy jest wzniosłem i, dzięki

jego przeźroczystym falom, serce z podwójną siłą bije tem samem uczuciem na szczycie zielonego Jamanu.[1]

[15 sierpnia 1830 r.].

[1] Dent de Jaman — góra w kantonie Waadt na północ od jeziora Leman z pięknym widokiem na Montblanc.

MYŚLI POLAKA PRZY GÓRZE MONT-BLANC.

Słońce było za mną i za jedną z gór jurańskiego[1] pasma, która, okryta czarnemi sosnami i opasana wstęgą śniegu, wydawała się jak trumna, bladym całunem otoczona i już mojej głowie grożąca. Tymczasem przedemną wznosił się niebotyczny Mont-Blanc w szacie wiecznej zimy, urągając się dyamentowymi lodami ze wszystkich promieni wiosennego nieba.

Witam cię, góro, witam cię, nieśmiertelności obrazie na ziemi, przeznaczonej zagubie! Ty jedna wśród zieleniejących się gajów, wśród złotych żniw lata i pomieszanych farb jesieni stoisz niewzruszona i nieodmienna, jak bohater, którego duma nie zniża się do śmiertelnych i nie pozwala twarzy wydawać pomieszania i cierpień duszy.

Oh, witam cię, Mont-Blanc! — Przez długie lata pragnąłem ujrzeć twoje poważne i milczące czoło, podobne do grobowca, i widzieć twój orszak, złożony ze skał, zdających się cichą cześć ci składać w głębokiem poszanowaniu. Ty jeden, wylatując nad krańce

---

[1] Jura — pasmo gór, ciągnące się w długości 260 klm. na granicy pomiędzy Szwajcaryą a Francyą, od jeziora Leman aż do Renu.

ziemskiej wielkości, pysznym wierzchołkiem roztrącasz fale błękitów. Panujesz nad wszystkiem, co cię otacza, jako pan wszechmocny w płaszczu purpurowym, uwitym z ostatnich dnia gasnącego promieni. Przykuty do ziemi, zdajesz się jednak należeć do nieba. Równina u stóp twoich, oświecona słońcem, żegnającem się z światem, zdaje się być oceanem ognistym, nad którym królujesz, podobny do piramidy z marmuru, postawionej na wieki Wszechmocnego ręką dla ludzi, błądzących po ziemi przestworzu. Za mną ponura ciemność otacza przepaście i urwiska, nad któremi rosną posępne lasy, jak wijące się bluszcze wokoło grobowców cmentarza.

Już nie zdołam dojrzeć słońca, ale przedemną jego promienie igrają na wierzchołku Mont-Blanc, jak wspomnienia ubiegłych rozkoszy; fale błękitu tłoczą się wokoło, podobne do bałwanów morza, konającego u nadbrzeżów srebrnej wyspy. Duch Twórcy unosi się nad tą krainą i Jego ręka wyryła na opoce Mont-Blanc nadzieję nieśmiertelności. Oh, jeśli ziemia tyle ma uroku, jeśli ogromy prochu, zmieszane z kłębami śniegu, zdolne podnieść tak wysoko uczucia człowieka i, oderwawszy myśl od kurzawy, rzucić ją pomiędzy niebios przestrzenie, jakże wyższemi muszą być marzenia duszy! Zdaje mi się w tej chwili, że Mont-Blanc jest świetnym korabem, na który rzuca się moja dusza dla przepłynienia nieskończoności chwały Wszechmocnego. Opasujące go skały rosną stopniowo, dopóki nie zbliżą się do swojego monarchy, a wtenczas schylają czoła, jakby z żalu, że nie mogły dosięgnąć nadprzyrodzonej wielkości.

Ale już cienie pochłaniają światło, nie wiele już mi chwil zostaje do ubóstwiania tej natury, tak wywyższonej nad pospolite czucia ludzkości. O słońce, dobądź sił ostatnich i zalej równinę promieńmi! O góry, ożywcie się dla mnie... pożyczcie głosu od szumu waszych potoków i od grzmotu śniegowych zamieci! Mont-Blanc, odpowiadaj na moje wołanie! Czyś bliższy nieba od mojego umysłu?... czyż tonie wieczności stoją otworem przed tobą?... lub czy gwiazdy, zakochane w białej szacie twoich wierzchołków, zostawiły wraz z promieńmi tajemnice niebios na niedostępnych twych śniegach?... Milczysz!... boś zanadto dumny, abyś się miał zniżyć do mowy śmiertelnych!...

Coraz czarniejsze otaczają mię cienie. Różane gór barwy konają powoli w nienawistnych uściskach ciemności. Odwracając się, dostrzegam tylko ponurą jurańską opokę, która zdaje się mnie przestrzegać, że wszystko na ziemi kończy się prochem. Drzewa jej, chyląc się ku mojej głowie, poruczają wiatrom szelest liści, podobny do odgłosu śmierci. — Domagałem się odpowiedzi od piękności i od światła i nie otrzymałem żadnej, nie rzekłem słowa do ciemności i zaguby, a jednak powiew wieczora przyniósł mi ich odpowiedź.

[Druk. 1830 r.].

SPADEK AARY.[1]

W potrójną przepaść połamana skała dźwiga na sobie sypiące się Aary potoki. Wokoło dzika pustynia: nagie skały, ciemne sosny, mech szary. Fale rzeki skaczą po urwiskach, łamią się na ostrzach i, zaokrąglenie wody płynnej straciwszy, w zdruzgoconą zamienione pianę, ulatują w powietrze, opadają z szumem, przedzierają się przez zapory z rykiem i z niezmiernej wysokości lecą w głąb czarnej otchłani, gdzie błyszczące z tęcz śmigają wieńce i wiązki z światła igrają. Zdaje się patrzącemu, że ogrom spadającej wody wszystko za sobą porywa, że twarde łono góry, po której płynie, drży pod jej popędem. Huk piorunu, przemijający na niebie, tu trwa ciągle i w każdej panuje chwili. Krople, oderwane od bałwanów Aary, kołują po przestrzeni, to raz zamglewają powietrze, to znów w lśniącej się chmurze uciekają z korytem. Trzy mosty, zawieszone nad trzema przepaściami, zaginają się w wątłe łuki i drżą od gwałto-

---

[1] Aar — trzecia co do wielkości (po Renie i Rodanie) rzeka szwajcarska, lewy dopływ Renu, tworzy liczne wodospady; tu opisane słynne spady Handegg w dolinie Hasli.

wności i szumu potoków. W głębi para z roztrzaskującej się rzeki snuje się po jarze i po ścianach skały, jak kłęby dymu. Zewsząd sterczą głazy o rozmaitych kształtach; wiją się po nich krzewy i rośliny, a burza nieustanna pokrapia je mgłą świeżą. I tak płynie straszliwa Aara — z łoskotem piorunu i szybkością awalanszy.[1]

[25 sierpnia 1830 r.].

---

[1] Awalansza, z franc. *avalanche* — lawina.

MŚCIWY KARZEŁ
I
MASŁAW, KSIĄŻĘ MAZOWIECKI.

(POWIEŚĆ NARODOWA).

Powieść osnuta na zdarzeniu historycznem z początku XVII. w., które Krasiński przeniósł do Polski w czasy odleglejsze, w wiek XI. Wątku dostarczyła następująca wzmianka, zamieszczona w »Miscellaneach« Dziennika Warszawskiego z r. 1826 (t. VI, 75—77), na co pierwszy wskazał prof. Kallenbach w dziele »Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych«. Lwów 1904, I, 97.

»W podróży opisowo malowniczej ponad brzegami Waagi przez barona Miedniańskiego, drukowanej w Pesth 1826 r., znajduje się następująca historyczna okoliczność. Zamek Kseith[1] *nad Waagą przedstawia teraz gruzy i zwaliska. Należał on kiedyś do Mathiasa Korwina i Maksymiliana II. i dostał się Elżbiecie Batorównie, synowicy*[2] *Stefana Batorego, króla polskiego, a żonie Franciszka Nadasdy. Księżniczka ta nadała nieszczęsną sławę temu zamkowi w którym przez wiele lat dopuszczała się okrucieństwa, jakiego prawie dzieje nie wystawiają przykładu. Kazała ona wychowywać w swoim pałacu ubogie dziewczęta, które uposażała i wydawała za mąż co rok w czasie niektórych okoliczności; ale karała gwałtownie i srogo najmniejsze uchybienia i zdawała się mieć upodobanie, poglądając na cierpienia tych niewinnych istot. Dnia jednego w szalonem uniesieniu uderzyła gwałtownie jedną z tych nieszczęśliwych tak, że krew bryznęła jej na twarz. Zbliżywszy się do zwierciadła dla otarcia twarzy, zdało się jej,*

---

[1] *T. j. Csejte, po słowacku Czachtyce.*

[2] *Córka Anny, siostry króla Stefana, i Jerzego VI. Batorego z linii Csenéd, a więc siostrzenica, od r. 1604 wdowa po Nadasdym.*

że w miejscu skrwawionem ciało stało się bielsze, piękniejsze i świetlejsze. Wnet przychodzi jej na myśl, azaliż nie mogłaby się odmłodnić, we krwi ludzkiej się kąpiąc. Dwie stare służące i karzeł nadworny Fitzko pomagali jej w wykonaniu tak okropnego zamiaru. Młode dziewczęta znikały, jedna po drugiej, i co zaledwie można pojąć, więcej niż 300 zostało zamordowanych dla kaprysu tej okrutnej niewiasty. Pewien młodzieniec, utraciwszy tym sposobem swoją narzeczoną, powziął podejrzenie, a rozrzuciwszy złoto, wydostał nawet szczątki nieszczęśliwej, którą opłakiwał. Zapalony gniewem, przejęty boleścią, leci do Presburga i napełnia całe miasto wyrzekaniem żałości i rozpaczy. Grzegorz Thurzo, kanclerz królestwa,[1] widząc, że chodzi o znakomitą osobę, udał się sam na miejsce, zeszedł niespodzianie cztery potwory na gorącym uczynku, właśnie w chwili, gdy ofiara ostatniego oddawała ducha, opierając się pierwej nadaremnie swoim zabójcom. Natychmiast uformowano proces, którego akta zostały wydrukowane dla zaspokojenia powszechnej ciekawości i oburzenia. Dwie owe kobiety skazano na ucięcie prawej ręki i głowy, karła na utratę ręki i spalenie żywcem. Księżnę wtrącono do ciemnego więzienia, w którem po trzech latach umarła, roku 1614".

[1] *Ma być: Jerzy Turzo, palatyn.*

I.

— Otwórz!...

Daremnie dobijasz się do bram naszych — odparł żołnierz, stojący z łukiem i kopią na straży przy murach gozdawskiego[1] zamku młodemu rycerzowi, który, całkowitą zbroją okryty, stał na wałach, zamek okrążających.

Promienie jesiennego słońca odbijały się w jaskrawym blasku od hełmu, osłaniającego głowę rycerza. Stalowa przyłbica nie kryła pięknej twarzy, smutkiem zawcześnie ocienionej, a oczy, całym ogniem młodości iskrzące się, rzucały spojrzenia, któreby wyobraźnia poety mogła przyrównać do promieni, przez połysk słońca pancerzowi wydartych. Usłyszawszy słowa strażnika, zmarszczył brwi młodzieniec i zaczerwienił się na licach. Sięgnął nawet ręką po długi pałasz, lecz niepodobieństwo skarcenia żołnierza, o kilkadziesiąt łokci nad nim wyżej stojącego, wstrzymało zapał i gniewnym tylko zapytał się głosem:

— I czemuż to nie wolno wchodzić w podwoje Johanny z Gozdawy?

---

[1] Gozdawa, dziś Gozdowo, wieś w pow. sierpeckim, 24 klm. od Płocka.

— Bo się spodziewamy przybycia potężnego Masława[1] — odrzekł żołnierz — i te bramy dla niego tylko dzisiaj się otworzą.

— Bodajby przepadł Masław i w proch rozleciały się te mury! — krzyknął młodzieniec, powolnym odchodząc krokiem, i już siadał na konia, do drzewa w poblizkości przywiązanego, kiedy z za krzaków ukazał się człowiek dziwnej i odrażającej postaci. Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w nim karła; twarz, poorana zmarszczkami, nie zgadzała się z dziecinnym wzrostem; nos spłaszczony nachylał się nad szerokiemi jego ustami, dzikim uśmiechem ożywionemi, a oczy wyrodka ludzkości wyrażały nikczemność, czarnym tylko duszom właściwą. Znać było że go gniew jakiś dojmował, bo żyły, na nizkiem ciągnące się czole, wzdęły się niezwyczajnie, a lica nabrzmiały. Ubiór dziwaczniejszym był jeszcze od postaci; miał na sobie lisie futro, czarnym aksamitem w czerwone paski powleczone, przy boku błyskał sztylet, który porównywając z wzrostem karła, za dość wielką szablę wziąśćby można było. Nad głową wznosiła się żółta czapka, dzwonkami srebrnymi opatrzona, które donosiły wcześnie o jego przybyciu brzmieniem, podobnem do dźwięku grzechotnika, w dzikich Afryki pustyniach zamieszkałego. Zjawienie

[1] Masław, podczaszy na dworze Mieczysława II., stanął na czele powstania Mazowszan po śmierci tego króla i ogłosił się księciem płockim; pokonany dwukrotnie przez Kazimierza Odnowiciela (1042 i 1046 r.), zginął śmiercią sromotną, powieszony przez Prusaków, u których szukał pomocy.

się karła wstrzymało kroki rycerza, i powitał go natychmiast, bo się oddawna już znali.

— Otóż znalazłem mściciela! — krzyknął mały człowiek, ale zaraz, przybrawszy poważną postawę, zapytał cichszym głosem: — A cóż tu porabiasz, Jordanie z Bordan?

— Nie mam ci odpowiedzi, mój Gondo, na to zapytanie — rzekł rycerz. — Wiesz przecież, że w tych murach mieszka luba sercu mojemu, Zbisława z Czernic.

— Ho! ho! ho! luba sercu twojemu, nie wiem, gdzie dziś nocować już będzie, mój waleczny rycerzu!

— Co mówisz, przeklęta poczwaro? — zawołał Jordan, ściskając silną prawicą gardło Gondy; ale wnet uczuł zatapiające się w ramionach ostre karła paznogcie i, zdziwiony nadzwyczajną mocą tak małej istoty, puścił go natychmiast.

— Bądźmy raczej przyjaciółmi! — rzekł Gonda. — Wczoraj możebym cię zabił tym sztyletem, dziś posłużysz do moich celów.

— Do twoich celów? — przerwał Jordan ze wzgardą. — Za kogóż to mnie bierzesz? Jestem wolnym Polakiem i rycerzem tarczy nieskalanej; niczyim celom służyć nie będę, a cóż dopiero twoim, nikczemniku!

— A jednak tak się stanie, jakem powiedział. Założmy się o ten złoty łańcuch, wiszący na twoich piersiach!

— Najchętniej — odparł rycerz z uśmiechem — ale, jeżeli przegrasz, porwę cię z ziemi i cisnę na gozdawskie mury.

— Bardzo dobrze — rzekł karzeł — bardzo do-

brze — jestem pewny wygranej. Zbisława dziś zginie, jeżeli nie dopełnisz woli mojej.

Rycerz natychmiast zdjął złoty łańcuch z szyi i rzucił go pod nogi karła, a potem, porywając za rękojeść miecza, groźnym zapytał głosem, coby jego słowa znaczyły i coby zamyślał wykonać.

— Skoro się zmroczy — odparł karzeł — oczekuj mnie na tem wzgórzu pod sosną, a wtenczas wszystko ci wytłómaczę. Teraz poprzestań na tej wiadomości, żem przysiągł zemstę przeciw pani mojej, Johannie z Gozdawy, i że zginąć musi! Ach, na to wspomnienie krew się we mnie burzy; ona dziś mi wyrzec ośmieliła się, że[m] wyrodek ludzkości, że mnie podobna potwora nie potrzebna na jej dworze. Gdy świat mię cały opuścił, ziemia brzydziła się Gondą, znalazłem schronienie, zakupione występkami i zbrodnią; dali mi dach do okrycia głowy i łoże do wypocznienia za to, żem nie odmówił mojej pomocy niegodziwościom, żem się nie bał obarczyć sumienia, dogadzając jej namiętności, a teraz mię z domu swego wygnała! O Johanno z Gozdawy, szerokie masz dobra, liczne włości, wielkie dostatki i bogactwa w skarbcach i skrzyniach i niemałą potęgę w ręku; mury otaczają twój zamek, zbrojni go strzegą żołnierze: a przecież musisz zginąć, bo ani dostatki, ani żołnierze, ani te mury nie potrafią cię zakryć przed zemstą Gondy, tego karła, tej poczwary, tego wyrodka ludzkości! Wyzwałaś mię do walki, będziesz ją miała — Gonda dotrzyma ci placu!...

To mówiąc, jak błyskawica, znikł między drzewami i tylko głos jego dał się słyszeć: »Rycerzu, pamiętaj

na moje wezwanie!« Przerażony Jordan chciał go ścigać, wtem nowy zatrzymał go widok.

Na drodze, ku zamkowi wiodącej, ukazał się orszak zbrojnych rycerzy, na których czele jechał mąż poważnej postaci, ale surowego lica. Stalowy szyszak błyszczał na jego głowie, a nad nim migała się złota książęca korona; płaszcz purpurowy, białem futrem w czarne cętki podszyty, spływał około pancerza i siodła, a ciężki, obosieczny pałasz aż do stóp dochodził. Rzucając obojętne spojrzenie na okolicę i towarzyszów swoich, jechał powoli; ale łatwo w tych spojrzeniach można było rozpoznać okrucieństwa, które odznaczały Masława, niegdyś podczaszego na królewskim dworze, a teraz książęcia płockiego i srogiego łupieżcy ucieczką Ryksy[1] zaburzonej Polski. Zuchwałość, połączona z chęcią panowania, strasznym go czyniła nawet odległym sąsiadom i może nie było wówczas w całem Mazowszu człowieka, któryby się poważył wszechwładnej woli jego oprzeć.

— Handzo z Budyszyna — rzekł Masław do jednego z towarzyszów, przy nim postępujących — wiesz, że już mię Johanna nudzić zaczyna. Przez pioruny i piekło, czasby się pozbyć tej rozmiłowanej wdowy! I cóż to ona tak powabnego w Masławie znajduje? Czyż oczy, krwią zaszłe, czyż długa broda i wąs gęsty, czyż serce, dalekie od zniewieściałej czułości, może być przedmiotem miłosnych zapałów? A przecież od śmierci męża swojego, Mirosława z Go-

[1] Ryksa (Richeza), żona Mieczysława II, matka Kazimierza Odnowiciela, wygnana po śmierci męża przez Masława, osiadła w Kolonii, gdzie umarła (1063 r.).

zdawy, cała mną zajmować się zdaje. Ha, uśmiechasz się, Handzo, przyszło ci na myśl, jakem go wówczas zręcznie sprzątnął ze świata? — i te słowa już ciszej do ucha powiernika wymówił. — Jednak to dziwna kobieta, pokochała mnie, jak szalona! Ale słuchaj, mój Handzo: Zbisława z Czernic, na dworze Johanny przebywająca, córka owego starego szlachcica, nierównie jest od niej piękniejszą!

— O, zapewnie, książę i panie mój, Zbisława jest najpiękniejszą z dziewic całego Mazowsza.

— Przestań! — rzekł Masław — wjeżdżamy do zamku, musimy tu dni kilka zabawić, potem skarby złupimy, a panią... a panią... Ha, znajdzie się pomysł, kiedy znagli konieczność.

— Hej, panowie, zdwoić krok i popuścić koniom wodze!...

I wleciał rozpędzonym biegiem na wzgórza gozdawskie. Cisnęli się za nim wojownicy, skórami dzikich zwierząt odziani, błyszczały ich zbroje, migały się kopie, a nad każdym powiewała czerwona chorągiew, okrywając krwistymi zwojami najdzikszych może w całej Polsce wojowników.

Długo Jordan poglądał za nimi i dopiero wtenczas, gdy wjechali na podwórza zamkowe, w przeciwną oddalił się stronę.

II.

Słońce już zaszło, a czerwone chmury zapowiadały straszliwą burzę, ciemność zalegała obszary i żadnej gwiazdy nie mógłby dostrzedz wzrok nawet sokoli;

ale natomiast okna zamkowe rzęsistym jaśniały ogniem, bo Johanna z Gozdawy miłego przyjmowała gościa.

Tymczasem pod sosną, na małem wzgórzu oczekiwał karzeł rycerza; jakoż przybył niedługo Jordan, w lekką kolczugę i ciemną czapkę przybrany, z mieczem i sztyletem u boku.

— Zazwyczaj — rzekł karzeł — oczy wierniejszemi są od uszu, bo to, co widzimy, więcej nas uderza nad odgłosy i poszepty ludzkie. Chodź więc, a ukażę ci najokropniejsze widowisko; ale powiedz mi pierwej, czy zdołasz niebezpieczeństwom śmiałe czoło postawić?

— Moje serce stalową, jak piersi, otoczone jest powłoką; kiedy godzina trwogi dla innych uderzy, a kiedy idzie o śmiałość, poszedłbym za szatanem i do ciemnic piekła.

— Jeśli może być obraz piekła na ziemi, to go dziś ujrzysz. Chodź a milcz, patrz a milcz, uderzaj a milcz, a kiedy ci powiem: »Otwórz usta!«, to mów i mów z całą odwagą, którą się teraz tak chlubisz!

I szli razem przez wały, przez podziemne przejścia i ciemne korytarze, przez wązkie wschody i długie komnaty, a wszędy panowała cichość, tylko odgłos ich stąpań od sklepień i murów się odbijał. Karzeł szedł przodem w milczeniu i otwierał drzwi wielkim kluczem, u pasa zawieszonym, poglądając często na towarzysza, z bezprzykładną stałością za nim postępującego. Nareszcie, kiedy przybyli do drzwi żelaznych, mocno na rygle zapartych, obrócił się Gonda i przybliżył pochodnię ku licom Jordana, jak gdyby z nich chciał uczucia duszy jego wyczytać.

— Jeszcze ci raz powtarzam — rzekł po niejakiej

chwili — jeśli ci zbywa na odwadze i męstwie, jeśliś nie pewny ręki i oręża, lękaj się próg ten przestąpić i raczej powróćmy oba!

— Otwieraj te drzwi — zawołał rycerz nieco przytłumionym głosem — otwieraj! Nie słabiej trzyma się męstwo mojej duszy, jak ta klinga rękojeści. — To mówiąc, dobył miecza i potężnie uderzył w żelazny rygiel, który natychmiast upadł z łoskotem na ziemię. Karzeł zakręcił klucz w zamku, skrzypnęły zawiasy, rozwarły się podwoje i weszli do komnaty, napełnionej trupami; jedne z nich leżały na ziemi, inne stały przy murach, niektóre już przegniłe, niektóre wyschłe i skościałe, a inne jeszcze świeże były. Wszystkie zaś młodych dziewic — każdej z nich głęboka rana rozdzierała piersi. Ten straszliwy widok zatrwożył zrazu Jordana, lecz wnet odzyskał przytomność i nagle, odwracając się do karła:

— Czego chcesz odemnie? — zawołał — czyś tu mnie na śmierć przyprowadził?

— Ciszej, ciszej! — odparł karzeł — niepotrzebnie gniewem się unosisz, budzisz te trupy; są to nieszczęśliwe ofiary Johanny z Gozdawy. Ale czas już położyć koniec okrucieństwom; dziś Johanna z rąk twoich śmierć zasłużoną odebrać powinna. Dowiedz się... że za kilka chwil, za godzinę może... Zbisława grób tu znajdzie dla siebie.

— Coś wyrzekł! — krzyknął Jordan — przebóg! byćże to może?... Lećmy... spieszmy na pomoc! — i pociągnął silnie za sobą karła.

— Wstrzymaj się, niebaczny, jeszcze dość czasu; wstrzymaj się, powtarzam! Pod utratą życia przysię-

gam, że ocalisz Zbisławę, tylko się wstrzymaj! Jeśli pragniesz jej życia, nie czas jeszcze spieszyć z pomocą; zostań tu raczej i słuchaj mojej powieści — nie długo trwać będzie!

Wahał się jeszcze Jordan, dręczony niepewnością, co miał przedsięwziąć; ale nareszcie zaufał przysięgom karła i postanowił czekać sposobnej chwili ocalenia Zbisławy.

I usiadł karzeł wśród trupów, a rycerz stał przed nim, zmuszony słuchać przewodnika, ale twarz jego i spojrzenie płonęły całym ogniem wewnętrznej niecierpliwości.

III.

»Umarł Mirosław z Gozdawy — zaczął Gonda z szyderskim uśmiechem — a jego trumnę, okrytą napisami i ozdobami pychy światowej, wpuszczono do grobu naddziadów. Została po nim młoda Johanna, można i bogata pani, ale okrutne jej serce raczej pod żelaznym pancerzem, niźli pod rąbkiem niewieściego stroju, bićby powinno. Świat nie miał zuchwalszej kobiety, czyny jej mnie samego często zadziwiały, nieraz nawet uwielbiać ją musiałem. Wzgardzony, lubiłem mścić się na rodzie ludzkim, to też wkrótce ofiary Johanny stały się mojemi. Ale zbliża się już czas i dla niej; chwil kilka, a wzgarda Gondy pomszczoną zostanie.

»Wdzięki pani tego zamku mało równych zapewne liczą na świecie, a przecież nie zdobiły one przed laty Johanny; nie zbywało jej zaprawdę na kształtności

rysów i wspaniałości postawy, ale płeć twarzy, nadzwyczaj śniada, niweczyła całą piękność. Lubiła potężna pani zgromadzać do domu swojego młode dziewice. W gronie tych znajdowała się Elżbieta, osierocona córka po wsławionym orężem Czehrynie z Hadzian. Czarowne jej wdzięki wielbiła cała okolica; zazdrośnem na to spoglądała okiem Johanna i przyszła jej myśl piekielna sprzątnąć ze świata Elżbietę. Ja wezwany byłem do spełnienia tych zamiarów. Ułożono daleką podróż, Elżbieta towarzyszyła swej pani. Na pierwszym noclegu związano dziewicę i sama Johanna męczyła ją różnymi sposobami. Wtem kropla krwi padła na jej twarz śniadą. Johanna, zbliżywszy się do srebrnego zwierciadła, obmywać ją zaczęła i zaraz potem postrzegłem dziwny rodzaj radości i zadowolenia w jej okrutnem spojrzeniu. Skinęła na mnie ręką, a zbliżywszy się, z niemałem zadumieniem ujrzałem, że miejsce, skąd krew otarła, bieliło się, jak śnieg na górach. Johanna spojrzała na mój sztylet, lecz nim jeszcze słowo wyrzec mogła, już Elżbieta u nóg moich bez duszy leżała. Na ten widok całe wnętrze moje zadrżało, przeciez wkrótce trwoga ustąpiła dzikiej radości. Przed chwilą z pogardą poglądała Elżbieta na obrzydłego karła, teraz martwa jej postać u nóg moich leżała. O, ty zapewne nie pojmujesz mojego uniesienia; ty nie jesteś karłem, ciebie świat nie odepchnął, ciebie przyrodzenie z łona swojego nie odtrąciło! Skorom cios śmiertelny zadał Elżbiecie, Johanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w cieplej krwi twarz swoję myła. Trzeba było widzieć jej radość, gdy, zbliżywszy się do zwierciadła, nadzwyczajną

białość płci ujrzała; ścisnęła mię za rękę, i odtąd złoto i łaski sypały się na karła.

»Niedługo potem Johanna namiętnie pokochała Masława, księcia na Mazowszu, a wtenczas często już trzeba było powtarzać zbrodnicze kąpiele. Ginęły dziewice jedna po drugiej, a dzisiaj Zbisława ma poledz!...«

Na te słowa zadrżał młodzieniec, a karzeł, porywając go za rękę.

— Teraz czas i godzina zemsty — rzekł złośliwym głosem, — wprowadzę cię, kiedy już twoją kochankę będą chcieli zamordować, szabla ją twoja uwolni; lecz przysięgnij mi wprzódy, że natychmiast zaprowadzisz ją do sali biesiadniczej i rzecz całą Masławowi opowiesz. Wysłucha cię ochoczo, bo już oddawna pragnie zguby Johanny, aby jej państwem zawładnął.

— Przysięgam! — rzekł rycerz stłumionym głosem, bo zimno śmiertelne po żyłach się jego rozlało i siły osłabły. Otoczony śmiercią, zagrożony zgubą najdroższej sercu swemu istoty, musiał słuchać zbrodniarza i wolę jego wypełniać. Czuł całą okropność swojego położenia, ale pamięć Zbisławy przemagała wszystko i, dobywszy miecza, poszedł za karłem.

— Wiem dobrze — rzekł ostatni — że śmierć Johanny będzie zagubą i mojego życia, że z nią razem odbiorę zasłużoną karę, ale i ta myśl, straszliwa innym, mnie radością dojmuje; już mi świat obrzydł i życie obmierzło, nie potrafią sroższych wymyślić męczarni.

Wtem, nagle zatrzymawszy się Gonda przy ścianie, żadnego wejścia nie mającej: »Teraz działajmy!«

zawołał — i pchnął gwóźdź silnie; odskoczyły małe drzwiczki, schody się ukazały, a Gonda, wbiegając na nie:

— Wybijaj pierwsze drzwi, które napotkasz! — rzekł do Jordana.

Już drzwi wybił Jordan i kilka trupów leżało u stóp jego, na ramieniu zemdlona opierała się Zbisława. Ocalił ją w chwili, kiedy już miała upaść pod ciosem zbrodniczego sztyletu.

— A teraz przysięga! — rzekł karzeł.

— Wypełnię ją! — odparł z wściekłością Jordan i, porwawszy kochankę, biegł przez długi ciąg komnat, aż nakoniec wszedł do sali, gdzie huczna odbywała się biesiada.

IV.

Książę Masław, otoczony rycerstwem, siedział obok Johanny z Gozdawy, a dokoła na niższych krzesłach siedziały panie i dziewice jej dworu, uśmiechając się z przymileniem do wojowników, biesiadą i ich oczami zajętych. Przepych naczyń i sprzętów, blask lamp i pochodni czarujący dawały obraz i Johanna na łonie wesołego towarzystwa i najdzikszego w owych czasach książęcia o swoich zapomniała zbrodniach. Na widok Zbisławy i Jordana pobladły jej lica, a oczy wściekłością się zaiskrzyły. Wydała krzyk straszliwy; wtem młody rycerz, wiodąc za rękę dziewicę, postąpił do Masława i, oddawszy mu pokłon, prosił o wysłuchanie i sprawiedliwość.

— Przez pioruny i piekło — odparł Masław — zwy-

kliśmy ją wymierzać różnymi sposobami. Sztylet, trucizna, szubienica, więzienie i kajdany w naszej są mocy — i cóż ci z tego do smaku przypada?...

Poznał rycerz zimną obojętność książęcia i natychmiast, śmiałą przybrawszy postawę: »Masławie rzekł donośnym głosem — słuchaj, a sam wyrok naznaczysz!« I opowiedział wszystko, nie zważając na krzyk i mdłości Johanny. Masław mu też nie przerywał, cieszył się owszem w duchu, że wydarzyła się sposobność złupienia zamku gozdawskiego.

— A teraz ogłoś wyrok! — zawołał Jordan.

— Przez szatana i koniec świata, wymierzę ci sprawiedliwość, ale nie wprzódy, aż mi odstąpisz swoję dziewicę.

To mówiąc, powstał z miejsca Masław i, zbliżywszy się do przerażonej Zbisławy, zarzucił na jej szyję stalą okryte ramiona; lecz go natychmiast odepchnęła silna ręka Jordana i szlachetny kochanek, dobywszy tylekroć już doświadczonego oręża, wzniósł go nad głową książęcia.

— Czy sądzisz, że do mojej sprawiedliwości należy pojedynek o dziewicę między książęciem i prostym rycerzem, między panującym i poddanym? — zawołał Masław z hucznym i szyderczym śmiechem — O, nie!... Lecz ci pokażę, że umiem sądzić i wymierzać sprawiedliwość! Odstępujesz mi tę dziewczynę?...

— Pierwej sępy paść się twojem cielskiem będą — krzyknął rycerz — pierwej się ziemia rozstąpi i ten gmach zapadnie!...

— Że ten gmach się zapadnie, to nieźleś zgadł, mój junaku — odparł z zimną krwią Masław — lecz o sę-

pach i ziemi źle ci się udało. Pomyśl jeszcze przez chwilę, może co lepszego powiesz!...

— Szabla ci moja za mnie odpowie — krzyknął, przywiedziony do ostateczności, Jordan i uderzył silnie w pancerz księcia; lecz cięcie poszło płazem i Masław niewzruszony pozostał na miejscu.

— Uwięzić go — zawołał do swoich — mieć na baczności tego zuchwalca, żeby się nie wymknął!

Na te słowa rzucili się na Jordana rycerze i odebrawszy oręż, otoczyli go dokoła.

— A ty, piękna dziewczyno — zapytał Masław — chceszli być moją? Teraz jestem w niedostatku kochanki, bo ta — dodał, wskazując na Johannę — zanadto krew lubi i kto wie, czyby kiedy nie zażądała i mojej...

— Kto?... ja? ja mam być twoją? — wołała przerywanym głosem Zbisława — nie!... nie!... ja pogardzam tobą! ja brzydzę się tobą!... precz!... precz odemnie!

— A więc dobrze, nikogo przymuszać nie lubię. Rycerze, żołnierze, nasz to jest zamek, rabunek i łupież dozwolona; pamiętać przecież, że mi jedna część należy, jako wodzowi, druga, jako księciu, trzecia jako waszemu panu i dobroczyńcy, a czwarta... czwartą wam daruję!

W mgnieniu oka zdarto kosztowne obicia i osłony, okrywające komnaty, pozabierano drogie kobierce, naczynia, statki, pieniądze, klejnoty i wszystko, co było w gozdawskich murach.

— Teraz — rzekł Masław — przywiązać przed przysionkiem do owych kamiennych słupów wszechwła-

dną panię Gozdawy, tego rycerza, tę dziewicę, ha! i tego karła także, bo któżby usługiwał Johannie w podróży, w którą ją wysyłamy!? Hej, dzieci, żwawiej do łuczywa i pochodni, niech wszystko ogień ogarnie! Tylkoż prędzej, prędzej, nie tak opieszale, bo i czwartą część zabiorę!...

— A teraz, Handzo z Budyszyna, i wy, panowie — rzekł, obracając się do przybocznych wojowników — na konie i za mną! Staniemy z daleka, albo też lepiej z blizka, bobyśmy ich krzyków nie słyszeli.

Jordan nie utracił odwagi i szedł na śmierć z taką śmiałością, z jaką przed niedawnymi jeszcze czasy spotykał nieprzyjaciela. Bezbronny, otoczony siepaczami, prowadząc za rękę Zbisławę, zbliżał się do przeznaczonego sobie miejsca, kiedy książę siadał na konia, a uściskawszy czule kochankę: »Masławie — zawołał — przyjdzie czas i dla ciebie i, choć za późno, pożałujesz okrucieństw twoich«.

Johanna i karzeł postępowali w milczeniu, ale na ich twarzach malowała się straszliwa bojaźń cierpień przyszłego żywota i godnych zbrodni swojej udręczeń.

Zawarto bramy zamku, podłożone ognie dokoła gmach ogarnęły i płomień wzbił się do góry. Lecz, nim ofiary uległy swemu przeznaczeniu, jeszcze raz Jordan uściskał Zbisławę: »Musimy umrzeć — dodając z wzruszeniem, nie bez stałości przecież — ale duchy nasze złączą się w niebie, a tam żadna przemoc ziemska rozdzielić nas nie potrafi. Żegnam cię, o luba, niedługo obaczymy się znowu!« Uściskała go nawzajem Zbisława, chciała także coś wyrzec, ale żołnierze rozstać się im kazali.

Gonda, przywiązany do słupa, z dzikością poglądał na Johannę z Gozdawy, a gdy już ogień przedsionki obejmować zaczął: »Ha, ha! — zawołał piekielnym głosem — jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! płeć jej od lilii bielsza; szkoda, że ją dym okopci!... Krwi trochę! krwi trochę!...« Te były ostatnie jego słowa. Już wszyscy stali się pastwą płomieni.

Gdy ta okropna scena w zamku się odbywała, Masław, Handzo z Budyszyna i inni rycerze, stojąc u stóp wzgórza gozdawskiego, przypatrywali się ogniowi. Aż nareszcie, gdy ogień przygasł: »Przez pioruny i piekła — zawołał Masław — czasby się przespać; jużeśmy długo biesiadowali, a dobre miała wino Johanna...« I, to mówiąc, spiął konia ostrogą i pojechał gościńcem, ku wiosce prowadzącym, a za nim rycerze.

[Druk. 1830 r.]

TEODORO, KRÓL BORÓW.

(POWIEŚĆ KORSYKAŃSKA).

... he lived a wanderer and a fugitive in his native land, and went down, like a lonely bark foundering amid darkness and tempest, without a pitying eye to weep his fall, or a friendly hand to record his struggle.

Washington Irving[1] — The Sketch book.

Korsyka jest wyspą, najeżoną skałami i gęstemi krzewinami obrosłą; ciasne wąwozy i kręte jary, przecinając wszystkie jej części, służą za schronienie licznym rozbójnikom. Nie trzeba sądzić jednakże, aby rozbójnicy korsykańscy łupież lub kradzież mieli jedynie na celu: zawsze prawie chęć zemsty staje się przyczyną ich zbrodni; rzadko gwałtem na wieśniakach wymuszają pieniądze lub żywność, mieszkańcy dobrowolnie im dostarczają potrzebnych rzeczy, uważając to za winną należytość. Zemsta jest ogólną cechą charakteru Korsykanów, często z najlepszych przyjaciół stają się śmiertelnymi wrogami za jedno słowo, za żart niewinny. Kiedy jeden z nich przysięgnie zemstę komu, wtenczas oświadcza swojej przy-

[1] Washington Irving — sławny pisarz amerykański (ur. 1783, um. 1859 r.). Tłómaczenie ustępu podał sam autor (str. 314).

szłej ofiarze, że jest z nią *in vinditta*[1] i że od tej chwili zabije ją, gdziekolwiek spotka. To słowo *vinditta* wyraża nienawiść dwóch ludzi poróżnionych i zemstę, przez obu upragnioną; lecz jeśli Korsykanin jaki, będący w nagłem niebezpieczeństwie, schroni się do chaty tego, z którym jest *in vinditta*, znajdzie u niego i pomoc i największe poświęcenie; nieprzyjaciel, czyhający przed chwilą na jego życie, dłoń mu uściśnie i na śmierć się narazi, żeby go obronić; lecz, skoro niebezpieczeństwo oddalone, wraca nienawiść i zemsta wre z nową siłą. Widziano przykłady ludzi, żywionych przez trzy miesiące w chacie swoich nieprzyjaciół podczas niebezpieczeństwa, a potem o kilka kroków od chaty przez tychże nieprzyjaciół zabijanych. Za przejściem progu mieszkania znowu *vinditta* się rozpoczyna. Dziwny ten zwyczaj, który każe wrogowi poświęcać często życie za wroga, dowodzi, do jakiego stopnia zemsta wznieść się może i wygórować w dzikich umysłach. Bronią oni do ostatniego tchnienia ludzi, z którymi są *in vinditta*, aby nikt inny nie wydarł im rozkoszy ich zabicia; uważają tych ludzi za swoją własność od chwili, w której się poróżnili, za ofiarę, której krew i jęki do nich należą. Walczą więc o prawo zamordowania ich, jakby walczyli o ziemię lub skarby swoje. Widziano raz dwóch Korsykanów, będących *in vinditta*, wziętych do pułków francu-

[1] Vinditta, w literackim języku włoskim vendetta (z łać. vindicta) — zemsta, t. j. szczątkowy zwyczaj prawny, pochodzący z czasów, kiedy społeczeństwo nie ujmowało się za krzywdy, wyrządzone swym członkom, i jednostka musiała sobie sama wymierzać sprawiedliwość.

skich — tam przez dwadzieścia lat, ścisłą związani przyjaźnią, sypiali w jednem łożu, jedli u jednego stołu, dzielili wszystkie niebezpieczeństwa i zabawy, smutki i radości i przypominając sobie ojczyste skały, razem do nich wzdychali — po upłynieniu lat służby, jeszcze razem siadając na statek, razem płynęli do rodzinnej wyspy i z równem uniesieniem witali z ponad łona mórz szare jej góry w oddali; chwilą przed wylądowaniem jeszcze ich dłonie się ściskały i rozumiały się ich serca, lecz skoro dotknęli stopami ziemi, na której wieczną zaprzysięgli nienawiść, odskoczyli od siebie i okropnym zawołali głosem: »Jesteś *in vindicta*; gdziekolwiek cię spotkam, przywitam cię ołowiem kuli lub żelazem sztyletu!« — i w kilka dni potem pośród skał leżał trup jednego z nich, śmiertelnym ciosem przeszyty.

Kiedy stałem z pułkiem moim w Bastya[1] w 1827 roku — mówił mi pan C...., oficer francuski — szeroko słynął w okolicy rozbójnik Teodoro, królem borów przezwany. I, w rzeczy samej, godny był nabytej sławy nadzwyczajną siłą, dziwną zręcznością i nieustraszoną odwagą, której prawie codziennie dawał dowody. Dziwacznem było często jego postępowanie i uważano, że ścigał wszędzie żandarmów francuskich, na żołnierzy innych oddziałów nigdy nie napadając. Następne o nim opowiadano szczegóły.

Urodził się i wychował w małej wiosce między górami, młodość całą przepędził u rodziców, pomagając

[1] Bastia — miasto portowe na wschodnim brzegu Korsyki, niegdyś stolica wyspy.

im w pracach, i nikt w słodkim jego wzroku i miękkich rysach nie mógł wyczytać burzliwych namiętności i przyszłych zbrodni. Miernego był wzrostu, ale olbrzymiej siły i wielkiej zręczności, osobliwie w strzelaniu. W dwudziestym roku pokochał dziewczynę, mieszkającą w pobliżu rodzinnej chaty, i odtąd jej oko stało się gwiazdą jego przeznaczenia; całe dnie przepędzał w niemem przypatrywaniu się jej wdziękom, a całe noce w dumaniu przy bladem świetle księżyca, obwianego mgłą, właściwą głębokim parowom Korsyki. Zdarzyło się w tym samym czasie, że oddział francuskich żandarmów dostał rozkaz zajęcia kwaterą wsi rodzinnej młodego Teodora. Dotąd wszystkie jego uczucia, zwrócone ku pięknej istocie, zachowały kształt młodzieńczej lękliwości i z drżącem sercem, z rumieńcem na twarzy zbliżał się do ulubionej; lecz, kiedy ujrzał ją codzień otoczoną gronem wojskowych i rozdającą wszystkim jemu tylko należne spojrzenia, nagle się odmienił; z nieodłączną strzelbą na ramieniu i pistoletami w pasie przychodził do kochanki i ponurym wzrokiem patrzył na cudzoziemców, goszczących w jej chacie. Dosyć długo trwało to nieprzyjemne dla niego położenie; nareszcie ze wszystkich żołnierzy, codziennie zalecających się do młodej góralki, jeden się tylko został, ale ten łączył niewzruszoną wolę z silnemi namiętnościami. Milczał, spotykając go, Teodoro, a milcząc, ściskał nóż szeroki lub kolbą strzelby uderzał o ziemię; nareszcie żandarm francuski postanowił się go pozbyć na zawsze i do tego łatwy sposób wynalazł.

Każdy Korsykanin odbiera trzy wezwania do służe-

nia w wojsku francuskiem; jeśli za trzeciem nie stawia się do pułku, sobie przeznaczonego, ulega karze więzienia. Właśnie już Teodoro odebrał dwa wezwania, trzecie, przejęte przez żandarma, nie doszło go. Niewinnie więc posądzony o nieposłuszeństwo, musiał udać się w towarzystwie przysłanej straży do miasta Bastya i tam pomimo wszystkich próśb i oświadczeń wejść pod ciemne sklepienia i wolne dotąd ręce kajdanami obciążyć. Podczas kilkotygodniowej niewoli, srogiemi szarpany wspomnieniami, daleki od kochanki, zostawionej na łup nieprzyjaciela, pozbawiony błękitu niebios i widoku gór ojczystych, dumał przy ponurem świetle małej lampy nad przyszłym losem; wszystkie namiętności, dotąd uśpione w piersiach, ozwały się na głos straconej wolności i miłości zdradzonej.

Nikt nie widział stopniowych postępów namiętności na jego licach, nikt nie słyszał powtarzanych przysiąg wśród wilgotnych ścian więzienia; lecz, kiedy wypuszczono go na wolność, wszyscy dziwili się odmianie całej postawy Teodora, twarzy i poruszeń. Drżącym głosem zapewniał pułkownika, że za cztery dni wróci i zaciągnie się do wojska, i lotem strzały przebiegł odległość, dzielącą Bastyę od wsi rodzinnej. Z rozognionem okiem, z płomieniem na licach, z ściśniętemi pięściami, z pianą na ustach wleciał do chaty ojca i zapytał o imię tego, który wstrzymał trzecie wezwanie. Uradował się stary Korsykanin, widząc rękę syna, skorą do zemsty, i wyrzekł nazwisko żandarma.

— Przysięgam, że zginie on i towarzysze jego! — krzyknął Teodoro. Tego dnia jeszcze nad wieczorem odebrał żandarm francuski list następujący: »Psie

przeklęty! Oświadczam tobie, że jesteś ze mną *in vindicta;* gdziekolwiek cię spotkam, zabiję!« Rozśmiał się żołnierz, czytając te wyrazy, i przy kochance zapomniał o groźbie Teodora. W godzinę wyszedł z chaty dziewczyny i poróżnił się z kilkoma towarzyszami broni, którzy, włoskiem winem upojeni, rzucili się na niego z dobytym orężem. Nie mogąc sprostać przemagającej liczbie, żandarm ratował się ucieczką; ścigany szybko, schronił się do pierwszej chaty. Los zdarzył, że to było mieszkanie Teodora. Mściwy Korsykanin zbliżył się do przelękłego Francuza i rzekł z okropną powagą: »Należysz do mnie, nikt nie ma prawa cię dotknąć i dopóki jesteś w tem miejscu, pewnym bądź życia; lecz, skoro próg mój przestąpisz, bądź pewnym śmierci.« Po tych słowach przymknął drzwi domu i, porwawszy wiszącą strzelbę, otworzył okno i trzy razy wystrzelił i ranił trzech żołnierzy, chcących sobie przywłaszczyć należącą się mu ofiarę. Kiedy oddalili się wszyscy i droga wolną została: »Teraz możesz wyjść« — rzekł zimno Teodoro. — Żandarm chciał mu podziękować, ale on z uśmiechem szyderstwa wskazał mu palcem otwarte podwoje i wkrótce potem, wziąwszy pistolety i strzelbę, udał się pomiędzy góry.

Nazajutrz rano jechał żandarm francuski za rozkazem swego porucznika do Bastya na silnym rumaku, a, przejeżdżając ciasny wąwóz, krzakami zarosły, skracał podróż miłośną piosenką — wtem świsnęła kula i nie dokończył zaczętej zwrotki; a Teodoro, wyszedłszy na otwartsze miejsce, przypatrywał się z dzikim uśmiechem jego skonaniu, a potem zniknął między jarami.

Od tego czasu, przez ciąg dwóch lat następnych, często powtarzały się morderstwa wśród gór przyległych, lecz uważano, że zawsze na znalezionych ciałach błyszczał mundur żandarmów francuskich, a wieść powszechna głosiła, że ich zabójcą był mściwy Teodoro. I nareszcie do tego stopnia znikło bezpieczeństwo, iż żaden żandarm francuski nigdy nie poważył się bez kilku towarzyszów ukazać się za murami Bastyi. Ale i ta ostrożność niewiele pomogła; Teodoro nie lękał się przemagającej liczby i często ginęli od kul jego, nie mogąc ani go schwytać, ani ścigać po skałach i przepaściach, jemu tylko znajomych, po których z szybkością kozy leśnej umykał przed pogonią nieprzyjaciół. Już odtąd nie wracał nigdy do rodzinnego domu Teodoro i od mieszkańców tych okolic zyskał przezwisko »króla borów«. Nie zdarzyło się jednak, aby choć raz czyhał na życie innych żołnierzy, oprócz żandarmów francuskich — często nawet, spotkawszy z innych pułków żołnierza, wchodził z nim w poufałą rozmowę.

Takim sposobem, nigdy z oka nie spuszczając celu, któremu życie swoje poświęcił, wpośród tysiącznych niebezpieczeństw zawsze śmiały i odważny, pewną ręką i pewnem okiem zadawał zgubne ciosy swoim ofiarom. Nareszcie po wielu usiłowaniach daremnych schwytania go, kiedy już liczba zabitych ręką jego żandarmów siedmdziesięciu dwóch przechodziła, rząd francuski ogłosił nagrodę piętnastu tysięcy franków i ozdobę krzyża legii honorowej temu, ktoby głowę Teodora przyniósł. Przez kilka miesięcy jeszcze umiał swoją odwagą i przytomnością obrócić w niwecz wszel-

kie starania i śledztwa; lecz nie spodziewając się podstępu, nie strzegł się zdrajcy, a już nadchodziła chwila, w której miał uledz zdradzie, nie uległszy nigdy ni sile, ni męstwu, ni przemagającej nieprzyjaciół liczbie. Po śmierci ojca, daleki od wszelkich związków z społeczeństwem ludzkiem, zachował je z przyjacielem lat młodych, Lorellim, który, często widując się z nim wpośród borów, dostarczał mu kul, prochu i pożywienia.

Brygadyer[1] żandarmów, zachęcony obietnicą nagrody, zapoznał się bliżej z Lorellim, a przyrzekając mu odstąpić osiem tysięcy franków, prosił, aby zaprowadził go na miejsce schadzek swoich z strasznym Teodorem. Opierał się z początku Korsykanin, ale złoto przemogło i dał słowo Francuzowi, że ukaże mu króla borów, ostrzegł jednak, aby wziął z sobą kilkunastu żołnierzy, gotowych na wszystko i doświadczonej odwagi.

W dzień pogodny miesiąca sierpnia wyjechał ze wsi brygadyer na czele kilkunastu żandarmów i udał się w głąb górzystej i zarosłej okolicy. W największem milczeniu postępując, starali się zawsze ukrywać w gęstwinie krzaków, bo wzrok mściwego Korsykanina równał się orlemu, a strzelba łatwo dosięgała serca nieprzyjaciół. Przez kilka godzin z wielkim trudem przebywali jary, to wstępując w ciemne parowy, to się wdzierając na wyniosłe góry. Przewodnik drżał za zbliżaniem się chwili, w której miał wydać przyjaciela, i, śmiertelną bladością okryty, stąpał niepewnie

[1] Brygadyer — podoficer (kapral) żandarmów.

słabymi krokami. Stanęli nareszcie przy lesie, tak gęstym i trudnym do przebycia, że wypadło zostawić konie na brzegu i pieszo w dalszą puścić się drogę. Czasem nawet musieli się czołgać pod gałęziami schylonych i obok siebie rosnących drzew i krzewin. Nad wieczorem doszli do małej łąki, a Lorelli rzekł tak cichym głosem, jakby mu sił brakło w piersiach: »Teodoro od nas już tylko na strzał karabinowy!« Rzucili się żołnierze na ziemię, ukryli głowy wśród zielonych krzewów i odwiedli kurki. Lorelli sam jeden przeszedł łąkę i o kilka kroków spotkał wśród lasu czekającego nań Teodora. Tymczasem obchodzili go dokoła żandarmi, czołgając się z ostrożnością węża, posuwającego się ku zdobyczy swojej.

Teodoro rzucił badawcze spojrzenie na Lorella i, czy to poznawszy w twarzy jego zdradę, czy też usłyszawszy szelest uginających się gałęzi pod piersiami żołnierzy, dobył z za pasa pistolet i, wymierzając go do dawnego przyjaciela: »Zdradziłeś mnie!« — rzekł szyderskim głosem i, wystrzeliwszy, odepchnął nogą trup zdrajcy.

W tej chwili świsnęły kule wokoło Teodora i jedna złamała mu kość pacierzową; upadł, lecz oko jego nie straciło wyrazu zemsty i, żadnego nie wydawszy jęku, pochylił głowę ku ziemi i przymrużył powieki. Uradowani żołnierze wyskoczyli z ukrycia, brygadyer pierwszy stanął przy ciele rozbójnika i, kiedy z niejakiem zadowoleniem przypatrywał się rysom jego, on nieznacznie wyciągał drugi pistolet z za pasa, porwał się potem nagle i niechybnym strzałem położył dowódzcę u nóg swoich. Ale osłabłe siły nie dozwa-

lały mu już utrzymać się na nogach; doczołgał się przecież najbliższego drzewa, dobywszy pałasza, długo się bronił, srogie zadając rany żołnierzom. Dopiero wtedy oręż opuścił, kiedy, zimnem śmierci skrzepła prawica nie zdołała już władać.

Taki był koniec człowieka, którego namiętności zbrodniarzem uczyniły; lecz każdy przyzna, że skierowane na dobrą drogę, mogłyby go i bohaterem uczynić. Trafnie możnaby zastosować do niego te słowa Washingtona Irvinga o jednym z wodzów indyjskich[1]:

»Żył jak zbieg i wygnaniec na ojczystej ziemi, podobny do statku, który sam jeden walczy przeciw ciemnościom i burzy, i nie znalazł litościwego oka, któreby zapłakało nad jego upadkiem, ani przyjacielskiej ręki, któraby skrzepłe zawarła powieki«.

[Druk. 1830 r.]

---

[1] Wodzów indyjskich zam. indyańskich, tj. mieszkańców Indyi zachodnich czyli Ameryki.

ON.

(UŁOMEK Z PAMIĘTNIKÓW ŻYCIA MŁODZIEŃCA).

To which Life nothing darker or brighter
can bring,
For which Joy has no balm and Affliction
no Sting.

T. Moore.[1]

Nad brzegiem niezmierzonego oceanu dumał, osłabiony cierpieniem — wszystkie sny i rozkosze młodości przybywały na skrzydłach wspomnienia i trapiąc umysł, znękany dawną świetnością, podwajały ciemność obecną. — Okiem rozpaczy, okiem, w którem już nadzieja żadnego nie miała ołtarza, spozierał na fale, coraz bardziej z wichrem bój toczące, i czuł jakąś radość, bo spodziewał się, że już nadchodzi zaguba i że przynajmniej w trumnie z morskich bałwanów odzyska spokojność i ciszę, dawno straconą na ziemi. — Lekki statek kołysały wody niedaleko i żagiel, podarty wiatrem, żałobne spuszczał zasłony nad sterem, wpół rozpadłym od piorunu — czekał jeszcze, aż wzmoże się wojna żywiołów, aż chmury i wody połączą się na zniszczenie stworzenia — bo chciał

[1] Tomasz Moore — znakomity poeta angielski (ur. 1779, um. 1852). Ustęp, użyty za motto, znaczy: »Ten, któremu życie nie może już nic przynieść ani ciemniejszego, ani jaśniejszego, dla którego niema balsamu w radości, ani smutku w cierpieniu«.

być pewnym zgonu — bo przynajmniej pragnął, by go śmierć nie zawiodła tak, jak życie zawiodło. Trwoga daleką była od jego serca i twarzy, niebezpieczeństwo przywołało całą dumę na zorane smutkami czoło i ogień zgasły znów ożył w oczach na odgłos grzmotów i na znak gniewu niebios. — Rzucił się, wyniosły postawą i myślą, ku własnemu okrętowi i oderwał kotwicę z głębi wód i puścił się na czarną przestrzeń oceanu, witając w każdej fali grób pożądany. — Z uśmiechem, urągającym się z burzy, patrzał na pobrzeża, ginące w oddali, bez żalu, bez tęsknoty, zimny na wszystkie gromy, spokojny, bo blizki już ostatniej chwili; został sam z przyrodzeniem, zawieszony na wierzchołkach fal między niebem i morzem, bez nadziei ratunku, bez chęci ocalenia się i jedynem wspomnieniem zajęty, jedynem, które przekwitłe serce jeszcze do żywszego bicia przymuszało.

A tymczasem srożyły się wichry wokoło, bałwany, rozpryskujące się w pianę, to jak ogromne góry, to jak śniegowe zamiecie słabemu statkowi groziły, wszystko zdawało się konać co chwila i co chwila ostatnią wysilać się mocą; świsty wiatru krążyły po zamglonem powietrzu, jak tysiące syczących żmij, huk piorunu rozlegał się po przestrzeni, jak gdyby z nim razem całe sklepienie niebios zdruzgotane w przepaść leciało. — Chmury, to rozprute, to znowu w jedno zbite, przelatywały górne obszary, jak potoki, ze skał się walące. — Zewsząd niechybny cios, nieunikniony koniec się zbliżał; z przodu, z tyłu, po bokach wzdęte fale śmierć zwiastowały rykiem, podobnym do ostatniego jęku konającego świata — a ON

bez bojaźni siedział nad sterem i pewną ręką kierował statek tam, gdzie wściekłej walczyło morze z wichrem i gdzie wiry kręciły się, porwane nieznaną siłą w otchłanie bez granic. — A jednak dotąd nie mógł zginąć pomimo własnej woli i napadu burzy; jak ziarnko piasku, niesiony na niezgłębionym przestworze, z jednej fali do drugiej przerzucany, nigdzie zgonu doczekać się nie mógł; ciągle z jednego bałwanu wyrwany i w drugi popchnięty, daremnie oddawał się całej wściekłości oceanu, puszczonego bez wędzidła; nie mógł, nie mógł umrzeć! — I znowu rozpacz zaczęła silniej miotać jego duszą i powstał z mokrego siedzenia i wyciągnął ręce do burzy i błagał potęgi nieba i piekła, by zakończyły życie, nieznośne porównaniem uszłego, krótkiego szczęścia z długiem i obecnem nieszczęściem. Lecz poznał, że próżne były modły, że czas jeszcze nie nadszedł i że gwiazda przeznaczenia nie wylała jeszcze z łona wszystkich promieni. Zarzucił więc płaszcz szeroki wkoło siebie i, opierając czoło, nabrzmiałe krwi potokiem, o drżące ręce, zaczął dumać śród spustoszenia i nawalnicy. Wtem lekkie z początku, lecz coraz wzrastające osłabienie, wkradając się pomiędzy członki, do każdej się żyły dostało; powieki obciążone przywarły dumne oczy i, niesiony na wzburzonej wód kolebce, zasnął snem wspomnień i cały zawód i całą młodość ujrzał na nowo i dni przeszłe snuły się przed oczyma jego wyobraźni, jak fale, unoszące statek, na którym drzymał.

Dom rodzinny[1] z szerokiemi komnaty, z obrazami

[1] Dom rodzinny poety w Opinogórze.

przodków, z rozległymi ogrodami na chwilę mu się przypomniał i w żywych barwach stanął przed nim — i słyszał dźwięk dzwonów ojczystej kaplicy i zdało mu się, że klęcząc przy grobie pod ciemnem sklepieniem, łzami niewinności skrapiał nieczuły kamień i gorące modlitwy wznosił do niebios, o których jeszcze nie nauczył się wątpić. Igraszki dziecinne, pierwszej młodości zabawy, otoczone urokiem szczęścia i przywiązania do miejsc pierwotnego pobytu, wracały na skrzydłach pamięci; łowy, dzikie lasy, przestronne błonia, spienione gonitwą rumaki mieszały się razem i on był częścią każdego obrazu i on ścigał trwożliwe zwierzęta i on trąbką zwoływał ogary i on pod wieczór wracał z radością w sercu do mieszkania, nad którego dachem igrające promienie zachodu już wtenczas młodą nęciły duszę, by z nimi do niebios uleciała. Drzewa, dawno niewidziane, wzgórek, tyle razy deptany, staw, lekkim uwieńczony mostem, gaje, odwiedzane przy blasku księżyca z pierwszą serca niedoświadczonego ponętą, z pierwszą istotą,[1] która rzuciła w to serce przyszłe cierpień zarody, okrążyły go mglistem pasmem i, zdając się płynąć przed wzrokiem, gubiły się w oddali, by nowym przedmiotom miejsca ustąpić.

Zmieniły się okolice — z niemi dusza młodzieńca. Dalekie strony od ojczystych, inszem oświecone słońcem, inną jej nadały barwę. Ciemne mury go otaczały, miasto posępne[2] w łonie go swojem zamknęło —

[1] Była nią wedle Gaszyńskiego (»Z. Krasiński i moje z nim stosunki«, str. 36, rps) panna Helena, respektowa starościny Krasińskiej, babki Z. Krasińskiego.

[2] Genewa.

lecz wzrokiem orła przelatywał bramy i warownie, by bujać po górach uroczej krainy — a jednak, choć wokoło natura nosiła piętno wielkości, dusza jego malała i odrętwienie zajmowało miejsce zapału. Niedawno jeszcze róża, świeżo rozwita, śpiew słowika, szelest purpurowych skrzydeł motyla, wysysającego słodycze kwiatów, nęciły jego uwagę, strumień przemawiał do niego głosem, niezrozumiałym dla innych, i skale, niemej od stworzenia, użyczał mowy i z gruzów przeszłości umiał wywoływać zamarłe kształty lub sięgać w nieskończoność lat, mających przejść nad jego życiem i nad jego prochami. A teraz żegnał się stopniowo z żywą wyobraźnią, ciemną barwą powlekał się błękit niebios; droga, dotąd jasna światłem słońca, ginęła w ponurym cieniu i sam nie mógł wytłumaczyć przyczyny ciężącego na nim smutku i napróżno starał się go oddalić, napróżno wychylał puhary ziemskiego wesela i szukał radości, opuściwszy górne przestwory. Drżące od rozkoszy usta nie zdołały zadosyć uczynić jego tajemnemu żądaniu, błąkał się pośród niepewności, zaczynał wątpić i podejrzenia lały się zatrutym strumieniem w czarę niedawnego szczęścia. Osłabły, stęskniony, tracił codzień na sile; wola dzielna i niezwalczona zaczęła małym zawodom ustępować i nie wiedział, czego pragnie, wiedział tylko, że pragnie czegoś i że umysłowa zaguba będzie skutkiem nieosiągnienia tajemnego celu ciemnych i powikłanych życzeń i zapomniał o tem, co było wprzódy, i dom rodzinny znikł mu z pamięci.

Właśnie w tej chwili nowa nastąpiła zmiana i uczuł nowe potoki życia, po wszystkich żyłach pły-

nące. Piękna, boska okolica rozciągała swoje wdzięki wokoło, niebo uśmiechało się do ziemi i kwiecia i łąki i gaje uśmiechem za uśmiech odpłaciły. Zewsząd lśniły się lazury to wód spokojnych, to błękitów, wpośród których niewzruszony tron słońca górował nad stworzeniem. Góry i skały, dopiero z śnieżnych uwolnione pętów, zdawały się radować każdym listkiem, każdą trawką, po nich rosnącą. I on był wśród tych wszystkich piękności, lecz już nie sam — na jego ramieniu opierała się dziewica[1] i oboje wchodzili na górę i za każdym krokiem w nową krzepił się, dotąd nieznaną, siłę i im bliżej dochodził wierzchołka, tem bliżej mniemał się nieba, bo ona szła z nim razem, bo w jej oczach czerpał strumienie wielkości i uniesienia, bo czuł, że serce, bijące w blizkich piersiach, na wieki z nim się połączy łańcuchem, którego każde ogniwo niebieską będzie myślą i wzniosłą nadzieją. I doszli na szczyt góry i sen jego wtenczas przybrał najżywsze barwy, do jakich zdolna wyobraźnia, karmiona długim żalem. Wszystkie farby mgliste zamieniły się na tęczy promienie, wszystkie uczucia chwili, przeszłej oddawna, znowu zgromadziły się w sennych piersiach, jak zbiegłe wygnańce, wracający na ojczystą ziemię, i ujrzał obraz, który rozżarzył zgasłe płomienie i wszystkie struny jego marzącej duszy do drgania przymusił. Opuszczona chatka góralska i sześć drzew, zieleniejących się tchnieniem wiosny, przed nią gdzieniegdzie błyszczące niestopniałego dotąd śniegu wysepki na obszarach murawy, fiołki, rozkwi-

[1] Henryka Willan.

tające z uroczą wonią, a wokoło widok nieograniczony na wsie i miasta, na łąki i strumienie, przecinające srebrnemi wstęgami ciemne błonia, a z drugiej strony skały różane przy zachodzie słońca i góra, wyższa nad wszystkie towarzyszki, zdająca się niebios sklepienie łączyć z ziemi przestrzeniami — wszystko to stanęło przed nim, boską jasnością oblane. Żywy jego umysł przenikał tajemnice wieczności i na szczycie opoki połączał swoją duszę z duszą, której poświęcił pierwsze, najwznioślejsze i najsilniejsze uczucia. — Po chwili już tego obrazu nie było. Dziwne, pomieszane i tłumne kształty przesuwały się przed jego wzrokiem, to z powolnością pogrzebnego orszaku, to z szybkością hufców, nacierających na nieprzyjazne szyki; wśród miast i pustyń, wśród wesołych zabaw i smętnych okolic, wszędzie nosił z sobą własne nieszczęście, wszędzie ścigała go myśl jedyna, okropna, targająca wszystkie związki z ziemią, myśl, że już nie ujrzy tej, u stóp której klęczał w dniu wiosennym na samotnej skale — i dusza jego nie znalazła dość siły ani w wewnętrznych uczuciach, ani w zewnętrznych obrazach, by oprzeć się boleści ponurej i ciężkiej, która, podobna do wyrzutów sumienia, na zawsze w sercu jego zasiadła i w żelazne ujęła okowy. Pożary otaczały go syczącymi płomieńmi, klęski ludzkości, bitwy i rzezie wokoło nieprzestannie się snuły, miasta w perzynie, państwa, zstępujące do grobu, przyjaciele, ginący bez mocy wyrzeknienia ostatniej woli lub pożegnania, nawałnice przeciwnego losu nic już na przekwitłem uczuciu nie mogły. Zimnem patrzał okiem na zgon cudzych nadziei, bo już sam przyzwyczaił się

żadnej nie mieć na ziemi. Wdzierał się na skały — przebywał spiekłe pustynie, żmijom zostawione w podziale, gdzie promienie słońca członki jego paliły i krew, z ran ciekącą, wysuszały w powietrzu, nim spadła na piaski — przebiegał wiecznem zimnem skrzepłe krainy, gdzie światło igra po zwierciadłach lodu, jak po skałach z dyamentu, gdzie głos zastyga w piersiach i myśl sama zdaje się marznąć w oziębłym mózgu — a wszędzie, wszędzie szła za nim rozpacz, w domu siadała przy rodzinnem ognisku, w nocy, krępując się u łoża, zarzucała na sny jego nierozerwane łańcuchy i w dzień towarzyszką nieodstępną była — i, jedną myślą zajęty, z wszystkiemi inszemi rozbrat uczynił i, jeśli działał, to działał bez chęci, bez rozumu, bez namiętności. Ciężar wspomnienia duszę wiecznie przygniatał i prysły pod nim wszystkie związki, łączące go ze światem, i został sam na sam z boleścią i smutkiem i myśl jedyna, myśl nieunikniona stała się trumną wszystkich władz jego i długie lata w tym sposobie przeszły nad jego czołem. Żadnej już zmiany nie było, wszystko wprawdzie co chwila inną postać przybierało wokoło, lecz wewnątrz tożsamość została i umarł dla świata, bo jednej tylko wielkiej i pięknej trzymał się myśli — a ta myśl nie była z tego świata.

Obudził się młodzieniec — i dawno niesłyszane westchnienie wydobyło się z jego piersi. Nowy widok, obraz niespodziany uderzył wzrok przyćmiony — burza podczas marzenia ustała, pierzchły chmury, błękit nieba spokojnie się w każdej fali przezierał i na całym widnokręgu, gdziekolwiek sięgał spojrzeniem, już na-

dziei zgonu nie było. Cisza nastąpiła po nawałnicy, zasnął wicher w przezroczystem powietrzu, promienie wieczoru w purpurowych potokach lały się na mórz zwierciadło, błyszczały wody wokoło, a kiedy zbłąkana fala roztrącała się o statek, tysiączne z niej iskry sypać się zdawały, bo każdą kroplę światło zachodu ogniem słońca ożywiało.

Nie mógł więc umrzeć, nie mógł zakończyć zawodu! — I już z daleka odkrywał się brzeg, kwieciem i drzewami umajony; ziemia na nowo odzyskiwała swoją ofiarę. Dzielnej on był duszy i choć niezliczone spadły nań gromy, zachował dotąd wzniosłość dni młodych i uważał za słabość, niegodną człowieka, na krok cofnąć się przed własnem przeznaczeniem — dlatego nie chciał zgonu swego przyśpieszać, dlatego założył teraz ręce i oparł się o maszt, pęknięty w połowie, choć mógł się jednym skokiem przedzielić od ziemi — wiecznością. Ale zarazem wzniósł do Boga modlitwę z zapałem lat dziecinnych i prosił Go o śmierć. Wszystkie względy odpadły od jego umysłu; wzniesiony na skrzydłach ufności w Pana światów, stracił na chwilę gorycz nieszczęścia. Spokojny, daleki od ziemskich namiętności, wracał jak syn do ojca, wracał na łono nieśmiertelności i wśród wszystkich wdzięków przyrodzenia, na błękitnej wód powierzchni, oświecony konającem słońcem, błagał Stwórcy, by nie dozwolił mu przeżyć tego słońca.

Natchnięty rozpaczą, mało dbał, czy nieba, czy piekła wydrą mu życie, bez żadnej dalszej nadziei puścił się na bałwany oceanu i chciał zginąć, niepomny na przyszłość i śmiejąc się z zachmurzonego nieba, bo

pogardzał trwogą i lubił dumnie się urągać z huku grzmotów i świstów szalonego wichru. Ale teraz nadzieja wcisnęła się do stroskanego serca, nadzieja, że za grobem wróci się obraz, we śnie przypomniany; z całem uniesieniem, z całą szczerością wielkiej duszy wylał się Wszechmocnemu z swojemi uczuciami i życzeniem — i co chwila silniej ufając w nieśmiertelność, co chwila pewniej spodziewał się zgonu. Jeszcze daleko było od lądu, a słońce już stanęło na granicach widnokręgu i statek, dotąd zwycięski nad usiłowaniami morza, zaczął powoli zstępować w łono oceanu — stopniami zniżał się wśród dwóch bałwanów, zdających się stać niewzruszenie; poznał natenczas, że Bóg zmiłował się nad życiem, klęskami w każdej chwili naznaczonem — klął, jak dawniej klęczał w dniu wiosennym na samotnej skale, i spuszczał się coraz bardziej, trzymając wzrok orli w umierające słońce. Nareszcie ujrzał, jak się wody przecisnęły aż na pokład okrętu; powoli objął go bałwan morski, kołysany zwolna w jego łonie, zagrążał się w pożądaną otchłań i ostatni promień słońca, żegnającego ziemię, który igrał po rozwianych jego włosach, zmieszał się także z lekką i błyszczącą falą, która, nad nimi się wznosząc, pokryła czoło młodzieńca jasnością kryształu, rozognionego światłem nieba.

[Druk. 1830 r.]

ZAMEK WILCZKI

(POWIEŚĆ NARODOWA).

Treść powiastki zaczerpnięta z wydawnictwa »Wanda« 1825 str. 199—200, a mianowicie z artykułu Milewskiego p. t. »Trębowla i jej okolice«. (J. Kallenbach l. c. I, 100.)

»Obronny niegdyś zamek Wilczki, a dziś zupełnie spustoszały, dokoła oblewa rzeka Strypa Jeden ze starostów Wilczków dostał się w niewolę turecką pod Chocimem; po dziesięciu latach powróciwszy do rodzinnego miejsca, znalazł żonę swą już innemu poślubioną. Była to pani z domu Złotnickich, która straciwszy losem wojny męża, popadła w ciężką chorobę. Powziąwszy jednak wiadomość w kilka lat od powracających ziomków z niewoli tureckiej o śmierci męża swego, dała się nakłonić familii, zaślubiła rękę innemu. — Po dziesięciu latach starosta Wilczek, w całej okolicy miany powszechnie za umarłego, wraca z niewoli w ubiorze pielgrzyma, wycieńczony długoletniemi cierpieniami, nie poznany od dworu i żony, przyjęty był w zamku z tą gościnnością, jaka zawsze znamionowała Polaków. Dano wieczerzę; przy niej gdy opowiadać zaczął przygody swojej niewoli, najmłodszy syn jego, 13 lat mający, temi słowy odezwał się: »Pielgrzymie, zwiedziłeś, jak powiadasz, Ziemię Świętą, byłeś przez lat tyle w niewoli: o, gdybyś mógł uprosić u Boga, iżby tak, jak i dzieciom twoim, powrócił nam ojca, którego okrutni zabrali nieprzyjaciele«.

Wyrazy te obudziły silne uczucia miłości rodzicielskiej; nieszczęśliwy ojciec porwał z uniesieniem syna i zawołał: »Bóg ci go wraca, synu!...« lecz nie dokończywszy reszty słów, z radości w objęciach synowskich skonał. Przytomni, zostawszy w osłupieniu nadzwyczajnością tego zdarzenia,

wkrótce odkryli straszną tajemnicę; lecz już było za późno, żadne bowiem środki lekarskie nie potrafiły go przywrócić do życia. Żona w rozpaczy udała się do pobliskiego klasztoru i tam w ślubach zakonnych resztę dni swoich dokonała. Całe zaś to zdarzenie w jednej z sal zamkowych dla uwiecznienia pamiątki odmalowanem zostało«.

Skroś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami: »Ruina«.

Mickiewicz.

W dawnej ziemi halickiej, tak płodnej w piękne położenia, jest wieś Złotniki, gniazdo rodziny Złotnickich. Niedaleko od niej, na drugim brzegu Strypy, przy Złotnikach płynącej, wznosi się zamek Wilczki, niegdyś obronny, a teraz rozpadły w gruzy, świadczące jeszcze o potędze i dostatkach jego dawnych właścicieli. Otaczają go dokoła na nizinie wybudowane chaty wsi, Sokolema zwanej, i z daleka patrzącemu wydaje się, jak gdyby Złotniki jednę z nią składały całość. Rzadko trafia się w tej nadobnej krainie tak zachwycające ujrzyć położenie, choć ona jest nieprzerwanym ciągiem pięknych widoków i obrazów, strojnych w hojne dary przyrodzenia.

Przy blasku zachodzącego słońca, po letnim upale najlepiej wydaje się okolica, w której leżą Złotniki i Sokolema. Wzgórza, okryte murawą i krzakami, wabią oko, wszędzie coś nowego napotykające. — Strumyki, z pod ich stóp wytryskujące, szemrząc po dolinie, czołgają się powoli aż do Strypy, która pły-

nąc wśród jednej i drugiej wsi, odbija w swoich wodach i chaty Złotnik i napół rozpadłe wieże Wilczków. — Drzewa owocowe zielenią się po ogrodach włościańskich, oddzielonych od siebie żywymi płotami z wierzby, do których mieszają się ziela polne i kwiaty kraśnej barwy. — Rozłożyste lipy i cieniste buki rosną po brzegach Strypy, gdzieniegdzie błądzącem przecinanej czółnem. Skały i góry mieszają się zdala z lasami różnej farby.

Od wzgórza, na którem stoją rozwaliny zamku, ciągnie się starożytna ulica, wysadzona topolą i lipami, dochodząca aż do niedalekiego lasu. Obok widać ostatki pięknego niegdyś ogrodu. Leżą tu i owdzie gruzy obmurowanego parkanu. Zarosłe ścieżki nie migają się już miałkim piaskiem. Chwast i oset zalegają miejsce, gdzie nieraz lekka piękności noga przesuwała się obok stopy, zbrojnej w ciężkie żelazo. — Gaje, od słowika opuszczone, służą puhaczom za schronienie, a pajęczyna obwija sklepienia z róż, najpiękniejszemi niegdyś jaśniejące farbami. — Staw wysechł na środku ogrodu, a miejsce jego oznacza tylko rosnąca trzcina i gęsty szuwar. Zapuszczone szpalery rozrosły się szeroko. Mnóstwo dzikich ziół i krzewów zapełniło zostawiane między gajami przerwy i ogród wilczkowski codzień podobniejszym się staje do otaczających go lasów. Jedną tylko ulicę, do zamku wiodącą, można jeszcze od pobocznej rozróżnić murawy, bo dosyć często ciekawi gruzów wilczkowskich po niej się przechadzają. Sam zamek stoi na wzgórzu, dosyć wyniesionem, a wieże jego, sądząc po szczątkach, dochodziły kiedyś znacznej wysokości. — Był to budy-

nek, w szeroki czworogran ułożony i kilkoma obwarowany wałami, po których dzisiaj wiją się pokrzywy i rosną głogi. Architektura jego nigdy nie była zupełnie gotycką, zbywało jej albowiem na wysmukłości i lekkości, znamionującej dawne budowy południowych krajów. — Ozdoby Maurów hiszpańskich lub seniorów[1] średnich wieków nie wabiły tu oka, ale za to grube mury mogły długo się nieprzyjaciołom opierać. Strzelnice, w nich wyrobione, przepuszczały pociski broniących się odważnie. Wieże z basztami zdawały się ciężyć górze swoim ogromem, okna podługowate zajmowały całą długość ścian, okrytych perskimi kobiercami lub skórami dzikich zwierząt i zbrojami wojowników. — Sklepienia zaginały się nad głową mieszkańców i znać jeszcze na nich haki żelazne, na których wisiały lampy, oświecające ciemne sale, gdzie nieraz brzmiała zbrojna stopa panów wilczkowskich.

Teraźniejszy właściciel obrócił część zamku na mieszkanie rządcy dóbr swoich, dach słomiany pokrywa część gmachu, druga zaś strona, otwarta na burze i deszcze, codzień bardziej się rozpada i wali. Kamienie, leżące po dziedzińcu, nabrały czarnej barwy. Znać na niektórych z nich wyrznięte róże nad hełmami, herb domu Wilczków.

Wchodzi się do części opuszczonej zamku ogromną, sklepioną bramą, na której widać jeszcze posągi świętych, które dotąd uszły zniszczeniu burz i czasu. Długi korytarz prowadzi w obszerne komnaty, na których

[1] Seniorowie (z łać. *seniores*, starsi) — w średnich wiekach naczelnicy rodów.

ścianach pozostały jeszcze poszarpane szczątki obiciów,[1] które każdy wiatru powiew w poruszenie wprawia. Na posadzkach, już pogniłych, leżą ramy dawnych obrazów, a ich pozłota w czerwoną zamieniła się barwę.

Zwiedzając tę starożytną dzielnej rodziny siedzibę, czułem cały wpływ, jaki pozostałe szczątki uszłych wieków wywierają na żyjącego w teraźniejszych. — Przechodziłem w milczeniu pokoje i galerye, często przerywane usunięciem się muru lub nawalonymi gruzami. Zwiedziłem wszystkie zakątki i przejścia. Nareszcie dosz[ed]łem do małej komnaty, sklepieniem, jeszcze nie przerwanem, obronionej od deszczu i zawiei. Zdziwił mnie niezmiernie ogromny obraz, wiszący na ścianie, bo jeszcze żywych jego farb czas zatrzeć nie zdołał; pilnie mu się przypatrywałem. Pędzel, który go skreślił, nie miał zapewne delikatności, dzisiejszym utworom właściwej, lecz uważałem, że umiał oddać z uderzającą prawdą uczucia, odbijające się na twarzy osób, obraz składających. Wystawiał on biesiadę, lecz w chwili, w której toasty i brzęk puharów przerwało jakieś nadzwyczajne zdarzenie. Na pierwszem miejscu siedziała niewiasta, młoda jeszcze, z smutkiem głębokim i w weselnych szatach. Obok niej stał mężczyzna czarniawego lica i okropne wejrzenia ciskał na pielgrzyma, który, wyciągając ręce ku młodzieńcowi, z drugiej strony stołu siedzącemu, zdawał się omdlewać i opadać na siłach. Sztuka ma-

[1] Obicie — materya lub tkanina, którą dla ozdoby obijano czyli okrywano ściany.

larza najbardziej wysiliła się w oddaniu rysów tej ostatniej osoby. Surowość i duma panowały na jej wzniosłem czole, w oczach przyćmionych wyrażała się czułość. Blade lica, gdzieniegdzie sinością pokrvte, zgon blizki oznaczały, a kiedym się bliżej przypatrzył, ujrzałem kilka kropel krwi, spadających ze zbrojnych piersi, nieco odsłonionych w tem miejscu. Zresztą szata pielgrzyma pokrywała konającego, nad którego głową wyczytałem gockiemi literami napisane imię: »Starosta«. W głębi obrazu stało wiele innych osób, bogato ubranych, a na twarzach ich malował się przestrach i przerażenie; dało mi to wiele do myślenia. Tego samego wieczora zaspokoił moją ciekawość rządca, mieszkający po drugiej stronie zamku, opowiadając zdarzenie, tkwiące w żywej pamięci mieszkańców Sokolema. Tę powieść, jakiem słyszał, teraz nawzajem opowiem tym, którym nie brakuje na cierpliwości wysłuchania jej aż do końca.

STAROSTA HENRYK WILCZEK.

I.

Oczy jej, z nieśmiałością wznosząc się od ziemi,
Oczy, zalane łzami, spotkały z mojemi.

Starożytna rodzina Wilczków, herbu Poraj, w niejednej potrzebie zasłużyła się Rzeczypospolitej rycerskimi czynami. Henryk Wilczek, o którym mamy tu mówić, był synem Marcina, sędziego ziemi halickiej. Od młodych lat ku usłudze ojczyzny sposobiąc się, w niejednej walce odniósł zwycięstwo, w niejednej bitwie dzielnie się odznaczył. Wysłany od ojca za granicę, zwiedził dwory Hiszpanii i Francyi, był we Włoszech i w Niemczech, a wszędzie utrzymując godnie sławę polskiego imienia, w wielu gonitwach i turniejach pierwsze odniósł wieńce i zdobył nadgrody. Za powrotem do kraju zastał już trumnę rodzica w grobie ojców, złożoną obok dawno zmarłej matki. Zatem objął zamek przodków i znaczne dobra, lecz przyszło mu często je opuszczać dla wojen, prowadzonych przez cały ciąg panowania Zygmunta III. Służąc pod Żółkiewskim, przyłożył się do wielu wygranych. Mo-

skwy zdobycie[1] nie obeszło się bez jego szabli, z Turkami po wielekroć się potykał, aż nareszcie krótka chwila pokoju dozwoliła mu wrócić do ojców mieszkania. Liczył wtenczas starosta Henryk Wilczek lat trzydzieści, a pięknością rysów i ułożeniem przechodził wielu młodszych od siebie. Siła, w tylu trudach nabyta, po całem rozlała się ciele. Wzrost wysoki, połączony z powagą, znamionował go wszędzie, odwaga, mało równych licząca, odbijała się w sokolem czarnych oczów spojrzeniu, a znamię surowości, połączonej z godnością, dodawało powabu do męskiej urody; uprzejmy dla innych, nikogo nigdy obelgą nie dotknął, lecz ten, który go obraził, darmoby szukał przebaczenia winy; krwią musiał ją przypłacić, a mściwy oręż Henryka umiał sobie zawsze utorować drogę do serca nieprzyjaciela ojczyzny lub osobistego wroga. Namiętności Wilczka wybuchały z żywością, kiedy iskra pożar, wiecznie tlejący w sercu, zapaliła. Zresztą najgrzeczniejszym i najhojniejszym był z ludzi. — Niemałe nazbierał wiadomości podczas swoich podróży, a w rozmowie umiał łączyć i godzić lekki dowcip południa z surowszą powagą północy.

Takim był Henryk Wilczek, kiedy poznał Jadwigę, córkę Jana ze Złotnik, obok jego zamku za Strypą mieszkającego. Nie napróżno spojrzenia starosty spotkały jej błękitne oczy i wkrótce potem siedmnastoletnia dziewica weszła w progi wilczkowskiego zamku. Stary Złotnicki niezmiernie się uradował z tego połączenia, do czego i dary, którymi obsypał go starosta,

[1] Po zwycięstwie pod Kłuszynem (w r. 1610) zajął Żółkiewski Moskwę.

wielce się przyłożyły. Nie był on jednak chciwym ani skąpym, ale lubił wszystkie próżniackiego życia wygody i, postanowiwszy sobie spocząć po trudach, postanowił zarazem niczego sobie nie odmawiać. Żył więc z kielichem w ręku, przy wesołych biesiadach, w gronie hucznych przyjaciół. W pięknym drewnianym domu w Złotnikach pędził dni pośród zabaw i wygód, na których wymyślanie tracił czas, pozostający mu od stołu i szklanki. Pomimo tego Złotnicki dziarskim był kiedyś rycerzem, a serce jego było szlachetnych uczuć siedliskiem. Jadwiga przejęła je rodzinnym spadkiem i one to, połączone z rzadką urodą, zwabiły ku niej serce Henryka.

Używając pierwszych chwil szczęścia po ślubie, stracił Wilczek na czas jakiś pamięć o wszystkiem innem. Oczy Jadwigi były jego uczuć, kroków i całego życia wskazówką; lecz właśnie, kiedy zaczynała pierwszego syna piastować na łonie, kiedy jeszcze oko niemowlęcia dobrze ojca rozeznać nie mogło, trąba wojny obiła się o wilczkowskie wieże i ich pan musiał, uścisnąwszy żonę, pobiedz na boje z Turkami. Rzucił się na rumaka Wilczek i starał się zagłuszyć szczękiem oręża. Pod Chocimem[1] wtenczas walczyli Polacy, a Chodkiewicz jeszcze z łoża śmierci zwycięstwami kierował.

We łzach tonąca Jadwiga odebrała dwa listy od męża wkrótce po jego odjeździe, lecz potem i tej już nie miała pociechy. Daremno wypytywała się ciągle

[1] Bohaterskie boje z Turkami pod Chocimem zakończyły się zaszczytnym pokojem, którego Chodkiewicz już nie doczekał (um. 24 września 1621 w zamku chocimskim).

o niego, nikt podczas wrzącej wojny nie mógł jej dać o nim wiadomości. Błagała Boga o jego ocalenie, ale coraz cięższy smutek zalegał jej serce. Nareszcie skończyła się wojna, ale starostę nie ujrzano wracającym w podwoje naddziadów; uszedł miesiąc, a jeszcze nie przybył. Wtenczas rozpacz już ogarnęła duszę Jadwigi i, nieutulona w żalach, przebiega zamkowe komnaty we łzach i westchnieniach, choć jej ojciec, pijąc małmazyę, powtarzał:

— Nic mu nie będzie; wróci zdrów, jak ryba.

— A może jego kości bieleją na polach chocimskich — a może już jego prochy wiatry rozwiały? — i nowymi jękami napełniała powietrze. Jedyną jej pociechą był syn małoletni; starała się w dziecinnych rysach upatrywać podobieństwo do męża, a kiedy jej wyobraźnia zbliżyła rysy męskie Henryka z miękkimi i mdłymi jeszcze małego Zbigniewa, czuła na chwilę radość, podobną do błyskawicy, oświecającej niknącym blaskiem drogę błądzącego wśród pustyni wędrowca. Rok mijał, a zamek wilczkowski był jeszcze bez pana. Wojownicy, którzy ocaleli w bojach z poganami, mówili, że aż do ostatniej bitwy widzieli Wilczka, siejącego postrach wśród tureckich szeregów; lecz później stracili go z oczu i nikt nie mógł wiedzieć, gdzie się podział. Promyk nadziei, rzadko nieszczęśliwych opuszczający, przebijał się jeszcze czasem wśród trosk Jadwigi, jak przemijające światło zimowego poranka.

Zajęła się wychowaniem syna troskliwa matka i z pociechą dla niej wzrastał mały Zbigniew. Zamek wilczkowski, dawniej wesela i przepychu siedziba, stracił całą okazałość. Rzadko goście zawitali do niego,

bo mało jest ludzi, lubiących koić troski lub łzy nieszczęścia podzielać.

Młody Wiesław z Podhorodynia, dawny starosty przyjaciel, jeden tylko Jadwigę odwiedzał: wspominać z nim lubiła o milszych, dawno utraconych już chwilach, a czasem cieszył ją Wiesław nadziejami powrotu męża, nadziejami, którym sam nie ufał. I w rzeczy samej zdawało się, że los tajemniczy i okropny rozciągnął wieczną zasłonę nad przeznaczeniem Henryka. Żadnej wieści o nim powziąć nie można było i niepewność coraz bardziej zbliżała się do okropnej pewności.

Pan Złotnik rzadko widywał córkę, choć tak blizko od niej mieszkał. Nie lubiła Jadwiga z sercem, rozpaczą rozdartem, odwiedzać mieszkanie wesołości, a biesiady, codziennie u starego Jana powtarzane, nieprzystojnem nawet były miejscem dla młodej kobiety.

Piątego roku po zniknięciu Wilczka zjawił się nowy gość w Złotnikach, który z początku, jako gość, a potem, jako stały mieszkaniec i towarzysz ojca Jadwigi, w nich osiadł. Był to rycerz niemiecki, Halbert von Glennaberg, który, jak sam powiadał, przymuszony uciec z wojska cesarskiego po zabiciu w pojedynku swego pułkownika, schronił się do Polski. Niemcy, wówczas wojną trzydziestoletnią pustoszone, wydały z swego łona mnóstwo ludzi, nie znających ani czci, ani wiary, pędzących życie najemnicze wśród morderstw i rabunków, przechodzących na tę lub ową stronę podług upodobania lub nadziei większego zysku. Z ich liczby był Halbert von Glennaberg, łączący do dziwnej bezczelności nieustraszoną odwagę, która

tem go niebezpieczniejszym czyniła, że jej zawsze w podłych celach używał za obronę swoich przestępstw i niegodziwości.

Powierzchowny jego charakter zgadzał się zupełnie z sposobem życia Jana Złotnickiego. Halbert nigdy kielicha tokaju nie odmówił i umiał mnóstwo pieśni wojskowych. Celował we wszystkiem, co tylko Jana zabawić zdołało; stąd wynikło, że wkrótce po ich zapoznaniu osiadł Niemiec w domu szanownego przyjaciela i dniem i nocą z nim wychylał konwie węgrzyna i małmazyi. — Ojciec Jadwigi, uradowany z nowego sprzymierzeńca, zapomniał zupełnie o córce. Glennaberg pozyskał całą jego ufność i przywiązanie, a żona Wilczka zanadto pogardzała rycerzem niemieckim, by kiedy miała przejść zamieszkane od niego progi. Jedynym węzłem, łączącym jeszcze oba domy, był Bartold Wojnat, wojski lwowski, który czasem odwiedzał Wilczki, a często upijał się w Złotnikach; oddawna on patrzał na Jadwigę, jak lis, czyhający na zdobycz. Dobra wilczkowskie przypadły mu do smaku, lecz Jadwiga nienawidziła skąpca, gotowego na wszystkie przestępstwa dla osiągnienia podłego zysku. Z tej więc strony upadły nadzieje Wojnata, lecz w Złotnikach jeszcze starał się o zwycięstwo. Łatwo było go otrzymać, byleby się zastosować do zwyczajów ich pana. Ścisłą przyjaźnią powiązał się Bartold z Glennabergiem, przyjaźnią, utrzymywaną wprawdzie częstymi darami, które przyjmował rycerz, jakoby płacę monarchy, któremu służyć się zobowiązał. Śmierć Wilczka, dla wszystkich pewna, niepewną jeszcze była dla serca Jadwigi. Pierwszą tę trudność zniósł Glen-

naberg, przebrawszy kilku najemnych ludzi za żołnierzy i kazawszy im przysiądz wobec Jadwigi, że widzieli leżącego starostę wśród trupów chocimskich. Druga większej była wagi, ale Niemiec przysiągł wojskiemu, że potrafi pokonać nieprzyjaciela, byleby starczyło mu amunicyi i rynsztunków wojennych.

Nowy wór, pełny złota, złożył Wojnat w komnacie Glennaberga, który obiecał, że zaraz nazajutrz rozpocznie oblężenie. Właśnie wtenczas dochodził 15-ty rok od zniknięcia starosty Henryka Wilczka.

II.

Starych ojców wola zawsze straszną
dla córek bywała.

Walter-Scott.

— Dobry dzień, *mein Herr,*[1] mój patronie — rzekł Halbert von Glennaberg, wchodząc z rana do pokoju Jana ze Złotnik, leżącego jeszcze w łóżku z kilkoma puharami wokoło siebie.

— Chwała Bogu, że przybywasz, mój panie Halbercie, bo przedziwny węgrzyn, a ja lubię używać wygód i przyjemności w towarzystwie przyjaciół.

— Muszę go upoić — pomyślał szlachetny rycerz i zasiadł przy stoliku. — Pokosztujesz także wina, którego dostałem wczoraj przypadkiem u kupca przejeżdżającego.

— Na Boga i św. Stanisława, nie znam lepszego i dziel-

[1] »Mój Panie«.

niejszego rycerza nad Halberta z Glennaberg — krzyknął stary pan Złotnik i, wyskoczywszy z łóżka, uścisnął towarzysza.

— A ja hojniejszego i lepiej żyjącego od Jana ze Złotnik — odparł Halbert. — A więc, Rudolfie, przynieś te dwie konwie, stojące przy oknie w moim pokoju!

Kiedy już przyprawne wino rycerza zaczęło wymierzać dobroczynne wpływy na głowę Jana, tak się odezwał Halbert, który dotąd jeden dopiero puhar wychylił:

— *Saperment*[1] — nie przeniosę na sobie, bym miał zataić tak dobremu przyjacielowi wieści, szarpiących jego sławę i roznoszących hańbę jego córki, dziedziczki chwały jego naddziadów.

— Kto śmie to mówić? — krzyknął starzec, obudzony z długiego uśpienia — kto Jadwigi sławę szarpie? — *Per Deum omnipotentem*,[2] jeszcze mu potrafię zrzucić głowę z karku!

— *Valga me Dios*[3] — zapalasz się, *mein Herr*, jak proch żołnierzy Mansfelda.[4] — Uspokój się — ja wezmę na siebie pomścić cię!

— Dziękuję, *per immaculatam conceptionem*[5] — nie potrzebuję Niemców — krzyknął stary Polak — dla zmycia obelgi, mej sławie zadanej, w krwi zadawającego!

[1] Zaklęcie niemieckie.

[2] »Na Boga wszechmogącego«.

[3] Zaklęcie hiszpańskie: »Tak mi, Boże, dopomóż!«

[4] Hr. Ernest Mansfeld — słynny wódz w wojnie trzydziestoletniej (um. 1626 r.).

[5] »Na Niepokalane Poczęcie«.

— Widzę, że za mocne wino — z zimną krwią rzekł rycerz.

Te słowa zwolniły natychmiast zapał Jana, bo, mając miłość własną, że najmocniejszy trunek głowy mu zawrócić nie potrafi, starał się unikać dowodów, przeciwnych temu ulubionemu twierdzeniu.

— Słucham więc, panie Glenda... Glensa... panie Glennaberg — słucham — cóż dalej? — Jak się zowie ten, który to mówił?

— Zowie się, szanowny patronie, zowie się *całym światem*. Tak wszyscy szepczą sobie do ucha, że za często Wiesław z Podhorodynia, dawny Wilczka przyjaciel, bywa u starościny, córki twojej.

— Bodaj piekło pochłonęło i tego, który bywa, i tych, którzy o tem mówią! Mogę zaręczyć, że Jadwiga...

— I jabym to samo pod utratą życia i sławy zaręczył, lecz trzeba światu usta zamknąć, a z każdym się rąbać nie podobna — inaczej, *zum Teufel*,[1] wkrótce bym im pokazał — że niebezpieczno oczerniać córkę przyjaciela Halberta von Glennaberg.

— Podaj mi więc jaką radę, panie Halbercie, ale pierwej wypij ten roztruhan! — *Vinum laetificat cor hominis.*[2]

— Prawdę mówisz, *mein Herr — valga me Dios* — zdrowie twojej córki, a śmierć jej nieprzyjaciołom! A teraz trzeba ją wydać za drugiego męża.

— Jak? — co? — za mąż? — oszalałeś? — Ona tak Wilczka żałuje — ja jej przymuszać nie mogę.

[1] »Do dyabła«.

[2] »Wino rozwesela serce człowieka«.

— A więc — zawołał Halbert, udając najwyższe uniesienie — patrz na hańbę swego domu, spijając spokojnie kielichy wina! — Pozwól całej ziemi halickiej, by niegodnymi żartami wyśmiewała twoją siwiznę. Rodzina Złotnickich, żadną dawniej nie skalana plamą, doczekała się dnia swojego upadku. Upór ostatniego jej potomka, a nierozważne jednej kobiety postępowanie położyły koniec sławie szlachetnego domu. — Janie ze Złotnik, tarcza twoja już skażona — białe włosy zhańbione — imię potwarzą okryte! — Ratuj się, ratuj i słuchaj rad moich, boś już nad brzegiem przepaści!

— *Per sanctum Stanislaum*[1] i przez szablę moję nie ścierpię tego, panie Halbercie, by dalej o tem mowy prowadzono. Zresztą rób, co chcesz — niech idzie za mąż — ale za kogo?

— Za Bartolda Wojnata, wojskiego lwowskiego — on już od dawna pragnie tego związku.

— Przystaję na wszystko, jeśli od tego zależy sława mojego rodu.

Jeszcze się ich rozmowa długo ciągnęła i Halbert tak umiał przekonać starca o potrzebie zamęścia Jadwigi i o przymiotach Bartolda, że przysiągł Jan, że córka odda mu rękę. — Posłał jednak naprzód Halberta, by doniósł starościnie o konieczności jej ślubu z Wojnatem, bojąc się zapewnie, by go łzy córki nie zmiękczyły, kiedy szło o przywrócenie chwały starożytnego domu Złotnickich.

Nie ulękła się piękna Jadwiga długiego rapiera i pi-

[1] »Na świętego Stanisława«.

stoletów, bez których nigdy nie wychodził z domu dawny żołnierz trzydziestoletniej wojny. Nawet szesnastoletni Zbigniew, ubóstwiający pamięć ojca, chciał go na pojedynek wyzwać, ale, wstrzymany prośbą matki, przestał na wyrzutach i zakazie, którym bronił Halbertowi wejścia do domu matki. Zadługo byłoby tu opowiadać wszystkie usiłowania Wojnata i rycerza niemieckiego. Nareszcie stary Złotnicki, przekonany, że idzie o sławę własnego imienia, wdał się w tę sprawę. Łzy córki nie miały nań wpływu, a po jednej z swoich biesiad zagroził jej przekleństwem ojcowskiem. Już nie mogła się opierać Jadwiga. Zbigniew sam padł na kolana i prosił, by nie zważając na jego dobro, uwolniła się od ciężkich strapień. — Dzień 20 września wyznaczony został na ślub nieszczęśliwej ofiary. W nim miała oddać nienawidzonemu rękę starościna Wilczek. — Halbert dostał nowe dary od Wojnata i pyszne przygotowania zaczęto czynić do wesela, po którem nie długo już żyć miała Jadwiga.

III.

Zemsta jest rozkoszą bogów.

Stare przysłowie.

Z rana w dniu, przeznaczonym na wesele Wojnata, wyjechał na łowy Wiesław z Podhorodynia. — Nie mogąc się oprzeć nieszczęściu Jadwigi, jeden jej tylko z pomiędzy wszystkich prawdziwie życzliwy, nie chciał

być przytomnym jej połączeniu z niecierpianym człowiekiem.

Domyślał on się po części o podstępach Halberta, lecz, nie mogąc mu ich dowieść, stracił nadzieję oparcia się zamachom, Jadwidze grożącym. — Pędząc konia w szeroką knieję, zagrzewał psy i towarzyszów swoich. — Ale wkrótce, wpadłszy w zamyślenie, oddzielił się od ich orszaku. — Odgłos trąbek i szczekania ogarów długo jeszcze dochodziły do jego uszu, wtem słabnąć zaczęły i nareszcie skonały. — Błądził Wiesław po lesie, myśląc to o dawnym przyjacielu, to o jego małżonce. — Dopiero nad wieczorem pojrzał naokoło siebie — a niebo i drzewa tylko zobaczył. — Spiąwszy konia, na los szczęścia się puścił. — W kilka chwil dojechał do karczmy, wśród lasu stojącej, i poznał, że, wyjechawszy z rana z Podhorodynia, oddalił się o siedm mil od domu, gdyż karczma, przed którą zsiadał, była tylko o pół mili od Złotnik.

Znużony, wszedł do gościnnej izby i zastał gospodarza, rozmawiającego z osobą, której twarz natychmiast go uderzyła. — Był to człowiek, do 45-ciu lat liczący, którego ani trudy, ani rany, których blizny nosił na czole, osłabić nie zdołały. — Włosy, dawniej kruczego koloru, zbielały — w oczach panował jeszcze ogień lat młodych. — Postawa oznaczała na pierwszy rzut oka dzielnego wojownika, choć go szata pielgrzyma obwijała. — Ręka, w której trzymał kij pustelniczy, zdawała się być zwyczajniejszą do żelaza, niż do lekkiej laski — a głowa, na której spoczywał kapelusz czarny z obszernymi brzegami, nieraz pod ciężkim hełmem musiała się nieprzyjacielskim nad-

stawiać orężom — Jakiś rodzaj obrażonej dumy i tajonego gniewu dodawał wielkości do twarzy, zdobnej w bohaterskie rysy. —

Wiesław stał u drzwi pokoju, jak gdyby przykuty nieznaną siłą, podczas kiedy nieznajomy rozmawiał z gospodarzem, a kiedy ten ostatni wyrzekł słowa: »Kupili odemnie beczkę wina na wesele. — Dziś właśnie pani starościna za mąż idzie« — rzucił się pielgrzym z źle tajoną wściekłością i zabrzękło coś pod szeroką jego szatą, jak gdyby starło się żelazo z żelazem. —

Nie zostało już wątpliwości w duszy Wiesława i skoczył ku przyjacielowi.

— Jedź ze mną! — Ratuj Jadwigę!

— Wiesławie! — krzyknął pielgrzym i uścisnął zbłąkanego strzelca. — Czy to prawdą, że moja... że starościna idzie dziś za mąż?

— Prawda, na Boga — ale koni, koni prędzej, gospodarzu! — krzyknął Wiesław, rzucając dukaty na stół.

— Mój ustał pod tym domem i dlatego w nim się zatrzymałem — ostatnia mnie już odleciała nadzieja.— Czyżem kiedy mógł się spodziewać, że mi Jadwiga niewierną będzie?

— Siadajmy — przerwał Wiesław — a wszystko ci wytłumaczę! — I już skoczyli na świeże rumaki i pędzili drogą, do Złotnik wiodącą. — Właśnie wtenczas zachodziło słońce.

— Godzina jej ślubu już blizko — rzekł Wiesław — ale może da Bóg, że przybędziem pierwej — i opowiedział przyjacielowi podstępy Halberta i groźby Jana.—

Mienił się na twarzy starosta podczas słów Wiesława i, nie mogąc już wstrzymać oburzenia, wyrwał z pod szaty turecką szablę i przysiągł, że ją w krwi zdrajcy zanurzy.

— Moje — rzekł dalej — nieszczęścia ciężkiemi były — lecz umiałem je znosić, jako na człowieka i na rycerza przystoi. — Dostawszy się w niewolę, jęczałem w głębi Azyi lat dziesięć z okładem — później potrafiłem umknąć z więzienia i, puszczony do Hierozolimy, pod tym ubiorem zwiedziłem grób Zbawiciela — a nareszcie, przez lat pięć tułając się po różnych pogańskich krajach, wróciłem do ojczyzny, gdzie, zamiast upragnionej radości, zdradę, całej mojej zemsty wymagającą, na pierwszem napotykam miejscu. — Ale nie jestem Henryk Wilczek, jeśli Halbert von Glennaberg nie pożałuje swojej zbrodni. — O droga Jadwigo, może cię już innemu zaślubioną zastanę — mój syn już może teraz ma ojczyma! —

Ostatnia ta myśl wzburzyła wszystkie namiętności nieszczęśliwego starosty. — Dwie łzy spłynęły na długą jego brodę, a następnie zgrzytnął zębami — i koniowi rzuciwszy wędzidła na grzywę:

— Pośpieszaj, koniu — zawołał — pośpieszaj! — Ciesz się, bo lecisz na boje — bo po trupie tratować będziesz — bo w krwi swoje zanurzysz kopyta! —

Nie ociągał się Wiesław i wkrótce po zachodzie słońca dostali się do Złotnik. — Strypę wpław przepłynęli i, jak tylko drugiego dotknęli się brzegu, znów się puścili pędem błyskawicy ulicą wysadzoną, do zamku wiodącą. —

Nie zrównawszy się jeszcze z pierwszemi chatami

Sokolema, ujrzeli pędzącego jeźdźca od zamku. — Zdala poznał Wiesław Halberta i ostrzegł o tem starostę. — Z trudnością wstrzymał się na chwilę Henryk i bliżej rycerza przypuścił. Wtenczas podniósł głos pan Podhorodynia i zapytał:

— Jakie nowiny?

— *Valga me Dios*, ciekawyś, *mein Herr!* — odparł Niemiec w szybkim biegu. — Już po ślubie. — Jadę o tem donieść panu Janowi, który nagle dziś zasłabł i w domu został. — Dokończając, hucznie się rozśmiał. —

Wiesław zastąpił mu drogę i, wskazując na towarzysza:

— Oto jest starosta Henryk Wilczek, wracający z tureckiej niewoli, który żąda u ciebie chwilę rozmowy.

— Nie zatrzymywaj mnie! — krzyknął Halbert. — *Saperment*, ustąp! — *Valga me Dios* — ustąp się! — A więc giń! — i wystrzelił z długiego pistoleta. Raniony koń Wiesława upadł i pana na ziemię powalił. —

Skoczył Wilczek z namiętną chęcią zemsty do Glennaberga. — Chybił go rycerz drugim wystrzałem, a wtenczas dobył długiego rapieru i skrzyżował go z mieczem Polaka. — Uniesiony wściekłością, starosta nie uważał na zdradziecką broń Halberta, u rękojeści której osadzona była lufa pistoletu, zwyczajem używanym w Niemczech, pełnych wtenczas zaburzeń i zamieszań — i zaraz za pierwszem złożeniem się kula ugodziła w same piersi Henryka. — Szata się rozdarła, pancerz pękł, a głęboko w ciało zaleciał morderczy ołów — lecz w tej samej chwili, kiedy Glennaberg cieszył się już zwycięstwem, szabla dzielnego Wilczka,

spadając z góry, głowę mu na dwoje przecięła. — Upadł rycerz, a starosta tratował po jego ciele i kopyta konia w krwi jego nurzał. — Wiesław, powstawszy z ziemi, przypadł do przyjaciela i poznał z trwogą, że rana jego niebezpieczną była.

— To nic nie znaczy — rzekł spokojnie Wilczek. — Jużem dokonał, co mi pozostawało dokonać na tym świecie. — Czuję, że jeszcze życia mi na kilka godzin wystarczy. — Zatamuj krew i opatrz ranę! — Ostatnią wolą wymagam od ciebie, Wiesławie z Podhorodynia, byś mnie przy wejściu do zamku nie wydał.— Kiedy zbliży się godzina śmierci, sam się odkryję. —

IV.

Nieba, to był głos jego! To on, wielki Boże!
Izora.

Jadwiga wyrzekła już słowa, wiążące ją na całe życie z obmierzłym człowiekiem, i mąż, podawszy jej rękę, zawiódł ją do biesiadniczej sali. — Milczenie grobowe zastąpiło zwykłe przy takich uroczystościach okrzyki, a młody Zbigniew nienawistnym patrzał wzrokiem na niecierpianego ojczyma. — Sługi obnosili potrawy, ale prawie nikt nie jadł. — Smutek nieszczęśliwej ofiary, poświęconej Bartoldowi, udzielał się wszystkim. — Dopiero po kilku daniach krążące kielichy wzbudziły pewien rodzaj wesołości. — Nowy pan wilczkowskiego zamku, rzucając chciwe wejrzenia na otwarte przed sobą komnaty, bogatymi kobiercami usłane, zachowywał milczenie, ciągle odwrócony od Ja-

dwigi, jak gdyby już nie dbał o żonę, kiedy posiadał jej bogactwa i majątki. —

Wtem drzwi otworzyły się powoli i wszedł Wiesław, prowadząc pielgrzyma za rękę. — Wojnat brwi zmarszczył i krzyknął z gniewem:

— Skąd ten zaszczyt mój zamek spotyka, że w jego progi wchodzi Wiesław z Podhorodynia?

— Przejeżdżając blizko wałów wilczkowskich, znalazłem biednego pielgrzyma, umierającego z głodu i pragnienia; ośmieliłem się go przyprowadzić, słysząc szczęk puharów i widząc przez okno zastawione stoły, bo znałem gościnność i czułe serce Jadwigi Wilczek.

— Zapominasz — przerwał Bartold — że innem już od dzisiaj szczyci się imieniem.

— Nigdy chlubniejszem szczycić się nie będzie — odparł Wiesław. — I, nieproszony, zasiadł do biesiady.— Pielgrzym padł na krzesło w końcu stołu i, nasunąwszy kaptur na twarz, ożywioną ostatnim życia i namiętności rumieńcem, w milczeniu wychylił puhar wina.—

Wtem sproszeni goście wznieśli zdrowie pana młodego. Kiedy kielich doszedł do ponurego pielgrzyma, uchwycił go w drżące ręce i silnie zawołał:

— Zdrowie starosty Wilczek, pana tego zamku! —

Uśmiech anielski zajaśniał na chwilę na ustach Jadwigi i na znak wdzięczności skłoniła głowę ku stronie, gdzie siedział pielgrzym. — Łza zaświetniała w jej oczach, a ta łza ukoiła na chwilę bóle, rozdzierające piersi starosty. —

Bartold pojrzał wściekle na Henryka i chrapliwym głosem zawołał:

— Kto Wilczka śmie panem w mojej przytomności nazywać? — Kto umarłych wskrzesza i w jakim zamyśle?

— Aby go Bóg wrócił stroskanej żonie i dziecięciu — przerwał Zbigniew, poglądając dumnie na Bartolda i gardząc całym jego gniewem. —

Wyrazy te obudziły silne uczucia miłości rodzicielskiej w duszy umierającego ojca w oczach nie poznających go najdroższych istot. — Ostatniemi siłami wsparł rękę o stół dębowy i powstał. — Odpadła go szata pielgrzyma. — Zbroja i szabla przy boku zajaśniały.

— Bóg ci go wraca, synu! — krzyknął. —

Ale dalszy głos boleści mu przerwały. — Krew wytrysnęła z rany. — Pożegnał jednem spojrzeniem Jadwigę, drugiem syna, a trzecie wlepił w twarz Bartolda, który zadrżał, jak gdyby miecz zemsty wisiał nad jego głową. — Rękę jeszcze, konając, wyciągnął do Wiesława i upadł. — Lecz na twarzy umarłego malowała się nienawiść, ostatnie uczucie, którem oddychał. —

Taki był koniec znakomitego męża. —

Żona, pogrążona w rozpaczy, młode lata w klasztorze zamknęła i wkrótce murawa zazieleniła się na jej mogile.

Bartold Wojnat uciekł do Warszawy przed Wiesławem, który chciał w jego krwi szukać zemsty, wskazanej mu ostatniem drogiego przyjaciela wejrzeniem. —

Zbigniew wzrósł wśród trosk i smutnych wspomnień, lecz późniejsze jego lata obsypały nieba błogosławieństwem i chwałą. —

[Druk. 1830 r.]

UŁOMEK

Z DAWNEGO RĘKOPISMU SŁOWIAŃSKIEGO.

Czy pamiętasz[1] jeszcze ten wieczór tak cichy i uroczysty, zdobny złotem gwiazd tylu, wonią kwiatów miły, nad jeziorem, oblewającem brzegi, dalekie od mojej ojczyzny? Pamiętasz dotąd, jakeś mi[ę] się pytała, wiedząc dobrze, że nas los rozłączy na ziemi, czy kiedy spotkamy się w niebie? Jam wtenczas drżącym głosem i z niepewnem sercem odpowiadał: »Nie wątp o tem! — Zobaczymy się znowu w piękniejszym świecie.« — Lecz pewność i wiara dalekiemi były od mojej duszy. Trwogi twej zaspokojenie i pociechę twego umysłu jedynie miałem na celu. Spojrzałaś wtedy na mnie promiennym wzrokiem, z uśmiechem na ustach i dziękowałaś mi czule za słodką obietnicę. — Od dnia tego moje myśli nieraz błąkały się po krainie marzenia, szukając prawdy w każdym jej zakątku. — Głos twój: »Czy spotkamy się w niebie?« ciągle brzmiał w moich uszach i, ścigając mnie wszędzie, nigdy nie dał pokoju. Wśród nocy słyszałem dźwięk jego tkliwy, unoszący się nad mojem łożem, wśród zatrudnień i spraw świata nawiedzała mnie twoja postać i zdawało mi się, żem czytał wyraz wyrzutu na jej licach za to, żem niewinnie pytającej zwodniczą dał odpo-

[1] Osobą, do której się poeta zwraca, jest Angielka, Henryka Willan.

wiedź lub przynajmniej kłamanem odparł uczuciem — i wszczęła się we mnie chęć poznania bliżej tajemnic wieczności i dojścia, jeśli podobnem było dostatecznymi na ziemi sposoby, do pojęcia przyszłego stanu duszy w niebie. — Zapragnąłem silnie i nieodbicie przejrzyć aż do boskiej chwały i lot mojej myśli posłać między nieznane, święte i błędne przestrzenie — bo w nich tylko dowiedzieć się mogłem, co nas, mnie i ciebie, czeka po zgonie — w nich tylko upatrywać cel wielki, piękny i niemateryalny, nieodzownie mojej i twojej duszy potrzebny, gdyż bliższego nie mieliśmy, do któregobyśmy ramiona nasze wyciągnęli i wspólne obrócili działania — a wreszcie mojemu sumieniu ciężyło, żem na chwilę udawał przed tobą i chciałem błąd popełniony nadgrodzić długiem dumaniem, przeczuwając, że odpowiedź, na los dana, sprawdzi się i ustali nasze nadzieje; a tak te nadzieje, z początku mdłe i niepewne, wód fale i skrzydło wiatrów za podstawę mające, nabrały później rzeczywistej posady i, niewzruszone już teraz w mojem przekonanem sercu, zleją się do twojego, kiedy przeczytasz te słowa.

*

Jest w duszy pamięć niezgasła uczuć i namiętności. — Można zapomnieć o zdarzeniu, o sobie, o miejscu, zaciera się w naszym umyśle po czasie skała, stercząca nad równiną — łąka umajona kwieciem — liście drzew jedne po drugich padają, uniesione wiatrem niepamięci — szum fal jeziora słabieje i ucisza się w końcu — śpiew ginie, rozproszony po szerokich błoniach wyobraźni — rysy omdlewają po długiem niewidzeniu — oko żywe blask swój traci stopniowo —

uśmiech ust coraz mniej wyraźnym się staje. Wszystko, co uderzyło naszą zrzenicę, przeznaczone jest mniej więcej zapomnieniu. Wszystkie obrazy, zdobne w początkach tęczy farbami, podobnie jak tęcza, rozpływają się wśród przestrzeni i giną. — Lecz uczucia, które duszy nieśmiertelnej wzrok ściągnęły, namiętności, które przymieszały się do jej bytu i ściśle z nią się połączyły, nigdy już zamrzeć nie mogą — bo się stały częścią istoty, mającej przetrwać czasu koleje i samego czasu koniec obaczyć, kiedy zniknie na wieki w łonie wieczności. — Pamięć tych uczuć stanie się naszą karą lub nadgrodą i złote gwiazd promienie, które przyświecały ich urodzeniu w naszem sercu, nie ujrzą już ich zgonu, bo same zagasną w chwili, kiedy tamtych wieczna chwała lub sromota zaczynać się będzie.—

*

Jest w duszy człowieka wola, wybujała nad kajdany, którymi dłonie mu krępują, i nad sklepienia więzienia, pod którem jego czoło więdnieje na ziemi. Ta wola, niczem nie wstrzymana, ze skrzydłem zwycięskiem po przestrzeniach nieśmiertelności, nie odpadnie od nas, jak łza od powieki, kiedy, odrzuciwszy świata tego postać, świetniejszą przybierzem. — W niej czuję zapewnienie, że spotkamy się po śmierci — bo cóż będzie mogło stanąć nam na zawadzie? — Czyż lot myśli nie może przebyć obszarów i zbliżyć pamięcią serc, oddalonych od siebie? — a kiedy już na ziemi błyskawicy się równa, cóż mu przeszkodzi tam, gdzie nierównie prędszym być powinien? — O, nie staną przelatującej myśli na drodze te kołujące sfery, żywe teraz niebieskim ogniem — nie będą jej przeszkodą

te słońca, z których łańcuch nieskończony uwił Stwórca wokoło błękitów — nie wstrzymają jej biegnące gwiazdy więzami z światła lub zawieją z płomieni — nie porwą za sobą w kręcącym się wirze i na dalekie nie zaniosą przestworza — bo ich już wtedy nie będzie — lub, jeśli jeszcze mdłym blaskiem błyszczeć będą, posłużą tylko duszy za schody z jasności, po których, promiennie się posuwając, dojdzie pożądanego celu — a ten cel, silną natchnięty wolą i żywą obudzony pamięcią, będzie spotkanie tych, którzy miłymi byli za życia — których wspomnienie, może nieco prochem ziemi zatarte, ale odświeżone wróconą młodością po zgonie, silnym popędem rzuci duszę pomiędzy przestrzenie, gdzie je znajdzie i znowu ukocha.

A gdyby dusze nasze, ulegając możniejszej przewadze i w własnej powściągnięte woli, drogi, naznaczone sobie aż do pewnego czasu od Stwórcy, dostały, gdyby wzorem gwiazd, płynących po błękicie, i one pewne biegi odbyć musiały po przestrzeni, wskazanej od Boga, dlaczegóżby jeszcze i w tem przypuszczeniu spotkać się nie miały?

Oh, lubo i miło mi jest wystawić sobie dwie myśli, skierowane do siebie za życia i schodzące się razem u krańców wieczności! — Choć różne ich stany i przeznaczenia, w chwili, w której się zejdą, równemi się staną, równem natchnięte uczuciem. — Wspomnienia rozwiną się między niemi i przyciągną jedną do drugiej — a jeśli rozdział nastąpi — jeśli jednej droga w przeciwną udaje się stronę, pożegnają się i zanurzą w głębiach, które im zwiedzić potrzeba, lecz z nadzieją, że znowu się spotkają i że kołujące ich kręgi przetną się w punkcie jakim zjednoczenia. —

A potem jest związek ogólny, pewny, niczem nie naruszony między wszystkiemi częściami świata materyalnego i moralnego. — Jedyne i toż samo prawo rządzi wszystkiem i rozliczne swe skutki podobnie wywiera na ciałach i duszach. — Puszczone w nieskończoność istoty muszą się zejść kiedyś, jak dwa atomy, które na ziemi, wprzód odległe, z następstwem wieków przylegają do siebie — tem bardziej, że w pierwszych jest chęć namiętna i wola, a w drugich samo tylko dążenie materyalne. — W odmianach ziemi muszla z odległych oceanów przypływa do skał helweckich[1] i z niemi się spaja. — Dlaczegóż w nieskończonych duszy nieśmiertelnej biegach nie miałyby rozdzielone skupić się myśli i oddarte od siebie znów zjednoczyć się uczucia? Wszystkie stworzenia składają łańcuch, w którym ogniwa, nieustannie miejsce swe odmieniając, to się oddalają, to się zbliżają, a więc kiedyś te, które na obu końcach przeciwnych świetniały, obok siebie błyszczeć i blaski swe mieszać będą — i może, doszedłszy wtenczas ostatecznego kresu i stanu, już nie odbiegną od siebie. —

*

Ale nie tylko, domysłem w błędne goniąc krainy, wierzę w spotkanie się dusz — na ziemi, gdzie tylko spojrzę, widzę tego dowody. — Matka, piastująca dziecko na łonie — syn, płaczący nad grobem rodzica — młodzieniec, wiodący do ołtarza w kwiaty strojną oblubienicę, zdają mi się patrzeć wzajemnie na

[1] Helwecki — szwajcarski. Helwecya — dawna nazwa Szwajcaryi.

siebie wzrokiem zapewnienia i te spojrzenia, skupiając się wokoło mnie, oświecają przedemną przestrzeń daleko za trumną. I miałyżby napróżno westchnienia z smętnych wychodzić piersi, by marnie w powietrzu się rozprószyć? I miałyżby łzy boleści i miłości, raz spadłszy z oczu, wyschnąć na próżno na zimnym kamieniu i jedynie wichru stać się napojem? O, nie! — Jest w każdem westchnieniu, w łzie każdej myśl jakaś — która, raz puszczona w przestrzeń, już ani się wrócić, ani w nicość obrócić się nie zdoła. — Te wszystkie uczucia stają się węzłem między duszami — a policzmy teraz, ile podczas życia przybywa ogniw do tego węzła! — Śmierć sama nie ma dosyć siły, by je rozprysnąć i połamać — panowanie jej jest wszechwładne nad ciałem — ale żadne nad nami samymi — nad tem, co żyje w naszych piersiach. — Wolno jej kruszyć twarde materyi pęta, ale nie rozerwie słodkiej uczuć taśmy. —

Wieczności nikt nie podzieli na lata — lecz można ją podzielić na stany — życie ziemskie jest jednym z tych stanów i jedną jej częścią. — Miałyżby więc wszystkie jego najwznioślejsze myśli pójść w rozsypkę i uledz zagubie? —

Dziecko w rodzinnym domu u wejścia do świata uczy się wymawiać imię matki — później to imię okrąża jego serce niezłomnym talizmanem — wzrasta później i nowe odkrywa widoki, lecz słowo, które pierwszy raz z ust bliźnich przejął w kolebce, urok zachowuje wszechmocny dla niego. — Pośród spraw i zatrudnień, różnych kolei losu, uśmiechów szczęścia i zmarszczków przeciwności to słowo odbija się cią-

gle w jego duszy — i czyż można wątpić, by ono już tam wiecznym nie brzmiało dźwiękiem? Czyż podobna do wiary, że niebo zniszczy, co było najpiękniejszem na ziemi? O, nie — owszem, ta piękność ziemska nabierze wyższego blasku. — To, co było gwiazdą tutaj, tam słońcem się stanie. —

*

Gdyby nie było wrodzonej pewności, przyniesionej z sobą w zarodzie na świat ten, a rozwiniętej później uczuciem pewności, że śmierć nie stanie się przedziałem między nami na zawsze, jakżeby nam smutnie przeszły dni na ziemi, nieumilone ani przyjaźnią, ani miłością! — Celu nam zawsze i ciągle potrzeba dalszego nad materyalne granice. — Lecz, gdybyśmy go dzielić wspólnie nie mieli z tymi, których ukochało nasze serce, straciłby on większą część nieśmiertelnego blasku. — I na cóż zdałoby się nam wyciągnąć ramię młodzieńcze ku dłoni przyjaciela, gdyby uścisk, poczęty na tym świecie, miał skrzepnąć i nie trwać dłużej od niego? — I pocożbyśmy się stroili w skrzydła miłości i czoło lubej wieńczyli nieba promieńmi, gdyby one miały skonać w marmurze nagrobka lub rozprószyć się między kwiatami mogiły? — Na krótką podróż towarzyszów nie trzeba nam wcale. — Możemy sami ją odbyć — i, jeśli w dalszych, pozostałych krainach nie ma odkwitnąć to, co powiędło na ziemi, mało, nic prawie nie skorzystamy z woni i połysku róży, świetnej rosą poranną, a wyschłej pod cieniem wieczoru. —

Tak, jak czuję, że zginąć nie mogę, tak równie czuję, że połączę się z osobami, mnie drogiemi. —

Bez tego uczucia ziemiaby większą część wdzięków swoich straciła. — I tak już smętno, kiedy pomyślemy, że wiosna która, złoci świat wokoło, upłynie — że srebrny strumień wyschnie i że śnieżnej jego fali, która ciągnie za sobą zakochane oko, już nigdy nie ujrzemy. — Jakiż dopiero smutek rozlałby się po naszej piersi, gdybyśmy duszy ulubionej już uczuć przy sobie nie mieli?

Wieczorem w cmentarzu cichym i spokojnym niedowierzającemu dumać potrzeba nad grobem straconej osoby. — Za każdą łzą wylaną nabędzie większej pewności — im smętność większa w jego sercu, tem wiara wzrośnie mocniejsza. — I na cóżby Stwórca wlał miłość w duszę i z miłością razem myśli o niebie, gdyby się one sprawdzić nie miały? — To, co snem się wydaje na zimnym świecie, może być rzeczywistością w piękniejszym. — To, co było, jest i trwa ciągle, bo uczucia są nieśmiertelnemi i, jeśli popioły, które leżą pod nami, w wonne kwiaty przejść i rozrosnąć się mogą, nasze myśli i przywiązanie równie piękniejszą i wyższą postać przybiorą. — Uczucie, raz wlane w duszę, zaprzestać swych postępów nie zdoła — i to, co Bóg raz dozwolił, dozwolonem jest na zawsze — co raz urządził, czemu raz niegniewnem przypatrywał się okiem, to co chwila wznosić i wzbijać się musi — aż dojdzie ostatecznego doskonałości stopnia. —

*

Zdarza się nieraz, że wpadamy w stan błędnej niespokojności, że marzymy nieziemskim sposobem. — Przeczuwamy przyszłe zdarzenia — zdaje się nam,

żeśmy niewidomem otoczeni pasmem z żywych, niepojętych istot — wśród ciemności i milczenia zlewają się w nasze serce dziwne uczucia, podobne do wywartego wpływu nieznanej przyczyny. — Wtenczas najmniejszy szelest ściąga naszą uwagę. — Liść, wiatrem kołysany, kamyk, zsuwający się z brzegu, natęża nasze ucho — dlatego, że się co chwila spodziewamy jakiegoś głosu, bo w łonie czujemy myśli nienasze, przeczucia, cudzą siłą w okrąg działań naszego umysłu popchnięte, a zwyczajem świata nauczeni, łączymy wyobrażenie dźwięku z wyobrażeniem myśli. — Lecz istoty, wywierające wtenczas wpływ niepojęty na nas, nie mają już głosu. — Samemi już tylko stały się myślami. — Działanie ich jest dla wielu serc oczywistem. — Podnieść się tylko trzeba aż do nich, a odpowiedzą. — Jeśli zatem dusze osób, które zostawiły nas daleko za sobą i wzbiły się nad materyą, zachowują związki z nami — związki trudne do rozeznania, lecz nieraz dotkliwe naszemu sercu, jakże wątpić, by się te związki silniej nie ścisnęły, kiedy zrównamy się z niemi? — Może ulatują te duchy wokoło naszych skroni i z radością patrzą, jak się posuwamy po drodze życia, by, wkrótce doszedłszy trumny, zmartwychwstać z pod jej pokrycia — a wtenczas bratnie ku nam wyciągną ramiona i porwą z sobą w świetne krainy. — Tak, jak przyjaciele czekają niemowlęcia u wejścia do kolebki — tak one może czekają na duszę u przejścia z grobu do nieśmiertelności. —

*

W różnych czasach nieba użyczały świętego natchnienia niektórym ludziom na ziemi — a to natchnie-

nie, zachowane pamięcią wieków, pod głęboką nieraz zasłoną zawiera obietnicę połączenia się dusz po śmierci. — Wiara w to połączenie jest wiarą wszystkich ludów i czasów — potrzebą serca — i najmilszym ostatecznym celem. — Mędrcy,[1] dumający nad brzegami Eufratu przy dźwięku harf, przelotnym wiatrem trąconych, uznawali tę prawdę. — Grecy, lubiący stroić w ziemskie róże puhary wina i piękność rozkoszy przenoszący nad wszystko, czuli, że kiedyś ujrzą w innym świecie drżące w ich uściskach kochanki i przyjaciół, za nich się poświęcających. — Zdradzona królowa[2] milczeniem odpowiedziała w gajach nieśmiertelnej zieloności słowom Troi wygnańca — a ten,[3] który dla pomsty przyjaciela rozwiał w perzynę państwo najświetniejsze wschodu — cieszył się, idąc do walki, że straconego znowu obaczy — lecz już nie na tej ziemi. —

Męczennicy, którzy z nieustraszonem sercem biegli na rzeź i zagubę, czuli w głębi serca zapewnienie połączenia się z tymi, których widoku nie mieli czasu nacieszyć się na ziemi — i chrześcijańska dziewica, z cierniowym wieńcem wstępująca na stos płomienisty, wzdychając do Boga, nieraz umilała ostatnie chwile

[1] T. j. magowie, kasta kapłańska w Persyi i Medyi, głosząca nieśmiertelność duszy.

[2] Dydona (Dido), mityczna założycielka i królowa Kartaginy, spotkawszy się w podziemiu z Eneaszem (»Troi wygnańcem«), który ją zdradziecko opuścił, oddaliła się w milczeniu. (Por. Werg. Eneidy ks. VI w. 450).

[3] Mowa o Achillesie, który mszcząc się śmierci przyjaciela swego, Patroklosa, zabił obrońcę Troi, Hektora, a przez to przyczynił się do jej zdobycia.

nadzieją, że na wieki zjednoczy się z kochankiem, ginącym w tej samej sprawie. —

Tak zawsze i wszędzie ludzie, którzy wylatywali nad granice materyalnego życia, doszedłszy dozwolonej wysokości na długość krępujących ich kajdan, przeczuwali, że w obiecanych przez własne serce i Boga przestrzeniach ujrzą na nowo miłość swojej młodości lub przywiązanie lat dojrzalszych.

*

A więc bądź spokojnej i radośnej myśli! — Mój wzrok teraz dosięgnąć cię nie może — lecz myśl ciągle ulatuje wokoło twej duszy, jak gwiazda, przyciągnięta siłą słońca swego. — Wzrok mój zagaśnie kiedyś — lecz myśl nie zaprzestanie kolistego biegu i nic jej od obranego raz środka oderwać nie zdoła. —

Wtenczas, kiedy cienia *(s)* mroku wokoło nas się roztaczały i kiedyśmy nad jeziorem patrzyli w odbitą świetność niebios, gdzieśmy tylko spojrzeli, tośmy gwiazdy widzieli — podobnie i twoja dusza, gdzie tylko się zwróci, moje myśli obaczy, wokoło niej krążące. — Wtedy zapytaniu twemu dałem drżącą, niepewną odpowiedź — i przestawałem na tem, że twój wzrok się zaiskrzył blaskiem nieśmiertelności, kiedyś z moich ust usłyszała obietnicę spotkania się nad ziemią. — Lecz teraz wierz całą duszą i sercem mojej wierze — wierz, że cię już nie zwodzę — żem prawdy pewny, prawdę ogłaszam ci świętą! — Wierz, że to słońce rozpryśnie się w odłamki — ta ziemia w proch się rozsypie, potoki głos swój a wichry skrzydła swe potracą, a my nad burzą, przestrzeń zalegającą, unosić się będziem przy sobie i nierozdzielni, otoczeni

wieczności powagą i blaskiem nieba, złożonego z uczuć dusz naszych własnych! —

DO[DATEK] DO TEGO UŁOMKU.

Sans doute pour que l'amour puisse être invoqué, pour que les liens se maintiennent, se renouent encore, pour que l'affection ne soit plus un vain mot, il faut que la séparation ne soit pas absolue, il faut qu'il y ait simplement absence, il faut que les âmes puissent encore se dire dans un langage mystérieux, mais certain »nous nous reverrons« et comprendre toute la profondeur de cette parole.... Certes, cet avenir est bien à nous. Cette autre patrie est notre vraie patrie.

Degerando,[1] Systèmes de Philosophie, Livre II.

19 septembra 1830.

---

1 Baron Józef Degerando (ur. 1772, um. 1842): »Histoire composée des systèmes de philosophie relativement aux principes des connaissances humaines«, trzy tomy, Paryż 1804, drugie wydanie w 4 tomach Paryż 1822.

Przytoczony ustęp brzmi po polsku dosłownie: »Na to, ażeby miłość można przyzywać, ażeby węzły jej były trwałe i ciągle odświeżać się mogły, ażeby uczucie nie było pustym dźwiękiem, na to potrzeba niezawodnie, aby rozdział nie był zupełny, potrzeba, aby to była czasowa jedynie nieobecność, potrzeba, aby dusze mogły sobie jeszcze powiedzieć: »Zobaczym się znowu« i rozumieć całą głębię tego słowa. Zaprawdę, ta przyszłość do nas należy, ta inna ojczyzna jest naszą prawdziwą ojczyzną«.

GASTOŁD.

POWIEŚĆ ŻMUDZKA.

GASTOŁD.[1]

LEGENDA.

I.

Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!
Dziady.

Wśród boru, oparłszy się nogą o kamień, w myśliwskiej odzieży, stoi rycerz Gastołd i rzecze:

— Giermku mój, nieś mojej dziewoi ten łeb z dzika i ten łeb z wilka — a prędko się spraw!

A wokoło drgają ciała pobitych zwierząt i ciecze z nich posoka po murawie. — I dalej mówi jeszcze, odwołując giermka, który już jechał:

— Opisz, jakem się targał z dzikiem i wbił oszczepem w ziemię — a nadewszystko, jakem brał się za pasy z wilkiem — jak dwa razy mnie obalił, a trzeciego legł podemną, bo ten wilk, znać, był królem lasu i odważne miał serce, prawie jak człowiek szlachetnego rodu! — Nieś odemnie słowo uszanowania i gotowość na dalsze rozkazy! —

[1] Gastołd, właściwie Gasztołt lub Gasztowt — imię litewskie, stało się z czasem nazwiskiem znacznego na Litwie rodu, kwitnącego od końca XIV do połowy XVI w.

Został sam rycerz i poprawia kaftan, zdarty pazurami — niedźwiedzią skórę przerzucił na drugie ramię i wsiadł na konia. — Jedzie, otoczony psami, które wyją, przechodząc obok zabitego wilka.

— Cóż wam się stało — zawołał rycerz — że tak wam smutno po zwycięstwie? — Doświadczyłem was nieraz, a dziś, kiedy przyszło do walki, spuściliście ogony i uszy i z tyłu szliście za mną, zamiast coby przodem pędzić i wskoczyć na zwierza — pogniewamy się, psy moje, jeśli tak dalej będzie. —

A brytany idą za nim i wyją i wstydzą się. —

Las był ciemnym, jak zwyczajnie na Żmudzi o młodej jesieni, kiedy już dobrze na łowy, a jeszcze żaden liść nie opadł. — Nie ścieżką kierował się rycerz, ale to błotami, to łąkami, a nigdy nie zbłądził, bo, doświadczony myśliwy, znał legowiska dzikich zwierząt i one były dla niego, jako słupy na bitej drodze. —

Było to już dobrze z południa i żadnego ptaka nie słychać — między bukami tu i owdzie brzmi strumień zielony, bo zielona trawa z stron obu — a gdzie dolina między wzgórkami, tam czasem rozwalone kamienie świątyni pogańskiej — a Gastołd się żegna i patrzy z pogardą na ostatki czci niedawnej, którą wielki Jagiełło z ziemią zrównał po całej Litwie. — Jednak, choć ma oszczep u boku, a na piersiach krzyżyk pod szatą, nie miło mu i niby się lęka — bo słyszał, że czary w tych miejscach się schroniły i są bardzo mocne. Owóż zmówi: »Zdrowaś Marya«, poprawia się na koniu i zapuszcza się dalej, i to powoli, bo z konia znój ciecze. —

Taki bór wielki, że zda się bez końca. — Co wzgó-

rek się uniży, to drugi się podniesie, co jar się przejedzie, to inny się zaczyna — dęby się kończą, a sosny za nimi — piaski i sosny się kończą, a trzęsawiska dalej i po nich gęszczyna i wierzby. —

— Jak też przyjmie posłańca Helena moja, Dowmunta dziedziczka? — myśli Gastołd — i modli się do św. Huberta, by go mile przyjęła. — A już od dwóch lat składam jej zdobycze z łowów i bojów, a ona przyjmuje i nic nie mówi — i coraz w nowe pędzi mnie trudy i uśmiecha się, kiedy je pokonam. — Lecz prócz uśmiechu nic nie mam. — Piękna dziewica! — a znam siebie, żem brzydki, z krysami po twarzy i rudym włosem — ale za to, że ona piękna, jam mężny i, co każe, to czynię.

Aż tu bór się rozwidnił, choć bliżej wieczora, i zewsząd bije światło zachodu pomiędzy drzewami. — Już znać z dala pole czyste — i coraz bardziej zniżają się sosny — drobnieją dęby — tu już krzaki tylko — trochę dalej i krzaków już niema — tylko pełzną po ziemi malutkie jałowce. —

Chata z prostych belek, słomą pokryta, stoi na łące — psy wyprzedziły rycerza i cisną się do drzwi. — Rycerz zsiadł z konia i wprowadził go pod dach. — Tu uwolnił go od rzędu,[1] nasypał jadła do żłobu i spuścił zasłonę, która przedziela komnatę jego od rumaka. —

Sam został w komorze — zrzucił zbroję — wokoło lśnią się oszczepy i groty — w kącie leżą rogi jelenia — i położył się na sianie, zasłanem skórą rysia. —

Marzy o swojej dziewoi, a kiedy zmierzch nadszedł,

[1] Rząd — uzda i siodło ze wszystkiem, co do nich należy.

zapalił ogień i znowu marzy. — Czas długim mu się wydaje — nalał więc sobie lipcu[1] do drewnianej czary i wychylił — chleba zjadł i mięsiwa. — Tymczasem już noc i gwiazdy po niebie. —

Trąbka ozwała się na łące i koń, znać, jak bieży po korzeniach. — Skoczył Gastołd radośny, bo mu giermek jedzie, a z nim słowa kochanki. —

Weszło młode chłopię, zmęczone do szczętu, bo chciało zyskać względy rycerza, i stanęło u drzwi z uszanowaniem; lecz, zaledwo słowo przemówi, tchu mu już nie staje.

— Jakeś ją zastał, czy w kaplicy, czy na krużganku? — Czy z kim, czy samą? czy wesoła, czy smutna?

— Panie mój miły — oddałem łeb z dzika i łeb z wilka — a oba przyjęła i, śmiejąc się, podziękowała — i odprawę mi dała, lecz nic do picia i nic do jedzenia — i kazała cię prosić na jutro do siebie.

— A był kto z nią, żwawy mój Dowryłło?

— Przezacny panie, stała na krużganku, patrząc na wody Choiny, z Świdrygajłą, synem Rymunda, który patrzał na nią.

Rycerz zmarszczył brwi rude.

— A w żmudzkiej naszej ziemi piękniejszego młodźca niema, jak mówią i starzy i młodzi. — Lecz także mówią — ja się boję teraz o tem powiadać —

— Cóż takiego, mój giermku? Przeżegnaj się trzy razy i mów bez bojaźni! —

Przeżegnał się trzy razy giermek:

[1] Lipiec — wyborny napój, sycony z miodu, podebranego w lipcu.

— Mówią, że on bardziej wierzy w Perkuna,[1] niż w nowego Boga naszego i że często w nocy, chodząc po lasach, rozmawia ze zwierzętami, gdyż wiadomo narodowi, że dawne bogi, pobite przez nowego, zamieniły się w wilki, tury i niedźwiedzie. —

Wzdrygnął się Gastołd i zbliżył się do stołu, gdzie leżał miecz, i, niby dla zabawy, wziął go w rękę i niby nie z namysłu przypasał — a jak przypasał, lepiej mu na duszy było. —

— Już o tem daj pokój, chłopcze — godzina nocna — bór przy nas — sami jesteśmy, a szatan nie śpi! — Złe wybrałem miejsce dla tej chatki, choć prawda, że mi stąd dogodnie jechać na całe dnie w lasy — a Helena czy patrzała często na niego?

— Nie miałem czasu zważać, bom przyjechał i odjechał — i widziałem, że nie chcieli, bym się zatrzymał.—

— Jutro o świcie rząd mój stalowy na konia — zbroję z łusek na mnie — a żeś znużony, ty zostaniesz tu.—

Położył się Gastołd po odmówieniu pacierzy, a w nogach spał giermek. — Promienie ognia to prześlizną się po nich — to odbiegną — i ciemno, aż potem znów ich oświecą napół — i tak ciągle, aż do ostatniej iskry nie zagasły. —

II.

Na całej Żmudzi nie znaleźć takiej wsi, jak Citowiany,[2] — bo stoi na górze nad przepaścią, w której

[1] Perkun, właść. Perkunas, tyle, co słowiański Perun, bożek pogańskich Litwinów, władający piorunami.

[2] Citowiany, po litewsku Tituwienaj — dziś miasteczko w pow. rosieńskim na Żmudzi.

huczą fale Choiny, modre od spodu, a białe pianą u wierzchu. — Dziedziczką w nich jest kraśna Helena, jedna pozostała z rodziny po ojcu i matce. —

Piękność jej w kruczym włosie i w czarnem oku — kiedy spojrzy, zda się, że ciska strzałę — kiedy się ruszy, porywa przytomnych za sobą — kiedy śpi, każdemuby uklęknąć przed nią się zachciało. — Ale wieść różnie głosi o jej duszy i nieraz mówili włościanie: »Miększe u naszej pani włosy, niż serce«. —

Stała teraz przed domem swoim na górze i słała wzrok na drogę z niecierpliwością. — Zapewne kogoś się spodziewa — a białą ręką igra sobie po piersiach, spiętych kosztowną klamrą — i nóżkami tupie po ziemi. —

Chaty wsi dziedzicznej wokoło się podnoszą. — Z jednej strony widok na łąki, lasy i za nimi znów łąki — a z drugiej góra, zda się, wprost spuszcza się w głąb ostrym bokiem — a podstąpiwszy, widne są w ciemnym dole wody Choiny, która skacze po kamieniach, unosi z sobą drzewa i pędzi w liczne zakręty. —

Po drodze, gdzie błądził wzrok Heleny, ukazał się rycerz konno. — Miga zdala stal na jego piersiach — kopię długą trzyma przed sobą — i coraz się zbliża. —

Poznała gościa dziewica i roześmiała się serdecznie — nie było komu zważać, lecz w tym uśmiechu odbijało się nieco trwogi. —

Wnet na zawołanie pani wyskoczyli słudzy i poszli witać rycerza — on odkrył przyłbicę i wjechawszy w dziedziniec, zskoczył na ziemię i stoi przed Heleną, jakby przed sędzią. —

A Helena była bardzo blada, kiedy Gastołd przysuwał się do niej, i rzekła:

— Rycerzu, w nieszczęśliwym dniu polowałeś i giermka przysłałeś mi swego. —

A Gastołdowi smutno, że ostrem przywitan słowem, i nic nie mówi. —

Helena nie zaprosiła go w krużganek ni w sień domu, lecz stoi przed nim blada i dalej rzecze:

— Znać, że ci Bóg nie sprzyja i święci, bo złe duchy nad tobą moc wzięły — nie mam sił mówić więcej, ale zawołam kogoś, który dokończy. —

Klasnęła w dłonie, a z sieni wybiegł człowiek i ukłonem powitał ją. — Nigdy mężczyzna w bardziej dziewiczych rysach się nie urodził — płeć miękka i prawie przeźroczysta na jego licach — oczy lubieżne rzucają błękitne promienie. — Miał czoło wysokie i białe — włosy jakby z nici złoconych — i brodę gładką, jako kamień szlifowany. — W bogatym nosił się stroju — skóry niedźwiedziej posrebrzane łapy krzyżują mu się na piersiach — miecza rękojeść połyska złotem. —

— Świdrygajle, synu Rymwida, mów za mnie, boś był świadkiem tej nocy! —

Gastołd sięgnął do przyłbicy, by ją spuścić, jakby do walki — lecz opadła mu ręka — i czekał w milczeniu. —

— Rycerzu — słodkim głosem zawołał młodzieniec, uśmiechając się złośliwie — twój giermek wczora przyniósł tej dostojnej pani łeb z dzika i łeb z wilka. — Dary twojego męstwa zawiesić kazała w przedsieniu — aż, kiedy zmierzch zapadł, łeb wilka zawył i oczy umarłe

błysnęły czerwono — i wył aż do rana — bo z rana zdjęto go z kołka i rzucono w Choinę. — Rycerzu, zabiłeś wilkołapa[1] i, znać, masz do czynienia z szatanem. — Ja tego świadkiem byłem, bom tu, w gościnę przyjęty, noc przepędził. —

— Przez Perkuna! — zawołał Gastołd, lecz wnet się wstrzymał i przeżegnał dla bezbożnej przysięgi — i słowa nie mógł znaleźć dalej. —

— A zatem nie mogę — rzekła Helena — być twoją przy ołtarzu, bo widzę, że ze złymi duchami masz sprawę. — Prawdziwie, że kochałam cię, rycerzu, — ale teraz nie mogę być twoją — i, mówiąc, z boku spozierała na Świdrygajłę i on rozkosznie spozierał na nią. —

W tej chwili zdało się zbolałemu rycerzowi, że topór wpadł mu w serce; krzyknął: »Oh!« i zawołał:

— Heleno, znam ja sztuki białogłowskie, jak bursztyny w rzędzie mego konia. — Ty mnie nie kochasz, ale innego — a przecież on dla cię nic nie uczynił. — Wspomnij sobie moje prace wszystkie! — Krzyżak potwarzał twoją cześć dziewiczą — posłałaś mnie — i Krzyżak już ust nie otworzył z pod kopyt mojego rumaka. —

Zażądałaś stu skór niedźwiedzich na jednej komnaty obicie — pójdź do tej komnaty i patrz, że jest ono obicie! — Z kłów dzików zachciało ci się wiązania do kaplicy — przysłałem ci ich cztery wory — a wszystkie sam wyrwałem z ubitych przezemnie. —

[1] Wilkołap, mylnie zamiast wilkołak — w podaniach słowiańskich człowiek, przemieniony w wilka.

Tatarskich jeńców ciekawą byłaś — pięciu wziąłem dla ciebie w niewolę. —

Heleno, nie opuszczaj mnie, bo żal ci będzie — raczej wskaż jeszcze raz, co mam wypełnić — mów — a wypełnię — lecz jużci oddasz mi potem rękę w kościele przed kapłanem? —

— Dziewiętnasty rok mi nadchodzi i długo jeszcze mogę być bez męża — odparła dziewica i rozmyślała w milczeniu. —

Tymczasem wąsy jeżyły się nad ustami Gastołda z niecierpliwości, a Świdrygajło przechadzał się pomiędzy sługami domu, jak gdyby pan — kiedy zaś Helena zabierała się do mówienia, mignął na nią okiem i palcem wskazał ku przepaści — i rozśmiał się, lecz odwróciwszy się od rycerza. —

A zatem Helena rzekła do Gastołda:

— Rycerzu, że próby ostatniej nie odmówisz mi, spodziewać się należy. — Siądź na konia i rozpędź go i, w biegu zbiegłszy z tej góry, nie zatrzymawszy się przed żadną rozpadliną ni głazem, jednym rzutem przejdź rzekę u dołu po kładce, która leży nad nią! — Niechże ci Pan Bóg dopomoże, a potem będę twoją żoną! —

Gastołd nic nie odpowiedział, ale skoczył na siodło i pogłaskał konia po grzywie. —

— Jedźmy, koniu, na ostatnią przeprawę!

Krok za krokiem dojechał aż do brzegu przepaści i zatrzymał się tutaj. — Ręce wzniósłszy do nieba, modlił się — potem kopię ułożył w toku[1] jakby na

[1] Tok żelazny składał się z dwu haków, z których jeden, przedni, zakrzywiony ku górze (wklęsło), przytwierdzony był stale z prawego

wroga i, dawszy ostrogi, okrążył dwa razy cały dziedziniec w oczach kochanki. — Za trzecią razą rzucił się z góry. —

Pobiegli wszyscy, by patrzeć na rycerza, a Świdrygajło i Helena trzymali się za ręce, bo sądzili, że zginie. —

Po schyłku góry leciał Gastołd, ująwszy silnie wędzidła — z kamienia na kamień skakał — dwa razy przewrócił się z koniem i przeraźliwie chrzęsła mu zbroja — dwa razy powstał i dalej leciał pośród tumanu kurzawy. — Im dalej, tem kurzawa się wzmagała wokoło niego — znikł połysk pancerza i hełmu w niej — znikł sam rycerz zupełnie. — Tylko słup pyłu coraz niżej, coraz niżej zlatuje i zleciał aż w sam dół otchłani — i już, kręcąc się wirem, ulatuje nad kładką — opadł w połowie jej w rzekę — a sam rycerz pozostał na koniu i drugiego brzegu dotyka.

Skrzywił się Świdrygajło — spojrzała lubo nań Helena i odbiegł z nią aż do ganku i tam jej szepcze do ucha i szeptał, aż, okrążywszy górę, Gastołd znów na dziedziniec wjechał. —

— Tyś moja — tyś moja! — i już chce zarzucić ciężkie ramiona na Helenę wracający rycerz. —

W oczy mu się rozśmiała dziewica. —

— Ach, Gastołdzie, trzeba mi męża, żeby mnie

boku do napierśnika (przedniej blachy pancerza), drugi, tylny, zagięty ku dołowi (wypukło), tkwił w tylnym końcu sztaby, przyśrubowanej do pancerza. Tuż przed natarciem »wkładano kopię do toku«, tj. pomiędzy oba haki, które w ten sposób, dźwigając cały ciężar długiej kopii, umożliwiały prawej ręce swobodne nią kierowanie. — U nas, wzłaszcza na wojnie, używano przeważnie toków rzemiennych.

pilnował i bronił, lecz nie takiego, który na lada rozkaz naraża życie. — Żegnaj mi, rycerzu — ja nigdy nie będę twoją. —

I pyszna z urody, spoglądając dumnie na niego, ręką wskazywała mu wrota. —

— W litewskich żyłach krew, nie woda, płynie — krzyknął Gastołd, ściskając dłonie z gniewem — a oczy mu pałały i z żądzy miłośnej i z oburzenia. —

— Nie — ja twoją nie będę — żegnaj mi, rycerzu — godny jesteś Laszki — one lubią takich urodziwych i barczystych! —

Jęknął rycerz, aż mu zbroja na piersiach odpowiedziała, i skoczył z wściekłością niedźwiedzia na Helenę — Świdrygaiłę obalił — a dziewicę ujął ramieniem — drugą ręką, dobywszy sztyletu, twarz jej białą końcem ostrza skaleczył od ucha do ucha. —

— Przepadnij twa gładkość! Kobieto, noś znak po mnie i pamiątkę dla kochanka, ile cię razy będzie całował! —

Po tych słowach, zapamiętały w szale, uciekł od Citowian.

III.

Na pograniczu Litwy z Prusami stał kopiec usypany, a wokoło kopca wierzby. — Tuż przytem lasek brzozowy i rzeczułka od niego płynie. — Z tyłu bory — z przodu równina, a tam i owdzie dzwonnica nad wsią lub miastem w oddali. — Z brzozowego lasku wypadł czwałem człowiek w zbroi i pędził bez uwagi, aż koń jego przeląkł się kopca i stanął, jak

wryty. — Za nim jechał giermek i wołał głośno, o ile mu w piersiach stało:

— Panie przezacny, pędzisz od dwóch dni bez odpoczynku przez jary, wzgórza i lasy — a toż już litewska granica — Krzyżaki, Niemcy z tamtej strony! —

— Przez Perkuna, przez Huberta[1]! łeb wilczy wyje na kołku! — Hej! czy słyszysz? — Hej! czy widzisz? Krew kroplami się sączy na twarzy. — Dalej, koniu mój — przeskocz zaporę i dalej! —

Ale i ostroga nie pomogła i rozkaz nic nie znaczył — koń nie usłuchał — czy że się boi, czy, że mu żal litewskich łąk i paszy? —

Zatem giermek dognał pana i uchwycił za strzemię i, w nogi całując, prosił, by wrócił nazad — aż też zbłąkanemu rycerzowi krew odbiegła od głowy i wolniej myślić zaczął.

— Panie kochany, twój siwy nie chce dalej jechać — posłuchaj go, bo koń przywiązany dobrze życzy panu swemu! — Karmisz go najlepszem ziarnem, on też, wdzięczny, ostrzega cię, że przeczuwa biedę. —

— Giermku, ciebie nogi i serce wstecz niosą — bo masz dom i rodzica w Kiszołkach. — Ściśnij ostatni raz mi popręg i bądź zdrów na wieki! —

Milczy giermek, gdyż grzech sprzeczać się z rycerzem, i rząd poprawił u konia, a tymczasem Gastołd wyszedł na kopiec i wokoło patrzy na pola. —

— Dobrzem zrobił, że, zamiast pięknej, syn Rym-

1 Św. Hubert — patron myśliwych.

wida brzydką poślubi — ale żal mi miękkiej skóry, która tak łatwo rozdarła się pod moim sztyletem. —

O kobieto, niewiernico! pociłem się mało dwa lata dla ciebie i krwią i znojem, a tyś chciała mnie zgubić; lecz, że się nie udało, odrzuciłaś: i marzyłaś sobie, że tak łatwo odpędzić rycerza, jak motyla! — Lecz teraz markotno mi i słabo. — Czyż też mogłoby być, żebym ją kochał jeszcze? — Uciekajmy — uciekajmy w świat, by prędzej położyć koniec temu życiu z chwałą.

Litwo, żegnam cię i twoje bory i zwierza w nich! — Smutno Żmudź porzucać! — Panie Boże, dopomóż mnie i szabli mojej, a uczyń, by ją Świdrygajło męczył, na to, by często wspominała z żalem o Gastołdzie! A teraz dalej, w niemiecki świat!

Przez chwilę jeszcze spoglądał na ojczyste błonia, a potem zstąpił z kopca i spytał giermka, czy gotowy koń. —

— Jużci, jakeś rozkazał, panie mój. —

A więc jednym skokiem rzucił się na siodło i kopię wziął z rąk sługi.

— Ostatni rozkaz wypełnisz, Dowryłło — pójdź na wesele Heleny, Dowmunta dziedziczki i powiedz jej...

Tu się zatrzymał i, nie wiedząc, jak zakończyć, to spuszczał, to podnosił przyłbicę i głaskał ręką rude włosy i poprawiał pas — i nie mówił nic. —

Wtem jedną razą ściągnął wodze — dał ostrogi i zawołał:

— Bądź zdrów i karm wiernie mojego brytana!

Minął kopiec, goni po pruskiej równinie, aż go wzgórze zakryje, a giermek stoi i patrzy jeszcze za nim.

IV.

Dwadzieścia lat po tym dniu szparko ubiegło i w Litwie ani wieści o Gastołdzie. —

W Citowianach stoi kaplica na górze, gdzie dom zamożnej Heleny stał niegdyś. — Choina wre u stóp skały, jak od wieków — lecz już kładka, po której przejeżdżał rycerz, zgniła i w środku przerwała się — dwa jej końce sterczą dotąd, wbite w brzeg z każdej strony. —

Wiosną lekkie powietrze i lżej grzesznikom zrzucać ciężar z serca. — U obrazu przeczystej Matki Chrystusa klęczy niewiasta w żałobnych szatach sama jedna, bije się w pierś i płacze. —

Kaplica ciemna — lampa pali się przed ołtarzem — ołtarz z drewna, na którem wyrobione rzeźby — a drzwiami otwartemi wpada wiele rannego światła, bo pogoda na dworze. —

— Nie przejadę tego miejsca, bym nie złożył hołdu najświętszej Dziewicy — rzekł rycerz, który tamtędy jechał — uwiązał konia u żelaznego haka i stanął przede drzwiami.

Zdziwiony zdał się i spoglądał na wsze strony — znać, że sobie coś z trudnością przypomina, lub, że czegoś zrozumieć nie może. — Niewielkiego był wzrostu, ciężko okuty w zbroi i średniego wieku — lecz nie z litewskiej ziemi, choć patrzy na Litwina, bo pancerz miał po włosku nabijany, pióra niemieckim wzorem zatknięte u hełmu i sztylet niemieckiego kształtu i łańcuch bogaty obcej roboty — włosy rude, gdzieniegdzie zsiwiałe, wymykają mu się z pod przył-

bicy, a na lewą nogę trochę kuleje. — Zresztą był rzeźwy i znać, że podoła błędom[1] i trudom.

Ujrzawszy kobietę, zachowywał się w poszanowaniu i zarazem ciekawie spoziera na nią — a ona w pierś się bije i szlocha:

— Matko Boga — woła przecinanym głosem — wielkie moje grzechy — Matko Panno, wielkie moje grzechy! — Kochał mnie rycerz, głośny w całej Litwie, i jam go kochała. — Lecz lubiłam przez próżność narażać go na niebezpieczeństwa — on we wszystkiem mi był powolny, czy to Niemca wbić w ziemię, czy niedźwiedzia obalić, czy Tatara jeńcem stawić przedemną — i zawsze czegoś więcej żądałam. —

Matko Boska, wielkie moje grzechy! Matko Panno, wielkie moje grzechy! —

Lekkiego byłam serca i pychą nadąłam *(s)* się z mojej urody — bo też w Żmudzi całej gładszej nademnie nie było dziewoi. I zdarzyło się, że w moje progi uczęszczał młodzieniec o śnieżnem licu — a byłam bez ojca i matki i dałam się uwieść wymowie tego młodzieńca — niewiarą odpłaciłam mojemu rycerzowi i ostatni raz, kiedym go widziała, namówiona przez zdrajcę, chciałam zgubić kochanka u dołu tej przepaści. —

Matko Boska, Matko Panno, ciężkie moje grzechy!

On też odjechał, ukarawszy mnie na mojej urodzie, a tamtemu dałam się poślubić — i bił mnie, nieszczęśliwą, i męczył czarami, dopóki nie umarł. — Ledwie,

[1] Błędy — błądzenie, błąkanie.

że jedną koszulę na mnie zostawił, a złote moje zausznice i bursztynowe kanaki[1] pozdzierał.

Matko Boska, Matko Panno, wycierpiałam dużo, bo też ciężkie moje grzechy. —

Wystawiłam ci tu kaplicę w miejscu domu mojego i codzień powtarzam przed Tobą me winy. Oh, przebaczenie dla mnie uzyskaj od Syna! —

Matko Boska Matko Panno — daj mi ujrzyć jeszcze mojego rycerza przed śmiercią! — Już lat dziesięć upływa, jak się męczę przed Tobą i przed krzyżem Syna Twego. —

A rycerz słucha i drży cały, jakby litewską mowę zrozumiał i znał dawniej tę niewiastę. — Kiedy skończyła, zabrzmiał ostrogą o podłogę kaplicy i, wszedłszy, klął przed ołtarzem, całując ziemię. —

A grzesznica wstaje, pomieszana, i odchodzi — lecz, nim odejdzie, zdjęła ją ciekawość i stoi u drzwi i patrzy na rycerza. —

Rycerz też głośną modlitwą wzywał nieba, i to po litewsku:

— Matko Boska, Matko Panno, ciężkie moje grzechy — bom kochał przed laty dziewicę i szałem bezbożnym uniosłem się na nią, tak, żem twarz jej śliczną skaleczył żelazem — odtąd też przez lat wiele nie szło mi po myśli i wiele krwi ze mnie upłynęło na obcej ziemi.

Lecz teraz, Matko Boska, Matko Panno, połóż koniec moim błędom! — Wszakżem Twoje święte imię

[1] Kanak (z tatarskiego) — naszyjnik.

głosił pomiędzy pogany — Maurów po Andaluzyi równinach ścigał i na wieże darł się Grenady! —

Krzyżakom, którzy bluźnili Tobie, miecz mój utkwił w garle — i dwadzieścia lat biłem się, jako rycerz, wołając wśród bitew: »Cześć Przenajczystszej Dziewicy!« — Matko Boska, Matko Panno, dozwól mi ujrzyć tę, którąm ukochał za lat młodych, bo kocham ją dotąd jeszcze, równie jak wtenczas, kiedym jej posłał łeb z dzika i łeb z wilka! —

I, to powiedziawszy, powstał rycerz i obrócił się ku niewieście. — Ona niepewna stoi i piersiami dysze — zwolna podnosi zasłonę i ukazuje rysy białe — blizna ciągnie się po licu z stron obu, jako nić ciemnego jedwabiu. —

Rycerz oddarł przyłbicę od szyszaka i wyciągnął ręce: »Tyś Helena moja!« — »Tyś Gastołd mój!« — i dawną kochankę przycisnął do łona.

*

Wesele w Citowianach — wesele! — Nie młoda już małżonka — nie młody mąż — a jednak miłość i wiek i trudy ma za nic — przed ołtarzem ślubują sobie wierność i wajdeloty[1] pieśni składają — a przy promieniach zachodzącego słońca wracają z kościoła do domu. — Patrzy na niego Helena, jak się nie zgarbił pod trudami — patrzy na nią Gastołd, że hoża jeszcze, choć po smutkach tylu.—

Niedługo potem urodził się im syn do miecza — a w rok później córa do kądzieli.

Rzym 1831, w zimie.

[1] Wajdeloci — kapłani i pieśniarze w pogańskiej Litwie.

WYGNANIEC.

We Florencyi, w pałacu księcia S., jest obraz Galeazza Peschieri,[1] sławnego w średnich wiekach przywiązaniem do rzeczypospolitej florenckiej i wieloma nieszczęściami. Nieustraszony w boju i w burzliwych radach owych czasów, naraził się nieraz nieprzyjaciołom i musiał kryć się i uciekać, aż znowu za wzmocnieniem się własnego stronnictwa mógł się ukazać i działać. Żarliwy obrońca przywilejów ludu, choć sam był ze znakomitej rodziny, często miewał zatargi z arystokracyą i nieraz pokazał się nieubłaganym w zemście. Uległ wreszcie zwykłemu losowi tych, którzy w publicznych zamięszaniach stają na czele stronnictw, bo są w sile wieku: zginął od trucizny. Twarz jego odbija ogień duszy niezgiętej, miłość wolności i coś słodkiego w tajniach serca, które, zwiększając wyraz oczu, z ponurego na tęskny zamienia. Ubiór jest prosty i bez haftów, koloru ciemnego, z łańcuchem srebrnym na szyi; na głowie ma czapkę okrągłą bez piór, ze sprzączką stalową, na piersiach kolczugę i sztylet u boku. Prawą ręką opiera się na marmurowym stole, a drugą ciśnie czoło, jakby dla ulgi chciał bo-

[1] Pod zmyśloną postacią Peschierego kreśli poeta własne uczucia w czasie powstania 1831 r. (w lutym), w którem, jak wiadomo, nie dano mu czynnego wziąć udziału.

leść w głąb zatłoczyć. Pod obrazem, na filarze spartym, tabliczki z perłowej macicy, oprawne w ozdoby gotyckie ze złota, z początkowemi literami jego imienia; w ich środku zachowany jest dotąd długi napis, który starałem się wiernie przetłumaczyć.

NAPIS.

Kiedy cię przeklęctwo ojca wyruguje z domu, w którym wyrzekłeś z kolebki pierwsze wyrazy do matki, kiedy z przyjaciółmi przyjdzie do pożegnania bez nadziei, żebyś ich kiedyś powitał znowu; kiedy w progu raz ostatni mamkę płaczącą uściśniesz, z bram miasta znajomym się ukłonisz na wieki, z drogi, którą się udajesz, znikną ci z oczu mury rodzinne i dzwonnice wysokie, podziwy twego dzieciństwa: nie jest to wygnanie. Jeśli, puściwszy się na morze, spotkasz wiatry przeciwne i, pędzony burzą, po rozbiciu się okrętu sam jeden z towarzyszów tylu ocalejesz na skale, by, nieludnej wyspy jedynym zostawszy mieszkańcem, zdobywać trochę pokarmu na jej dziedzicach — lwie i gadzinie; jeżeli, tygodnie, miesiące, lata tam pędząc, doznasz niepogód i nędzy, wylejesz dużo krwi, kalecząc się po żwirze na brzegach, dużo też wspominając o utraconej na zawsze ojczyźnie i rozbitych majątkach: o, wierz mi, nie jest to jeszcze wygnanie! Walcząc ze stronnictwem, któreś obrał sobie, jeśli przegrasz, pojmany przez wrogów, w głuchem więzieniu zapoznasz się z ich zemstą, a po mnogich torturach na światło wypuszczony, stawisz się w orszaku twoich katów przed radą Rzeczypospolitej, która cię razem oskarży, osądzi i potępi; kiedy ci

wtenczas oznajmią, że na zawsze trzeba się rozbratać z ziomkami i porzucić ziemię-matkę; kiedy po wysłuchaniu wyroku pójdziesz raz jeszcze żonę uściskać i dzieci pobłogosławić w komnatach, gdzie wiszą przodków obrazy, a potem pod wieczór chłodny w płaszczu, rozdartym sztyletami w ostatniej potyczce, wyjdziesz, by nie wrócić więcej, choć czujesz, żeś nie przewinił; kiedy inkwizytor odprowadzi cię w milczeniu aż do granicy i tam puści, mówiąc: »Idź naprzód, ale się nie oglądaj!« o, wierz mi, jeśli zostawisz kraj w pokoju, swobodzie i szczęściu, jeśli, oddalając się, usłyszysz wokoło pieśni mieszkańców, nie lękasz się, aby kara prześladowania spadła na prześladowców: nie nazywaj tego jeszcze wygnaniem! Lecz może w rozkosznej krainie, pod jasnem niebem, bawiąc się wesoło, przy kochance cudzoziemce pędząc dni uniesienia i namiętności, z wieńcem kwiecia na skroniach, a z jej ręką w dłoni, z ustami na ustach, posłyszysz, że twoja ziemia zrzuca jarzmo i rwie kajdany, które ją krępują; wtenczas, jeśli, pożegnawszy wśród jęków i łez lubą na wieki, pobiegniesz ku szczękowi szabel na ojczyste błonia, lecz wpół drogi cię zatrzymają ludzie i okoliczności, a ty, słysząc codzień wieści o swoich, codzień napróżno ku nim wzdychasz; słysząc, że się biją, ty drzemiesz; słysząc, że zwyciężają, ty dzielić chwały nie możesz; słysząc, że giną, ty żyć musisz; jeśli się ani ucieczką, ani podstępem, ani zbrojną ręką przebić nie potrafisz, jeśli, wylawszy moc całą na usiłowania, ujrzysz nareszcie, że daremne, i, od obu kochanek daleki, ani jednej sławą pocieszyć, ani drugiej zgonem pomódz nie zdo-

łasz: o, wierzaj mi, to jest wygnaniem i takiem wygnaniem, jakiem Bóg tylko w największym gniewie karze grzesznika! Wtedy ci już godziny, w których obcy mówić będą o wieściach [z] ojczyzny, dłuższemi od dni się wydadzą, nocy twoje przeniosą cię na pola, gdzie uczujesz ostatnie uściśnienie konających braci, a kiedy się obudzisz, jak się zemścisz? Przecież już pomstę w snach obiecałeś! U łoża odtąd krew i jęki, na jawie wstyd i cierpienia, zgotowane tak, że przed kościołem nie będziesz śmiał się przeżegnać, ani przed równym oczu podnieść; a jeśli wychodzisz, zakrywaj twarz dobrze, bierz się na tylne schody, na boczne ulice, kryj w sieniach, przemykaj przez rynki, by dzieci poznanego nie wytknęły: »On tutaj? czyż to tu jego miejsce?!«

Będziesz patrzał na wschody i zachody słońca, na dnie pogodne i mgliste, na piękne położenia, dzikie wąwozy bez ponęty ku jednym, wstrętu ku drugim; choć będziesz pamiętał, żeś jeszcze niedawno lubił czyste niebo, przeźroczyste zacienia, nie zrozumiesz tego, nic już w tobie nie wzbudzi miłego uczucia. Wygnańcze, coś marzył w snach od kolebki do młodości, ziściło się dla wszystkich, tylko nie dla ciebie; broń, którą ostrzyłeś, by nie zawiodła w dniu powstania, nie zdała ci się na nic, bo nie możesz wpośród bitew zawołać: »Naprzód, towarzysze!«, bo nie możesz wypaść w noc ciemną i, sztylet kładąc na piersi ciemiężcom, krzyknąć: »Koniec wam i waszym!« Wygnańcze, twój hełm rdzą zachodzi, zgniją białe na nim pióra, rozejdzie się klinga od rękojeści, pierścienie kolczugi się rozprzęgną, a serce, co miało pod

nimi bić namiętnie do ciosów nieprzyjaciół, podobnie, jak one, wkrótce się rozpadnie. Wygnańcze, żyj bez wzmianki, grób bez napisu jest twoim udziałem i bodajby on jeszcze był takim, wolny od pogardy i przekleństw bliźnich! Dosyć już twoich nad nim było! Nie do was, przyjaciele, z którymi, dziecko, biegałem w apenińskie lasy, ponad brzegami Arno, teraz przemawiam, ani do was, którzyście umarli przedemną i w dziejach swojego kraju żyjecie, ani do tych, co po mnie zawód swój zaczną, ażeby mi dać naukę: do nikogo na tym szerokim świecie się nie odzywam, tylko do siebie, do siebie, do siebie, bo taki był mój los, a nie czyj więcej.

Te myśli przychodziły mi do głowy w Weronie, kiedym jeszcze w r. 1401 posłyszał o zamieszkach Florencyi z przyczyn Walentego Stragoni. Zapewne blizkość grobu Julii i Romea tak czarnemi przeczuciami mnie wtenczas natchnęła.

[Florencya, w lutym 1831 r.]

PANIE KOCHANKU.

POWIASTKA.

Był to szlachcic starej daty, zasięgający przedpodziałowych czasów, kiedy Polska, ni pruska ni rakuska ni moskiewska, całą jeszcze była z tysiącami szlachty, prędkiej do konia i szabli na polu, a skorej do kłótni w trybunałach i na sejmikach. — Choć już osiemdziesięciu blizki, nic prawie nie stracił z czerstwości i siły. — Jeździł codzień konno, trzymał sforę chartów u siebie, pilnował gospodarstwa, pościł w środy, piątki i soboty, suszył w wigilie i Wielki tydzień cały, na Wielkanoc zjadał półkopę jaj twardych, co rana śniadał toruńskim piernikiem i flaszką gdańskiej wódki, u obiadu antałek miodu i wina szklankę wychylał, wieczorem grywał maryasza z księdzem proboszczem, a kiedy jeszcze kogo mógł wyszukać sobie do hapanki, co rzadko się przytrafiało, niezmiernie się cieszył; w niedzielę i święta klęczał od początku do końca sumy, nie cierpiąc pod kolana ani sukna ani poduszki. Na głos się modlił i mając szczególne nabożeństwo do Najświętszej Panny, najczęściej wzywał jej pod imieniem Polskiej Królowej. — Kiedy zaś biskup przyjechał do blizkiego miasteczka, służył mu do mszy, starając się jak najgładziej wymawiać łacińskie słowa, z czego nawet znać było, że się trochę pysznił. — Nosił się dawnym strojem, w kontuszu ze

spinką, w czapce białej z barankami, z karabelą na wielkie uroczystości i z siwym wąsem, o którego połysk i składne ułożenie niepomału się frasował. —

Ale ze wszystkich rozrywek tę sobie za najprzyjemniejszą poczytywał, kiedy mógł, zebrawszy kilku młodych ludzi, rozprawiać z nimi o dziejach krajowych i opowiadać zdarzenia, których sam był świadkiem. — Żywo dotąd zatrzymał w pamięci czyny, słowa i żarty nawet znakomitych osób, z któremi dawniej żył poufale, a choć krajało mu się serce, kiedy musiał napomknąć o przeniewierzeniu się ościennych mocarstw, o czarnej i niechrześcijańskiej zdradzie względem polskiego narodu, tem szkaradniejszej, ile że ten naród nigdy nikogo nie zdradził, począwszy od Lecha i dwunastu wojewodów aż do Stasia Poniatowskiego, jednak nieraz przez kilka godzin wciąż mówił o konfederacyi Barskiej, o Puławskich[1], o biskupie kamienieckim[2], o pułkowniku Drewiczu[3], z ufnością w Bogu, że okrucieństwa tego Rosyanina nie unikną sprawiedliwej kary w jego rodakach i potomkach, o książętach Czartoryskich, o Pacu[4] i wielu

[1] T. j. Józef Pułaski, starosta warecki, regimentarz konfederacyi barskiej († 1769), i dwaj jego synowie Franciszek Ksawery († w bitwie pod Łomazami) i Kazimierz, słynny bohater († w bitwie pod Savannah w Ameryce półn. 1779); wszyscy trzej brali wybitny udział w konfederacyi Barskiej.

[2] Adam Stanisław Krasiński, biskup kamieniecki, jeden z twórców konfederacyi Barskiej († 1800).

[3] Drewicz, znany z okrucieństwa pułkownik rosyjski, walczący w latach 1770 i 1771 z konfederatami barskimi.

[4] Michał Jan Pac, starosta ziołowski, marszałek litewski konfederacyi Barskiej.

innych. — Najmilej zaś mu było wszczynać dyskurs o domach wielkich panów polskich, rozszerzać się nad ich porządkami, rozległością, skarbcem i młodą szlachtą, która się do nich garnęła. — W osobliwszem też poważaniu był u niego książę Radziwiłł[1], wojewoda wileński, i najczęściej o nim wspominał, gdyż sam w Nieświeżu kilka lat przebył przy jego boku. — Jednego wieczora, w lecie, przed dworcem usiadłszy na ławce, długo się rozwodził nad nim i pamiętam, iż tak się do nas odezwał.

Ów pan, niech Bóg świeci mu nad duszą, w wielkiej był u wszystkich sławie tak dla swojej hojności prawdziwie radziwiłłowskiej, jako też dla dowcipnych i rubasznych żartów, na których nigdy mu nie brakło, a choć mówiono, że nie wiele prawdy w nich się spodziewać, każdy słuchał z upodobaniem i chował je do swojej pamięci. — Pełno miał wiadomości o zamorskich krajach, o tamtejszym obyczaju, o żegludze i bitwach morskich, o włoskich miastach i górach niemieckich, jakby pomiędzy niemi wzrósł od maleńkiego, co nieprawdą było, gdyż ciągle siedział to w Litwie, to w Koronie — ale kiedy kto doń przyjechał, jak mu zaczął prawić o swoich błędach[2], przypadkach, pojedynkach i podróżach, pijąc przy tem węgrzyna, to tamten nie mógł się dosyć nadziwić i napatrzyć męża, który, tyle rzeczy zdziaławszy i przykrych niewygód ścierpiawszy, wyszedł zdrów i cały

1 Karol Stanisław Radziwiłł, wojewoda wileński, zwany Panie Kochanku od przysłowia, którego często używał, ur. 1734, um. w listopadzie 1790.

2 Por. str. 385.

z tylu nieszczęść. — Owóż, jak powiadam, to wszystko było zmyśleniem, ale z taką zręcznością ułożonem i tylą powagi osłonionem, że rzadko kto przeczył jemu lub śmiał wątpliwość jaką zarzucić. — Lubił także udawać się za surowego i srogiego pana, ale to czasem tylko i niedługo — bo zaraz wracał do żartobliwego humoru, żądając jednak, by nikt mu wobec się nie rozśmiał i żeby zupełną wiarę pokładano w tem, co mówił. —

Dwór jego był przepyszny i niepomału sam zaglądał we wszystkie szczegóły ubioru swoich dworzan i żołnierzy. — Na żołdzie trzymał kilka tysięcy zbrojnego wojska i urzędników, jako też oficyalistów wielką miał liczbę. — Wyprawiał łowy, na które zjeżdżało się pół Litwy a trzecia część Korony, podczas nich wydając sute festyny, obiady, wieczerze, a to wszystko w lesie, w wybudowanych na ten koniec szopach, gdzie każden kąt lśnił się od makatów i każda belka uginała się pod srebrnym kredensem. — Czas swój trawił na rozmowie o interesach Rzecz[y]pospolitej i o własnych peregrynacyach, tak bowiem sam podróże swe nazywał, dalej na nabożeństwie z rana, na obiedzie, który trwał od dwunastej aż pod wieczór, na wieczerzy, od której wstawał około 9-ej, i na odwiedzinach lub przyjmowaniu gości. — Rzadko bardzo czytał co oprócz psalmów i modlitw, a pióra mu w ręku nigdy prawie nie widziałem, gdyż nawet nudą mu było podpisywać się początkowemi literami własnego imienia. — Aczkolwiek bogobojny, jednak często mijał się z przykazaniami Kościoła w tem, że lubił pofolgować sobie z kobietami, nie dbając wiele

o księżnę panią; ale te zdrożności pod najściślejszą chował tajemnicą, w żartach tylko niekiedy o nich wzmiankę czyniąc, i to zawsze udając więcej, niż w rzeczy samej było. — Nasłuchawszy się w dzieciństwie powiastek o czarach i biesach, do późnego wieku zachował różne przesądy; i tak naprzykład nigdy sam nie spał w komnacie, ale dworzanina od służby całą noc przy łóżku swojem trzymał — a co najdziwniejszem było, zasypiając, kazał sobie opowiadać jak najokropniejsze powieści o strachach i rozbójnikach, potem, tuląc się do poduszki, oczy zamykał i w sen ciężki zapadał. —

Szczególniejsze miał przywiązanie do nieświeskiego zamku, co też powodem mu było do wydania znacznych sum ku jego ozdobieniu. — Komnaty wszystkie pozłocił, sufity wymalować kazał, kaplicę zapełnił kosztownościami, arsenał turecką i inszą zagraniczną bronią, skarbiec rzędami, od pereł i szmaragdów błyszczącymi, pozawalał, konie w stajniach arabskie i czerkaskie hodował wielkim kosztem, obrazów mnogo nakupił i ogród rozszerzył tak dalece, że w nim dzikie trzymając zwierzęta, często na nie z okien swoich polował. — Kapelę także włoską sprowadziwszy, miesięcznie kilkaset czerwonych złotych jej płacił. — We wszystkiem był hojnym i wielkiej skali się pilnował, mając sobie za chlubę, by głoszono wszędzie jego pański przepych, jak rozgłaszano jego pańskie żarty. — Ogółem żywego był układu i skory do karcenia podwładnych za lada pomyłkę, jednak nie często w wielki gniew wpadał i wtenczas nawet zawsze na dobrem się kończyło. — Ale przypominam

sobie, że razu jednego *in tantam collapsus est iram*, iż my wszyscy drżąc wokoło, pobledli z przestrachu.— Trzeba wiedzieć, że przez całe życie srodze nienawidził domu książąt Czartoryskich, miawszy z nimi długie, krwawe nawet zatargi, które czasem wychodziły na to, że wzajemnie sobie wsie palili i ludzi mordowali. — Wówczas żył książę wojewoda w ścisłej przyjaźni z człowiekiem, o którym wielu źle mówiło, wielu nic nie mówiło, ale nikt dobrze nie mówił, z Imć panem Wołodkowiczem, sędzią grodzkim, doświadczonym w wielu razach, że się niczego nie bał, nawet Bożego gniewu. — Szczególnie ów szlachcic zjednał sobie książęce łaski, oskarżając wszędzie Czartoryskich o niesłychane zbrodnie, wołając na głos, że ich nie cierpi z duszy i że gdziekolwiek spotka, nie puści bez upominku. — Nosił nawet, jak opowiadano mi później, trzy nahaje, kiedy konno wyjeżdżał, a kładąc się spać, zawieszał je nad głową. — Pierwszy był z złotych strun spleciony i nim groził księciu kanclerzowi Czartoryskiemu, drugi z srebrnych przeznaczał dla księcia wojewody ruskiego, a trzeci, jedwabny, plecom dowódzcy ich milicyi. — Ale to nic jeszcze — dziwnych wieści rozgłaszano dużo o panu Wołodkowiczu i co nawet powtórzyć się wzdragam i czemu nie wierzę, gdyż nie mogę przypuścić, by tak dalece zapomniał się prawdziwy szlachcic polski, wychowany w katolickiej religii, twierdzili, iż nieraz, jeżdżąc na łowy, strzelał z sani do krzyżów w same piersi Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa — a kiedy trafił, śmiejąc się serdecznie, krzyczał do towarzyszy: »To nabój nie stracony, bo teraz strzelbę zaczarowałem

i dzika ubiję«. Jednak to pewna, że przed kościołem czapki nie zdejmował, w kościele nigdy nie klęczał, a w domu pacierzy nie odmawiał, lecz całe dnie trawił na pijatyce, hulaniu, wrzeszcząc tak, iż wszystkie szyby trzeszczały, bluźniąc przeciw Bogu i księżom, odgrażając się na Czartoryskich, strzelając z pistoletu po całych nocach do knotów, rąbiąc się z pierwszym lepszym i kalecząc go zawsze — słowem, więcej na heretyka wyglądając w mowach, czynach i poruszeniach, niż na prawowiernego chrześcijanina. — Kiedy zaś przychodziło do sądów, w kilku słowach rzecz zbywał, o ile mógł obu stronom szkodząc, gdyż jak sam powiadał, to go bawiło słyszeć, że się bracia szlachta dąsają przeciwko niemu. — Nie można mu jednak zaprzeczyć tej jedynej zalety, iż lwiego, czyli raczej tygrysiego był serca w niebezpiecznych chwilach i że wtedy, jakby cudem zaraz trzeźwy z pod chmielonego, umiał sobie dać radę i nieprzyjaciół w kąt zapchawszy, znowu się upić. — Uradowany z jego zimnej krwi, książę wojewoda wziął go do swojego boku, aczkolwiek niemało na to szemrania było w okolicy, na co podług zwyczaju swego nie zważał książę Radziwiłł, mieniąc się za potężnym panem, by jego woli i wyboru ktoś nie uszanować się poważył. — A zatem Wołodkowicz, wsparty takiemi plecami, zaczął, ile mógł, złego w każdej okazyi Czartoryskim wyrządzać, jeżdżąc po kraju z trzema nahajami u siodła, a karabelą u boku, aż go nie złapała partya Czartoryskich i pod sąd wojenny oddawszy, pod pozorem, iż ważył się w krucyfiks uderzyć, rozstrzelać kazała[1],

[1] Ign. Chodźko: Obrazy litewskie. Ser. III. Pamiętniki kwesta-

co też się stało przy wielkim zbiorze ludzi z rana w Wielki piątek, o niemałym wszystkich podziwie, a o strasznym gniewie księcia Radziwiłła, który, natychmiast zebrawszy, co tylko miał pod bronią żołnierza, wpadł do dóbr nieprzyjaznej sobie partyi, dwóch ekonomów powiesił i trzy wsie z ziemią zrównał, poczem, wróciwszy do siebie, był smutny przez długi czas, wspominając kiedy niekiedy o Wołodkowiczu z ciężkiem westchnieniem. —

Teraz zrozumiecie mnie, kiedy wam następne zdarzenie opowiem. —

Otóż ze dwanaście lat już było minęło od śmierci nieszczęśliwego Wołodkowicza i książę, jak zwyczajnie, siedział w Nieświeżu. — Jednego wieczora, w lecie, chodził w swojej wielkiej sali, gobelinami obitej, z oknami, wychodzącemi na ogród, i patrzał na sarny i daniele, tam pijące u sadzawki. — Byłem tego dnia od służby i stałem w głębi komnaty z innymi, milcząc dla poszanowania i czekając, aż się książę sam odezwie. — Choć zwykle przypuszczał nas do swojej poufałości, teraz zdawał się czy zagniewanym, czy smutnym i nic a nic nie mówił — tylko przechadzał się od jednych drzwi do drugich, stawając czasem przed jakim obrazem lub przed obiciem, na którem wyszyte były rozmaite bajki z mitologii. — Zgarbił się, ręce z tyłu założył i nawet oczu ku nam nie obracał — co też dało mi czas zważać na jego ubiór, gdyż nic inszego nie miałem do roboty. — Żupan z atłasu spuszczał mu się niżej kolana, pas z tureckimi kwia-

rza. Wilno 1872, str. 255 nstp. (Sprawa Michała Wołodkowicza na podstawie dokumentów rękopiśmiennych i żywej jeszcze tradycyi).

tami nosił ze sześć razy okręcony wokoło; czasem, kiedy rozsuwały się poły sukni, widać było spodnie szerokie z czerwonego sukna — buty żółte były, a u szyi świeciła spinka dyamentowa, ceniona wyżej nad wszystkie bogactwa katedry krakowskiej, na piersiach dwie kieszenie z guzikami, a z nich wystawały nożyki, flaszeczki, krucica, szpagat i wstążki różnych kolorów, gdyż przywykł oddawna do noszeszenia drobnostek wszelkiego rodzaju przy sobie. — Wtem mijając framugę, w której stało zwierciadło, spojrzał na siebie, a że twarz miał spaloną od upałów nieznośnych wtedy, obrócił się ku nam i rzekł chrapliwie przerywanym głosem, jak zwyczajnie:

— Panie Kochanku — widzicie, azaliżem nie był w Palestynie u grobu Pana Jezusa? — Patrzcie, Panie Kochanku, jak to słonko nad piaskami pali — dawniej miałem jagody, jak mleko — a teraz, jak sadza. — Dobrze mówili mi Turki, psy niechrzczone: »Mości książę, jaśnie oświecony książę, panie wojewodo, daj się namówić i weź zasłonę z muślinu na głowę«. — Bo tam wszyscy tak się ubierają — ale, Panie Kochanku, nie chciałem, by powiedziano, iż książę Radziwiłł nie śmie słońcu patrzyć w oczy — i fuknąwszy na bisurmanów tak, że uciekli, jechałem dalej w pustyni z dziesięcioma murzynami, których kupiłem w Konstantynopolu — aż nie przybyłem do Hieruzalem. — Tam winną cześć oddawszy przenajświętszemu Grobowi, wróciłem co prędzej do Nieświeża — od tego czasu zczerniałem, Panie Kochanku — widzicie, zczerniałem.—Ale dobrze mi tak, Panie Kochanku — po co też wlec mi się było po zamorskich krajach, między nie-

wiernych? — Lepiej siadywać w domu — kiedy Pan Bóg dał taki dom, jak ten, Panie Kochanku. —

I spojrzał wokoło z dumą na gzymsy złocone i firanki z sutymi haftami. — Nikt z nas nie śmiał nawet głowy odwrócić, by się uśmiechnąć, bośmy widzieli dobrze, iż nie po temu była pora. —

— Panie Kochanku — dalej ciągnął — tak mi jest dzisiaj, jak gdyby kto urok rzucił na księcia Radziwiłła — a biada, Panie Kochanku, temu, coby to uczynił, boby się wszyscy święci ujęli za Radziwiłła. — W moich podróżach często natrafiałem na czarnoksiężników, najbardziej, kiedym był w wschodnich krajach — i we Włoszech też niemało ich widziałem. Ale nie śmieli mi słówka nawet powiedzieć, kiedy od moich ludzi dowiedzieli się, łajdacy, o moim rodzie i imieniu. — W nocy po chałupach na górach i w starych zamczyskach nieraz strachom się przypatrzyłem, ale, Panie Kochanku, zmykały, jakem tylko ich zaklął tem słowem: »Radziwiłł«. — Owóż nigdy mi tak źle nie było, jak dzisiaj. — Tak, Panie Kochanku — tu bies jakiś harce swoje rozpoczął. — A pfu, a pfu! — Panie Kochanku, ja go wypędzę. — Oj, źle mu będzie, jak się dostanie w ręce Radziwiłła. —

I znów zaczął się przechadzać, a trudno było rozpoznać, czy szczerze gadał, czy też żartował, jak najczęściej się zdarzało. — W niepewności milczeć woleliśmy, bojąc się, by nie obrazić go niezręczną odpowiedzią. —

Wtem wszedł marszałek jego dworu, Imć pan łowczy Oleszkiewicz, i z przynależnem uszanowaniem ukłoniwszy się:

— Jaśnie oświecony książę i panie — rzekł — porucznik jakiś odstawny w tej chwili bryczką przyjechał do Nieświeża w nadziei, że będzie mógł uzyskać łaskawe spojrzenie od księcia pana i służbę w jego pułkach — a że słyszał wszędzie o otwartym przystępie do księcia pana dla każdego szlachcica, prosi jak najuniżeniej, by mógł stawić się przed jaśnie oświeconym księciem wojewodą wileńskim. — Zdaje mi się, o ile zdanie moje tu może, iż kiedyś służył u książąt Czartoryskich, ale tego twierdzić się nie ośmielę. —

— Panie Kochanku — odparł nie bardzo, jakeśmy uważali, z tego przerwania rad książę — Panie Kochanku, a jużci, kiedy szlachcic, niech przyjdzie. — Czekajno, Panie Kochanku — czekaj. Kiedym był w Paryżu, lubiłem sobie z rana chodzić do króla francuskiego na szachy lub maryasza. — Otóż raz podkomorzy wielki koronny wszedł, anonsując jakiegoś kapitana, wyspiarza z Wielkiej Brytanii, z którą ów król wtenczas wiódł wojnę. — Radziłem Ludwikowi, by nie przyjął, i on, wielce ufny w moim rozumie, wahał się długo — aż, Panie Kochanku, robiąc podług swojej głowy, kazał wpuścić. — Zaraz z miny poznałem, jaki to był gracz — Panie Kochanku, miał z siedem stóp wzrostu i mundur szamerowany ze szpadą. — Przystąpił do najjaśniejszego pana z bezprzykładnem czołem i nie ukłoniwszy się ani razu, co ja widząc i ważąc u siebie, zrozumiałem natychmiast, co to mi był za panicz. — Panie Kochanku, wstałem ze stołka i, nic nie mówiąc, porwałem Anglika za kołnierz i, podniósłszy go, jak piórko, przez

okno wyrzuciłem, tłukąc wszystkie szyby, aż na dziedziniec St. Cloud, gdzie rozpłaszczył się bez ducha na bruku. — »Cóżeś uczynił, mości książę«! król zawołał, cały blady — a ja, siadając do szachów: »Miłościwy panie, laufer posunąłem o trzy kroki dalej — a co do tego bisurmana, poszlij na dół przetrząść mu kieszenie«. — Co też król usłuchał i znaleźli trzy puginały na nim. — Za to, Panie Kochanku, król Ludwik order św. Ducha zdjął z pod szlafroka i ofiarował mi. — »Radziwiłł tego nie potrzebuje, Panie Kochanku«, odpowiedziałem i, grając dalej, partyę wygrałem z kilkoma tysiącami czerwonych złotych, które dałem na pogrzeb tego kapitana rozbójnika, gdyż nie było za co go pochować, a żonę miał ładną, co mi się rozbeczała w moim przedpokoju. — Teraz przejdźmy do sieni, Panie Kochanku, do pana porucznika — my tu nie we francuskiej ziemi, ale w Litwie jesteśmy. —

Zapewnie wiecie, a może i nie wiecie, bo nie z wielką gorliwością dbacie o stare polskie rzeczy, iż sienią zwała się w samym dole w nieświeskim pałacu komnata długa, jak korytarz, a nierównie szersza, z oknami aż do ziemi, bez szyb ani okiennic i przytykająca do ogrodu. — Miała to być budowa w guście włoskim, jako nam powiadał Imć pan Oleszkiewicz, wielce lubiana od księcia, osobliwie podczas letnich wieczorów. — U sufitu mnóstwo floresów i deseniów złotych i błękitnych krzyżowało się, z doskonałym doborem farb i niepospolitą sztuką, bo też było to dziełem malarza, umyślnie na to z Włoch sprowadzonego. — Na ścianach, podobnie jak w sali, wisiało obicie z gobelinów, wy-

stawujące wjazd owego sławnego zdobywcy i króla macedońskiego, Aleksandra, do miasta Babylon — a w każdym kącie stało zwierzę, wybornie z drzewa udane, jako to: koń, dzik, niedźwiedź i jeleń — osobliwie ten ostatni podobieństwem do żywego uderzał — rzekłbyś, iż bieży i głowę podnosząc, las swój z rogów potrząsa, niby na śmiech z ciebie. —

Kiedyśmy weszli, mając księcia przed sobą, Imć pan marszałek nieświeski poszedł drugiemi drzwiami po porucznika, który, niedługo czekawszy, stawił się, jako należało, z winnym respektem i w pokorze. —

Książę wojewoda spojrzał nań kilka razy, nim się odezwał, i nie mogliśmy w żaden sposób się domyślić, czy był rad lub nie, z postaci przybyłego. — Co się mnie tyczy, wydał mi się porucznik dobrym wojakiem, dochodzącym czterdziestówki, z wąsem niepospolitej długości, z oczyma takiemi, jakich jednego spojrzenia dosyć na dwóch Niemców, i z siłą w stawach u nóg i ramion. — Był zaś w wojskowej taratatce, nieco zszarzanej, w czapce nie konfederatce, ale fracuskiego raczej kroju, w łosiowych spodniach od konnicy i butach węgierskich. —

— Skąd waść jesteś, panie bracie? — zapytał książę. —

— Do nóg padając jaśnie oświeconemu panu i nie myląc się, boć dwadzieścia lat domu nie widziawszy, tu przychodzę to z Kamieńca Podolskiego, gdzie dużo kawonów na polach i Dniestr zaraz niedaleczko. —

— Panie Kochanku — Panie Kochanku — azaż służby chcesz u Radziwiłła? —

— Jeśli wasza książęca mość potrzebuje oficera

kawalerzystę, niechaj ja u niej takim będę, bo już mi chleba zabrakło i chciałbym do nowego bochenka się dobrać, ile że źle o głodzie i o dziurach w rękawie. —

— Rozumiem — Panie Kochanku, i ja byłem sierotą u Benedyktynów; a cóż waść potrafisz dla Radziwiłła?

— Płatać w lewo i w prawo, upić się w imieniny miłościwego księcia, a obudziwszy się potem, wtórować szablą po karkach i łbach, jak wprzódy, jako też i porządku ścisłego pilnować między żołnierzami w mojej kompanii, jako randze porucznikowskiej przystoi, zresztą w nocy i we dnie stać w gotowości na rozkazy wszelkie, jakie trafić się mogą. —

— Panie Kochanku, jak się mianujesz i gdzie służyłeś? — Pokaż mi swój abszyt, Panie Kochanku. —

— Padając do nóg miłościwemu księciu, zowię się Jędrzej Niezabitowicz — a służywszy dziesięć lat w pułku łanowym litewskim, napatrzyłem się dosyć potyczek, odwrotów i ataków, a to wszystko w żołdzie u księcia wojewody ruskiego[1]. —

— A pfu — a pfu! — Panie Kochanku — Czartoryski — wojewoda ruski — z Czartorynia. — A wiesz, po co do mnie przyszedłeś, panie bracie? — zawołał książę Radziwiłł głosem, dowodzącym, że tuż, tuż gniew jego miał wybuchnąć. —

— Przyszedłszy po służbę i złożywszy mój abszyt w łaskawe ręce księcia, pana miłościwego, czekam na to, jak ze mną rozrządzi — odparł Niezabitowicz,

[1] Ks. August Kazimierz Czartoryski, wojewoda ruski, ojciec generała ziem ruskich, Adama († 1781).

wcale niezmieszany, wyciągając przed sobą brudny papier, który wyjął z podartego pugilaresu. —

Książę wojewoda wileński między dwa palce tylko wziął abszyt porucznika, jak gdyby lękał się dotknąć podpisu nieprzyjaciół swoich—i czytać zaczął powoli. —

Lecz dostrzegliśmy wszyscy, iż stopniami nadymały mu się policzki i wierzchnia warga wytężała się nad dolną, cośmy uważali za znak niechybny gwałtownego obruszenia. — Wszelaka rubaszność zeszła z jego twarzy i na czole ścisnęły się zmarszczki w długie szeregi — ale, co nas zastanawiało najbardziej, to, że drżały mu ramiona od łokci do palców, jak gdyby nagle dostał konwulsyi, tak iż mu się papier wyśliznął i poleciał daleko — na murawę — do ogrodu. —

Porucznik chciał za nim pobiedz, kiedy książę zawołał:

— Stój — nie ruszać mi się — powiedz Radziwiłłowi, jak Wołodkowicz umierał, kiedyś go na zamordowanie prowadził z twoim pułkiem łanowym litewskim? —

Na to zapytanie spuścił oczy w dół porucznik. — Jakeśmy później się wywiedzieli, zapisała mu w abszycie niby jako zasługę, wiele wartości mającą, kancelarya książąt Czartoryskich, iż dowodził żołnierzami, którzy rozstrzelali Wołodkowicza. — Niebaczny, aiboli też może i czytać niedobrze umiejący, gdyż wątpię, czy wielce piśmienny był człowiek, nie wahał się pokazać dymisyi księciu. — Lecz teraz źle około niego było. —

— Jaśnie oświecony panie, służywszy wiernie książętom Czartoryskim, wiernie i tobie służyć będę —

a że wtenczas było moją powinnością wiernie im służyć, to też musiałem, gdyż inaczej, jaśnie oświecony Panie, nie byłbym wiernie im służył, tak jak teraz wiernie jaśnie oświeconemu panu służyć chcę zapomocą Boga i świętych. —

Książę dmuchał, jak gdyby ciężko mu było odetchnąć i ściąwszy usta, odwrócił się i szybko chodząc po sieni, milczał, jako człowiek, który się namyśla nad czemsiś ważnem i strasznem. —

Właśnie wtedy słońce przebijało, zachodząc, przez gęstwinę ogrodu i długie taśmy czerwone rzucało po ścianach komnaty; my stali ciągle w milczeniu, nie wiedząc, jak to się skończy. —

— Aha! Wołodkowicza rozstrzelali — zawołać mi Lazarka! — rzekł książę. —

Jeden z dworzan wybiegł dla dopełnienia rozkazu, a tymczasem książę Radziwiłł wciąż się przechadzał, czasem tylko powtarzając: »Wołodkowicza rozstrzelali« — ale to głosem tak ponurym, iż my ledwo własnym oczom wierzyli, widząc tego tak żartobliwego i dobrego pana w takim gniewie. —

Stawił się niedługo Lazarek, dowódzca straży nieświeskiej, w mundurze i przy pałaszu. —

— Aha! Wołodkowicza rozstrzelali — czterech ludzi z ognistą bronią natychmiast! —

Wyszedł Lazarek, a książę wojewoda wciąż chodził, rzadko spozierając na biednego porucznika, który drżał, jak naciągnięta struna, palcami niekiedy dławiąc sobie usta i groźny, jako pan wielki, ba, jako największy monarcha. —

Myśmy nie śmieli prosić za nieszczęśliwym, widząc

tak wielką powagę w człowieku zwyczajnie otwartym i ludzkim, tem bardziej, żeśmy łzy w jego oczach dostrzegli, choć ściskał zęby, ażeby ich dalej na lica nie puścić — i byliśmy pewni, że nasze wstawienie mało bardzo lub nic nie nada — gdyż poznaliśmy po tem, że już nie używał swojego przysłowia »Panie Kochanku« — iż zupełnie wyszedł z swojego zwyczaju i na te chwil kilka stał się zupełnie różnym od tego, czem był wprzódy.

Czterech piechotników weszło od ogrodu wojskowym krokiem i stanęło w rzędzie o kilka łokci od porucznika. —

— Aha! Wołodkowicza rozstrzelali — nabijcie ostrymi ładunkami! —

Ręce posunęli w tył do ładownic, naboje rozdarli zębami i cztery stemple o cztery lufy zadzwoniły — podsypali równie szybko i z bronią, opartą o nogi, czekali dalszego rozkazu. —

— Wołodkowicza rozstrzelali. — Aha! — przynieście krwawe serce!

Wtedy już nie można było wątpić o zamiarze księcia, bo zapewne wiecie, iż dawniej było u nas w zwyczaju zawieszać na piersiach skazanego tablicę z wymalowanem sercem, co we krwi pływało, na to, by, celując weń, pewniej trafili żołnierze. —

Otóż porucznik, który dotąd się nie odzywał, chciał do nóg paść księciu i prosić o życie.

— Ani kroku więcej — ani słowa! Wołodkowicza rozstrzelali — Wołodkowicza rozstrzelali — i te wyrazy tak rozdzierającym głosem wyrzekłszy, aże nam w ser-

Nr

cach się odbiło, prędzej jeszcze stąpać zaczął tak, że posadzka jęczała mu pod nogami. —

— Przyłóżcie mu do piersi!

Krwawe serce przypięli do taratatki porucznika. —

— Wołodkowicza rozstrzelali — ostatni raz zawołał książę jak najgwałtowniej. — Weźcie go na cel! —

Nastąpiła chwila powszechnego milczenia, podczas której, zdaje mi się, żeśmy i razu nie odetchnęli. — Książę wojewoda stał niewzruszony, niby w zadumaniu i w niepewności — bo patrzał i na porucznika i na cztery karabiny, całe czerwone od promieni słońca, skierowane wprost ku nieszczęśliwemu, i nic a nic nie mówił. — Potem zwrócił wzrok na jedno z tych drewnianych zwierząt, o których wzwyż wspominałem. — Tu znowu zatrzymał się, aż wreszcie nagle zawołał, jak gdyby nie chciał sobie czasu pozwolić do dłuższej rozwagi.

— Panie Kochanku — strzelcie w tego jelenia! —

Nie wiem, co głośniejszego było, czy wystrzały i huk jelenia, padającego na ziemię, czy śmiech nasz, którego wstrzymać nie zdołaliśmy; ale to pewna, że kiedy rozszedł się dym od karabinów, nie było już porucznika w sali. — Widać, że oknem szusnąwszy, uciekł w krzaki do sadu, a stamtąd w pole — zapewnie dziękując po drodze wszystkim świętym, że uniknął takich okropności. —

Aliści książę wojewoda nie wrócił zaraz do poufałych żartów, owszem, zdając się ciągle w tym samym gniewie — i odesławszy nas, poszedł prosto ku sypialnej komnacie. —

Ale nazajutrz i długo jeszcze potem wszystkim opowiadał, iż, złapawszy dziesięciu żołnierzy z partyi Czartoryskich, kazał ich przed sobą rozstrzelać dla pomszczenia Wołodkowicza, nazywając to ścisłą sprawiedliwością, »jaka — mówił — przystoi na Radziwiłła, Panie Kochanku«.

Kwiecień 1831, Genewa.

PRZELOTNA CHMURA.

Chciałbym się przemienić w ten obłok, co goni na skrzydłach wiatru, być zwiastunem burzy lub posłem pokoju, gdy, jak anioł światłości, srebrzy się on u stóp wschodzącego księżyca. Mógłbym wtenczas szybować po przestworach powietrznych i zawieszać biały namiot nad wieżycami miast i skałami pustyni. Mógłbym cudowną mocą przybrać każdą postać i być śnieżnym duchem lub czarnym szatanem. Mógłbym roztoczyć skrzydła i w szalonym locie otrząsać się rzęsistym deszczem, aż, znużony, spocząłbym na szczycie góry i usnął, jak dziecko, ukołysany tchnieniem wiosny. Mógłbym jeszcze, kojąc serca wieczną tęsknotę, zostać kochankiem królowej nocy i promienne jej oblicze tulić miłośnie do mego łona, to znów, nową żądzą przejęty, prosto z tych godów weselnych, zerwawszy się na nowe zapasy, stać się postrachem ludzkości; zawisnąłbym nad ziemią żałobnym kirem, całunem otoczyłbym słońce, ażby jęki i prośby ludzi dosięgły mnie w błękitnem mem królestwie. Mógłbym ucztować wśród kryształowych ścian niebotycznych lodowców, przesuwać się bezpiecznie nad bezdennemi przepaściami i igrać na śnieżnych wyżynach, leżąc na kobiercu, utkanym w srebrzyste lilie — a po spoczynku wstać, wzbudzony nawałnicą, i, zawarłszy so-

jusz z piorunem, dać mu w darze królewską oponę z mgły brylantowej, tron z płomieni i twierdzę niewzruszoną, z którejby na świat wyrzucał swe ogniste groty.

Gdym tak marzył, przelatująca chmura zniżyła się ku mnie i, przenikając skryte me życzenia, tak na nie odpowiedziała:

— O, nie zazdrość mi, niebaczny! Jam nie zawiści, ale litości godna. Blask mój i siła — to złudne pozory opłakanej rzeczywistości. Losy mnie skazały na wieczną ofiarę niszczących żywiołów; nawet, gdy jestem przeklętym wykonawcą zemsty bożej, umierać muszę, spełniając wyroki Najwyższego. Jeśli zabłysnę czasem tęczy barwami, to tylko na krótką chwilę; promienie słoneczne bawią się mną, jak dzieci błyszczącem cackiem, wnet skruszonem i rzuconem w poniewierkę. Jestem uniżonym dworakiem każdej gwiazdy, pokornym sługą księżyca. Gdy mi nakazano zasłaniać słońce, czuję w łonie żrący jego skwar i dręczą mię okrutnie wszystkie przekleństwa ludzi, upatrujących we mnie swego prześladowcę. Gdy w deszcz się rozpływam, własną to krwią płaczę i z ostatnią łzą życie mi ulata. Gdy przenoszę pioruny, serce mi pęka i cała moja istota, poszarpana w szmaty, znów musi ginąć marnie. Często rano, gdy mnie zorza obudzi, wspieram się na ostrej skale, cierpiąc długie katusze konania; kształt mój, cząstka po cząstce, rozwiewa się powoli, aż się ulotnię całkiem, jak para znikoma, niepamiętna nikomu. Jeśli rodzę się w chwili zachodu, muszę usypiające słońce przyjąć do mego dziewiczego łoża i wtenczas, przemieniona w żyjące zarzewie, wysycham na śmierć,

nie doczekawszy się orzeźwiającego uścisku od wieczornego wietrzyku. Jeśli ciemności nocne mnie zrodziły, nieszczęśliwsza jest moja dola. Pozbawiona słońca, co nam użycza blasku, muszę pokutować w żałobnej szacie; chylę czoło zawstydzone i kołyszę się w powietrzu, co mną pomiata, jak całunem wisielca, a gwiazdy na mnie mrugają z szyderską pogardą. Gdy gromy zbierają się w powietrzu, muszę lecieć naprzód, ślepo posłuszna burzy, choć przewiduję, że błyskawic ostre sztylety przeszyją mi łono, że mię pioruny strzaskają, a wicher, wyrwawszy mi skrzydła, strąci w otchłań mgły gęstej, jak piekielne wyziewy, lub zatopi w spienionych falach oceanu. Nie dziw się więc, spoglądając na błędny mój lot po drogach niebieskich, bo zaprawdę szaleję wśród zbytku męczarni; i gdy, miotana i szarpana zewsząd, wiję się na wszystkie strony, dzikie wyprawiając tany i skoki, zdaje mi się, że zdołam uciec przed nienawistnymi losy. Ale napróżno! Jestem igraszką każdego podmuchu, każdego promienia. Raz jako królowa, w złocie i purpurze panuję na niebie, to znów w poszarpanych łachmanach jestem jak niewolnica samowładnego wichru. Jak tytaniczny pan haremu za lada fantazyą wyrokiem śmierci karze ukochaną odaliskę, tak słońce ze mną się pieści, dopóki chwilowej kochanki z objęć swych nie rzuci na łup śmierci. Rodzę się na bezdrożach powietrznych, żyję krótkiem życiem owadu, będąc zarazem najjaskrawszym motylem, latającym po lazurach, i najpodlejszym z płazów, pełzających w ciemności. Konam co chwila i wciąż się odradzam, aby wiekuiście umierać. Na każdem

miejscu gotowa dla mnie kolebka i czyhająca mogiła, i ten sam wiatr, co wesołym podmuchem wita me narodziny, ponurym jękiem zwiastuje mój zgon.

Powiedz teraz, gdy znasz smutne me dzieje, czy chciałbyś jeszcze zamienić się w chmurę? —

Otwierałem usta na odpowiedź, gdy, podnosząc oczy, już nie ujrzałem chmury. Spełniły się jej losy — znikła bez śladu.

W Genewie, w 1832 r.

W ALBUMIE AMELII ZAŁUSKIEJ.

I.

»The life is twofold« —
A Dream —
Byron —

Śniło mi się, żem płynął z tobą po mojem jeziorze — i długo się cieszyłem — jako we śnie bywa — by potem zapłakać, obudziwszy się — jako bywa na jawie. — Ale nim się rozdzielim, nim przyjdzie powtórzyć płacze w chwili rozstania, opowiem sen mój, a ty posłuchaj, proszę.

*

Na barce mojej stałem przed tobą i wiązałem sznury od żaglów — a wiatr z ponad Jura[1] przelatywał i popychał nas ku nadbrzeżom Chillonu.[2] — Dzień mi się wydawał jasny i świeży — fale były błękitne, a góry w oddali bieliły się od śniegu — chmur kilka ponad głową się przesuwało — ale żadna z nich burzy nie przepowiada — owszem, zdają się wróżyć pogodę srebrnymi fałdami i lekkim pochodem —

*

A ty stałaś u wód, gdyby pani całej okolicy — nie żeby duma miała ściągać twe czoło w tej chwili, ale

[1] Por. str. 277.

[2] Chillon — starożytny zamek, niegdyś książąt sabaudzkich, na wschodnim brzegu jeziora Leman.

żeś głowę trzymała niewzruszoną w powadze i wzrok wlepiała w niebo, rzadko skręcając go ku mnie lub ku ziemi. — Nie pamiętam już barwy twej szaty, bo złudzenia snów takie znikome, jak szczęście — nie pamiętam już, rąbek jaki osłaniał twe piersi, chustka jaka z ramion ci spadała — ale twarz pamiętam oświeconą promieńmi — wznoszącą się wśród żagli, igrających wokoło — nieco wybladłą — z oczyma przeczystego blasku — z pierścieniami ciemnych włosów, które ją obwodziły, gdyby ramy czarne naokoło obrazu pełnego życia i urody. —

Ale zarazem do twoich rysów mieszało się coś niepojętego, nieopisanego — był to niby żal jakowyś, uśpiony, nie ledwo że zapomniany, a jednak czytelny — była to niby nadzieja jakowaś niepewna, ledwo że znana tobie samej, a jednak oczewista. — Zdawało się, że marzysz o goryczach ziemi i o nieba radościach. —

*

Płynęliśmy długo, a wiatr się wzmagał, jeśli dobrze przypominam sobie. — Ja wiosła rzucałem i brałem, żaglem odwijał i ściągał co chwila. — Szumiały fale, wicher im odpowiadał i wołał na nie:

»Prędzej, prędzej płyńcie, dzieci moje« —

Aleś ty ciągle niewzruszoną była — choć maszt, o któren się opierałaś, drżał cały, choć żagiel, co nad twojem czołem się kołysał, nadymał się, jak chmura podczas zawiei — choć belki czółna skrzypiały i samo czółno skakało po falach, jak wieloryb raniony. —

*

I pięknie mi było patrzeć na twoją odwagę — na twarz twoją, górującą nademną schylonym, gdyby

twarz Tej, którą wzywają żeglarze wśród burzy — a choć prosiłem, choć zaklinałem, nie mówiłaś i słowa.—

Tak dopłynęliśmy do murów Chillonu. —

Widzę cię wśród arkad gotyckich — tam za filarem dostrzegam cię jeszcze — u tych schodów zatrzymałaś się chwilę. — Gdzież jesteś teraz — gdzie?

Stoję na miejscu, a nikogo niema przy mnie. —

Gdzież jesteś — gdzież jesteś, o pani czółna mojego? Ono czółno stoi u brzegu samo — puste — z obwisłymi żaglami. Ja na tym moście, który prowadzi do lochów i więzień Chillonu — O gdzieżeś mnie odbiegła?

Łatwiej mi duchy umarłych wywoływać, niż ciebie.

*

»Sen to jest marny, nic nie znaczący« — powiesz i zaśmiejesz się z cicha — ale mnie łzy staną w oczach i westchnę. — Jako na tej barce mojej przez chwilę, takoż w życiu mojem jesteś zjawiskiem — cudem — a cud się ukaże i zniknie — on jest tem w życiu człowieka, czem meteor w nocy letniej. —

O nocy moja letnio *(s)*, bądźże mi zdrowa na zawsze! —

II.

There is many a pang to pursue me
They may crush — but they shall not contemn —
They may torture, but shall not subdue me
T'is of The that I think — not of them —

Stanzas to Lady Augusta Byron —
Lord Byron —

A onego dnia szatan wybrał się do lotu i obleciał gwiazd kilka, nim dostał się do ziemi — swojej ko-

chanki — nad którą panuje od wieków, którą kocha swoją nienawiścią, jak ją Bóg swoją miłością. —

A noc była ciemna, bez księżyca, obwieszona chmurami. — Skrzydła rozpostarł i leci, a więc jeszcze ciemniej się stało, to ponad górami, to ponad płaszczyzną — a kiedy raz się jej dorwał, trzymał się jej wciąż, nie wiem dlaczego. —

Dawniej o kwiatach nuciłem i o wieńcach nad skroniami piękności. — O, moje kwiatki, powiędłyście wszystkie — a więc nutę odmieniłem i zaśpiewam o starym wrogu ludzi. —

Bez huku, bez szumu sunął po obszarach, płynął po powietrzu, gdyby czarny okręt po morzu z dwoma czarnemi flagami — aż wreszcie doleciał wzgórza, wśród łanów, na którem bieleje kaplica, a obok stoją mogiły, obwiedzione kratą, osypane rzadkiem drzewem, z krzyżem pośrodku. —

On się rozśmiał serdecznie na widok krzyża — potem chmurę zawołał do siebie, rozciągnął się na niej i miękko leży.—Tu znać pocznie się jego wola objawiać.—

Wiatr się zerwał i gwiżdże pomiędzy chmurami, które biegną po niebie całem, jedne za drugiemi, a gwiazdy ledwo że się ukażą, już skonają. — Ale to niedługo trwało — wicher opadł i znów spokojnie. —

Tymczasem pan mojej pieśni się cieszy, bo dwie postacie zbliżają się do krat cmętarza, a tam, gdzie dwóch jest na ziemi, to niechybnie jedna dla niego ofiara. —

»Z dwóch tych przeznaczeń, podobnych do siebie, jedno mnie się należy« pomyślał, a od tej myśli potężnej archanioła zadrżała chmura i jęk rozległ się ponad mogiłami. —

Teraz grzmoty słychać w oddali — u samych krańców widnokręgu błyskawice zrywają się i opadają, jak fale wśród burzy — i na chwilkę jedną w ich świetle zmartwychwstaje okolica, potem znów ginie w ciemności. — A niewiasta i mąż z pochylonemi głowy opierają się na bramie cmętarza. Zapewnie tam ich przyjaciół dawnych pogrzebione zwłoki.

Jaką była modlitwa niewiasty, tego nikt nie zgadnie, bo serce kobiety jest przepaścią, w której tysiąc róż i tysiąc cierni, ale modlitwa tego, który stał przy niej takową była:

»O! ty, który rozpostarłeś swoją opiekę czy przekleństwo nad moim zawodem, aniele, zły duchu, czy gwiazdo, wysłuchaj prośby mojej, ostatniej, jedynej, po której już żadnej drugiej nie będzie — bo myśli schną w moim mózgu i słowa na ustach.

»Każdy z synów Adama błąka się w rozpaczy na tej ziemi puścizną po grzechach pierwszego rodzica; ale czasem wspomnienie, czy nadzieja, uniesienie czy spokój, obudzą w nim szczęście, maleńkie, znikome, które się zowie spadającą gwiazdą —

»Z owych chwil wszystkich splata się wieniec o kilku kwiatach, który więdnieje wcześniej czy później jednym już u kolebki, drugim dopiero u łoża śmierci — ale każdy z nas, o panie, i ja wraz z innymi mam prawo do niego, choć wiem i czuję, że on nigdy spiekłego czoła nie odświeży mnie. —

»Prośbę moją wysłuchajcie, duchy! — Ten wieniec mój nadaję tej, co przy mnie teraz milczy i wzdycha ku tym mogiłom — niechaj pasuje do jej skroni, niech rosę piękności sączy na jej lica«. —

Szatan przysłuchiwał się rozkosznie i przystał — przecież jemu wszystko jedno, czy on, czy ona, byleby była ofiara, męki jakoweś, a potem śmierć i zaguba — bo to są pieśni jego poematu wiecznego. —

Podniósł się z swojego obłoku i wyciągnął ramiona w przestwór:

»Synu mój — synu mój, witam ciebie«. —

Tu grzmoty się podwoiły, ale już żadnej błyskawicy nie było. —

*

Bądź więc szczęśliwą, jako na cię przystało — bądź mi panią wiecznych uśmiechów i wesela — a kiedy twe serce nabrzmieje, niechaj twoje łzy płyną — a nie będzie tak, jak u innych, którzy płakać zapomnieli. —

Tam,[1] gdzie zmierzam, czarne nieba i słońca niemasz — jedno lampy, kagańce i smutne ognie, które tę noc oświecają, by ludzie nie oślepli w cieniu. — Tobie błękity życia niech pozostaną po mnie — bujaj i ulatuj pomiędzy nimi — a to słowo ostatnie, które gorączką pali mi usta, to słowo ostatnie: »Żegnam cię i ziemię moją« niechaj razem znaczy »kocham cię — i nigdy nie przestanę« —

III.

Farewell — Farewell and if for ever
Yet for ever Farewell to Thee —
Lord Byron.

»Żegnam« jest zawsze pewnością — ale słowo »powitam« jest marą — a więc pierwszem odzywam się do ciebie, słabo, po cichu, drżąc z rozpaczy. —

[1] T. j. w Petersburgu.

Żegnam cię. Żegnam cię na dzień — na dwa dni — może na rok — może na zawsze.

Teraz jeszcze twa muzyka obwiewa mnie dokoła. Teraz jeszcze siedzisz przedemną, gdyby duch, co odlecieć ma i nie wrócić więcej — ale jutro o tej samej godzinie gdzież będzie twoja twarz, twój głos, twoja szata czarna? — Dla mnie już nie będziesz na tej ziemi — oto jest łoże śmierci teraz, na którem konam, a ty przyśpiewujesz mojemu zgonowi. —

Śmierci się nie boję — niechaj kula piersi przeszyje — niechaj gorączka przepali ciało — ale tak umierać, jak w tej chwili. — Ale konać bez nadziei — wśród ludzi, którzy mnie nie rozumieją — wśród czterech ścian białych — i nie jęknąć — i nie westchnąć — tylko milczeć i patrzeć na ciebie i wiedzieć, że cię nie ujrzę już więcej, jest losem, którym Bóg karze potępieńców piekła. —

A twój głos tymczasem się rozlega — wznosi — zapełnia komnatę — płynie w dźwięcznych falach. — Oni cię słuchają i myślą: »Ona pięknie śpiewa« — a ja słucham i myślę: »To dzwony mojego pogrzebu«.

Ale nie chcę narzekać — trza być podłym, by się żalić, że czekają męczarnie, kiedy minęło szczęście. —

O, gwiazdo tej, którą kocham, przyświecaj lubo jej drodze! —

O, aniele stróżu tej, którą kocham, roztocz skrzydła i zlej na nią oasis[1] cieniu wśród tej pustyni świata. —

---

[1] Oasis (z arab. *ouadi*, dolina, gdzie jest woda) — oaza, wyspa zielona wśród piasków pustyni.

O, ciernie, które kaleczycie mi stopy, nie zarastajcie nigdy jej ścieżki. —

O, róże, które nigdy nie kwitniecie na moich szlakach, otoczcie ją waszym rumieńcem i wonią. —

Skończyła się modlitwa — czegóż czekać dłużej? Wyrzeczmy ostatnie słowo — słowo, które jest całą duszą moją: »Żegnam ciebie — bądź zdrowa«!

Mój głos już nie wydoła moim uczuciom — słabieję, rozprzęgam się, krew mi od serca odbiega, a serce gdzież się podziało — serce gdzie? Jeszcze raz powiem: »Żegnam ciebie«.

Jakieś marzenie nadeszło. —

Ot — tam — widzisz? — są lody i wyspy z lodu i lądy ze śniegu i trochę mchu na nich — i dali mi lampę do ręki i rzekli: »Oto słońce twoje«.

Ja błądzę. —

Cóż to się znaczy? Jeszcze trwają dźwięki — z jakowejś opery piosnki słyszę. — Ty jeszcze stoisz przedemną — śmiejesz się i radujesz. — Bądź błogosławiona i za twoje łzy i za twoje uśmiechy! —

Szaleństwo przymila się do mnie — ono ciągnie mnie do siebie, tuli, ściska, aż mi się mózg zawraca. — Ta świeca, która się pali przedemną, dłuższe ma życie odemnie — bo już zagasłem od chwili, kiedy rzekłem: »Żegnam ciebie«. —

Zaśnijmy snem, którym zasypiali męczennicy w więzieniach starego Rzymu. —

26 sierpnia 1832, Opinogóra.

MAŁGORZATA Z ZEMBOCINA

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH XI WIEKU.[1]

[1] Utwór przypisywany Z. Krasińskiemu; pomimo nie dowiedzionej jeszcze autentyczności, umieszczamy go dodatkowo w tem wydaniu, ażeby ułatwić dalsze w tej mierze badania.

Podanie, na którem nasz autor osnuł swą powieść, tak opowiada Marcin (właściwie: Joachim) Bielski w swojej »Kronice polskiej« (Warszawa 1829, str. 195):

»Tym czasem, [t. j. kiedy Bolesław Śmiały bawił w Kijowie], też żony szlacheckie polskie wszystko złe doma broiły, zwłaszcza że mężów już siedm lat nie widziały, i przetoż jedne męże insze spojmowały, drugie też dzieci bez mężów znabywały. Bo ta młódź, która doma została, na wszytki zbytki sie była udała, tak iż drugie białogłowy cnotliwe trudno sie wysiedzieć z pokojem mogły przed nimi. I przetoż piszą kronikarze o Małgorzacie Zębockiej, Mikołaja Zębockiego żenie, że widząc rozpustę takową, aż sie była zamknęła na wieży przy kościele w Zębocinie, mila od Proszowic, ze dwiema siostrami i tamże sobie strawę ciągnęła powrozem, a drzewiej nie chciała stamtąd wyniść, aż ujrzała męża swego«.

I.

— Próżne, próżne są wszystkie moje zabiegi! Ależ miejmy jeszcze nadzieję! Marya jest siostrą tej zadziwiającej kobiety, ona jej ufa, jak sobie — może ją przecie nakłoni. —

Tak mówił młody Wacław, młody pan na Siewierzu, i, złożywszy głowę na miękką murawę, utonął w dumaniach. Twarz jego, zamglonem światłem księżyca oblana, wystawiała rzetelny obraz tęsknoty i udręczeń duszy młodzieńca. Głuchy szum jesiennego wiatru powtarzał w głębi borów jego westchnienia, a samotna na spróchniałym dębie wrona śpiewała mu złowrogą piosnkę. — Lecz jej Wacław nie słyszy; tylko ciało tu jego, duch zaś, duch w krainie wyobraźni, z przepaską marzeń młodości na skroniach, daleko od ziemi, daleko buja i roi. Szczęśliwa maro ułudy, jakiż to nektar z swojej wytaczasz czary! Zapaleniec młody ściga za tobą wszędzie i nie prędzej w swojej ustaje pogoni, aż chłodna jesień świeżość róż na jego licach powarzy i letnie skwary olśnią bystrość spojrzenia; wtenczas krótko-wzroki, zimny badacz szuka owego swobód motyla w rzeczywistym świecie, za którym aż dotąd gonił w urojeniu. — Znajduje go i natrząsa się z owych, którzy na szczeble tejże samej drabiny wstępują.

Wacław był w zupełnej życia swego wiośnie. Kopię kruszyć, dzielnego dosiadać rumaka, harcować z siłą olbrzymią, za wiarę, ojczyznę i skrzywdzoną piękność krew swą przelać — te były cnoty młodzieńca, ta była powinność rycerza, której on z chlubą hołdował. — Jakkolwiek niewiele jeszcze zim przeżył, a już Jaromir, Bela, Izasław doznali przysługi jego oręża, a już Wołyń i Przemyśl widziały jego wawrzyny i rączy dżanet unosił go pod złotemi bramami Kijowa, kiedy

Bolesław Śmiały odnawiał na nich kresy Chrobrego — Lecz, chociaż walki w sprawie słuszności były mu miłe, przecież syn w nieskażonem, w prawem sercu swojem ma jeszcze inne rozkosze: opuścił pole chwały i, pełen zaszczytów, przybył do starego ojców zamku. — Lecz jaki widok! Tylko cichość i jęki snują się dokoła niego, a gwałtowność serce mu uciska. — Chwyta za oręż, rozpuszcza wodze karemu i rad walce, jeśliby najazd jakowy bezkarnie grób ojca plondrował. — Przecież jakaż odmiana! Zimnym uściskiem powitał go giermek stary, nie wymówił słowa i na bogate wprowadził komnaty. — Wszedł niespokojny rycerz, wszedł i ujrzał ojca na śmiertelnem łożu.— Mówią, że starosta już był umarły, ale krzyk Wacława przywołał raz jeszcze duszę jego, a ojciec raz jeszcze uścisnął syna, raz jeszcze radośny uśmiech rozjaśnił mu lica i z całym urokiem ojcowskiej miłości i szczęścia przymarł do nich na zawsze.

Stracił więc ojca młody Wacław, zostały mu wielkie po nim dostatki, opływał we wszystko — przecież nie był szczęśliwym. Anioł rozkoszy, jeżeli tak cnotliwą niewiastę nazywać się godzi, wyciskał mu łzy boleści, łzy tem więcej godne politowania, że niestety, bez nadziei skrapiały sine jagody jego.

— Panie! Dobrogniew już jest w zamku; rozkazałeś, ażebym ci natychmiast o jego powrocie doniósł — przerwał nakoniec Wierosz dumanie Wacława.

— Co? Dobrogniew już powrócił? — zawołał Wacław głosem przestrachu i pomieszania i, jakby piorunem rażony, porwał się z murawy. — Uśmiechnął się dziką radością a tak, pobladły i milczący, wszedł do bogatego oraz czasem zczerniałego zamku, jak ów nieszczęsny, który znienawidził świat i ludzi i jego szczęście.

II.

Zembocin,[1] posiadłość dzielnego Mikołaja, niedaleko Krakowa, był jedynem miejscem, kędy Wacław mógł złożyć cię-

[1] Zembocin — wieś w pow. miechowskim, gub. kieleckiej, w Królestwie Polskiem.

żar swojego udręczenia, owo brzemię trawiącej go okropności. Zembocin był rajem dla niego. Tu on wszystkie powaby, wszystkie wdzięki czarownego świata widział, tu się zbiegły wszystkie promienie nieodgadniętych uroków dla niego. — Samo przecież miejsce nie miało żadnej ułudy, nawet piękności; owszem, odkąd Mikołaj opuścił to siedlisko i poszedł w szeregach Bolesława Śmiałego na polu chwały marne zbierać wawrzyny, odtąd głucha spokojność, a niekiedy posępna cisza odstręczała wesoły uśmiech i swobodę śmiertelnych. — Przecież był tam jeden punkt świetny, jedna szczęśliwa gwiazda, której promienie błyskały jakimś tajemniczym, czarodziejskim, niewypowiedzianym zachwytem w oczach Wacława. —

I istotnie, było to rzadkie zjawisko na ówczasowym moralnym widnokresie, rzadka niezłomność, święta wiara małżeńska, rzadka moc nad sobą i niezachwiana stałość najpiękniejszej swojego wieku kobiety. Małgorzata było jej imię. Gdyby sama tylko uroda, sama czarująca w niej postać były jedyną jej okrasą, możeby Wacław był pominął te edeńskie[1] róże, których barwa nietrwałą, a rozkosz tak krótką jest w życiu człowieka, jak małą jest kropla w porównaniu niezmiernych wód oceanu. Ależ, niestety, powaby Małgorzaty nie były to z powiewem wiatru czasowego ulatujące wdzięki; posiadła ona cenniejsze bez granic, anielskie przymioty duszy i te to zachwyciły Wacława. Czegożby on nie oddał, czegożby nie poświęcił, byle wzajemność pozyskał! — Przecież ona, ona ślubowała wiarę Mikołajowi, ona ślub swój zaprzysięgła przed Bogiem! Któryż dzień, która upłynęła chwila, ażeby nie wspomniała na oddalonego męża, ażeby w przerażającym niespokoju nie ścigała go myślą po polach bitwy, między rannymi albo martwemi ciałami poległych! Minęła wiosna i zima, i jeszcze wiosna, a tęschna Małgorzata wyrywa westchnienia i powierza je wiatrom i czasowi. Nie wraca Mikołaj, Mikołaj w bogatym Kijowie nie walczy, lecz w gnuśnej bezczynności wiedzie z Bolesławem życie, niegodne rycerza. Wolna, sama —

[1] Edeński od eden (z hebr.) — raj (właśc. rozkosz, miejsce rozkoszy).

jakże jej przykro, jakże gorzko mijają godziny! Jak słońce pod spiekłem południa niebem trawi zarazem rośliny i kwiaty, tak ona więdnie, usycha obawą, tęschnotą i niepokojem bez przerwy. Wacław, sam Wacław tem straszniejszym dla niej staje się obrazem, im więcej widok obłudy, zalotności, wstydu i hańby malują jej tysiączne złośliwe wieści. — Zważając jej stan i położenie, zdawała się ona być samotną różą na dzikiej skale, a wkoło niej pełno czołgającego się gadu. — Lecz gad ten nie strawi jej w przemorze[1] swoim. — Jest opiekuńcze bóstwo cnotliwej piękności! — Pod jego tarczą, przy swoich kolcach nadto bezpieczną być może swojego życia.

III.

— Pójdź, Wacławie, tak, pójdź! — rzekł pomieszany Dobrogniew i spojrzał na nieszczęsnego i zamilkł. I Wacław zbroję zdjął z kołka i miecz szeroki przypasał, czarną przyłbicę, czarny pancerz włożył i, gęstą jesienną mgłą okryty, szedł przez lasy, knieje, szedł cicho za giermkiem. — Już są blizko Zembocina. Jakiż widok przed Wacława obliczem! Huczna muzyka brzmi w całym ogrodzie. — Tłum młodzieży snuje się w domu Mikołaja, goreją tysiączne światła i wesołe taneczników koła pląsają radośnie. —

— Okropna prawdo! — zawołał Wacław. — Dobrogniewie, przekonywam się, że Małgorzata pogardza mną dlatego, że kocha Zbiluda! Tak, wierzę z pewnością, że ta uroczystość jest uroczystością weselną! Wiem, że Mikołaj nie powrócił, a Zbilud moim był rywalem. Ach, odniósł zwycięstwo! — Płocha niewiasto, Zbilud, obłudnik chytry, zwodziciel, jakże ci się odpłaci? Ubóstwiż twoją piękność więcej, niżeli ludzkość?... Lecz nie... wiem, co uczynić. Dobrogniewie, przekonałem się i dosyć mi na tem — porzućmy te miejsca, powrócę, tak, wkrótce tu powrócę! —

Rzekł i ze zgrozą spojrzał na mieszkanie Małgorzaty. Odszedł i jeszcze się obejrzał, zadrżał i jeszcze patrzał na rzęsi-

[1] Przemór — głód.

ste światła przez mgliste wyziewy, a piosnka okrutna grała mu w sercu bez ulgi, bez końca. — Minęło już pół nocy. Wacław wszedł do zamku swojego, zdjął zbroję i, nie przerywając nikomu spoczynku, starego tylko giermka zatrzymał przy sobie. — Westchnął z głębi, z pełnej boleści duszy i rzekł Dobrogniewowi:

— Nie wypełniłem mojego zamysłu, lecz wkrótce uczynię sobie zadosyć. Tobie, jedyny mój przyjacielu, powierzam dom mój i te papiery, czarną zamknięte pieczęcią, które, jeśli nie powrócę, czy tą razą, czyli inną oddasz Małgorzacie.

— Jakto? — ze łzami zawołał giermek stary — chcesz sobie życie odebrać, panie? Przez krzyż Zbawiciela, jakaż cię opętała pokusa? Dla kobiety, która o ciebie nie stoi, dla kobiety, która odrzuciła z pogardą twą rękę i, rozwiedziona z mężem, zaślubia innego? Panie Chryste, oddal tę pokusę od mojego dobrego pana! Zlituj się nad nim! —

— Dobrogniewie — przerwie mu Wacław — także to mało znasz tego, którego na swoich wypiastowałeś rękach? — Ja miałbym sobie życie odbierać? — Nie, nigdy! — Jakaż to małość byłaby moja! Nie, Dobrogniewie, dźwigać będę ten ciężar dopóty, dopóki on sam mnie brzemieniem swojem nie zgniecie. — Lecz moje dalsze zamiary wiadome ci być nie mogą na teraz. Oddal się, proszę, odemnie! — Wypocznij! Ten spokój zbyt jest potrzebny ciału i duszy twojej.

— Ależ, panie...

— Natychmiast! Rozkazuję!

Surowy wzrok zapaleńca przeraził starca; wyszedł on i zapłakał. Zapłakał i Wacław, który nie był obłąkanym, ale tylko bardzo, o, bardzo nieszczęśliwym. — Siadł potem do stołu, wziął papier i długo jeszcze w nocy tajemnicze kreślił znaki. — Powstał wreszcie, nie udał się na spoczynek, ale wzdłuż i wszerz komnaty przechadzał się milczący; nakoniec spoczął i w uniesieniu swojem, rozważając życie człowieka, zawołał:

— I cóż jest to życie?... Kwiat polny, którego albo burze albo gad zagubi, dąb twardy, którego ostra siekiera wytępia i drzewem jego wykłada podłogi ziemskich półbogów, albo święte stawia z niego przybytki lub kosztowne wyrabia

sprzęty, lecz zawsze robak go roztoczy i czas popiołem na tej ziemi potrząśnie! Tak, to jest ziemskie życie moje. Ciało moje, jak kwiatek polny albo dąb stuletni, zniknie z tego przestworu. — Lecz jest inne życie, jest świat inny, o Małgorzato, jest świat inny i inne życie! — Dobry Bóg. — Dobry jest Pan nasz. —

Kiedy słów tych domawiał, schylił głowę i zasnął. — Zdawał się być zupełnie spokojny, a na twarzy jego przez sen jaśniała swoboda niewinnej duszy, błogi nektar cnotliwych. Chylił on go długo z czary zachwycenia, lecz, gdy dotknął dna samego, na którem gorycz osiadła, zadrżał i przebudził się. Twarz jego przybrała znowu wyraz całej okropności i katuszy. Dał znak Dobrogniewowi, przyszedł i odebrał polecenia. Sam zaś Wacław z kilkunastu zbrojnymi, w zwykłej rycerza odzieży opuścił zamek i ku Zembocinowi pośpieszył.

IV.

Ustały zembocińskie gwary, huczna biesiada rozpierzchła się zupełnie, a cisza i posępne milczenie znowu zaległo gród Mikołaja. Dawny tylko dworzanin ze swoją połowicą Dorotą, uprzątając komnaty, tak z sobą rozmawiali:

— Biedna też to prawdziwie ta nasza pani! Nazlatuje się, wie go Bóg kto, do domu i rada nie rada musi gościnnie podejmować wszystkich.

— Pocóż tak czyni? — ozwie się Dorota. — Nie może zamknąć przed nosem bramy tym gachom?

— Dziwna ty jesteś, Dosiu. Czy nie słyszysz codziennie, jak zewsząd dochodzą odgłosy napadów, uwięzień, rabunków, gwałtów i tysiącznych bezprawi? Niechajnoby uchybiła któremu! Niestety, odkąd król nasz Bolesław wyjechał z rycerstwem, odtąd żadnego bezpieczeństwa, żadnej obrony nie mają żony rycerzów; oni bawią w Kijowie, a w ich domach gości po większej części niewiara i hańba. Gdybyś ty wiedziała, jak ja się obawiam o tę piękną, o tę dobrą panią naszę. —

— No, i czegoż się obawiasz?

— Jak mi się zdaje — rzekł Junosz — ta jej szlachetna stałość w niezłamaniu wiary dla męża i opór zgrai, która w niesłychanem natręctwie ubiega się o nią, żeby się tylko nie skończyła na uwiezieniu i zniszczeniu progów tego domu!

— Co ty zawsze rozprawiasz, stary!

— Ja, co mówię, nie mówię tylko z domysłu; dałby to Bóg, żeby się nie stało, ale żebyś wiedziała, co ja wczoraj słyszałem...

— No, cóżeś słyszał?

— Oto, kiedy się poupijali słudzy Zbiluda, Zemy, Sambora, Bodzanki i innych, pomrukiwali jeden do drugiego: »Niechajno więcej odwłóczy: już my tu zapewnie raz ostatni po przyjacielsku!« O, te wyrazy na wskróś przeszyły serce moje!

— I ty zawsze dostrzeżesz coś nadzwyczajnego tam, gdzie tylko sama niedorzeczność! I cóż pijani mieli robić? Gadali, co im się podobało. Sprzątałbyś lepiej, oto idzie pani z małym Swiętosławkiem i z siostrą swoją, Maryą!

— Oddalcie się na chwilę, moi dobrzy przyjaciele — odezwała się Małgorzata do Junoszy i Doroty.

Skłonili się słudzy i opuścili panią.

— Siostro moja — rzekła Marya — cóż więc czynić będziemy? Zbilud, Zema, Sambor, Bodzanka, każdy z nich ostatniej żąda odpowiedzi. Jeżeli przeciwną odbiorą, nieszczęśliwa małżonka Mikołaja, nieszczęśliwaś, siostro moja! — Jeżeli jednemu z nich oddasz swą rękę, zginie on zapewne od trzech innych. Będzie cię zmuszał drugi do ślubów, a może każdy z nich w szczególności. Znasz wyuzdane chucie tych zuchwalców; jakąże przeciw nim masz obronę?

— Moją niewinność i wierność — zawołała z trosków swoich, jakby z letargu, przebudzona Małgorzata. — Tak, moją niewinność i wierność — powtarzała z zapałem. — Zbrodniarz tylko martwego mojego ciała stać się może panem, ale nigdy ożywionego tym boskim, nieskazitelnym płomieniem miłości, który-m Mikołajowi u stopni ołtarza ślubowała.

— Ach, siostro, jeżeli życiem pogardzisz, w cóż się obrócą te twoje całe nadzieje, ten Świętosławek mały?

— Maryo, czy też prawej małżonce wiara i nieskazitelność

są mniej milszemi, niżeli matce jedyne, o Maryo, jedyne jej dziecię?

— Najdroższa siostro, widzę okropne cierpienia twoje; lecz posłuchaj, a możesz im koniec położyć! Wczoraj trzech powróciło rycerzy z Kijowa; oświadczyli oni, że Mikołaj nie żyje.

— Kto ci o tem powiedział? — przerażającym i pomieszanym głosem zawołała Małgorzata.

— Ten — rzekła Marya — co jedynie i najgodniej miejsce jego zastąpić może, który nas przed najokropniejszą burzą zasłonić tylko zdoła.

— Kto?

— Wacław — odpowiedziała Marya.

— I tyżeś to imię wyrzekła! Ach, lękaj się, najsłabszej mojej dotknęłaś strony! Nie, Maryo, oszukano cię, zdradzonaś!

Wtem porwała się Małgorzata z krzesła i dalej mówiła:

— Jutro położę koniec wszystkiemu; mam sposób! Tak, w grobie mieszkać będę, ale nieskażona, ale niewiarołomna!...

V.

— Tak więc dumna Małgorzata odpowiedziała, pogardziła ręką Zbiluda! — rzekł Zbilud.

— I Sambora! — rzekł Sambor.

Toż samo powtórzyli i Zema i Bodzanka i przy świszczącym wietrze wokoło okien, przy kominkowym ogniu dumając i wychylając liczne kielichy miodu, przemyślali nad pomstą obrażonej zalotnych rycerzów sławy.

— Długośmy — rzekł Zbilud — uginali swoje kolana przed tem zatwardziałem bóstwem; teraz prócz hańby cóż nam pozostaje?

Rzekł i tylko szczęk oręży odpowiedział na zapytanie. Każdy z swojego powstał miejsca i, w inną rozchodząc się stronę: »Zembocin o północy!« — zawołał z oburzeniem. Sam tylko Zbilud pozostał. Chodził, dumał, a ze wszystkiego, co się malowało na jego twarzy, domyślać się można było, że w zdradzie zdradę knował. Nie szło mu zapewne o pomstę,

ale o samą Małgorzatę, o porwanie jej samej. Jakichże znaków nie pisała na jego twarzy rozpasana namiętność! To jakiś niezwykły uśmiech przebiegł po jego licach, to znowu pewien rodzaj grymasu dziwnie zaciskał jego policzki, to znów przymrużył oko i sine usta zadrżeniem odpowiedziały wzrokowi, to stanął, jak wryty, i w zachwyceniu poklasnął piekielnym zamiarom i tysiączne przemiany kształtów i postaci wyrażały okropną walkę duszy jego pomiędzy niepewnością a osiągnieniem celu. Wreszcie skończył straszne dumania swoje, świsnął — i cały orszak już był gotowy; przyprowadzono mu jego bieguna, skinął i tylko smutny pogłos odbił głuchy tentent rumaków w dolinie. Noc była straszna, przeraźliwy bez ustanku dął wicher i siekł zewsząd mokrym żywiołem, który natychmiast przymarzał do lic i zbroi; ciemność, razem wycie wilków, grożący wystawiając obraz, zdawało się wstrzymywać zuchwalców od wykonania zbrodni. Ale kiedyż występnik, zapalony ogniem niecnoty, zważał na trud, niebezpieczeństwo i okropność wypadku? Człowiek w tej chwili nie jest niczem więcej, jak najprzebieglejszem zwierzęciem.

Szedł Zbilud ze swymi, a wtem: »Zembocin o północy!«— krzyknięto zewsząd. — Poznali się towarzysze wyprawy, połączyli i ruszyli dalej; zgroza i milczenie szły za ich śladami. Z niecierpliwością błotniste przebywali drogi, a grzęznąc w rozmiękłej, gliniastej ziemi, łajali nieprzychylnemu żywiołowi, że on sam jeden odważa się niejako walczyć w obronie cnoty. Przebyli wreszcie ślizkie dolin i wzgórzów ścieżki i cichej zdrady weselem powitali przedmiot swoich upragnień. Już są pod Zembocinem, już zbrojnym ludem wkoło wieś opasana. Budzą się wieśniacy, posępnym jękiem na gwałt zwołują dzwony, wierna drużyna nieszczęsnej Małgorzaty zbiera się przy boku swej pani. Osłonią-że ją te małe zastępy przed tak nawalną przemocą? Nieszczęśliwa ofiara, kiedy ją dzikie otoczą tygrysy, ale nieszczęśliwszy człowiek, kiedy zapomni, że jest człowiekiem!

VI.

Wacław nie był ani mściwym, ani gwałcicielem bezpieczeństwa publicznego, lecz był obrońcą słabości. Nie zdołał on ująć cnotami Małgorzaty, osądził przeto, że jej serca tem bardziej nie pozyskałby przemocą ni gwałtem; owszem, szanował tak wielką cnotę kobiety — i gdyby kto inny, nie Zbi lud, znany mu z podłości i zdrady, był pozyskał (jak on mniemał na zasadzie mylnego wywiedzenia się) rękę Małgorzaty, byłby nie rozrywał węzła, który obojga połączał. Lecz w tym razie litował się nad Małgorzatą i umyślił krwawo rozprawić się ze Zbiludem, sam zaś po zabezpieczeniu cnocie swobody i spokoju postanowił daleko od ludzi pędzić dni nieszczęsne, marzyć o swoim aniele, którego mu okropne losy wydarły. — Ale kiedyż to rachuba człowieka może być niezawodną? Niemasz bezwątpienia pomiędzy ludźmi przeznaczenia, przecież jest pewna loterya szczęścia, w której tylko ulubieńców fortuny numera wygrane spotykają. Zaufany w pomoc swojego oręża i swoich, zbliża się pod Zembocin i niebo chciało, że w najdogodniejszej porze; słyszy zgiełk i jakieś hałasy i nierozeznane gwary pomieszanych tłumów. — Pierwszy odgłos tego dzikiego wesela wzruszył w nim jeszcze dzikszą radość. Mniemał on, że to głos uciech, zabawy i szczęścia.

— Za mną! — krzyknął ponurym głosem, miecz jego mignął się, jak błyskawica i już jest u wrót podwórza Małgorzaty. Lecz jakiż widok, jakie zdziwienie Wacława! Junosz wierny, stary sługa Mikołaja, okryty ranami, śpieszy do niego, poznaje go, wyciąga ku niemu ręce i woła:

— Panie, ratuj Małgorzatę! Zbilud, Zema, Sambor i Bodzanka wydarli jej syna, samą zaś uprowadzili. Ostatek tylko zgrai plądruje po domie; tą, na lewo, ujechali drogą.

Na te słowa Wacław odwisłą z mieczem opuścił prawicę; pobladł, zadrżały mu kolana, jakby nie śmiał kroku postąpić dalej, głazem stoi na miejscu. — Tak cisza poprzedza straszną w przyrodzeniu burzę, ciągną przez chwilę ciężarne gromami chmury, głucho jęczą sine obłoki, a drzew gałęzie w milczeniu drżącymi kołyszą liściami — uderza piorun, a noc i zni-

szczenie zalegają bujne niziny i dzikie puszcze — tak się porwał Wacław, lotem błyskawicy doścignął nikczemnych, rozproszył, krwią Zbiluda jego czarną zmazał zbrodnię; lecz napróżno, nie ocalił Małgorzaty, nie znalazł jej nigdzie! Próżno śledził Świętosława, i tu chęci jego były daremne. — Dopiero, gdy dognany Zema równym Zbiludowi skonem wyzionął duszę, znalazł Wacław najdroższe skarby Małgorzaty i na zbroczonych rękach uniósł do Zembocina. Ach, jakież zdumienie, jak przerażający zastał tam widok! Pełno ciał martwych, żadnego z ludzi nie zastał przy życiu; reszty tylko domów dotlewały w perzynie. Ryk nawpół żyjących lub opalonych bydląt byłby wzruszył najokrutniejsze serce, a widoczna boleść, jaką ten obraz i utrata matki wyciskała na licach Świętosława, była tak roztkliwiającą, że sam sprawca tej okropności byłby zapłakał. Wacław po utracie nadziei znalezienia Małgorzaty powrócił z Świętosławem do zamku swojego. Kochał syna Małgorzaty, pieścił, jak ojciec; szczęśliwy przynajmniej tą chwilą, czynił ulgę zbolałej duszy.

Nie przestał jednakże na tem. Dobrogniew natychmiast otrzymał zlecenie wszelkiego dołożyć starania w dowiedzeniu się lub o skonie Małgorzaty albo, jeżeli jeszcze żyje, o jej pobycie. Usłużny, wierny, przychylny giermek stary ze łzami poszedł jak najśpieszniej dowiadywać się o los Małgorzaty, a to z takiem poświęceniem się, jakby własnego utraconego szukał dziecięcia.

VII.

Niedaleko Zembocina leżą Proszowice.[1] Dzień był pogodny, ciepławe słońce gasnącem życiem zwolna przechodziło nad krainą śmiertelnych. Pożółkłe dawnych jaworów i modrzewów liście szeroko zasłały ziemię, a w uroczystej jesiennej dobie rozciągnięta powszechnie pajęczyna wiła się po

[1] Proszowice — pierwotnie wieś królewska, później miasto, dziś osada miejska w pow. miechowskim w Król. Polskiem.

grobie natury, jakby godło szczytnej ziemskości. Spokojna żałość tułała się po czarnych, pługiem poprzewracanych niwach, a wesoła pieśń oracza malowała ten obraz w dziwnej sprzeczności. Żadne wspaniałe gmachy nie zdobiły Proszowic. Kilkanaście chat rolniczych, drewniany domek boży, a na nim wysoka, blaszana wieża składały całą ozdobę wioski. O tej wieży dziwne były rozmowy ludu. Kiedy wieczorem przedzwoniono na Anioł Pański, a ponury dźwięk dzwonów jeszcze brzmiał w powietrzu, powiadają, że tam jakaś dziewica, czyli zaklęta królowa, z różańcem w ręku stawała bardzo często u żelaznej kraty wieżycy i nabożnie przesuwała paciorki. Ależ najczęściej widzieć ją było można w cichym, późnym wieczorze, kiedy blady księżyc posrebrzał czarne, posępne ściany kościółka, a szczególniej, kiedy po zasępionem niebie walczyło światło jego z mglistymi chmur bałwanami. Widziano ją wtenczas, jak cień stojącą; wzniesione oczy za światłem księżyca i w całej postawie przenikający wyraz pobożnego dumania zdawały ją się przedstawiać jak ducha, wzlatującego wysoko, wysoko, do czystego świętych raju. Lud rzadko odwiedzał wówczas te miejsca, a dzieci straszono widziadłem. Żaden do środka wieżycy nie miał przystępu, sam zaś pleban z poszanowaniem o niej wspominał. Tajemnica była nieodgadnięta. Po długim przeciągu czasu raz tam jedynie widziano z niemałem podziwieniem w wiosnowej nocy starego pielgrzyma, który mimo widoku mary przesiedział pod wieżycą i, w swoje odchodząc strony, opowiedział, że to nie były strachy, ale żyjąca dusza czysta. »Słyszałem tego anioła na pokucie — powiadał osiwiały pielgrzym — tęsknił za najdroższem dzieckiem swojem, wymawiał lube imię Świętosława, wspominał Mikołaja, bolał nad gruzami Zembocina i słyszałem inny głos jeszcze, który mówił: »Cudowny i opatrzny jest Bóg nasz! Małgorzato, nie rozpaczaj, rozpacz słabych dusz udziałem! Nie uwierzysz: jakieś radośne przeczucie, jakąś niebieską mam otuchę, że wysłuchane zostaną błagania nasze, że ujrzymy jeszcze Mikołaja, ujrzymy już podrosłego Świętosława!« — »O Maryo, Maryo, gdyby to być mogło!« rzekła mniemana od was mara i, ślicznym, rozpuszczonym włosem błysnąwszy

u kraty, spostrzegła mnie siedzącego. Zmięszana, przypatrywała się z bojaźnią i tajemniczym niepokojem, przywołała Maryę i zawołała z cicha: »Któż to jest, siostro moja?« Powstałem, a rzekłszy jej tylko: »Cudowny i opatrzny jest Bóg nasz«, oddaliłem się śpiesznie; lecz słyszałem jeszcze, jak z pokorą powtarzano moje słowa, całą zaś wieżę napełniło jakieś wesele i radość, a wieżyca tak piękną była, jakby w niej aniołowie mieszkali«.

Tak mówił ludowi pielgrzym; lecz kto on był, gdzie poszedł, nikt tu w Proszowicach pomiędzy ludem nie wiedział. To tylko uważano, że po niedługim czasie od pobytu pielgrzyma znikło widziadło i nie mówiono więcej o zaklętej królowej z różańcem w ręku.

VIII.

Upłynął rok, drugi i trzeci, upłynął jeszcze jeden, drugi i trzeci. Dobrogniew w tym przeciągu czasu wracał i znowu na wzwiady wychodził, lecz próżne jego zabiegi, nic nie wie o Małgorzacie. Sambor nie uwiózł jej z sobą, bo on sam siedzi w czarnym krakowskim lochu za podobną, jak zembocińska, zbrodnię. Bodzanka równie nie posiada jej ręki, bo dotąd z innymi zalotnikami szuka jeszcze i śledzi Małgorzaty. Smutny Wacław w gotyckim zamku swych ojców trawi ciche godziny. Rdzewieją porozwieszane na ścianach kindżały i rohatyny,[1] a ognisty kary zapomniał turniejowych harców; Świętosławek tylko potrzaskuje wkoło niego biczykiem i bawi się zaśniedziałą zbroją rycerza. Spoglądając na niego, Wacław cieszy się, raduje w bolesnej duszy igraszką małego chłopczyny.

— Biedny chłopczyno! Gdybyś ty wiedział, czyim jesteś więźniem, gdyby ci gorycz serca mojego w twoje uczucie przelaną była, gdybyś na łonie matki całował szanowne jej ręce, błagałbyś ją zapewne za mną, błagalibyśmy ją obadwa!

[1] Rohatyna — włócznia do rzucania na nieprzyjaciela; wedle A. M. Fredry, długość jej ma być 5 łokci albo trochę więcej.

Może, możeby ulitowała się nademną. Ależ, o próżna myśli!... mógłżebym wiernej, prawej małżonce tak bolesne zadawać rany, mógłżebym ją wystawiać na najsroższą walkę najświętszych jej powinności dla Mikołaja z tak wielkim okupem swojego własnego dziecka? Daremnie, daremnie — jestem nieszczęśliwy i nim wstąpię do grobu.

Kiedy tak duma Wacław, nagle jakiś zgiełk rozlega się w podwórzu zamkowem. Zadziwiony, bierze za rączkę Świętosławka i biegnie ku drzwiom komnaty; ależ, zanim doszedł, otwierają się nagle i Dobrogniew po trzech latach podróży stawa przed jego obliczem. Uścisnął go i najśpieszniej o nowiny zapytał.

— Bądź spokojnym, Wacławie! — rzekł, przerywając, Dobrogniew. — Małgorzata żyje jeszcze.

— Żyje! — wykrzyknął młody pan na Siewierzu[1] z niewymowną radością i łzami zalał swe lica. Ucichnął Dobrogniew, a po chwili radośnego płaczu Wacława i rzewnych westchnień zapytany od niego, gdzie i czy wolna żyje:

— Wolna — rzekł — chociaż zamknięta w więzieniu.

— Jakto? — przerwał mu Wacław. — Mów jaśniej!

— Po długim, nadaremnym utrudzie, kiedym odległe zwiedził krainy i nie mogłem powziąść żadnej wiadomości o Małgorzacie, postanowiłem wrócić do domu. Szedłem obok byłego Zembocina. W blizkości tych gruzów leżą Proszowice, w nich jest kościół, a na nim wyniosła wieżyca. W ciepłej maja nocy spocząłem pod nią i — o zjawienie! — usłyszałem głos niewieści, wychodzący z ciemnego otworu wieży. Przysłuchuję się, rozważam, aż tu, o cuda, słyszę głos... Małgorzaty i Maryi! Chowając głęboką tajemnicę, badałem ludu o wieżę, lecz ten, jak zwykle, zamiast prawdy opowiadał mi same powieści o strachach i dziwach. Widząc, iż owi wieśniacy wcale o Małgorzacie nie wiedzą, udałem się do plebana, wymiarkowałem go, a potem oznajmiłem mu wszystko,

[1] Siewierz — miasto, dziś osada miejska nad Czarną Przemszą w pow. będzińskim, z pierwotnym grodem, na którego murach wzniesiono później zamek biskupi, dziś w ruinach.

i ten mnie nauczył, że w owej okropnej, straszliwej nocy, kiedy Zbilud, Zema, Sambor i Bodzanka napadli na dom Małgorzaty w skutku dania im ostatniej, pogardzającej nimi odpowiedzi, postanowiła była zamknąć się dobrowolnie przed zgrają lubieżnych, natrętnych rozbójników i żyć raczej w grobie, ale nieskażona, ale niewiarołomna.

— O szlachetna niewiasto! o szczytny wzorze prawych, nieugiętych małżonek! Więc nam źle o jej ślubach ze Zbiludem mówiono?

— Oszukano nas — odpowie Dobrogniew. — Ależ nie tu koniec — mówił dalej dobry, stary giermek. —. Czcigodny kapłan z nadzwyczajną bojaźnią i boleścią opowiadał mi, że Bodzanka podobno domyśla się już o schronieniu Małgorzaty i że wkrótce ta nieszczęśliwa kobieta znowu zagrożona będzie nową okropnością.

— O, nie, Dobrogniewie! — przerwał mu Wacław. Krew i życie prawego rycerza należy się obronie skrzywdzonej piękności.

Rzekł i natychmiast wydał rozkaz do zbrojenia się. Pocieszny to był widok, kiedy w drobnem Swiętosława ciele na hasło do boju męska zaczęła się radować dusza. Biegał, czyścił, dźwigał ciężkie żelaza i, nie umordowany, znosił, podawał mniemanemu ojcu oręże. Sam, w lekką przybrany zbroję, nie posiadał się z uniesienia. Jakież wrażenie czynił on na Wacławie, na tej tęschnej, rozżalonej duszy jego! Już wszystko było w pogotowiu. Młody rycerz szczególniej względem papierów na przypadek niepowrotu dał zlecenia te same, co pierwej, Dobrogniewowi i rzewnie go uściskał. Dano znak, spuszczono z głuchym łoskotem obrończe zamku mosty. Przeszła z wesołą odwagą zbrojna drużyna Wacława i pod samotną proszowicką wieżycę zmierzała niecierpliwie za wodzem.

IX.

Bolesław Śmiały, tylko garstką rycerstwa otoczony w Kijowie, musiał nakoniec opuścić siedlisko gnuśnej rozkoszy. Przebywa zatem Ruś i wjeżdża do Krakowa. Ileż skarg, ile

popełnionych zbrodni, w czasie nierządu pobytu jego w Kijowie zdziałanych, z przeraźliwymi jękami powitało króla i rządcę swojego! Rozesłano śledztwa na całe państwo. Skrępowanych zbrodniarzy bez wyjątku płci i godności stawiono przed oblicze królewskie, roztwarto więzienia, przywołano katów i z rozkazu surowego Bolesława krew płynęła potokiem, obmywając sobą straszny owoc nierządu, bezpraw i przemocy. Wróciło wielu rycerzy z Bolesławem, ale gdzież ich żony? — gdzie włości i mieszkania? — Nie poznali oni kraju swojego, ani znaleźli dzieci swoich, ani powitali małżonek. — Gwałtownie rozpasane, beztamowe rzeki dowolności zuchwalców i rozpustników pochłonęły nieomal wszystko. Niestety, ukarał też nieubłagany Bolesław okropną, przerażającą katuszą tak winy słabości, jak rozmyślne zbrodnie.

Z rycerską drużyną Bolesława powrócił także i Mikołaj, mąż Małgorzaty. Zadrżał on na ten niesłychany obraz swej ojczyzny. Wspomniał na swoją lubą i, świadek tylu okropności, oddalał straszne od niej domysły. Lecz jakiż widok stawił mu się przed oczy! Wszakże to Sambor, Sambor, zembockiego sąsiada dorodny syn, idzie w tych kajdanach na rusztowanie.

— Zatrzymaj się chwilę, poczekaj, Samborze! — krzyknął na widok jego Mikołaj. — Coś uczynił, nieszczęsny?

— Twoją żonę uprowadzić chciałem w wspólnictwie z Bodzanką, Zbiludem i Zemą; spaliłem twój Zembocin, nakoniec za podobną zbrodnię schwytany, okuty i za czyny moje po tę nagrodę, jak widzisz, idę.

Na te słowa oniemiały stał Mikołaj, a Sambor tak dalej mówił:

— Dziękuj Wacławowi, on ocalił twojego syna!

— Kto? Wacław, mój wróg najzaciętszy?

— On sam, mówię ci. Lecz nie dosyć: dziękuj proszowickiej wieży, że ci dochowała twoją Małgorzatę! Gdyby nie te okowy, byłaby się ona i tam przedemną nie skryła. Zbilud i Zema polegli z Wacława ręki, ale Bodzanka jeszcze wolny. Idź, śpiesz pod proszowicką wieżycę: może tej nocy ten twój anioł doskonałości niewieściej stanie się jego ofiarą! Bądź

zdrów, nie lituj mojego skonu, ze wszech miar zasłużyłem na to!

Wtem porwano ku rusztowaniu Sambora. Przerażony Mikołaj nie zabawił nawet chwili. Całą rotę rycerzy wziął z sobą i pośpieszył do Proszowic. Ile w ich sile było, dążyli szybko; ani przykrość dróg, ani utrudzenie nie kładło im tamy. Nakoniec, długo w noc jadąc, ujrzeli się pod Proszowicami. Ale nie samą tylko ujrzeli upragnioną wieżycę, lecz wieżycę, zbrojnym żołnierzem otoczoną dokoła. Opasujące ją żołnierstwo za pierwszem zjawieniem się Mikołaja silnie na rycerzy Mikołaja uderzyło; niemniejszy odpór i Mikołaj ze swojej dawał strony.

— Tak, to on, on zapewne, Bodzanka, ze swymi łotrami! — rzekł z cicha do swoich mąż Małgorzaty.

— To on, przyjaciele, to Bodzanka — odezwał się do swoich Wacław. — »Niewinność, cnota i powinność rycerza!« Takie okrzyknął hasło młody pan na Siewierzu i: »Za mną!« — zawołał.

Czemuż Mikołaj nie słyszał tego świętego hasła, na które najokropniejszy bój się rozpoczął? Mikołaj wacławowych, a Wacław jego towarzyszów broni, gdziekolwiek rumakami swoimi obrócili, jak martwe drzewa albo wielkie wycinali krzewy.

— O Boże! jakiż to krzyk? — ozwie się nawpół umarła Małgorzata w wieży do Maryi. — Mieliżby znowu straszni podpalacze Zembocina i tu mnie wyśledzić? Ach, nie inaczej zapewne! O Maryo, o siostro, jakież jeszcze na nas czeka przeznaczenie?

Tymczasem trwa bój zacięty, a czas i życie rycerzy wraz z ich krwią upływa. Mija noc, wreszcie powstaje świt białawy; wkrótce, o, wkrótce rozedrze on straszną zasłonę walczącym. Ależ tylko gdzieniegdzie już oni bój toczą. Płytkie żelaza prawie wszystkich wtrąciły w czarne wiecznej nocy przepaści. Mikołaj tylko z trzema już zostaje, a wacławowych nie widać nigdzie. Cóż się z nim samym, niestety, dzieje, cóż z Świętosławem? —

— Dzięki niebu — zawołał wreszcie Mikołaj — pozwolono

mi przecie ocalić moją najdroższą Małgorzatę! O, jakże to słodka nagroda tylu utrudzeń moich! Lecz cóż to jest? jakaż to śliczna dziecina w tej zbroi pochyla się i płacze nad zwłokami tego zapewne zuchwalca, który się odważył hańbić progi mojego domu? Przybliżmy się! Co widzę? Tyżeś to, Wacławie!

Na ten głos, jakby przywołany do życia, Wacław, zamglonem śmiertelnością okiem wlokąc po postawie Mikołaja

— O nieba — zawołał — więc nie z Bodzanką walczyłem!

— Więc nie z Bodzanką walczyłem! — gorzko zawołał i Mikołaj.

— Podaj mi rękę, Mikołaju! — rzekł Wacław. — Żegnam cię, przyjacielu! — Oto syn twój — a tam, tam, na tej wieży najukochańsza odemnie, nieskazitelna i mojem życiem ocalona żona twoja. Żyj szczęśliwy, o skonie moim tylko staremu giermkowi Wacława wspomnij!

Zaledwie tych słów domówił, westchnął, z ostatniej siły ścisnął rękę Mikołaja, zwrócił wzrok gasnący na wieżę i na niej go wiecznie zostawił.

Wrócone dziecko i skon Wacława dziwne a razem niepojęte utworzył w duszy Mikołaja uczucie. Ucałował on zimne już zwłoki, uściskał martwe już ciało, w którem tak szlachetna przebywała dusza, wziął je na własne barki i złożył pod wieżą, a trzymając drobną dziecinę za rączki, wszedł, niespodziewany, z kapłanem do ukrytego mieszkania żony swojej. Jakież to było zjawienie dla Małgorzaty! Odzyskać męża i syna, to przechodziło wszelką rachubę człowieka. Pomieszana, w dzikiej prawie radości, raz się rzucała w objęcia męża, drugi tuliła do serca syna i rzewnemi łzami zlewała. Żona i matka jakże za tak długie nagrodzona cierpienia! Chwała wierze małżeńskiej, chwała tej polskiej niewieście!

Tak kiedy znaczne trwało milczenie, przerwała je Małgorzata:

— Gdzież, gdzież, mój mężu, wyśledziłeś najdroższą zgubę?

— Pod ścianami wieżycy — posępnie odezwał się Mikołaj.

— Jakto? kto go tu przyprowadził?

— Pójdź, zobaczysz oddawcę naszych najmilszych nadziei!

To mówiąc, uchwycił ją za ręce, sprowadził z wieży i odsłonił zwłoki Wacława.

— Jakto, Wacław go oddał!?

— Tak jest — odpowiedział Mikołaj — on, on sam, który własną krwią i życiem ocalił ciebie i twoje dziecię.

— O wielki Boże! Tyleż szlachetności, tyle cnoty posiada człowiek! — i zemdlona, prawie bez duszy, upadła na ręce męża.

Płakał Świętosław mały na widok ciała Wacława, płakał i Mikołaj mężny i całowali obadwa nieszczęśliwe, szlachetne, krwią niewinną zbroczone wielkiego rycerza zwłoki. Dowiedział się stary giermek o skonie pana swojego, pośpieszył, oddał zlecone mu przez Wacława papiery, w których pan na Siewierzu całą majętność Małgorzacie oddawał, i sam stary, wierny sługa dobrego pana przy jego grobie obrał ciche, wieczne mieszkanie. I tak, jak młoda, rozgorzała miłością kochanka w objęciach narzeczonego trawi leniwe, ślub jej zwlekające godziny, tak w ostatnich niewielu chwilach swoich obok grobowca Wacława przepędzał samotne życie Dobrogniew szlachetny.

[Druk 1830 r.]

DODATEK KRYTYCZNY.

SKRÓCENIA.

Rps — rękopis.

A — autograf.

Pdr. — pierwodruk.

B. t. — bez tytułu.

w. — wiersz (wiersze liczą się zawsze od góry z wyłączeniem tytułu lub motta).

Przy opisach rękopisów rozmiary podane w centymetrach.

Nawias ( ) oznacza, że autor sam przekreślił wyraz lub zwrot, tym znakiem objęty.

Nawiasem [ ] objęte są uzupełnienia i dodatki wydawcy.

Pisownia ta sama, co w tekście, tj. używana w wydawnictwach Akademii.

str. 1.

ROZMOWA 1824-tego Z 1825-tym ROKIEM.

Nr. 1 Rps (A), 26·5×21·5, k. 170, opr. w półsk. Papier i format niejednakowy. Tytuł inną ręką:

»Różne pisma Zygmunta Hrabi Krasińskiego w młodocianym wieku od r. 1823 (inną ręką) do roku 1829«.

Rps zawiera:

a) k. 1'. »O Tatarach krymskich«.

b) k. 2. Rysunek głowy rycerza.

c) k. 3—4' »Wyjątki z Komentarzów Cezara« (tłómaczenie ustępu: »Oblężenie Alesyi«).

d) k. 13—18'. »Bitwa Farsalska«.
k. 18': »19 maja r. 1823«.

e) k. 19—24'. »O obowiązkach względem siebie samego. Przekład z niemieckiego (Kampe)«.
k. 24': »1 września 1823 roku«.

f) k. 27—32'. »Cyceron opowiada, jak Werres starszemu synowi Antyocha, króla Syryi, sprzęty stołowe najozdobniejsze zabiera«.
k. 32': »Dnia 2 listopada 1823 r. w Opinogórze«.

g) k. 33—38. Dokończenie *c*).

h) k. 39—42'. »List Ser. Sulpicyusza do M. T. Cicerona«.
k. 42' »tłómaczył Zygmunt Krasiński 1 lutego r. 1824. Warszawa«.

i) k. 45—48'. »Delos (z podróży Anacharsysa tłómaczenie)«.
k. 48': »Dnia 3 czerwca 1824 r.«.

k) k. 50—60'. »Scypion Afrykański młodszy opowiada sen swój (wyjątek z 6 księgi de Republica Ciceronis)«.

k. 60': »Dnia 16 lipca 1824 r. Warszawa«.

l) k. 62—75': »1 septembra 1824 roku«.
»Z głową zaprzątniętą wielą nowych rzeczy ledwiem chwilę odpoczął, gdy nadszedł Syrus...« (opis Rzymu).

m) k. 76—82'. »Treść poematu: »Dzieła (nad tem: »Czyny«) Ludwika Łagodnego« pisanego około roku 826 przez Ermolda (czarnego)«.
k. 82': »Dnia 8-go października roku 1824 pisałem w Opinogórze Zygmunt Krasiński«.

n) k. 84—91' »Wyjątek z Wojny Jugurtyńskiej Sallustyusza«.
k. 91': »1-go grudnia 1824 roku w Warszawie. Zygmunt Krasiński«.

o) k. 92—96'. »Rozmowa 1824-go z 1825-tym rokiem«.

b) k. 101—107. [Rozmowa Napoleona z Aleksandrem I. na polach Elizejskich].
k. 101: »1 stycznia 1826 r. w Warszawie. Zygmunt Krasiński«.

r) k. 108—114. [Syn Botzarisa].
k. 114: »Dnia 19 lutego 1826 r. Warszawa. Zygmunt Krasiński«.

s) k. 116. Rysunek głowy z antyku (Aleksander W. ?).

t) k. 117—136'. »Joanna d'Arc, powieść z dziejów francuskich 15-go wieku«.
u dołu: »1827«.

u) k. 139—144'. »Wiliamm Wallas, powieść«.

w) k. 145—151'. »Zniszczenie Ipsary z dzieła Pana Raffenel o rewolucyi Greków«.

x) k. 153—154'. B. t. Wyciąg z jakiegoś autora o początkach rodu Krasińskich i o herbie Korwin.

y) k. 155. Rysunek głowy z antyku.

z) k. 156—166'. »Parysyna. Poemat Lorda Byrona. Tłómaczenie z angielskiego«.
u dołu: »1829 r. maj. Z. Kr.«.

Odmianki tekstu.

str. 4 w. 2 ‚że m(nie)i coś na świecie' A.
» — » 7 ‚nie (rzetelne) zasłużone' A.

str. 4 w. 21 ‚długo (gadać) (mówić) rozprawiać' A.
» — » 24 ‚powiedz m(nie)i' A.
» 5 » 6 ‚a nie o (cudzej) powszechnej' A.
» — » 11 ‚pora obfita' dopisano u góry: ‚płodna' A.
» — » 26 ‚za najpiękniejszą sprawę'; ‚za.. sprawą' A.
» 6 » 16 ‚wspomnij me (rady) mowy' A.

---

str. 9.

ROZMOWA NAPOLEONA Z ALEKSANDREM I. NA POLACH ELIZEJSKICH.

Rps Nr. 1, *p*). B. t. Tytuł dodany przez wydawcę.

Odmianki tekstu.

str. 13 w. 27 ‚w nieznanym prawie (kącie) ustroniu' A.
» 14 » 26 ‚i grożącej zguby, (żeglarz na wspomnienie wielkiego męża) twa pamięć' A.
» 15 » 13 ‚cóż (też) teraz (się) z nim się stanie' A.
» — » 25 ‚wolał (nieograniczać) ustalić' A.
» 16 » 1 ‚(krwawy) stały' A.

---

str. 19.

SYN BOTZARISA.

Rps Nr. 1, *r*). B. t. Tytuł dodany przez wydawcę.

Odmianki tekstu.

str. 25 w. 13 ‚po (ciem)jasnych ulicach' A.
» 30 » 4 ‚Mahmuda'; ‚Mouchmeda' A.
» — » 21 ‚Mahmuda'; Machmouda' A.
» 31 » 3 ‚Mahmuda'; ‚Mouchmeda' A.

---

str. 33.

POLSKA.

B. t. Tytuł dodany przez wydawcę.

Nr. 2. Rps (A), 20·5×13·3, k. 8 (z czego zapisanych 6 i 7-ma do $^1/_8$).

Rok napisania nie podany, lecz pismo najpodobniejsze do

pisma w liście Z. Krasińskiego do ojca z Warszawy d. 28 września 1826.

Odmianki tekstu.

str. 35 w. 1 ‚Ojczyznę. (Słońce już nie weszło). Księżyc' A.
» — » 7 ‚i jak czarne(mi) chmury' A.
» — » 12 ‚na (tym grobie) nim' A.
» 36 » 5 ‚w (zgr) żalu' A.
» — » 20 ‚(przyjm) odbierałaś' A.
» 37 » 2 ‚(je mojemi) na nie mojemi' A.
» — » 5 ‚(rzekł) tak mówił' A.
» — » 22 ‚(mroźnej) lodowatej' A.
» — » 26 ‚roz(syp)erwały' A.
» — » 27 ‚(głos) płacz(u) i jęk' A.
» 38 » 17 ‚(i wielkie imię) i sława' A.
» — » 20 ‚ona (trzymają *(s)* miecz) losami' A.
» — » 21 ‚(to) wszystko' A.
» 39 » 7 ‚(Żal) smutek' A. Ustęp ten oznaczony liczbą 6. przez pomyłkę, którą dostrzeżono dopiero przy ustępie 17.
» — » 8 ‚Nie (woda) burza' A.
» — » 11 ‚ostrożnie (się)' A
» — » 27 ‚ich (ciała) ciernie' A.
» 40 » 9 ‚(Jak) Słońce' A.
» — » 24 ‚(nasyconą) brzydzącą się' A.
» — » 25 ‚tylko (i twoje sługi) szanują' A.
» 41 » 1 ‚(Potok) Łzy' A.
» — » 2 ‚o Panie, (coś pioruny) który' A.
» — » 22 ‚z nieba (na polsk) dotknij się' A.
» — » 24 ‚w(y)znieś' A.
» 42 » 2 ‚Skrzydła (z tęcz) jak' A.
» — » 3 ‚zdobną. (Niewinność przed tronem P.) Przed tronem' A.
» — » 6 ‚jego (prawom) skinieniu' A.
» — » 26 ‚chmury (okrywające)' A.
» — » 27 ‚na (polach) niwach' A.

str. 42 w. 29 ‚był(a) to (mar) sen' A.
» 43 » 3 ‚(i) w większej' A.
» — » 4 ‚(obyś się sprawdził) sprawdziszże' A.
» — » 6 ‚(błyszczące) rażące' A.
» — » 10 ‚dla ojczyzny (słaba tylko) piersi' A.
» — » 18 ‚nas (wiążą) krępują' A.
» — » 27 ‚lica (ogień) rozpacz' A.
» — » — ‚(roz) włada' A.
» 44 » 11 ‚(nadszedła) nadeszła' A.
» 45 » 6 ‚sprzyjałaś'; ‚sprzyjałeś' A.
» — » 7 ‚kochałaś'; ‚kochałeś' A.
» — » 8 ‚znikł (zostawiłaś nas) opuściłaś (nas) i' A.
» — » 13 ‚w tysiącznych (u stopy płynie) toczy się' A.
» — » 14 ‚odrzuciłaś'; ‚odrzuciłeś' A.
» — » 21 ‚Mijają... nie znamy' napisała ta sama ręka ołówkiem.
» — » 25 ‚do ostatniej (góry) puhar' A.
» 46 » 1 ‚siła (młodzieńczego wi) młodości' A.
» — » 3 ‚zdaje się (mu) ulatywać' A.
» — » 5 ‚wys(ych)usza' A.
» — » 9 ‚je nam uprzyjemniła' A.; pierwotnie było: ‚uprzyjemniła nam życie' A.
» — » 11 ‚łączy (by nas w) przeciwko' A.

str. 47.

WILIAM WALLAS.

Rps Nr. 1, *u*). Rok napisania niepodany; pismo, jak się zdaje, z r. 1826.

Odmianki tekstu.

str. 49 w. 3 ‚Baliol'; ‚Balieul' A.
» 51 » 8 ‚drapania się' A.; ‚albo może lepiej: wdzierania się' dopisała ta sama ręka w A.
» 53 » 9 ‚co (raz) chwila' A.
» 55 » 10 ‚jej wierzchu (jaskini)' A.
» 56 » 18 ‚Argentyn'; w A. 9 razy ‚Argentyn', 4 razy ‚Argentyna'.

str. 60 w. 7 ‚do (walki) niej' A.
» — » 29 ‚(kirys) pancerz' A.
» 61 » 23 ‚(żołnierzy) innych' A.
» 62 » 14 ‚(zwyciężył) zbił' A.
» 63 » 10 ‚z obu (jej) stron' A.
» — » 12 ‚(drapać) wdzierać się' A.
» — » 24 ‚mu uszów (jego) mile' A.
» 64 » 14 ‚(rzekł) ozwał' A.
» 65 » 12 ‚(bardziej) bliżej' A.

---

str. 67.

ZNISZCZENIE IPSARY.

Rps Nr. 1, *w*). Rok napisania nie podany; pismo, jak się zdaje, z r. 1826.

Odmianki tekstu.

str. 69 w. 7 ‚Chosrew-basza'; ‚Chosrev-Pacha' A.
» 70 » 3 ‚kapudan-basza'; ‚Kapitan-Pacha' A.
» 71 » 26 ‚(Ale) Nie była to bojaźń' A.
» 72 » 6 ‚Kidonii'; ‚Kitoniez' A.
» 75 » 1 ‚Szkipetarowie'; ‚Schypetorowie' A.
» 79 » 26 ‚(wziął na siebie) przedsięwziął' A.
» 82 » 2 ‚słyszeć', ‚słyszyć' A.

---

str. 88.

JOANNA D'ARC.

Rps Nr. 1, *t*).

Odmianki tekstu.

str. 94 w. 25 ‚wyćwiczone'; ‚wećwiczone' A.
» — » 26 ‚(zupełn e) spokojnie' A.
» 95 » 7 ‚(je) go' A.
» — » 9 ‚w mgnieniu oka'; ‚w mgnieniu oku' A.
» 98 » 22 ‚(życie) ducha' A.
» 100 » 20 ‚składała'; ‚składały' A.
» 103 » 17 ‚przebyłam'; ‚przebyłem' A.

str. 103 w. 21 ‚spięła'; ‚spiąła' A.
» — » 24 ‚przyłbica'; ‚przełbica' A.
» 107 » 11 ‚wyćwiczonem'; ‚wećwiczonem' A.
» 110 » 3 ‚(głosem) żalem' A.
» 111 » 15 ‚(przy)wprowadzili' A.
» — » 19 ‚oznaczały'; ‚oznaczali' A.
» 114 » 22 ‚staraj się (już) o moje' A.
» 130 » 4 ‚darowałam'; ‚darowałem' A.

str. 133.

PAN TRZECH PAGÓRKÓW.

Nr. 3. Rps (A^2) 18×11·5, k. 31 (z czego zapisanych 1—19).
»Pan trzech pagórków. Ułomki ze starego rękopismu. 1828 6 kwietnia, Opinogóra«.
Niżej inną ręką:
»Rękopism Zygmunta Krasińskiego $^{10}_{11}$ 1886«
»Róża Raczyńska«.
Nr. 4. Rps (A^1) 21×12·5 ,k. 16 (z czego zapisanych 14).
B. t. »Pan trzech pagórków« od »W Mazowszu jest miejsce, zwane Opinogórą« (str. 138) do »Darmo szukają dziewicy, niema Żulisławy« (str. 154).
Brulion z poprawkami. Papier i pismo trojakie: 8—9, 10—12, 13—14; najstarsze pismo 10—12, ile się zdaje, z r. 1826.

Odmianki tekstu.

str. 138 w. 6 ‚(po) z błot(ach)' A^1.
» — » — ‚gałęzie' A^2; ‚głowę' A^1.
» — » 7 ‚nachylane' A^2; ‚nachylaną' A^1.
» — » 9 ‚szarą' A^2; ‚purpurową' A^1.
» — » 10 ‚na tych błoniach' A^2; ‚po tych równinach' A^1.
» — » 11 ‚hasałem i uniesiony' A^2; ‚hasałem na dzielnym koniu i uniesiony' A^1.
» — » 12 ‚zwierzem. — Poznałem' A^2; ‚zwierzem — Nikło niebo, nikła ziemia z ócz moich, widziałem tylko przedmiot mych chęci, wlepiałem oczy w biegącego zwierza, w psy

goniące. — Pot ciekł z czoła, ale ręka coraz mocniej ściskała wodze u konia, coraz bardziej zapał wzrastał. Przez pola, przez zboża, przez łąki, jak gdyby na skrzydłach piorunu ulatywałem — wszystko mijało, wszystko znikało powoli — coraz nowe rzeczy uderzały oczy — ale chyba mych towarzyszów oczy, bo ja miałem oczy tylko dla zwierza, ucho dla trąbki, a namiętność dla łowów. — Poznałem' A^1.

str. 138 w. 17 ‚nogi' A^2; ‚nog(ami)i' A^1.

» 139 » 2 ‚moja stopa — niema strugu' A^2; moja noga — niema błota, w którymby się nie zagrążała, niema gaju, (w który) gdziebym nie odpoczywał po trudach — niema strugu' A^1.

» — » 2 ‚przez którybym nie przeskakiwał' A^1, A^2. W A^1 było jednak pierwotnie: ‚przez który nie przeskoczyłem'.

» — » 3 ‚przeskakiwał... unoszą' A^2; przeskakiwał — Wiele razy rzekę Sonę, krającą te równiny bo wiosną rozhuzdane (fale) jej wody unoszą' A^1.

» — » 3 ‚liczne ptaki' A^2; ‚(wodne) liczne pta(stwo) ki' A^1.

» — » 4 ‚(żadnego) fali' A^1.

» — » 6 ‚wsie (dwa miasta a nawet i trzy miasta)' A^1.

» — » 8 ‚i wszystkim zagraża płaszczyznom' A^2; ‚i pan nad szeroką płaszczyzną' A^1.

» — » 9 ‚Pomorze, Płońsk' A^2; ‚Pomorze, Ciechanów, Nowe Miasto, Płońsk' A^1.

» — » 12 ‚płynąc, cichą falą' A^2; ‚płynie i cichą falą' A^1

» — » 18 ‚Trawa gdzieniegdzie się zieleni' A^2; ‚Trawa i zioła gdzieniegdzie się zielenią' A^1.

» — » 23 ‚wino bursztynowym lało się strumieniem' A^2;

,wino (strumieniem) (purpurowym) złotym strumieniem się lało' A^1.

str. 140 w. 2 ,świetniały' A^2; ,jaśniały' A^1.

» — » — ,walecznych... samotność' A^2; ,walecznych młodzieńców, tam (teraz) dzisiaj (głuchość) samotność' A^1.

» — » 4 ,już teraz' A^2; w A^1 brak.

» — » 5 ,nie tętnią kopyta' A^2; ,nie (brzęczą już) tętnią już kopyta' A^1.

» — » — ,nie dźwięczą puhary' A^2; w A^1 brak.

» — » 6 ,nie krzyżują się już żelazne' A^2; ,nie krzyżują się jak (ognie) błyskawice (złoc.) żelazne' A^1.

» — » 8 ,wije się' A^2; ,porasta' A^1.

» — » 9 ,sławy tylko pamięć' A^2; ,sława tylko' A^1.

» — » 10 ,rannemi jutrzenki łzami' A^2; ,ranną rosą A^1.

» — » 12 ,pany' A^2; ,panami' A^1.

» — » 16 ,broni. — Dumałem' A^2; ,broni. — Kruk czasem zatrzyma się nad zamkiem i pogrzebnym głosem przypomina godła Korwinów. — Ale to tylko wspomnienie, kiedy znikła sława, najmilszem jest wspomnienie. — Dumałem' A^1.

» — » 20 ,czasem kruk... nieszczęścia' A^2; w A^1 brak.

» — » 21 ,Księżyc' A^2; ,A księżyc' A^1.

» — » 22 ,nieraz opartym' A^2; ,nieraz — oparty' A^1.

» — » 22 ,zgłębiającym dawne' A^2; ,zagłębiałem się w dawne' A^1.

» — » 24 ,oblewając' A^2; ,oblewały' A^1.

» — » 27 ,strumieniach' A^2; ,potokach' A^1.

» — » 30 ,wygnana z tego kraju' A^2; w A^1 brak.

» — » — ,moje' A^2; ,me' A^1.

» — » 31 ,pienia... wdzięki' A^2; ,pienia — przenieś mnie w odległe wieki — (w) kiedy (czasy) panowałeś *(s)* w całej swej potędze nad nad narodem Słowian, nie cierpiącym wię-

zów. — Wspieraj słabe myśli i boskiemi wdziękami' A^1.

str. 141 w. 2 ‚te śpiewy' A^2; ‚śpiewy' A^1.
» — » 4 ‚pagórki — Jeszcze' A^2; ‚pagórki, składające dzisiejszą Opinogórę — Jeszcze' A^1.
» — » 8 ‚nad niemi' A^2; ‚niemi' A^1.
» — » — ‚(bielił) czerniał się' A^1.
» — » 11 ‚wzroku... Srogi' A^2; ‚wzroku, jak władca Dzierzanów — bóg piekieł lepszą miał duszę. — Srogi' A^1.
» — » 12 ‚swoim namiętnością' A^2; ‚dla swoich namiętności' A^1.
» — » — ‚niedostępny' A^2; ‚srogi, niedostępny' A^1.
» — » — ‚ciągle' A^2; w A^1 brak.
» — » 13 ‚w swoim namiocie... rany' A^2; ‚w swoim namiocie. — Lecz kiedy wojna krwią zalewała mienie, wtenczas jego maczuga siała (śmierć za rany) rzeź i rany' A^1.
» — » 16 ‚miecz ciężki' A^2; ‚miecz ciężki, z kamienia ukuty' A^1.
» — » 17 ‚(wywracał) powalał' A^1.
» — » 19 ‚odbytej — Uśmiech' A^2; ‚odbytej i zdało się, że bóg wojny strzeże polubieńca — Uśmiech' A^1.
» — » — ‚siadał' A^2; ‚osiadał' A^1.
» — » 20 ‚na ustach... radość' A^2; ‚na ustach wśród bolu, a spoglądając na trupy i krew płynącą, radość' A^1.
» — » 21 ‚jaśniała w oczach' A^2; ‚jaśniała w (jego) dzikich jego oczach' A^1.
» — » 22 ‚kiedy... wrogowi' A^2; w A^1 brak.
» — » 24 ‚przed... siłą' A^2; ‚przed nim, przed nadludzką siłą' A^1.
» — » — ‚ponurym' A^2; w A^1 brak.
» — » 27 ‚przy ognisku' A^2; ‚(na ognisk) przy jego ognisku' A^1.
» 142 » 2 ‚służalcy' A^2; ‚służalce' A^1.

str. 142 w. 3 ‚mordy... nie dbał' A^2; ‚mordy — Wszyscy się lękali, nikt nie kochał — żadnej dziewicy serce nie biło dla Opina, żadnego przyjaciela prawica nie podniosła się na jego obronę. — Pogardzał motłochem, uważał innych za niewolników — nie dbał' A^1.

» — » 7 ‚Posłuszeństwo' A^2; ‚Posłuszeństwo innych' A^1.

» — » 8 ‚miłości. — Serce' A^2; ‚miłości — Różny od okolicznych rządców, uciskał, rabował i łupił. — Serce' A^1.

» — » 9 ‚mordem' A^2; ‚z mordem' A^1.

» — » 10 ‚(słowo) głos' A^1.

» — » 11 ‚(serc) piersi' A^1.

» — » 12 ‚Przy nim' A^2; ‚Przy (nim) jego boku' A^1.

» — » — ‚Horak' A^2; ‚Horak nieustraszony' A^1.

» — » 17 ‚nie bierze' A^2; ‚nie chowa' A^1.

» — » — ‚pod namiot' A^2; ‚do namiotu' A^1.

» — » 18 ‚gdzie... napełniona' A^2; w A^1 brak.

» — » 19 ‚dwa(j)' A^1; ‚dwaj A^2.

» — » — ‚wznosząc' A^2; ‚wznoszą' A^1.

» — » 21 ‚Pan Trzech Pagórków' A^2; ‚Ale Opin' A^1.

» — » 23 ‚Opinowi' A^2; ‚panu' A^1.

» — » 24 ‚dla siebie... — Drugi' A^2; ‚dla siebie, dla siebie pustoszy pobratymskie ludy, dla swojej przyjemności zatapia broń morderczą w piersi przyjaciół i krewnych — Drugi' A^1.

» — » 29 ‚ma coś wielkiego' A^2: ‚jest wielkim' A^1.

» — » 30 ‚bo zbolałe.. ludzkim' A^2; w A^1 brak.

» 143 » 5 ‚Opin gdyby' A^2; ‚A Opin (byłby) gdyby' A^1.

» — » 8 ‚tygrysem — Sam opuszczony' A^2; ‚tygrysem — (Żony dotąd) Nie weszła dotąd żona w progi pana trzech Pagórków; którażby bowiem dziewica ośmieliła się kochać Opina? Nie dla niego (niewin) uniesienia miłości, nie dla niego (niewiast) niewinności — Nigdy oczów nie zwrócił na piękność — ni-

gdy łzy niewiasty nie wycisnęły łez jego — Sam opuszczony' A^1.

str. 143 w. 9 ‚on' A^2; w A^1 brak.
» — » 10 ‚lub' A^2; ‚lubi' A^1.
» — » 11 ‚o (ognisko) rękę' A^1.
» — » 13 ‚noce' A^2; ‚nocy A^1.
» — » 14 ‚krokiem ... nie cierpi A^2; ‚krokiem, a jego serce jest przepaścią, w której się gubią domysły ludzi — nie cierpi' A^1.
» — » 17 ‚zamiary. — Ucieka' A^2; ‚zamiary — sam sobie żyje. — Ucieka' A^1.
» — » 19 ‚i wesołe uczty — Radości' A^2; ‚i uczty — (wesołe) a radości' A^1.
» — » 24 ‚na świecie... — Słowika' A^2; ‚na świecie, nigdy nie widzieć żyjącej istoty — Słowika' A^1.
» — » 28 ‚wprawia... — Pogardza' A^2; ‚wprawia — myśli, że on jeden (jest) tylko życia godnym, a że inni nie powinni żyć, nie powinni się radować — Pogardza' A^1.
» — » 30 ‚(serca) duszy' A^1.
» 144 » 3 ‚i z ich obrzędów' A^2; ‚naśmiewa się z obrzędów' A^1.
» — » 4 ‚go' A^2; ‚(hołdu) ognia' A^1.
» — » — ‚(posągiem) ołtarzem' A^1.
» — » 6 ‚korzyć się' A^2; ‚korzyć się w świątyniach' A^1.
» — » 7 ‚świata' A^2; ‚nieba i ziemi' A^1.
» — » 8 ‚(klę) modły' A^1.
» — » 9 ‚do nieba' A^2; ‚do boga piorunów' A^1.
» — » 10 ‚ołtarzem' A^2; ‚posągiem' A^1.
» — » 11 ‚bo w skołatanem... granic' A^2; w A^1 brak.
» — » 13 ‚ludy' A^2; ‚narody' A^1.
» — » 15 ‚z szyderskim' A^2; ‚z szyderczym' A^1.
» — » 18 ‚z którego... się sączyła' A^2; ‚(ale) z którego krew zabitych, krew wołająca pomsty się sączyła (się z niego)' A^1.
» — » 21 ‚(wpatrzyć) spotkać' A^1.

str. 144 w. 21 ‚pana Trzech Pagórków' A^2; w A^1 brak.
» — » 26 ‚(poddan) namiotów' A^1.
» 145 » 3 ‚siłę... serce' A^2; ‚siła nadzwyczajna łączy się w nim z wdziękami młodości — Serce' A^1.
» — » 6 ‚wojnę' A^2; ‚wojny' A^1.
» — » — ‚zsiwiałego' A^2; ‚zesiwiałego' A^1.
» — » 7 .ojca... wstępuje' A^2; ‚ojca — wzrost wysoki, kształtne ciało, twarz męska, a zarazem piękną duszę odznaczająca, zjednały serce młodej Iddy – (zawsze »Idda« *P w.*)— Idda wstępuje' A^1.
» — » 8 ‚Anielskie... zapaliły' A^2; ‚Anielska piękność, nieporównane wdzięki zapaliły' A^1.
» — » 10 ‚Sławana... rdzawieje' A^2; ‚Sławana — dla niej on żyje, w nią tylko się wpatruje, żelazny pałasz rdzawieje *(s)*' A^1.
» — » — ‚myśli... o kochance' A^2; ‚o niczem nie myśli, jak o kochance' A^1.
» — » — ‚dniem i nocą o'; ‚dniem i nocy i' A^2.
» — » 17 ‚słońce żywiej jaśnieje' A^2; ‚słońce zdaje się żywiej jaśnieć' A^1.
» — » — ‚(milsze) przyjemniejsze' A^1.
» — » 18 ‚rozsyłają' A^2; ‚posyłają' A^1.
» — » — ‚i woda' A^2; ‚woda' A^1.
» — » 21 ‚miłym wietrzykiem' A^2; ‚wi trzykiem' A^1
» — » 22 ‚radować z sercem' A^2; ‚radować i| unosić z sercem' A^1.
» — » 23 ‚duszy' A^2; ‚serca' A^1.
» — » 24 ‚oręże' A^2; ‚oręż' A^1.
» — » 26 ‚wznoszący... wieniec' A^2; ‚który niedawno dumne rogi wznosił wśród borów' A^1.
» 146 » 3 ‚płonie się' A^2; w A^1 brak.
» — » 8 ‚(młody) jego przyjaciel' A^1.
» — » — ‚Nadar' A^2; ‚Narda' A^1 — tak zawsze aż do ust. 3.
» — » 11 ‚w jego ręku' A^2; ‚w dzielnej ręce' A^1.

str. 146 w. 12 ‚kryjącego się' A^2; w A^1 brak.
» — » — ‚na wojnach czyhającego wroga' A^2; ‚w wojnach wroga' A^1.
» — » 13 ‚wroga — Przezwali' A^2; ‚sławny z waleczności. (Horda) Przezwali' A^1.
» — » 15 ‚od dziecinnych lat' A^2; w A^1 brak.
» — » 16 ‚przysięgli miłość' A^2; ‚od młodych lat się kochają' A^1.
» — » 19 ‚przy pochmurnem niebie' A^2; w A^1 brak.
» — » 20 ‚błyszczał' A^2; ‚świetniał' A^1.
» — » 21 ‚Wychodził... kiedy stawił' A^2; ‚wychodząc, stawił' A^1.
» — » 24 ‚pod nimi' A^2; ‚przed nim' A^1.
» — » 28 ‚żywy' A^2; ‚niezwyciężony' A^1.
» 147 » 2 ‚(cały świat) żadna siła' A^1.
» — » — ‚siła nie zdoła'; A^2; ‚siła ludzka nie zdołała(by)' A^1.
» — » 3 ‚(na szczęście przyjaciela) i często' A^1.
» — » 5 ‚twojej żonie' A^2; ‚życzę twojej żonie' A^1.
» — » 7 ‚biesiadników' A^2; ‚biesiadujących' A^1.
» — » 9 ‚przywrócić' A^2; ‚wrócić' A^1.
» — » 10 ‚zastawiono' A^2; ‚postawiono' A^1.
» — » 12 ‚syna' A^2; ‚swoim' A^1.
» — » 13 ‚darmo' A^1; ‚daremno' A^2.
» — » 17 ‚(bo imię Opina stra) wspomnienie' A^1.
» — » 18 ‚w niwecz obróciło' A^2; ‚zatarło' A^1.
» — » 19 ‚krzyki' A^2; ‚śpiewy' A^1.
» — » — ‚i (powoli) rzadko' A^1.
» — » 20 ‚(zapytał) przemówił' A^1.
» — » 22 ‚nigdy' A^2; w A^1 brak.
» — » 23 ‚serca; widać' A^2; ‚serca — nigdy ono mocniej nie biło w przytomności Opina — Widać' A^1.
» — » 25 ‚Opina' A^2; ‚rządcy Dzierzanów' A^1.
» — » — ‚z rąk' A^2; ‚z rąk drżących' A^1.
» — » 27 ‚(walecznością łączył) lubił' A^1.
» — » 28 ‚z słabości' A^2; ‚z trwogi' A^1.

str. 147 w. 28 ‚z nieznanej mu trwogi' A^2; ‚z słabości A^1.
» 148 » 3 ‚nasz(ych)ej' A^1.
» — » 5 ‚rzekł' A^2; ‚(zawołał) rzekł drżącym głosem' A^1.
» — » 8 ‚(zbled) Strach' A^1.
» — » 9 ‚imienia' A^2; ‚nazwiska' A^1.
» — » — ‚Chciałbym żeby' A^2; ‚A cóż dopiero, gdyby' A^1.
» — » 13 ‚(drzwiach) wejściu do' A^1.
» — » 14 ‚goście' A^2; ‚biesiadnicy' A^1.
» — » 16 ‚(rzuca) wstrząsa' A^1.
» — » 19 ‚na (ziemię) kolana' A^1.
» — » 22 ‚na (świetne) siedzeniu' A^1.
» — » 24 ‚i (korne) przymuszone' A^1.
» — » 25 ‚ze spodlenia' A^2; ‚spodleniem' A^1.
» — » 27 ‚(cała) lica' A^1.
» 149 » 1 ‚(dwóch tylko lud) Trzech' A^1.
» — » 3 ‚z niezmienną' A^2; ‚z niezmieszaną' A^1.
» — » 10 ‚piekłem' A^2; ‚najsroższą męczarnią' A^1.
» — » 11 ‚pod moim spocznie namiotem' A^2; ‚w moim namiocie spoczywa' A^1.
» — » 13 ‚Żulisławv — upadła zemglona' A^2; ‚Iddy — opuściły ją siły, upadła zemglała' A^1.
» — » 14 ‚okropniejszego' A^2; (piękniejszego) strasznieiszego' A^1.
» — » 15 ‚(kiedy cienie życia) nad tę walkę' A^1.
» — » 17 ‚przyciemnia' A^2; ‚przyciemia' A^1.
» — » 19 ‚przestanie' A^2; ‚przestaje' A^1.
» — » 20 ‚przymyka' A^2; ‚(przyciemia) zamyka' A^1.
» — » 24 ‚duchy (złego)' A^2.
» — » 27 ‚pieszczony' A^2; ‚wdzięczny' A^1.
» 150 » 1 ‚zostają się' A^2; ‚zostają (się)' A^1.
» — » 7 ‚(Skłoniły) Upadły' A^1.
» — » — ‚dęby' A^2; ‚dumne dęby' A^1.
» — » 8 ‚zieloną uwieńczone jemiołą' A^2; w A^1 brak.
» — » 9 ‚(kawałki) szczątki' A^1.
» — » 10 ‚swoje' A^2; w A^1 brak.

str. 150 w. 12 ‚ku niebu' A^2; ‚aż ku niebu' A^1.
» — » 13 ‚wymawiać' A^2; w A^1 brak.
» — » 14 ‚czerniąc się wśród mroku' A^2; ‚czerniał się wśród nocy' A^1.
» — » 15 ‚mordów, nieugięty' A^2; ‚mordów — wiatr silny nacierał nań ze wszystkich stron, ale nadaremnie (były te usiłowania) — nieugięty' A^1.
» — » 16 ‚z nacierającymi wiatry' A^2; w A^1 brak.
» — » 18 ‚(Ale cóż za niepojęte zdarzyło) Ale cóż robi' A^1.
» — » - ‚przemyśla' A^2; ‚myśli' A^1.
» — » 19 ‚czy (p) (nadobną) u stóp' A^1.
» — » — ‚u stóp Żulisławy' A^1; odtąd zawsze: ‚Żulisława'.
» — » — ‚winy? — Radość' A^2; ‚winy — Czyż dla miłości on ją porwał? Nie, miłość nigdy w takiem nie postała sercu — miłość jest darem nieba, jest osłodą nieszczęść, jest pięknej duszy ozdobą — Radość' A^1.
» — » 20 ‚wlały' A^2; ‚wlało' A^1.
» — » 21 ‚Opina... życie' A^2; ‚Opina — Chce on złe robić i nasycać się nieszczęściem podobnych sobie — Dokonał celu — zatruł życie Sławana' A^1.
» — » 23 ‚(obciera) łzy' A^1.
» — » 24 ‚przymnaża mu' A^2; ‚dla niego jest przymnożeniem' A^1.
» 151 » 1 ‚(radości) smutku' A^2; ‚rozpaczy' A^1.
» — » 3 ‚nieszczęśliwej' A^2; ‚nieszczęśliwej spostrzega' A^1.
» — » 4 ‚(z swoją ofiarą) wśród burzy i walki' A^1.
» — » 5 ‚(raduje się ze smutku) pastwi się' A^1.
» — » 6 ‚ofiarą — a uśmiech' A^2; ‚ofiarą — coraz bardziej przymnaża jej boleści, a uśmiech' A^1.
» — » — ‚piekielny... szatana' A^2; ‚piekielny radość jego maluje, radość godną szatana' A^1.

str. 151 w. 8 ‚już' A^2; w A^1 brak.
» — » 12 ‚i (runął) upadł' A^1.
» — » — ‚nie (oparł się snu) mógł się' A^1.
» — » 13 ‚uśpieniu' A^2; ‚snu' A^1.
» — » 15 ‚nocy' A^2; ‚nocy i uśpieniu' A^1.
» — » — ‚rzuca się' A^2; ‚rzuca się na skórach niedźwiedzich' A^1.
» — » 17 ‚do jego namiotu' A^2; ‚w jego namiot' A^1
» — » 19 ‚z brzozowej' A^2; ‚z białej' A^1.
» — » — ‚kory... grozi' A^2; ‚kory (strzeże) najeżony strzały (wisi mu) grozi' A^1.
» — » 20 ‚tyloma zgonami' A^2; ‚tyle zgonów A^1.
» — » 22 ‚szabla' A^2; ‚pałasz' A^1.
» — » 26 ‚(cały) Opin' A^1.
» — » 28 ‚(uśmiecha) urąga się' A^1.
» — » 29 ‚(uśmiechał) urągał' A^1.
» — » 31 ‚(tysiączne) w tysiącznych' A^1.
» 152 » 1 ‚męstwo' A^2; ‚męstwo mu' A^1.
» — » 2 ‚wydziera' A^2; ‚niszczy' A^1.
» — » — ‚i' A^2; w A^1 brak.
» — » 15 ‚(tylko) lekkiej' A^2.
» — » 19 ‚Pozwala' A^2; ‚dozwala' A^1.
» — » — ‚ich zawrzeć' A^2; ‚mu tego' A^1.
» — » 22 ‚go (z) pokrywa (Opina)' A^1.
» — » 25 ‚po szerokim stole' A^2; ‚po strasznem kole' A^1.
» — » 28 ‚przeszłość' A^2; ‚zbrodnię' A^1.
» — » 30 ‚pogrobowej' A^2; ‚grobowej' A^1.
» 153 » 8 ‚(strumień) morze' A^1.
» — » 21 ‚podnieść' A^2; ‚rzucić' A^1.
» — » 27 ‚twojego' A^1; ‚własnego A^2.
» — » 29 ‚nieznajoma' A^2; ‚nieznana' A^1.
» — » 30 ‚(czarę) rękę' A^2.
» — » 31 ‚przytknął ją do ust i wychylił' A^2; ‚musiał ją do ust przytknąć i wychylić' A^1.
» 154 » 1 ‚wtenczas' A^2; w A^1 brak.
» — » 4 ‚fali' A^2; ‚fal' A^1.

str. 154 w. 6 ‚kropli, kiedy' A^2; ‚kropli, żeby zupełnie go oblać, kiedy' A^1.
» — » — ‚kiedy (moc snu (sen) się sk) sen' A^1.
» — » — ‚Wstrząsł się' A^2; ‚Obudził się' A^1.
» — » 7 ‚Opin — pojrzał' A^2; ‚Opin. Pot zimny ciekł mu z czoła — Pojrzał' A^1.
» — » 10 ‚za maczugą' A^2; ‚za włócznią' A^1.
» — » 12 ‚piorunnym głosem' A^2; w A^1 brak.
» — » 13 ‚śród' A^2; ‚wśród' A^1.
» — » ‚Sławan ją' A^2; w A^1 brak.

str. 159.

GRÓB RODZINY REICHSTALÓW.

Przedruk z »Rozmaitości Warszawskich« 1828, Nr. 18—22 (Pdr). Osobna odbitka wyszła pod tytułem: »Grób Rodziny Reichstalów. Powieść oryginalna z dziejów wojny trzydziestoletniej«. Przez...[1] Warszawa, w drukarni gazety Korrespondenta 1828.

Odmianki tekstu.

str. 182 w. 2 ‚Leitmenitz' Pdr. (tak zawsze). Wsi tego nazwiska w Czechach niema ani w słowniku geograficznym Rittera ani w urzędowym spisie miejscowości w Austryi ani wreszcie w Otta »Naučnym slovniku« (encyklopedyi); na mapie sztabu generalnego również nie dało się jej odnaleźć. Poprawka, która się tu sama nasuwa, na Leitmeritz, tj. Litomierzyce, nie mogłaby się utrzymać, naprzód dlatego, że Litomierzyce jest prastarem, a więc i w w. XVII miastem, a nie wsią, a nadto Litomierzyce leżą nad Łabą, dokąd w jednym dniu z Chebu w żaden sposób

[1] Tu wycięto nazwisko autora i zalepiono kartką w egz. biblioteki Jagiell. Wedle Estreichera (Bibliografia XIX w. t. II, 473) »babka autora wykupiła nakład i zniszczyła«.

przyjechać nie podobna (Por. str. 185 w. 14 »w jednym dniu mogłeś [z Chebu] tu [do Leitmenitz] przyjechać«).

str. 198 w. 19 ‚do ciebie'; ‚do siebie' Pdr.

» 211 » 25 ‚Harracha'; ‚Starracha' Pdr. W piśmie Krasińskiego mogło niewprawne oko *H* odczytać jako *St.*

str. 235.

SEN ELŻBIETY PILECKIEJ.

Przedruk z »Rozmaitości Warszawskich« z dnia 13 maja 1829 (Pdr.).

Nr. 5. Rps (A) 23·8×20, k. 6.

»Sen«.

Brulion z poprawkami; pismo, jak się zdaje, z roku 1829. Znak wodny »Van der Ley«.

Odmianki tekstu.

str. 235 w tytule ‚Pileckiej'; ‚Piłeckiej' Pdr.

» 237 W autografie brak wstępu i dwóch wierszy z Walter Scotta przed pierwszym ustępem.

str. 237 w. 2 ‚Pileckiej'; ‚Piłeckiej' Pdr.

» 238 » 10 ‚milsza i (sercu) duszy' A.

» — » — ‚połyskujące... możnych' Pdr.; ‚połyskujące na skroniach (panów i) książąt (ozdoby) wieńce, niż pyszne zamożnych panów ozdoby' A.

» — » 12 ‚niech (porzucę) porzuciwszy' A.

» — » 13 ‚dzisiejsze wieki' A; ‚dzisiejsze uciechy' Pdr.

» — » — ‚(i pogrążę się' A.

» — » 14 ‚odbija się' A; ‚odbije się' Pdr.

» — » 15 ‚wyrwą ze snu śmierci' Pdr.; ‚obudzą jeszcze ze snu' A.

» — » 17 ‚powstaną nagle z pod ciężących głazów' Pdr.; ‚obudzeni nagle zerwą się z pod ciężących głazów' A.

» — » 18 ‚obrazy' Pdr.; ‚widoki' A.

» — » 20 ‚z ziemnych' Pdr.; ‚z zimnych' A.

str. 238 w. 21 ‚(Odżyjcie) Zakwitnijcie' A.
» 239 » 7 ‚(w niezmierzonej) w niezmierzoną' A.
» — » 8 ‚(uroku) wdzięku' A.
» — » 9 ‚na górze... pokrytej' Pdr.; ‚na wzgórku... pokrytym' A.
» — » 12 ‚rozciągając(ych)ej' A.
» — » 13 ‚(nad nim) w powietrzu' A.
» — » 19 ‚(liście) wieńce' A.; ‚wieniec' Pdr.
» — » 20 ‚(duszą) różą A.
» — » 21 ‚(płakała rosą jutrzenki nad) płacząca...' A.
» — » 22 ‚rosnące' Pdr.; ‚(rosnące) rozwite' A.
» — » 23 ‚drobnym' Pdr.; ‚(czystym) miałkim' A.
» — » 26 ‚posunął' A; ‚posuwał' Pdr.
» — » — ‚dziwną postrzegał zmianę' Pdr.; ‚dziwna uderzała go zmiana' A.
» 240 » 2 ‚tysiącznymi blaski' Pdr.; ‚tysiącznymi oko raziły blask(ami)i' A.
» — » 3 ‚(czołgał) wił się' A.
» — » 3 ‚gwałtownemi wody rozbijał się' Pdr.; ‚gwałtowne(fale)mi wody (rozpryskały) rozbijała się' A.
» — » 4 ‚(umierającemi) konającemi' A.
» — » 5 ‚z brzegiem ukochanym... się żegnał' Pdr.; ‚brzeg ukochany (okrywał)' A, poprawiono na: ‚z brzegiem ukochanym... się żegnał'.
» — » 6 ‚(zamieniały się) przechodziły' A.
» — » 8 ‚szyby' Pdr.; ‚okna' A.
» — » 9 ‚(jej) ją' A.
» — » 10 ‚(bluszcz zielony) powój (wijąc) splątanemi' A.
» — » 11 ‚brzegi' Pdr.; ‚strony' A.
» — » 12 ‚w niebo' Pdr.; ‚w niebiosa' A.
» — » 13 ‚(samotna) opuszczona' A.
» — » 15 ‚(a w jego drobnej) (drobną pianką) zamglewając' A.
» — » 16 ‚kropelka' Pdr.; ‚kropla' A.
» — » — ‚na (nową tęczę) błyszczącą' A.

str. 240 w. 18 ‚(czysta) kryształowe' A.
» — » — ‚wody' Pdr.; ‚fale' A.
» — » 20 ‚różany' A; ‚różowej' Pdr.
» — » 25 ‚wiosenne' Pdr.; ‚wrócone' A.
» — » — ‚(roztwierały) rozwijały' A.
Nad wierszem: »wrócone rozwijały wdzięki...« dopisała inna ręka: »Non erat his locus. K. Danielewicz«.
» — » 26 ‚mieszkańca' Pdr.; ‚pana' A.
» — » — ‚(witał pędzone wśród) co wieczór' A.
» — » 28 ‚(z łona mórz z dzienn) na tron' A.
» — » 29 ‚(duszom) czułym sercom' A.
» 241 » 2 ‚od śmiertelnych władców' Pdr.; ‚przez (władców) śmiertelnych' A.
» — » — ‚(posuwał się samotny) przechodził' A.
» — » 3 ‚spływa(ły)jąc' A.
» — » 5 ‚(których zciężałe powieki bystre oczy zciężałe zakrywały) w których' A.
» — » 9 ‚(cnotliwym) przyszłych' A.
» — » — ‚przyszłych nieszczęść' Pdr.; ‚przyszłe nieszczęścia' A. poprawione na: ‚przyszłych nieszczęść'.
» — » 10 ‚cnotę' A; ‚wolę' Pdr
» — » — ‚na zamachy zbrodni' Pdr.; ‚na zbrodnicze zamachy' A.
» — » 11 ‚młod(e)a (serce) dziewica' A.
» — » — ‚Pilicy, lekkie' Pdr.; ‚Pilicy, lub spoczywając w gaju, marzyła o miłości, wtenczas lekkie' A.
» — » 14 ‚napawa(ły)jąc' A.
» — » — ‚(go) je' A.
» — » 15 ‚skrzydły' A; ‚skrzydłami' Pdr.
» — » 16 ‚(to) do (chwały) górnych' A.
» — » — ‚siedlisk' Pdr.; ‚sklepień' A.
» — » — ‚nieśmiertelności' Pdr.; ‚nieśmiertelności (to) lub też zostając na ziemi błogiemi myślami szczęścia darzy(ły)li' A.
» — » 17 ‚(wonny) powiew' A.

str. 241 w. 17 ‚wieczoru' Pdr.; ‚wieczora' A.
» — » — ‚unoszący' A; ‚wznoszący się' Pdr.
» — » 18 ‚(ostatnie) wonne' A.
» — » 24 ‚(niewinności) szata' A.
» — » 25 ‚(Jagody) Lica' A.
» — » — ‚świeżością' Pdr.; ‚z świeżości' A.
» — » — ‚różanego' Pdr.; ‚(róż rosnących na dnie) różanego' A.
» 242 » 1 ‚(i w swoich igraszkach (zat) związany w jedwabne sploty) nie mógł' A.
» — » — ‚nie mog(ł)ąc' A.
» — » 2 ‚w złotem po nich roztopić się świetle' Pdr.; ‚złote po nich rozlał światło (po nich rozlał)' A.
» — » 4 ‚(gdzie) godność' A.
» — » — ‚odbijała' A; ‚odbiła' Pdr.
» — » 5 ‚(śnieżnej było) w oczach' A.
» — » — ‚(żywy i czuły) wyrażający' A.
» — » 6 ‚dziewicz(ego)ych (serca) piersi' A.
» — » — ‚(ten ogień czasem) bo raz' A.
» — » 7 ‚(czasem też) to znów' A.
» — » 8 ‚(słońce) księżyc' A.
» — » — ‚napół tylko świetniał' Pdr.; ‚napół świetniał' A.
» — » 9 ‚(poczynającą w piersiach) budzącą się namiętność w sercu' A.
» — » 11 ‚(giętkie) różane' A.
» — » — ‚Tam patrząc z siedzenia z murawy na kryształową' Pdr.; ‚Tu na siedzeniu z murawy usiadła i długo patrząc na kryształową' A.
» — » 13 ‚strojną' Pdr.; ‚ozdobną' A
» — » 15 ‚o Archeldzie z Heldy' Pdr.; ‚o Arheldzie z Hebdy' A. (tak zawsze).
» — » 18 ‚i błogie' A; ‚błogie' Pdr.
» — » 19 ‚(powiew) wietrzyk' A.
» — » 20 ‚do raju i miękkim tchem ją owionął' Pdr.; ‚do miłego schronienia (zwolna to igrając

włosami) to (lekko) zwolna wionął (obwiał ją nadprzyrodzoną wonią) (tchnął na nią) na nią miękkim powiewem' A.

str. 242 w. 22 ‚usypały' Pdr.; ‚wy(puściły)sypały z nich drobne' A.

» — » 23 ‚błoniach (polach)' A.

» — » 27 ‚smętne' Pdr.; ‚smutne' A.

» — » — ‚przerywanem' Pdr.; ‚nieprzerwanem' A.

» — » 28 ‚wyobraźnią' Pdr.; ‚ożywioną wyobraźnią' A.

» 243 » 1 ‚(uśpionej) marzącej' A.

» — » 2 ‚przedzierającem się przez ciemną komnatę' Pdr.; ‚przenikającem się przez ciemności komnaty' A.

» — » 3 ‚(mężczy) rycerza' A.

» — » 4 ‚(wyszło) wyszło z jej ust uśpionych (wyszło)' A.

» — » 6 ‚łagodne' Pdr.; ‚piękne' A.

» — » 7 ‚(nieco bladawe) lica' A.

» — » – ‚(namiętności) miłości' A.

» — » 8 ‚(złotem) srebrem' A.

» — » — ‚(nad czarnych włosów kędzio) nad promieńmi' A.

» — » 9 ‚(Zbroja) Kolczuga' A.

» — » 14 ‚podworcu' A; ‚podwórzu' Pdr.

» — » 16 ‚śpi' Pdr.; ‚śpie' A.

» — » 17 ‚(miła mojemu) zaślubiona' A.

» — » — ‚(wśród snu) podobne' A.

» — » 20 ‚(letniego) wiosennego' A.

» — » 21 ‚objęcia' A; ‚objęcie' Pdr.

» — » 25 ‚na czarnym swoim koniu' Pdr.; ‚na czarn(ym)ego rumaka' A.

» — » 26 ‚(na konia) i przy świetle' A.

» 244 » 2 ‚jak gdyby kochanek na rączym koniu zawiódł' Pdr.; ‚jakby rączy koń rycerza uniósł' A, poprawione na: ‚jak gdyby kochanek na rączym koniu uniósł ją'.

» — » 4 ‚(lasy) lasami' A.

str. 244 w. 5 ‚(zamieniło) przybrało' A.
» — » — ‚pomrokę' Pdr; ‚powłokę' A.
» — » 6 ‚(z za której) oddzielającą' A.
» — » 7 ‚(choć zielone) wyschłe (choć jeszcze zachowały) dziwnej były zieloności (ale nie taką różnej od barwy wiosen) wpadającej' A.
» — » 9 ‚wlokły się mętnemi falami' Pdr.; ‚(posępnie) powoli toczyły (fale) mętne fale odbijając' A.
» — » 11 ‚zawieszone' A; ‚zamięszane' Pdr.
» — » — ‚(Mgła) Złowieszcze' A.
» — » 13 ‚(coraz bardziej się zbliżających) z daleka (grzmiących) się odzywających' A.
» — » 15 ‚w boki' A; ‚w boku' Pdr.
» — » 17 ‚ciągle goniący za niemi w powietrzu' Pdr.; ‚ciągle w powietrzu' A.
» — » 19 ‚tętnienie' A; ‚tętnienia' Pdr.
» — » 21 ‚zostali' Pdr.; ‚zostawali się' A.
» — » 25 ‚sam jeden Archeld' Pdr.; ‚sam Arheld' A.
» — » 26 ‚ostatni z jego orszaku' Pdr.; ‚ostatni (towarzysz) z jego obrońców' A.
» — » 27 ‚za chwilę' Pdr.; ‚a chwilą' A.
» — » 28 ‚na piasku' Pdr.; ‚na kurzawie' A.
» — » 29 ‚wy(rwał)dobył' A.
» — » — ‚wydobył ją' Pdr.; ‚wydobył się' A.
» 245 » 1 ‚konia' Pdr.; ‚rumaka' A.
» — » — ‚powiększać' Pdr.; ‚powiększyć' A.
» — » 5 ‚poznała dziewica Ottona' A; ‚poznała Ottona' Pdr.
» — » 6 ‚Zdało' Pdr.; ‚I zdało' A.
» — » 8 ‚uniósł' A; ‚wniósł' Pdr.
» — » 12 ‚dla (małej) lękliwej' A.
» — » 14 ‚i sterczących — Arheld urwiskach' Pdr.; ‚urwiskach — a Arheld' A.
» — » 15 ‚jaśniejący oręż' Pdr.; ‚błyszczący oręż' A.

str. 245 w. 16 ‚lewą oblubienicę' Pdr.; ‚lewą ręką oblubienicę' A.
» — » 17 ‚śmierć' Pdr.; ‚miłość' A.
» — » 18 ‚(równina) skała' A.
» — » — ‚okryta' Pdr.; ‚okryła się' A.
» — » — ‚(wysoka skała) w każdym' A.
» — » 19 ‚to pancerzem' Pdr.; ‚to zbroją' A.
» — » 20 ‚(góra) opoka' A.
» — » — ‚stalow(y)ą (ogrom) górę' A.
» — » 22 ‚ich poległo' Pdr.; morderców zginęło' A.
» — » 23 ‚(drogiej) najdroższego' A.
» — » 24 ‚(widzia) (postrzegła) uczuła' A.
» — » — ‚córka wojewody' Pdr.; ‚córka potężnego wojewody' A.
» — » — ‚drżało podpierające ją ramię' Pdr.; ‚drżała utrzymująca ją ręka' A.
» — » 25 ‚krwi, wylewające się z pod zbroi' Pdr.; ‚krwi (purpurowej) spływające po zbroi' A.
» — » 29 ‚padło' Pdr.; ‚spadło' A.
» — » — ‚pana z Pilcy' Pdr.; ‚(Ottona) pana z Pilcy (i ponurego wojewody towarzysza)' A.
» 246 » 2 ‚swojego' Pdr.; ‚ponurego' A.
» — » 9 ‚dzieliły ją od świata' Pdr.; ‚ją otaczały' A.
» — » 15 ‚uśmiechał się smętnie do oblubienicy' Pdr.; ‚smętnym wzrokiem poglądał na oblubienicę' A.
» — » 16 ‚ale' Pdr.; ‚a' A.
» — » 17 ‚I' Pdr.; ‚A' A.
» — » 19 ‚W tem uwięzieniu' Pdr.; ‚czyli raczej w tem więzieniu' A.
» — » — ‚pociech(ą)ę strapione(go) jej serc(a)e (było)' A.
» — » 20 ‚miało w dziecięciu' Pdr.; ‚znajdowało w dziecku' A.
» — » 21 ‚dziecię' Pdr.; ‚dziecko' A.
» — » — ‚(a nareście zamiast) i ono jedno' A.

str. 246 w. 24 ‚pogrzebowy' Pdr.; ‚żałobny' A.
» 247 » 1 ‚wokoło' Pdr.; ‚naokoło niej' A.
» — » 2 ‚służalcy z udanym smutkiem szli za ciałem' Pdr.; ‚(postępowały) szły powoli za ciałem (Granowskiego) znienawidzonego' A.
» — » 5 ‚wzrokiem' Pdr.; ‚oczyma' A.
» — » — ‚wyśledzić' Pdr.; ‚zobaczyć' A
» — » 9 ‚(od)spadły (ją) z niej' A.
» — » 12 ‚na nowo' Pdr.; ‚znowu' A.
» — » — ‚zakwitające' Pdr.; ‚rozkwitające' A
» — » 14 ‚kornie' Pdr.; ‚kornem' A.
» — » — ‚bili (przed nią)' A
» — » 15 ‚(na jej widok) przed nią' A.
» — » 16 ‚naród cały przywitał' Pdr.; ‚niezliczone tłumy przywitały' A.
» — » 18 ‚porfirowe... Uderzyły' Pdr.; ‚wschodnim przepychem (przybrane) strojne komnaty uderzyły' A.
» — » 20 ‚zdziwiony' Pdr.; ‚zadziwiony' A.
» — » 21 ‚głowy... — A wtem' Pdr.; ‚głowy schylały się przed nią, wszędzie złoto i drogie błyszczały kamienie — Rzędy (lśniące się rzędy dworzan w uszanowaniu naokoło stały) — A wtem' A.
» — » 23 ‚się rzędy' Pdr ; ‚się lśniące rzędy' A.
» — » 26 ‚pomieszana... dzikości' Pdr.; ‚pomieszana z niestartą przez wiele zmian(ę) dzikością' A.
» 248 » 5 ‚(niezliczonych) tłumów' A.
» — » 6 ‚(lekkiemi) pal(iły)ąc się' A.
» — » 7 ‚jaśniejących' Pdr.; ‚świetnych' A.
» — » — ‚wznosząc' Pdr.; ‚wznosiły' A.
» — » 8 ‚śpiew' Pdr ; ‚i śpiew' A.
» — » — ‚rozlegał się' A; ‚rozległ się' Pdr.
» — » 11 ‚Pomiędzy... rozeznała' Pdr.; ‚(W) Pomiędzy cisnącemi się osobami rozeznała' A.
» — » 14 ‚do niego' Pdr.; ‚dźwięcznym głosem' A.

str. 248 w. 15 ‚ozwał się .. i wystąpił' Pdr.; ‚ozwał się jeden głos tylko i wystąpił' A.
» — » 18 ‚i śmiałemi... sam jeden' Pdr.; ‚śmiałością mowy zadziwił wszystkich i sam jeden' A.
» — » 21 ‚strojach' Pdr.; ‚szatach' A.
» — » — ‚na twarzy' Pdr.; ‚w oczach' A.
» — » 22 ‚(głos swój) się z siedzenia' A.
» — » 23 ‚okrzyki .. przytłumiły' Pdr.; ‚okrzyki radości przytłumiły głos' A.
» — » 25 ‚(Król) mąż' A.
» — » — ‚zeszedł' A; ‚zszedł' Pdr.
» — » 26 ‚(śpiewne) pienia' A.
» 249 » 1 ‚podwojoną... i klękli Pdr., ‚podwójnym(świetniały) zajaśniały blaskiem i klękli' A.
» — » — ‚ob(a)oje' A.
» — » 2 ‚Duchowny' Pdr.; ‚A duchowny' A.
» — » 3 ‚Po chwili' Pdr.; ‚Po krótkiej chwili' A.
» — » 4 ‚własnych' Pdr.; ‚swoich' A.
» — » 5 ‚a' Pdr.; ‚i' A.
» — » — ‚drogiej korony' Pdr.; ‚drogich kamieni' A.
» — » 9 ‚na ramieniu Archelda' Pdr.; ‚na jego ramieniu' A.

str. 251.

PARYSYNA.

Nr. 1, *z)* Rps (A^2). Przepis na czysto.

Nr. 5 Rps (A^1) 24×20, k. 8 (z czego zapisanych 6 i 7-a po jednej stronie).

»Parisina«

Brulion z poprawkami.

Pismo, jak się zdaje, z r. 1829; znak wodny »J. Honig & Zoonen«.

Odmianki tekstu.

str. 253 w. 5. ‚blizko' A^2; ‚blizkie' A^1.
» — » 9 ‚która (słod)miła... następuje' A^2; ‚która (tak

jest) zarazem tak słodka i czysta następuje' A^1.

str. 253 w. 11 ‚rozlepia' A^2; ‚(rozpływa) roztapia' A^1.
» — » 12 ‚strumyków' A^2; ‚wód' A^1.
» — » 14 ‚świateł' A^2; ‚światłości' A^1.
» — » — ‚cienie' A^2; ‚cieniach (ciemnościach)' A^1.
» 254 » 1 ‚Estu' A^2; ‚Esty' A^1.
» — » — ‚świeżo rozwiniętych' A^2; ‚ich rozwitych' A^1.
» — » 2 ‚lecz' A^2; ‚ale' A^1.
» — » 4 ‚Przesunęła' A^2; ‚Tam przesu(wa)nęła' A^1.
» — » 5 ‚ozwał się' A^2; ‚tam ozwał się' A^1.
» — » 8 ‚chwila' A^2; ‚ta chwila' A^1.
» — » 9 ‚luby' A^2; ‚jej luby' A^1.
» — » 11 ‚Jego... istoty' A^2; ‚Jego (z swojemi) żyjące(mi) istoty' A^1.
» — » 12 ‚niebo' A^2; ‚niebiosa' A^1.
» — » 13 ‚śmierć' A^2; ‚zimna śmierć A^1.
» — » 15 ‚zaginęło' A^2; ‚już zaginęło' A^1.
» — » — ‚oni jedynie tylko' A^2; ‚oni tylko' A^1.
» — » 17 ‚ona nigdy' A^2; ‚nigdy' A^1.
» — » 18 ‚któremu podległe' A^2; ‚któremu przemocy (czują ich) podległe' A^1.
» — » 20 ‚uniesieniu' A^2; ‚marzeniu' A^1.
» — » 21 ‚któż kiedy' A^2; ‚Któż (co) który kiedy' A^1.
» — » — ‚czując' A^2; ‚czu(ł)jący' A^1.
» — » 22 ‚trwogę' A^2; ‚bojaźń' A^1.
» — » 23 ‚ulecą' A^2; ‚(ulatują) ulecą' A^1.
» — » 24 ‚ulecić' A^2; ‚one ulecić' A^1
» — » — ‚budzimy' A^2; ‚budzim' A^1.
» 255 » 2 ‚(wykonanego) dokonanego' A^1.
» — » 3 ‚pełni nadziei' A^2; ‚mają nadzieję' A^1.
» — » 5 ‚a kiedy (długie) częste westchnienia i (częste) długie' A^2.
» — » 6 ‚rumieńcem okrywają lica (błyszczą na twarzy)' A^1.
« — » 7 ‚lęka się' A^2; ‚boi się' A^1.

str. 255 w. 7 ‚niebo (jej prze*p*aczyć)' A^2; ‚niebo jej przebaczyć' A^1.
» — » 8 ‚i zdaje się jej, że' A^2; ‚jak gdyby' A^1.
» — » 9 ‚(jej) tych' A^1.
» — » — ‚patrzy' A^2; ‚patrzała' A^1.
» — » 12 ‚i te muszę' A^2; ‚to musi' A^1.
» — » 13 ‚oddalając... drżenie' A^2; ‚oddalają z sercem smutną trwogą obciążonem(i) z okropnem i wstrząsającem drżeniem' A^1.
» — » 20 ‚pomieszanych (przerywanych)' A^1.
» — » 21 ‚(głaszcze) obejmuje' A^1.
» — » 24 ‚gorejące' A^2; ‚gorące' A^1.
» — » 26 ‚która... kochać' A^1. Pierwotnie było: ‚która i we śnie nawet ukochała'.
» 256 » 1 ‚przycis(kając)nął' A^1.
» — » — ‚i przysłuch(uje)wał' A^1.
» — » 2 ‚przerwanym (oderwanym) jej' A^1.
» — » 4 ‚miał przyczynę (do) zadrże(nia)ć' A^2; ‚(mógł zadrżeć) miał przyczynę (do) zadrże(nia)ć' A^1.
» — » 5 ‚zagrzmi(eć) A^2; ‚zagrzmieć' A^1.
» — » 6 ‚by (nie zasnąć już nigdy) nigdy już nie zasnąć' A^2; ‚by nie zasnąć więcej' A^1.
» — » 7 ‚zadrżeć' A^2; ‚(do) zadrże(nia)ć' A^1.
» — » 9 ‚(które) co' A^1.
» — » 10 ‚roztrącając' A^2; ‚pędząc' A^1.
» — » — ‚o spadziste wybrzeża' A^2; ‚na spadziste brzegi' A^1.
» — » 11 ‚nieszczęsnego' A^2; ‚nieszczęśliwego' A^1.
» — » — ‚a on' A^2; ‚który' A^1.
» — » 12 ‚w morza głębiny' A^2; w A^1 brak.
» — » — ‚więcej? — I czyjeż' A^2; ‚więcej? — Podobnież ten grom tego duszę uderzył — I czyjeż' A^1.
» — » 14 ‚Hugo' A^2; ‚To Hugo' A^1.
» — » 17 ‚nieszczęsną' A^2; ‚tę' A^1.
» — » 18 ‚poślubić' A^2; ‚(przyjąć) poślubić za żonę' A^1.
» — » 19 ‚sztylet (w pochwie)' A^1.

str. 256 w. 19 ‚do (ostrza) połowy' A^1.
» — » 20 ‚do pochwy' A^2; ‚w głąb pochwy' A^1.
» — » — ‚(wepchnął) schował' A^1.
» — » 22 ‚lecz w głęboki sen wpadła' poprawiono na: ‚głębokim snem ujęta' A^1.
» — » — ‚nie mógł jej także obudzić' poprawiono na: ‚i obudzić jej nie mógł' A^1.
» 257 » 2 ‚A... w łzach' A^2; ‚A nad jego czołem paląca się lampa odbiła się w łzach' A^1.
» — » 3 ‚(roszących) napełniających' A^1.
» — » 4 ‚lecz' A^2; ‚ale' A^1.
» — » 5 ‚Tymczasem' A^2; ‚A tymczasem' A^1.
» — » — ‚dni jej życia były' A^2; ‚dni jej były' A^1.
» — » 9 ‚(bał) lękał się' A^1.
» — » — ‚rozwijają się przed jego oczyma' A^2; ‚stoją mu przed oczyma' A^1.
» — » 10 ‚żony' A^2; ‚jej' A^1.
» — » — ‚przyszłe (zgryzoty) tęsknoty' A^2.
» — » 12 ‚karę' A^2; ‚wyrok' A^1.
» — » 14 ‚zdolne (zmusić)' A^1.
» — » — ‚skłonić' A^2; ‚nakłonić' A^1.
» — » 16 ‚słuchać' A^2; ‚słyszeć' A^1.
» — » 17 ‚co' A^2; ‚którzy' A^1.
» — » — ‚W (pokoju) sali' A^1.
» — » 18 ‚państwa' A^2; ‚posłuchań' A^1.
» — » 19 ‚tronie (i sądzić zaczyna)' A^1.
» — » — ‚naokoło panowie' A^2; ‚naokoło niego panowie' A^1.
» — » — ‚i straże (stoją)' A^1.
» — » 20 ‚występni (stoją)' A^1.
» — » — ‚oboj(go)e' A^1.
» — » — ‚(młodości) (wieku) życia' A^1.
» — » 21 ‚zachwycającej (pię) urody' A^2; ‚zachwycającej piękności' A^1.
» — » 22 ‚syn... obliczem A^2; ‚ma się syn (się) ukazywać przed obliczem ojca' A^1.
» — » 23 ‚(A) Tak (jednak) przecież' A^1.

str. 257 w. 23 ‚poglądając ... słyszeć' A^2; ‚poglądać na (swego) rodzica i słyszeć' A^1.
» 258 » 1 ‚zbladła' A^2; ‚blada' A^1.
» — » — ‚swego wyroku' A^2; ‚na swój wyrok' A^1.
» — » 3 ‚Świetne' A^2; ‚Świetniejące' A^1.
» — » — ‚radością' A^2; ‚(w weselu) radośnie' A^1.
» — » — ‚wśród... komnat' A^2; ‚w jaśniejących komnatach' A^1.
» — » 5 ‚na swoją księżnę' A^2; ‚na (piękność) (panią) księżnę' A^1.
» — » 7 ‚przyjemną' A^2; ‚jej przyjemną' A^1.
» — » — ‚z nich wdzięki'; ‚z nich wzdzięki' A^2; ‚z (jej) nich wzdzięki' A^1.
» — » 8 ‚(królowej) pani' A^1.
» — » 9 ‚(wy)przybiegło' A^2; ‚wybiegło' A^1.
» — » 10 ‚zabłysło(by)' A^1.
» — » — ‚dla zamienienia' A^2; ‚na (przyjęcie) zamienienie' A^1.
» — » 11 ‚na (za własną) własną' A^1.
» — » 12 ‚Ani (nie) może' A^1.
» — » 18 ‚są tutaj przytomni'; ‚są tu tutaj przytomni' A^2; ‚są tutaj (stoją) przytomni' A^1.
» — » 19 ‚(A) I on (tu stoi, on) wybrany' A^1.
» — » 22 ‚(zaślubionej) ojca' A^1.
» — » 23 ‚stoi także' A^2; ‚stoi' A^1.
» — » — ‚(ani p) i nie patrzy' A^1.
» — » 24 ‚patrzy... samej' A^2; ‚patrzy na jej oczy (łzami napełnione) we łzach (pływające) tonące bardziej dla niego, niż dla (własnej rozpaczy) siebie samej' A^1.
» — » 27 ‚zdającej się' A^2; ‚która zdawała się' A^1.
» — » 28 ‚najsłodsz(e)ych (po)całunk(i)ów' A^1.
» — » — ‚rozognione i żółtawej barwy' A^2; ‚rozognioną i żółtawą barwą' A^1.
» — » 29 ‚(spodniej) dolnej' A^1.
» 259 » 1 ‚jaśniejąc zapełnia się' A^2; ‚świetnieje i (n) zapełnia się' A^1.

str. 259 w. 3 ‚teraz... zakry(ty)ł (jest jego) smutek' A^2; ‚teraz (dla oczu) przed oczyma (które) nań spoglądającemi zakryty jest jego smutek' A^1.
» — » 4 ‚jeśli... doznaje' A^2; ‚jeśli on jaki (czułego) czuje' A^1.
» — » 5 ‚Bez trwogi... góry' A^2; ‚(Śmiało i prosto) Bez trwogi (wzniesione było jego) wzniósł czoło do góry' A^1.
» — » 6 ‚duszę szarpiących' A^2; ‚w duszy rozlanych' A^1.
» — » 7 ‚A(le)' A^1.
» — » 8 ‚Zajęło... przeznaczenie' A^2; (Pamięć) zajęła go (pamięć) wspomnienie godziny w któr(a)ej (sprawiła) (jego) winę i (jego) miłość(ią) (sprawiła) przywiodły (go) (jego) (do teraźniejsze) obecne(go) położeni(e)a (do) gniew(u) ojca — (do) nienawiści wszystkich sprawiedliwych — (i do) jego ziemskie(go) i wieczne(go) przeznaczenie' A^1.
» — » 12 ‚śmierci' poprawiono na ‚śmiercią' A^1.
» — » — ‚(podobne) napiętnowane' A^1.
» — » 13 ‚zdołałożby' A^2; ‚czyżby było (mogło) zdołało' A^1.
» — » 14 ‚(sprawionych) zdziałanych' A^1.
» — » 15 ‚(z) żon(y)ą i syn(a)em' A^1.
» — » 16 ‚przeszło dzisiaj' A^2; ‚(uleciało) dzisiaj — uleciało' A^1.
» — » — ‚słońce zajdzie' A^2; ‚zapadnie słońce' A^1.
» — » 17 ‚już... z nich' A^2; ‚nie będę już miał (żadnego) z nich żadnego' A^1.
» — » 18 ‚życie... będzie' A^2; ‚życie (musi) ciągnąć się będzie samotnie (upłynie)' A^1.
» — » — ‚ale' A^2; ‚lecz' A^1.
» — » — ‚(to nic nie znaczy) mniejsza o to' A^1.
» — » 19 ‚to wszystko przejdzie' A^2; ‚to (musi się skończyć) przejdzie' A^1.
» — » 20 ‚któryby... odemnie' A^2; ‚któryby nie (uczy-

nił) postąpił, jak ja teraz (czynię) postępuję' A^1.

str. 259 w. 20 ‚(Te związki się wiążące) łączące nas łańcuchy' A^1.

» — » 22 ‚Ale... przejdzie' A^2; ‚Ale to (musi się zakończyć) przejdzie' A^1.

» — » — ‚Wyrok już (gotowy) wydany' A^2; ‚wyrok już gotowy' A^1.

» — » 23 ‚kapłan czeka' A^2; ‚kapłan już czeka' A^1.

» — » 25 ‚Boga... odpuścić' A^2; ‚nieb(a)ios, nim (zabłysną) wieczorne gwiazdy zabłysną — niech cię nauczy zakonnik, że mogą ci przebaczyć i że ich (litos) miłosierdzie może ci winę odpuścić' A^1.

» 260 » 1 ‚niema (żadnego) miejsca' A^1.

» — » 2 ‚widzieć (twojej) jak będziesz' A^1.

» — » 10 ‚na jego czole' A^2; z jego czoła' A^1.

» — » — ‚i opadały' A^2; w A^1 brak.

» — » 11 ‚od mózgu' A^2; ‚mózgu' A^1.

» — » 16 ‚(zabronił) odmówił' A^1.

» — » — ‚prośby' A^2; ‚prośby (w jego słowach zawartej)' A^1.

» — » 17 ‚Nie (dlatego przemówię, że się) lękam się' A^1.

» — » 18 ‚z zapałem' A^2; ‚z rumieńcem' A^1.

» — » 19 ‚(twojej) sprawiedliwości' A^1.

» — » 25 ‚skażonej sławie' A^2; ‚skażonem imieniu' A^1.

» — » — ‚(jej) syn' A^1.

» — » 26 ‚gdzie... zstąpię' A^2; ‚gdzie wkrótce ja, syn jej i twój rywal, bez trwogi zstąpię' A^1.

» — » 29 ‚(wierność) miłość' A^2.

» 261 » 5 ‚zapragnąłeś jej wdzięków' A^2; ‚podbiłeś jej wdzięki' A^1.

» — » 6 ‚prawdziwą' A^2; ‚pierwszą' A^1.

» — » 8 ‚dlatego, że nie' A^2; ‚bo nie' A^1.

» — » 11 ‚mi były nieba' A^2; ‚(mnie) mi nieba' A^1.

» — » — ‚(zaświetniał) zajaśniałoby' A^1.

str. 261 w. 14 ‚(książąt) królów' A^1.
» — » 16 ‚zyskają ostrogi' A^2; ‚dostają (ozdoby) ostrogi' A^1.
» — » 19 ‚Est(u)' A^1.
» — » 20 ‚sprawy... dni' A^2; ‚sprawę mojej zbrodni ani cię prosić, byś na czas jeszcze przedłużył krótkie godziny lub dni' A^1.
» — » 22 ‚doprowadzić' A^2; ‚zawieść' A^1.
» — » 25 ‚i choć pogardzasz' A^2; ‚i szlachetność twego rodu pogardza' A^1.
» — » 27 ‚(mego) twarzy' A^1.
» — » — ‚a dusza twoja' A^2; ‚a (w mojej duszy) twoja' A^1.
» — » 28 ‚nieugiętość' A^2; ‚tę nieugiętość' A^1.
» — » 29 ‚Lecz czemu' A^2; ‚Ale czegóż' A^1.
» 262 » 1 ‚rozogniony' A^2; ‚zajęty' A^1.
» — » 3 ‚do ciebie (więcej) bardziej' A^2; ‚do ciebie więcej' A^1.
» — » 4 ‚potomkiem występnej miłości. Dusza' A^2; ‚potomkiem. Dusza' A^1.
» — » 7 ‚pozbawiasz' A^2; ‚chcesz pozbawić' A^1.
» — » 9 ‚wdziewasz' A^2; ‚wzdziewasz' A^1.
» — » 12 ‚dawniej' A^2; ‚oddawna' A^1.
» — » 14 ‚pojął' A^2; ‚pojąłeś' A^1.
» — » — ‚dotąd, że' A^2; ‚dotąd jeszcze, że' A^1.
» — » — ‚moim' A^2; ‚mym' A^1.
» — » 16 ‚Poczęty' A^2; ‚Poczętym' A^1.
» — » 17 ‚(ten sam) jednaki początek, (co) i' A^1.
» — » 18 ‚(z)błądził' A^1.
» — » 20 ‚i Bóg' A^2; ‚Bóg' A^1.
» — » 21 ‚także... rozsądzić' A^2; ‚także (rozsądzić) ich i mnie osądzić' A^1.
» — » 23 ‚(ściskające) (wiążące je) zawieszone' A^1.
» — » 24 ‚przytomnych' A^2; ‚stojących (przy)' A^1.
» — » — ‚(zranione było) przeraził' A^1.
» — » 26 ‚(nieszczęs) zgubne Parysyny wzdzięki' A^2; ‚nieszczęsne Parysyny wzdzięki' A^1.

str. 262 w. 27 ‚I czyż... usłyszeć' A^2; ‚I czyż w taki sposób miała słuchać wyroku swego' A^1.
» 263 » 1 ‚zwrócą się' A^2; ‚spojrzą' A^1.
» — » 2 ‚źrzenice' A^2; ‚źrzenice ciemno-błękitne' A^1.
» » 3 ‚zaciemnić'; ‚zaciemnieć' A^1 i A^2.
» — » 5 ‚(oziębłym) zimnym' A^2; ‚oziębłym' A^1.
» — » — ‚spogląda' A^2; ‚pogląda' A^1.
» — » — ‚(zmroziła się) zamarzła' A^1.
» — » 7 ‚z pod ciemnych' A^2; ‚z ciemnych' A^1.
» — » 8 ‚(to) widzieć' A^2; ‚to widzieć' A^1.
» — » — ‚(a) lecz' A^1.
» — » ‚to tem' A^2; brak w A^1.
» » 9 ‚dziwili się' A^2; ‚w podziwieniu stali' A^1.
» — » — ‚łza' A^1; brak w A^2.
» — » — ‚może... oczów' A^2; ‚może ludzkie zrosić oczy' A^1.
» — » 11 ‚przerwa(ny)ł (został) się' A^1.
» — » 13 ‚(że) iż się zdaje' A^2; ‚że zdaje się' A^1.
» — » 15 ‚Drugi raz' A^2; ‚powtórnie' A^1.
» — » 18 ‚martwej' A^2; ‚nieżyjącej' A^1.
» — » 20 ‚mogła... nakłonić' A^2; ‚mogła dać się do występku nakłonić' A^1.
» — » — ‚lecz' A^2; ‚ale' A^1.
» — » 21 ‚(nienawiść) hańb(ę)y' A^1.
» — » 22 ‚po omdleniu' A^2; ‚po tem omdleniu' A^1.
» — » 24 ‚boleści' A^2; ‚bolu' A^1.
» — » — ‚i (każda osłabła jej mózgu żyła) osłabły' A^1.
» — » 29 ‚(północy) nocy' A^1.
» — » — ‚wściekłość swą' A^2; ‚swoją wściekłość' A^1.
» — » — ‚(Boi się) Lęka się' A^1.
» — » 30 ‚(obarcza) przytłacza' A^1.
» — » 31 ‚(jakaś winy) shańbienie' A^1.
» — » — ‚(Przypomni) Pamięta' A^1.
» 264 » 5 ‚srodze' A^2; brak w A^1.
» — » ‚(na nią) na tą' A^1.
» — » 6 ‚Wszystko... stało' A^2; ‚Wszystko było (po-

mieszane) i nie (rozgarnięte) odznaczone w pomieszaniu stało' A^1.

str. 264 w. 9 ‚raz... pobudzał' A^2; ‚raz jej uśmiech, to znów łzy sprowadzał' A^1.

» — » 10 ‚Unosił... usiłowała' A^2; ‚Uniesiona szałem w (obu) każdej z tych ostateczności usiłowała' A^1.

» — » 11 ‚obłąkanie' A^2; ‚marzenie' A^1.

» — » 12 ‚zdaje się' A^2; ‚zdawało się' A^1.

» — » — ‚chwilą' A^2; ‚chwilę' A^1.

» — » 13 ‚obudzić się z tego marzenia' A^2; ‚z niego się obudzić' A^1.

» — » 14 ‚Dzwony.... brzmieniem' A^2; ‚Dzwony klasztoru (zabrzmiał) się ozwały smutnem i powolnem brzmieniem, kołysząc się w wieży z pogrzebowym dźwiękiem' A^1.

» — » 17 ‚hymnu śpiewanie' A^2; ‚(to) hymn(śmierci)u śpiewa(ją)nie' A^1.

» — » — ‚za zmarłego lub za żywego' A^2; ‚za zmarł(ym)(ch)ego (lub) (albo) lub za żyw(ym)ego' A^1.

» — » 18 ‚(Wkrótce do ich rzędu zstąpi) niezadługo umrze' A^1.

» — » 19 ‚rozlega' A^2; ‚wznosi' A^1.

» — » 20 ‚(odleci) ten świat' A^1.

» — » 21 ‚Smutne... w patrzących' A^2; ‚Smutne(m) (słyszeć to opowiadanie) to jest dla słuchającego, a litość wzbudzało w patrzących' A^1.

» — » 23 ‚jak' A^2; ‚(jak) kiedy' A^1.

» — » 24 ‚strażą' A^2; ‚strażami' A^1.

» — » 25 ‚stojąc' A^2; ‚stał' A^1.

» — » — ‚goły... zaostrzał' A^2; ‚z gołym toporem, któr(ego ostrze)y zaostrzał' A^1.

» — » 26 ‚(A) Tymczasem' A^1.

» 265 » 2 ‚(u)padającego' A^1.

» — » 4 ‚które'; ‚który' A^1 i A^2.

str. 265 w. 5 ‚to... wychodzi' A^2; ‚to znów z niej się wydobywa' A^1.
» — » 7 ‚odbywając... kapłanem' A^2; ‚wyznając przed zakonnikiem' A^1.
» — » 17 ‚srogiej sprawiedliwości' A^2; ‚srogiego (wyroku) (sprawiedliwości) sprawiedliwości' A^1.
» — » 18 ‚(drzeniem) dreszczem' A^2.
» — » 25 ‚błyszczące .. obcięto' A^2; ‚i jego ciemno (świetne) błyszczące włosy mają być ucięte — Już je ucięto' A^1.
» — » 27 ‚towarzyszyć do grobu' A^2; ‚towarzyszyć, za ozdobę służyć w grobie' A^1.
» 266 » 1 ‚wzrokiem... zasłonę' A^2; ‚(wzrokiem)(oczyma) oczyma kat rozciąga (ją) zasłonę' A^1.
» — » 2 ‚t(o)a ostatni(e)a (shańbie) sromota' A^1.
» — » 3 ‚dumnych oczów' A^2; ‚dumn(ych)ego (jego oczów) wzroku' A^1.
» — » 4 ‚z pychą' A^2; ‚pysznie' A^1.
» — » 5 ‚jak gdyby (one) śmiało... ślepoty' A^2; ‚nie mające nigdy takiej ścierpieć ślepoty, bo mogły śmiało na śmierć spoglądać' A^1.
» — » 8 ‚moja krew (wys) (skazana)' A^1.
» — » 9 ‚(oku) spętane' A^1.
» — » 10 ‚Uderz' A^2; ‚Uderzaj' A^1.
» — » 11 ‚(schylił) położył' A^1.
» — » — ‚Ostatni... był' A^2; ‚Ostatnie jego słowo było' A^1.
» — » 13 ‚a (kadłub) ciało' A^1.
» — » — ‚i (krwią pokryte) zbroczone' A^1.
» — » — ‚(sącząc krwi strumienie) stoczyło się' A^1
» — » 14 ‚przemókł krwi strumieńmi' A^2; ‚przesiąkł krwi strumieniami' A^1.
» — » 16 ‚gwałtownie' A^2; ‚gwałtownie i szybko' A^1.
» — » 17 ‚umierać' A^2; ‚umrzeć' A^1.
» — » 19 ‚mając jeszcze nadzieję w niebie' A^2; ‚i nie tracąc nadziei o niebie' A^1.
» — » 20 ‚A' A^2; ‚I' A^1.

str. 266 w. 21 ‚spowiednika' A^2; ‚zakonnika' A^1.
» — » 23 ‚Już nie czynił' A^2; ‚Już on nie czynił' A^1.
» — » 24 ‚Myślał tylko o (sobie) niebie — (wymawiał) mówił' A^2; ‚wymawiał' A^1.
» — » 25 ‚kilku' A^1; ‚kilka' A^2.
» — » 27 ‚(oświadcz) zawołał' A^1.
» — » 28 ‚ostatnie(m) jego pożegnanie(m)' A^1.
» — » 29 ‚z wszystkimi naokoło' A^2; ‚wszystkim wokoło' A^1.
» 267 » 1 ‚Piersi... wstrzymały' A^2; ‚Wszys(cy)tkich patrzących (zatrzymali oddech jak) piersi oddech (ws)zatrzymały' A^1.
» — » 2 ‚(zawiera) przymknęła' A^1.
» — » — ‚Lecz kiedy zgubny raz' A^2; ‚Lecz kiedy (topór) raz nieszczęśliwy' A^1.
» — » 5 ‚ust' A^2; ‚piersi A^1.
» — » 6 ‚oprócz uderzenia' A^2; ‚(oprócz) wyjąwszy uderzeni(a)e' A^1.
» — » — ‚z' A^2; brak w A^1.
» — » 7 ‚(przebił słup ciosem) hukiem' A^1.
» — » 8 ‚(który) co' A^1.
» — » — ‚przebił' A^1; ‚przepił' A^2.
» — » — ‚milczące przestrzenie' A^2; ‚milcząc(e)ą (powietrze) przestrzeń' A^1.
» — » 9 ‚(okropnie) przeraźliwie' A^2; ‚i tak okropnie' A^1.
» — » 10 ‚pada ciosem' A^2; ‚ginie nagłym uderzony ciosem' A^1.
» — » 12 ‚ciało opuszczającej' A^2; ‚ciało w utrapieniu opuszczającej' A^1.
» — » 13 ‚(zamku) pałacu' A^1.
» — » 14 ‚i (każde) wszystkich' A^1.
» — » 16 ‚(w) okropniejszych ton(ach)ów' A^1.
» — » — ‚(się) nie (wydaje) przybiera' A^1.
» — » 17 (przestrzenie) powietrze' A^1.
» — » 18 ‚(by) żeby' A^1.
» — » 20 ‚chwili' A^2; ‚godziny' A^1.

» 267 » 21 ‚nie' A^2; ‚już nie' A^1.
» — » 22 ‚nigdy .. zostało' A^2; ‚nigdy (istniało nie słyszane) nie istniało, wygnano z każdych ust i uszów, podobnie do imion wstydu lub trwogi' A^1.
» — » 24 ‚Nikt' A^2; ‚I nikt' A^1.
» — » — ‚słyszał... synu' A^2; ‚nie słyszał od księcia Azona wspomnienia żony lub syna' A^1.
» 268 » 1 ‚proch... ołowiem' A^2; ‚prochy (przed) pod trumny pokryciem' A^1.
» — » 4 ‚lub' A^2; ‚(lub) albo' A^1.
» — » 5 ‚albo' A^2; ‚lub' A^1.
» — » — ‚czy... ten' A^2; ‚czy (w) mniej przedłużonym mękom uległa podobnie temu' A^1.
» — » 6 ‚mękom (podobnie) w tejże chwili, co te(mu)n' A^2.
» — » 7 ‚umarła... spadły' A^2; ‚może wtenczas jej serce (dzieląc) podzieliło (w sercu) cios na lubego spadły' A^1.
» — » 9 ‚jej koniec' A^2; ‚był jej koniec' A^1.
» — » 12 ‚nie (był tak przyjemnym) zrównał w piękności i (dzielnym) odwadze (jak ten) temu, (co) który' A^1.
» — » 13 ‚(zwiądł) w zimnym' A^1.

str. 269.

[UŁOMKI PODRÓŻY SZWAJCARSKIEJ].

Tytuł zaczerpnięty z listu Z. Krasińskiego do ojca z dnia 22 października 1830 r., chociaż tam nie o tych «Ułomkach« mowa.

str. 271.

OPISANIE JEZIORA GENEWSKIEGO LEMAN.

Przedruk z »Pamiętnika dla płci pięknej« R. I, t. I, str. 31—34.

str. 275.

JEZIORO GENEWSKIE.

Przedruk z A. E. Odyńca »Listów z podróży«. Warszawa 1878, t. IV, str. 280—281

---

str. 277.

MYŚLI POLAKA PRZY GÓRZE MONT-BLANC.

Przedruk z »Pamiętnika dla płci pięknej«. R. I, t. II, str. 165—167

---

str. 280.

SPADEK AARY.

Przedruk z »Listów z podróży« A. E. Odyńca, t. IV, str. 317—318.

---

str. 303.

TEODORO, KRÓL BORÓW.

Przedruk z »Pamiętnika dla płci pięknej«, R. I, t. II, str. 63—72.

---

str. 315.

ON.

Przedruk z »Pamiętnika dla płci pięknej«, R. I, t. II, str. 241—250.

---

str. 327.

ZAMEK WILCZKI.

Taki jest niewątpliwy tytuł tej powiastki, pochodzący od samego autora, który w liście do barona Girardota z Genewy

dnia 17 września utwór ten nazywa »une historiette sous le nom de *Zamek Wilczki*«.

Przedruk z »Pamiętnika dla płci pięknej«, R. I, t. III, str. 152—166 i 200—205.

Odmianki tekstu.

str. 332 w. 12 ‚niedalekiego lasu'; ‚niedaleko jego lasu' Pdr.
» — » 21 ‚brzęk puharów'; ‚brak puharów' Pdr.
» — *Motto:* ‚Stare przysłowie'; ‚Stare przysłowia' Pdr.

---

str. 355.

UŁOMEK Z DAWNEGO RĘKOPISMU SŁOWIAŃSKIEGO.

Nr. 6. Rps (A), 23×18·1, k. 2
U góry po lewej: ‚19 septembra 1830'.

Tytuł:

‚Ułomek' (poświęcony Tej, która go natchnęła).
Pod tem motto: Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,)
(Obaczyłbyś niejedno wkoło siebie życie,)
(Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu.)
(Mickiewicz.)

Tak część tytułu, jak i motto przemazane innym atramentem.

Jestto rps ocenzurowany, jak świadczy dopisek na ostatniej stronie:

»wolno
Łubkowski
P. R.«

Pdr. »Ułomek z Dawnego Rękopismu słowiańskiego. Wydany przez Z. K.«. Warszawa 1830, w drukarni Banku Polskiego, 8⁰, str. 15.

Odmianki tekstu.

str. 357 w. 7 ‚odpowiadał' A; ‚odpowiedział' Pdr.
» 358 » 2 ‚tajemnic (ludzk)' A.
» — » 4 ‚sposoby' A; ‚sposobów' Pdr.
» — » 9 ‚w nich tylko' A; ‚w niej tylko' Pdr.
» — » 28 ‚w końcu' Pdr.; ‚w koniec' A.
» 359 » 17 ‚dłonie' A; ‚dłonia' Pdr.
» — » — ‚sklepienia' A; ‚przysionki' Pdr.
» — » 20 ‚nieśmiertelności, nie odpadnie' Pdr.; ‚nieśmiertelności i nie odpadnie' A.
» 360 » 8 ‚posuwając' A; ‚przesuwając' Pdr.
» — » 13 ‚możniejszej' A; ‚ważniejszej' Pdr.
» — » 16 ‚w własnej' A; ‚własnej' Pdr.
» 361 » 6 ‚atomy' A; ‚ułomy' Pdr.
» — » 13 ‚rozdzielone' A; ‚rozdzielane' Pdr.
» 362 » 4 ‚z smętnych' A; ‚ze smętnych' Pdr.
» — » 24 ‚Dziecko (wzrastające) w rodzinnym domu' A.
» — » — ‚u wejścia' A; ‚w wejściu' Pdr.
» — » 28 ‚urok (swój) zachowuje' A.
» 363 » 2 ‚czyż podobna' A; ‚czyż podobnem' Pdr.
» — » 12 ‚(wyższego) dalszego' A.
» 364 » 3 ‚wiosna' A; ‚massa' Pdr.
» — » 6 ‚naszej (duszy) piersi' A.
» — » 28 ‚nie(pewności)spokojności' A.
» 365 » 2 ‚wśród ciemności' A; ‚wśród jasności' Pdr.
» — » 4 ‚wtenczas (najlekszy) najmniejszy' A.
» — » 18 ‚rozeznania' A; ‚rozerwania' Pdr.
» — » 20 ‚by się (one) te związki' A.
» — » 26 ‚czekają niemowlęcia' Pdr.; ‚czekają na niemowlęcia' A.
» — » 30 ‚na ziemi — (lecz) a to natchnienie' A; ‚na ziemi, lecz to natchnienie' Pdr.
» 366 » 14 ‚rozwiał w perzynę' A; ‚rozwijał w perzynę' Pdr.
» — » 16 ‚obaczy' A; ‚zobaczy' Pdr.

str. 367 ‚Do[datek][1] do tego Ułomku' A; ‚Do tego Ułomku' Pdr.
» 368 w. 7 ‚ait simplement' Pdr.; ‚est simplement' A.

---

str. 369.

GASTOŁD.

Nr. 7. Rps (A), 25·5×21, k. 6 (ostatnia stronica pusta). Znak wodny »J. Whatman«.

»Gastołd Legenda«.

Na końcu data: »Rzym w 1831, w zimie«.

Utwór przepisany na czysto z nielicznemi poprawkami.

Pdr. »Gastołd. Powieść żmudzka. Przez J. Hr. Kras.... Warszawa 1833, w drukarni b. Komisyi ośw. Nr. 1346 na teraz Da. Dz. staraniem i nakładem tegoż«, mała 8, str. 29.

Na końcu: »Zygmunt Kr.«.

Odmianki tekstu.

str. 371 w. 3 ‚z dzika i ten łeb' A; ‚z dzika ten łeb' Pdr.
» — » 4 ‚a prędko' A; ‚prędko' Pdr.
» — » 9 ‚w ziemię'; ‚o ziemię' A i Pdr. (widoczna pomyłka, por. str. 385, w. 11: »Niemca wbić w ziemię«).
» — » 11 ‚królem lasu' A; ‚władcą lasu' Pdr.
» 372 » 13 ‚a jeszcze (mało liści) żaden liść' A.
» — » 18 ‚z południa i żadnego' A; ‚z południa, żadnego' Pdr.
» — » 27 ‚w tych miejscach' A; ‚w tych tu miejscach' Pdr.
» 373 » 4 ‚gęszczyna' A; ‚gęszczyzna' Pdr.
» — » 5 ‚Jak też' A; ‚Jakże też' Pdr.
» — » 8 ‚przyjmuje i nic nie mówi' A; ‚przyjmując, nic nie mówi' Pdr.
» — » 10 ‚trudy i uśmiecha się' A; ‚trudy, uśmiecha się' Pdr.

[1] Uzupełniona część tego wyrazu wyskrobana w A na wylot.

str. 373 w. 11 ‚a znam siebie' A; ‚ja znam siebie' Pdr.
» — » 18 ‚krzaki' A; ‚krzami' Pdr.
» — » 24 uwolnił go od rzędu' A; ‚uwolnił od rzędu' Pdr.
» — » 28 ‚skórą rysia' A; ‚skórą rysią' Pdr.
» 374 » 5 ‚Trąbka' A; ‚Trąba' Pdr.
» — » 8 ‚zmęczone do szczętu, bo' A; ‚zmęczono, bo' Pdr.
» — » 14 ‚czy wesoła czy smutna' A; ‚czy wesołą czy smutną' Pdr.
» — » 16 ‚podziękowała i odprawę' A; ‚podziękowała; odprawę' Pdr.
» — » 18 ‚prosić na jutro' A; ‚prosić jutro' Pdr.
» — » 21 ‚wody Choiny' A; ‚na wody choiny' Pdr.
» — » 25 ‚jak mówią' A; ‚tak mówią' Pdr.
» — » 26 ‚ja się boję teraz' A; ‚ja boję teraz' Pdr.
» — » — ‚powiadać' A; ‚powiedzieć' Pdr.
» 375 » 6 ‚zbliżył się do stołu' A; ‚zbliżył do stołu' Pdr.
» — » 17 ‚rząd' A; ‚rzęd' Pdr.
» — » 18 ‚znużony, zostaniesz' A; ‚znużony, a ty zostaniesz' Pdr.
» — » 21 ‚odbiegną — i ciemno' A; ‚odbiegną — ciemno' Pdr.
» 376 » 1 ‚fale Choiny' A; ‚fale choiny' Pdr.
» — » — ‚białe pianą' A; ‚biała piana' Pdr.
» — » 17 ‚spuszcza się' A; ‚spuszczać się' Pdr.
» — » 18 ‚podstąpiwszy' A; ‚postąpiwszy' Pdr.
» — » — ‚w ciemnym dole' A; ‚w tajemnym dole' Pdr.
» — » 19 ‚wody Choiny' A; ‚choiny, woda' Pdr.
» — » 28 ‚wjechawszy' A; ‚wyjechawszy' Pdr.
» 377 » 1 ‚blada, kiedy' A; ‚blada i kiedy' Pdr.
» — » 2 ‚dla niej i rzekła' A; ‚do niej, rzekła' Pdr.
» — » 13—21 ‚Ustęp Nigdy — złotem' umieszczony w Pdr. w przypisku, a pod nim dodano w nawiasie: (Z kronik), co jest oczywistą niedorzecznością, gdyż ten Świdrygajło pewnie kronikom nieznany. Rzecz się miała w rzeczy-

wistości tak, że autor, przepisując na czysto, cały ten ustęp przez nieuwagę opuścił, a następnie, spostrzegłszy swój błąd, dopisał go u dołu, zaznaczając to zapomocą cyfr 1—2, w które wiersze te są jakby ujęte, a które umieszczone są także w tekście po zwrocie »powitał ją«, gdzie właściwie dopisany ustęp należy. Wydawca pierwszy zrozumiał to jako przypisek, a chcąc go niby to objaśnić, dodał na chybił trafił »Z kronik«, wydawca zaś ostatni (1904), nie mogąc sobie widocznie dać rady z przypiskiem, opuścił go zupełnie.

str. 377 w. 16 ‚promienie' A; płomienie' Pdr.
» — » 20 ‚a miecza' A; ‚z miecza' Pdr.
» — » 29 ‚z dzika i łeb' A; ‚z dzika, łeb' Pdr.
» — » 31 ‚zmierzch' A; ‚zmrok' Pdr.
» — » — ‚łeb (z) wilka' A.
» 378 » 10 ‚widzę' A; ‚wiedzą' Pdr.
» — » 13 ‚i on' A; ‚a on także' Pdr.
» — » 15 ‚zdało się' A; ‚zdawało się' Pdr.
» — » 23 ‚(konia) rumaka' A.
» — » 25 ‚do tej komnaty' A; ‚do komnaty' Pdr.
» — » 28 ‚z ubitych' A; ‚z zabitych' Pdr.
» 379 » 4 ‚wskaż (mi)' A.
» — » 5 ‚lecz jużci oddasz' A; ‚lecz oddasz że' Pdr.
» — » 7 ‚długo jeszcze mogę' A; ‚długo mogę' Pdr.
» — » 14 ‚(do) ku przepaści' A.
» — » 17 ‚próby' A; ‚prośby' Pdr.
» — » 24 ‚skoczył' A; ‚skoczy' Pdr.
» 380 » 10 ‚i dalej leciał pośród' A; ‚i leciał pośród' Pdr.
» — » 12 ‚wokoło' A; ‚wkoło' Pdr.
» — » 14 ‚zlatuje' A; ‚zalatuje' Pdr.
» — » 16 ‚opadł w połowie' A; ‚upadł po połowie' Pdr.
» — » 18 ‚lubo' A; ‚luba' Pdr.
» — » 19 ‚szepcze do ucha' A; ‚szeptał do ucha' Pdr.
» — » 20 ‚aż (znów) okrążywszy' A.

str. 381 w. 5 ‚wskazywała' A; ‚wskazała' Pdr.
» — » — ‚wrota. — W litewskich żyłach krew, nie woda płynie: krzyknął' A; ‚wrota — Krzyknął' Pdr.
» — » 8 ‚z oburzenia (zarazem)' A.
» — » 13 ‚na Helenę' A; ‚ku Helenie' Pdr.
» — » 14 ‚obalił — a dziewicę' A; obalił, dziewicę' Pdr.
» 382 » 1 ‚głośno o ile' A; ‚głośno i ile' Pdr.
» — » 4 ‚a toż' A; ‚otóż' Pdr.
» — » 11 ‚czy że się boi' A; ‚czy się boi' Pdr.
» — » 16 ‚myślić' A; ‚myśleć' Pdr.
» — » 24 ‚popręg' A; ‚poprzęg' Pdr.
» — » 26 ‚rząd' A; ‚rzęd' Pdr.
» 383 » 8 ‚jeszcze — uciekajmy — uciekajmy w świat' A; ‚jeszcze — uciekajmy w świat' Pdr.
» — » 9 ‚prędzej położyć' A; ‚prędzej położył' Pdr.
» — » 10 ‚życiu z chwałą' A; ‚życiu' Pdr.
» — » 14 ‚wspominała' A; ‚wspomniała' Pdr.
» — » 20 ‚na siodło i kopię' A; ‚na siodło, kopię' Pdr.
» — » 27 ‚wodze — dał' A; ‚wodze i dał' Pdr.
» 384 » 10 ‚Chrystusa (w kaplicy) klęczy' A.
» — » 14 ‚z drewna' A; ‚z drzewa' Pdr.
» — » 17 ‚(kaplicy) tego miejsca' A.
» 385 » 26 ‚ukarawszy mnie na' Pdr.; ‚ukarawszy na mnie' A.
» 386 » 10 ‚męczę przed tobą' A; ‚męczę tobą' Pdr.
» — » 23 ‚uniosłem się na nią' A; ‚uniosłem się do niej' Pdr.
» 387 » 6 ‚Matko Boska, Matko Panno' A; ‚Matko Boska, Matko Boska, Matko Panno' Pdr.
» — » 8 ‚równie jak wtenczas' A; ‚równie wtenczas' Pdr.
» — » 13 ‚nić ciemnego' A; ‚nić z ciemnego' Pdr.
» — » 16 ‚Tyś Helena moja' A; ‚Tyś, Heleno, moja' Pdr.
» — » 19 ‚i wiek' A; ‚wiek' Pdr.
» — » 20 ‚wajdeloty' A; ‚wojdeloty' Pdr.

str. 389.

WYGNANIEC.

Pdr. »Listy Zygmunta Krasińskiego do Konstantego Gaszyńskiego. Z przedmową J. I. Kraszewskiego. Z portretem autora«. Lwów, nakładem księg. Gubrynowicza i Schmidta, 1882, str. 29—32.

Odmianki tekstu.

str. 391 w. 1 ‚Galeazza Peschieri'; ‚Galearo Pesquieri' Pdr.; ‚Galearo' będzie zapewne pomyłką drukarską, albo skutek złego odczytania rpsu, we francuskim bowiem tekście *L'exilé* czytamy ‚Galeazzo Pesquieri'. Francuską pisownią napisane ‚Pesquieri' zmieniono na ‚Peschieri'.

» — » 16 ‚oczu'; ‚oczów' Pdr.

str. 397.

PANIE KOCHANKU.

Nr. 8. Rps (A), 25·5×21, k. 6 (ostatnia pusta). Znak wodny: »J. Whatman«. (Papier ten sam, co w »Gastołdzie«).

»Panie Kochanku — powiastka«.

Pod utworem ‚k. 5': »Kwiecień 1831, Genewa«.

Utwór widocznie przepisany na czysto, ale jeszcze w czasie przepisywania dokonał autor licznych poprawek; mazania są niekiedy tak grube, że pierwotnego wyrazu już odczytać nie podobna.

Odmianki tekstu.

str. 399 w. 1 ‚zasięgający (jeszcze)' A.

» — » 2 ‚Polska (jeszcze)' A.

» — » — ‚ni prusk(ą)a ni rakusk(ą)a ni moskiewsk(ą)a' A.

» — » 3 ‚była (a liczyła nie mało w sobie niemało) z tysiącami szlachty (w sobie)' A.

» — » 6 ‚już (do) osiemdziesięciu' A.

str. 399 w. 8 ‚pościł (trzy razy) w środy' A.
» — » 10 ‚zjadał pół kopę jaj twardych (zjadał)' A.
» — » 11 ‚toruńskim (poznańskim) piernikiem' A.
» — » 12 ‚(parę) szklan(e)kę' A.
» — » 13 ‚gr(ał)ywał' A.
» — » 15 ‚do hapanki (faraona)' A.
» — » 16 ‚cieszył w (ten dzień) niedzielę' A.
» — » 22 ‚łacin(ę)skie słowa' A.
» — » 24 ‚Nosił się (staropolskim) dawnym strojem' A.
» 400 » 2 ‚połysk (siwy)' A.
» — » 3 ‚niepomału (bardzo)' A.
» — » 4 ‚rozrywek (zabaw...) tę sobie' A.
» — » 8 ‚(zdarzenia) czyny' A.
» ... » 11 ‚napomknąć (mówić) A.
» — » 14 ‚nie (zwiódł) zdradził' A.
» — » 19 ‚(ufając) z ufnością' A.
» — » 20 ‚nie (zostaną) umikną (bez pomsty) sprawiedliwej kary w jego (potomkach i) rodakach' A
» 401 » 2 ‚(opisywać) rozszerzać się nad ich porządk(i)ami' A.
» — » 9 ‚(tak) długo' A
» — » — ‚pamiętam (że następnie) iż tak' A.
» — » 26 ‚zdział(ał)awszy (i tyle) i przykrych' A.
» 402 » 17 ‚w l(asach)esie' A.
» — » 21 ‚(jak) tak' A.
» — » 27 ‚(nudził się) nudno mu było' A.
» 403 » 22 ‚na nie (polował) z okien' A.
» — » 23 ‚sprowadzi(ł i)wszy' A.
» — » 31 ‚(Jednak) Ale przypominam sobie (jednak)' A.
» 404 » 2 ‚drz(eli)ąc wokoło (i) pobledli z (wielkiego) (nagłego) przestrachu' A.
» — » 4 ‚z ni(m)emi A.
» — » 10 ‚Wołodkowiczem'; ‚Wołotkiewiczem' A (tak zawsze).
» — » — ‚(ziemskim) grodzkim' A.
» — » 18 ‚a (przy łóżku) kładąc się' A.

str. 404 w. 19 ‚groził (Wołodkiewicz) księciu' A.
» — » 20 ‚z srebrnych (a ten) przeznaczał' A.
» — » 21 ‚jedwabny (i odgrażał się nim przeznaczał) plecom' A.
» — » 22 ‚dowódzcy ich (przybocznej straży) (milicyi) milicyi' A.
» — » 26 ‚prawdziwy (katolik) szlachcic' A.
» 405 » 9 ‚w (słowach) mowach' A.
» — » 17 ‚z (podchmielonego) podchmielonego' A.
» — » 23 ‚panem, by (co szkodzić mu) jego' A.
» — » 27 ‚(nahajami) nahajami' A.
» — » 29 ‚odda(ła)wszy' A.
» 406 » 7 ‚do siebie (często) był smutny' A.
» — » 26 ‚z tyłu (miał) założ(one)ył' A.
» — » 29 ‚niżej (jego) kolana' A.
» 407 » 5 ‚nad (kościół) wszystkie bogactwa katedr(alny)y (w) krakow(ie)skiej' A.
» — » 18 ‚Tur(cy)ki' A.
» — » 24 ‚na (muzułmanów) bisurmanów' A.
» — » — ‚(szedłem) jechałem' A.
» 408 » 4 ‚firanki (z jedwabiu) z sutemi haftami' A.
» — » 18 ‚(zbliżać się nie) zmykały' A.
» — » 26 ‚zdarzało. (Więc) W niepewności' A.
» 409 » 2 ‚(stawił się) bryczką przyjechał' A.
» 410 » 2 ‚gdzie (upadł) rozpłaszczył się' A.
» — » 9 ‚król (francuski) Ludwik' A.
» — » 24 ‚być (sala) budowa' A.
» — » 25 ‚wielce (księciu panu) lubiana' A.
» — » 29 ‚dziełem (Włocha) malarza (na to) umyślnie' A.
» 411 » 3 ‚a w (czterech kątach) każdym kącie stało (drzewiany)' A.
» — » 7 ‚potrząsa (jak) niby' A.
» — » 22 ‚od (kawaleryi) konnicy' A.
» — » 23 ‚panie (kochanku) bracie' A.
» — » 24 ‚(jeśli) i nie myląc się (bom) boć' A.
» 412 » 17 ‚(a widziałem) napatrzyłem się' A.

str. 416 w. 26 ‚i (podawszy) złożywszy' A.
» 415 » 17 ‚(z) równ(ą szybkością)ie szybko' A.
» — » 13 ‚na (jednego) jedno' A.
» — » 20 ‚któr(y)ego' A.
» — » 28 ‚zda(wał)jąc' A.

str. 419.

PRZELOTNA CHMURA.

Pdr. »Kronika rodzinna« 1878 r., str. 129 - 130.

Na końcu: »Pisano w oryginale po angielsku, w Genewie 1832 r.«.

str. 425.

W ALBUMIE AMELII ZAŁUSKIEJ.

Pdr. »Józef Kallenbach: Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838)« Lwów 1904, t. II, str. 10—17. (Pisownia zmieniona).

str. 435.

MAŁGORZATA Z ZEMBOCINA.

Pdr. »Pamiętnik dla płci pięknej« r. 1830, t. IV, str. 15—29 i 61—71.

»Małgorzatę z Zembocina« odszukał dr. M. Reiter w rzadkim dziś t. IV »Pamiętnika dla płci pięknej« z r. 1830 i przypisał jej autorstwo Z. Krasińskiemu. (Por. Maryan Reiter: Nieznany tom »Pamiętnika dla płci pięknej« z r. 1830. Pamiętnik literacki, 1904, r. III, str. 435).

Odtąd była autentyczność »Małgorzaty« raz tylko jeszcze przedmiotem badań i literackich rozstrząsań, mianowicie w r. 1908 w seminaryum filologicznem prof. Kallenbacha we Lwowie; pisma jednak (nie ogłoszone drukiem), jak i rozprawy

ustne, jakie się toczyły w tej sprawie, nie przechyliły zdaniem prof. Kallenbacha stanowczo szali ani na jedną ani na drugą stronę.

Odmianki tekstu.

str. 453 w. 8 ‚jej'; ‚ich' Pdr.
» 454 » 17 ‚tylu'; ‚bytu' Pdr.
» 455 » 27 ‚siostro'; ‚siostry' Pdr.

Uwaga. W wydaniu pism Z. Krasińskiego z r. 1904 zamieszczone są jeszcze dwa utwory »niepewnej autentyczności«: »Dolina Klöntal« (t. V, str. 247) i »Ermenonville« (tamże str. 255). Oba utwory, jako nieautentyczne, opuszczamy w niniejszem wydaniu. (Por. artykuł wydawcy w »Pamiętniku Literackim« r. 1911 p. t.: »Czy »Dolina Klöntal« i »Ermenonville« są utworami Krasińskiego?«).

SPROSTOWANIE POMYŁEK.

str. 239 w. 9 zam. ‚pokryty' ma być ‚pokrytej'.
» 479 » 21 zam str. 238 w. 10, ma być str. 238 w. 7.
(w ogóle liczba wierszy odnosząca się do str. 238, ma być zawsze o 3 mniejsza).
str. 487 w. 26 zam. ‚Nr. 5' ma być ‚Nr. 1 a'.
» 500 po w. 13 ma być:

str. 283.

Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki.

Przedruk z »Pamiętnika dla płci pięknej«, R. I, t. I, str. 145—152 i 191—198.
str. 510 w. 1 zam. ‚str. 46' ma być ‚str. 412'.
» — » 3 zam. ‚—' ma być ‚str. 416'.

Biblioteka Państw. Liceum Pedagog. im. St. Ro... w Siedlcach
Nr
Poz. ks. inw. 173

TREŚĆ TOMU I go.

	str.
Od wydawcy	V
Rozmowa 1824-go z 1825-tym rokiem	1
Rozmowa Napoleona z Aleksandrem I na polach Elizejskich	9
Syn Botzarisa	19
Polska	33
Wiliam Wallas	47
Zniszczenie Ipsary	67
Joanna d'Arc	89
Pan Trzech Pagórków	133
Grób rodziny Reichstalów	159
Sen Elżbiety Pileckiej	235
Parysyna	251
Ułomki podróży szwajcarskiej	269
Opisanie jeziora genewskiego Leman	271
Jezioro genewskie	275
Myśli Polaka przy górze Mont-Blanc	277
Spadek Aary	280
Mściwy karzeł	283
Teodoro, król borów	303
On	315
Zamek Wilczki	327
Ułomek z dawnego rękopismu słowiańskiego	355
Gastołd	369
Wygnaniec	389

str.

Panie Kochanku 597
Przelotna chmura 419
W albumie Amelii Załuskiej 425
Małgorzata z Zembocina 435
Dodatek krytyczny 459

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 543
543